



Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



No 14

KONSTANTY SROKOWSKI
NA PRZEŁOMIE



KRAKÓW 1916

NAKŁADEM CENTR. BIURA WYDAWNICTW N. K. N.



Colour Chart #13

DANES-PICTA.COM

N^o 14

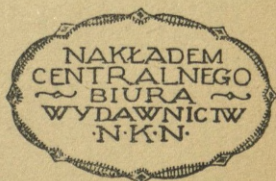
KONSTANTY SROKOWSKI
NA PRZEŁOMIE



K R A K Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTR. BIURA WYDAWNICTW N. K. N.

12, -



Wamoss

17

Wierowcu 1916 roku

N^o 14

N A P R Z E Ł O M I E

KONSTANTY SROKOWSKI

NA PRZEŁOMIE



K R A K Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTR. BIURA WYDAWNICTW N. K. N.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

1950

1951

1952

1953

1954

A L E A J A C T A

29 lipca 1914.

Wczoraj rzucono kości. Cesarz Franciszek Józef I. rozkazał wczoraj hr. Berchtoldowi wypowiedzieć Serbii wojnę wedle wszelkich wymogów prawa i konwencyj międzynarodowych. Najdosłójniejszy z monarchów świata, potężny obrońca pokoju, ośmdziesięcioletni starzec, któremu w długiem jego życiu „nic nie zostało oszczędzone“, jak sam niedawno o katastrofie sarajewskiej powiedział, musiał u zmierzchu swego żywota sięgnąć po miecz, którego przez pół wieku blisko nie dobywał...

Wielka tragedia musiała rozegrać się wczoraj w duszy najdosłójniejszego mieszkańca willi cesarskiej w Ischlu. On, najpotężniejszy obrońca pokoju, który w trosce o zachowanie swym ludom łaski tego pokoju przez tyle lat i wśród tylu niebwywałych okoliczności opierał się krwawej fali mocarną swą wolą, wstrzymując ją zdala od granic swoich wspaniałych dzierżaw, teraz uległ konieczności, konieczności zaiste w najpotężniejszym znaczeniu dziejowej „ananke“ krwawej, która okazała się silniejszą, niż tyle razy ujawniona, jego niezłomna wola, aby krew swoich poddanych szanować i oszczędzać.

Rozwój wypadków, niesionych prądem głębokich konieczności historycznych, a przyspieszanych epizodami o wstrząsającej tragiczności, doprowadził monarchię do tego strasznego punktu, w którym istotnie i rzeczywiście pozostał jej już tylko miecz...

I oto starzec ośmioma dziesiątkami lat ciężkiego życia obarczony, starzec, który przez jedenaście lustrów dźwigał na sobie niebwywale w ciężarze brzemienia rządzenia tem najtrudniejszym do rządzenia państwem, nie cofnął się przed tą koniecznością straszną i sięgnął wczoraj — po miecz.

Przedziwny w swej ponurej piękności historycznej przeżywamy moment, moment wielki, może większy, niż wszystkie, jakie pokoleniom ludzkim udało się przeżyć. Nigdy bowiem jeszcze na końcu obnażonego z pochwy miecza nie zawisło tyle i takich problemów, co dzisiaj, nigdy jeszcze losy Europy nie poplątały się z sobą w tak straszny węzeł. Łuna pożogi napoleońskiej błędnie w oślepiającym blasku tych możliwości najbliższych, być może, już jutrzejszych, których nieskończony szereg otwiera wczorajszy akt cesarza Franciszka Józefa I.

Podobnie jak wówczas, w tej pożodze ognia i powodzi krwi, rodziła się nowa Europa dziewiętnastego wieku, tak teraz wszystko wskazuje na to, że oto my dzisiaj przeżywamy początek nowej, wielkiej przemiany, że oto w oczach naszych rodzić się zaczyna nowa Europa XX-go wieku. Sto lat temu największy geniusz miecza postawił przed Europą straszną alternatywę: kozacką będzie albo republikańską. I oto w sto lat po tem przedstawiciel najświetniejszej i najstarszej dynastii europejskiej wznosi do uderzenia miecz, aby uchronić Europę przed — skozaczeniem.

Bo nie łudźmy się ani na chwilę pozorami, które wytwarzają okoliczności. Tam na południu, za Dunajem i Sawą, zacznie się niebawem walka nie z Serbią, ale z tym złym duchem, który nieszczęśliwy naród opętał, z duchem Moskwy, z duchem kozaka w bizantyńskim ornacie, co wzniosł się zbyt wysoko nad Europą, grożąc zgnieceniem jej swem olbrzymiem cielskiem.

I oto nowe dziwo. Gdy trzecia republika, ta najprawowitsza, zdawałoby się, dziedziczka tradycyji Napoleona Wielkiego, dawno wkupiła się wielkimi miliardami pod but rosyjski, wstaje najse-dziwszy monarcha, najwybitniejszy przedstawiciel nowoczesnego monarchizmu, potomek największych antagonistów Napoleona, aby zagrażającemu kulturze europejskiej duchowi moskiewskiemu powiedzieć — „dotąd, a nie dalej!”

Olbrzymie zadanie wzięła na się wczoraj monarchia habsburska, do niesłychanej zgłosila się ofiary za najświętsze dobra kultury zachodniej, której wschód moskiewski zarówno na północy, jak na południu, umiał tylko nadużywać, nigdy — używać...

I tak jak z Wielkim Napoleonem zgasła ostatnia nadzieja naszego narodu, tak dzisiaj budzi się ona znowu, bo oto znowu Europa wychodzi z fug gwałtu i bezprawia, bo oto lada chwila może zatętnieć wojna na wieku tej trumny, w której wielki nasz naród dusi się, ale żyje...

W głębokiem odczuciu niesłychanej wagi dzisiejszej chwili i zapadłych w niej postanowień staniemy też my Polacy, spokojni czystem sumieniem i silni wiarą, że częścią tej dobrej i tej wielkiej sprawy, za którą wczoraj cesarz Franciszek Józef I. miecz podniósł, jest także i nasza polska sprawa.

I z tą wiarą w sercach pójdą nasi bracia pod sztandary, aby wiernie, ofiarnie i do ostatka spełnić ten rozkaz kategoryczny, który przez usta najdostojniejszego monarchy wypowiedział wczoraj duch kultury i cywilizacji zachodniej.

P O W S Z E C H N A M O B I L I Z A C Y A

1 sierpnia 1914.

Z zawrotną szybkością zbliża się Europa do epokowych rozstrzygnięć. Nadzieja zlokalizowania wojny serbsko-austriackiej zmalała wczoraj ogromnie. Pozostał z niej tylko fantom dyplomatycznych dwuznaczyków, na którym żadne mocarstwo opierać się nie chce i nie może. Wszystkie więc apelują do swoich sił materialnych. Od wczoraj ogromna część Europy stoi w znaku gorączkowych przygotowań do czegoś, o czym wszyscy mówią i myślą, a czego nikt na prawdę nie może sobie dokładnie wyobrazić. Straszny ten dziw nazywa się — wojną europejską z uzbrojonymi narodami, z jej dziesiątkami tysięcy armat i dziesiątkami miliardów wydatków.

Rosya zmobilizowała kilkanaście korpusów. Przesunęła je ku granicom Niemiec i Austrii, odsłaniając równocześnie same granice. Wysadza mosty w powietrze, kroi naftą i cofa się od granic wstecz. Trzy czwarte tego wszystkiego to bluff i komedia, obliczona na zastraszenie naiwnych, których na szczęście już niema

w Europie, przynajmniej w środkowej Europie. Jedna czwarta atoli tych przygotowań, to prawda, prawda straszna, której sami rozumni Rosyanie lękać się muszą najbardziej. Systematyczna polityka kłamstwa, obłudy i komedyi, doprowadziła Rosję do tego zaiste tragicznego momentu, w którym, salwując frazes słowiański, przykrywający jej nienasyconą zaborczość, musi wyruszać w pole przeciw dwom armiom największej, jaką świat widział, siły.

W Petersburgu sztucznie i forsownie fabrykują zapał. Nocami włączają się po ulicach gromadki studentów, oficerów i wielkomięjskiego pospólstwa, aplaudując co chwila Serbię, złorzecząc Austrii. W tydzień po odbytej świetnie na cześć Poincarégo rewii rewolucyjnej, w której rewolucya rosyjska popisała się szybkością mobilizacji krociowych mas robotniczych i wysoką umiejętnością stawiania barykad, te uliczne komedye patryotyczne wywierają wrażenie zaiste komiczne. Dość powiedzieć, że głównym ich organizatorem jest osławiony dr Wiergun, syn chłopca z pod Gródka Jagiellońskiego... Aż z Galicyi musiał sobie carat sprowadzić Tyrteusza, aby „rasę słowiańską“ zagrzewał do walki z „rasą niemiecką“...

Niepodobna, aby kierujące sfery rosyjskie nie wiedziały, co im grozi w razie rozpętania się wojny, aby nie widziały tych płomyków rewolucyi, które pełzają dokoła tego ponurego więzienia narodów, które przy pierwszym podmuchu wojny buchną pożogą, obejmującą wszystkie cztery węzły rosyjskiej tiumry. Finlandya, Kaukaz, Łotwa, nie mówiąc już o Polsce, gdzie ugodowość ostatnich czasów nie wysuszyła chyba jeszcze krwi w żyłach i szpiku w kościach. A w samym mięszu rosyjskim antagonizmy socyalne, ból nieuśmierzony od ślepych razów, którymi przez lat ośm sypała tryumfująca reakcya, na domiar zaś wszystkiego nieurodzaj wielki, posucha i widmo bliskiego głodu...

Niepodobna, aby nie widzieli tego wszystkiego doradcy cara. A jeżeli mimo to, zamknąwszy oczy, decydują się podpalić Europę, to czynią to pod tym przymusem kłamstwa, które przez lat dziesiątki szerzyli, bo dzisiaj muszą udawać, że wierzą w to, co przez połowę przeszło wieku kłamali.

Dla miłości Serbii, o której istnieniu 80 procent narodu rosyjskiego nie ma najmniejszego pojęcia, idzie dzisiaj Rosya w bój, ryzykując więcej, niż można wogóle obliczyć, bo pcha ją ponure fatum kłamstw i żarłoczności, nigdy niczem nienasyconej żądzы zaborów.

Austria i Niemcy oswoiły się już z tem fatum, pędząc Rosyę do zbrodni przeciw cywilizacji i przeciw Europie. Oba mocarstwa stoją spokojne, szybkimi i niemal niewidzialnymi ruchami rozwijając cały ogrom sił swych i swej potęgi, gromadzonej skrętnie w ciągu pół wieku mrówczej pracy cywilizowanych pokoleń.

Nie wysadzają mostów, nie leją nafty, bo w każdej chwili i wśród wszelkich okoliczności szanują owoce pracy ludzkiej, bo reprezentują cywilizację, w której imieniu mają hordom azyatyckim białego cara powiedzieć: dotąd a nie dalej.

Nadchodzi wielka chwila. Być może, że i tym razem minie, przechodząc do wieczności obok nas. Ale wiele przemawia za tem, że tym razem, to już naprawdę stanowczo i nieodwołalnie wybiła godzina porachunku między cywilizacją a jej zaprzeczeniem, między Europą a Rosyą.

I nasza umęczona ziemia znowu stanie się tablicą, na której się ten obrachunek odbędzie. Czuwajmy, aby pozycja 20 milionowego narodu i odwiecznego gospodarza tej ziemi w tym rachunku znowu pominięta nie była.

Nadciąga straszna burza. Znużeni 'dusnością, która ją przez tyle lat poprzedzała, tłumiąc myśli i wykoślawiając uczucia, oczekujmy jej spokojni i zdeterminowani jak czegoś, co przyjść musiało, a lepiej, że przychodzi prędzej, niż później.

T A J E M N I C E

2 sierpnia 1914.

Weszliśmy w okres tej tajemnicy powszechnej, która od czasów wojny rosyjsko-japońskiej stała się jednym z czynników nowoczesnej wojny. Ma ona głębokie uzasadnienie zarówno rzeczowe, jak psychologiczno-społeczne i musi oprzeć się zwycięsko

najbardziej nawet uzasadnionej ciekawości. Szczątki połączeń informacyjnych, które nas jeszcze wiążą ze światem, wystarczają zaledwie do wyrobienia sobie bardzo niejasnego obrazu obecnej sytuacji. Wiemy, a raczej domyślamy się tylko, że ostatnie trzy dni poświęcone były wyczerpującym próbom zlokalizowania wojny. Próby te odbywały się między wszystkimi mocarstwami we wszystkich kombinacjach. Przedewszystkiem jednak między Petersburgiem z jednej, a Wiedniem i Berlinem z drugiej strony. Jak sły-chać, wczoraj rano gabinet berliński postanowił uczynić jeszcze ostatnią próbę dla wyjaśnienia sytuacji na drodze pokojowej, polecając w tym celu ambasadorowi w Petersburgu, hr. Pourtalesowi, aby zapytał Sazonowa o cel mobilizacji rosyjskiej. Odpowiedź ministra rosyjskiego wypadła niezadowolająco. Powiedział on, że zarządzona mobilizacja częściowa nie może już być cofnięta i że celem Rosji jest pilnowanie, aby Austria nie zechciała zniszczyć samodzielności Serbii. Zaraz po hr. Pourtalesie konferował z Sazonowem ambasador austriacki, hr. Szapary, zadając mu w imieniu swojego rządu to samo pytanie i tę samą otrzymując odpowiedź. Austria oświadczyła w Petersburgu, że w wojnie z Serbią nie ma żadnych zdobyczy terytorjalnych na celu. Sazonow jednak nie uznał tej deklaracji za dostateczną, ponieważ nie zawiera ona także zapewnienia co do uszanowania przez Austrię niezawisłości Serbii jako państwa suwerennego.

Równocześnie toczyły się w Wiedniu analogiczne konferencje między hr. Berchtoldem i ambasadorem rosyjskim Szebeką, i tak samo, jak pertraktacje petersburskie, wydały rezultat ujemny. Faktem jest, że jeszcze do wczoraj po południu kontakt dyplomatyczny między Rosją, Austrią a Niemcami istniał. Czy urwał się on po południu, nie wiadomo. Trudno jednak przypuścić, aby od chwili ogłoszenia ogólnej mobilizacji dyplomacja obu stron miała sobie jeszcze coś do powiedzenia. Być może, że jeszcze tylko jedyny w tej sytuacji możliwy pośrednik, sir Edward Grey, używa ostatnich argumentów dla uratowania pokoju. Wszelka inna korespondencja dyplomatyczna stanęła i jeżeli nie jest jeszcze

formalnie zerwana, to jednak już obecnie prawdopodobnie nie istnieje.

W chwili, kiedy milknąć zaczęły kancelarye dyplomatyczne, tem groźniej zaczął się w Europie rozlegać szcęk z gorączkowym pośpiechem przygotowanego oręża. W tej chwili cała Europa, z wyjątkiem dalekich państw zachodniego południa, staje pod bronią. Gdzieś, aż po chłodne fiordy szwedzkie, od Amsterdamu aż w głąb Syberyi, wyrastać zaczyna las bagnetów. W tej chwili mobilizuje Rosya, Austria, Niemcy, Francya, Anglia, Belgia, Holandya, Szwecya. Nie wiadomo, co czynią Japonia i Chiny. Ale wiele przemawia za tem, że wpadną także w gorączkę wojenną. Dziesiątki milionów cywilizowanych ludzi opuszcza warsztaty swej codziennej pracy, rodziny i obowiązki społeczne, aby spełnić najwyższy obowiązek — obowiązek krwi. Europa jak nowoczesny okręt w razie niebezpieczeństwa dzieli się automatycznie na szczelnie pozamykane komory. Świadomość zbiorowa słabnie i coraz bardziej zanika. Niebawem zamkną się dokoła nas nieprzeniknione ściany tajemnicy wojennej, tak że dopiero za miesiące lub może lata, dowiadywać się będziemy, jak straszne, jak w historii całego rodzaju ludzkiego niebывałe przeżyli czasy ci, którzy je istotnie przeżyją.

Pochód perski na Grecyę w starożytności, wyprawy Aleksandra Wielkiego, wojny krzyżowe, kampanie napoleńskie, igraszkami niewinnemi będą w porównaniu z tem, co dzieć się będzie w Europie, w tej prastarej kolebce kultury ludzkiej wtedy, kiedy te milionowe masy, najeżone bagnetami, obrośnięte potwornemi działami, wprawione zostaną w ruch, aby na starym, tylekroć strumieniami krwi zlewany kontynencie, wytworzyć nową postać życia. Coś w tej zbliżającej się nawałnicy niewątpliwie przestanie istnieć, coś starte będzie z oblicza ziemi. Wszystko inne przepali się i przetopi w straszliwym ogniu. Bo oto największe państwa szykują się do boju na śmierć i życie, do boju, który decydować będzie o ich dalszem istnieniu. Jeżeli zaś zgodzimy się na to, że państwo jest najogólniejszą formą pewnego typu życia, to zrozumimy, że w ostatniej instancyi chodzić tu będzie nie o Serbię,



ani o skrawki czy całe płaty ziemi, które zmieniają właścicieli, ale o najgłębsze wartości życia społecznego i indywidualnego, o to wszystko, co stanowi jego treść rzeczywiście realną. Jeżeli kiedy można powiedzieć, że ludzie nie wiedzą, co robią, to właśnie dzisiaj, w przededniu tych niebywałych wypadków, niedoświadczanych nigdy jeszcze zmagają. Ale tak właśnie układały się dzieje ludzkie, że narody dokonywały największych dzieł wtedy właśnie, kiedy najmniej wiedząc, co czynią, jednak czyniły...

L A W I N A

6 sierpnia 1914.

Długo przepowiadana i oczekiwana lawina zaczęła spadać z szybkością, za którą myśl z trudnością tylko może podążyć. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin potężne Niemcy znalazły się w wojnie z mocarstwami, z których każde jest czegoś największym potentatem: Anglia — morza, Rosya — łądu, Francya — złota...

Austria z szybkością i spokojem, które zadają tak jaskrawy kłam legendzie o wewnętrznej słabości tego państwa, przeprowadza swoje zadanie na południu, przygotowując się równocześnie do trudniejszego bez porównania i ważniejszego zadania na północy. Za kilka dni, kiedy ostatni rezerwista austriacki włoży karabin na ramię, ambasador austriacki w Petersburgu, zażądawszy paszportów, pójdzie śladem swego kolegi hr. Pourtalesa, który już w sobotę odpłynął z nad Newy pod flagą amerykańską. Włochy stoją z bronią u nogi, aby w odpowiedniej chwili, stosownie do swoich zobowiązań sojuszowych i zgodnie z interesami swoimi, uderzyć z boku na Francję. Rumunia z niezwykłą szybkością przeprowadza rewizję swoich najnowszych orientacyj politycznych, wracając co rychlej do starych, austrofilskich. Dochodzą wieści, że Bułgaria porozumiewa się już z Rumunią na wypadek wspólnego działania, aby mogła spokojnie zabrać Macedonię wchwili, kiedy Rumunia sięgnie po — Besarabię...

Turcja zamknęła Dardanele i zbroi się w całości, aby mogła wykorzystać ten niebywały moment, w którym dotychczasowi jej opiekunowie i lekarze stanęli przeciw sobie do strasznej walki na śmierć i życie. Daleka Japonia nie pozostaje obojętną. Słysząc nawet o formalnym sojuszu tego państwa z Austryą. Bez względu jednak na jego istnienie, jest rzeczą pewną, że Japonia skorzysta z obecnej sytuacji, aby dokończyć swoich porachunków z Rosją na Dalekim Wschodzie. Stany Zjednoczone jeszcze nie związały się żadnym oświadczeniem. Ostatnie jednak zarządzenie rządu waszyngtońskiego, znoszące rejestrację okrętów, dzięki czemu okręty niemieckie będą mogły krążyć odtąd pod flagą gwiazdzistą, pozwala się domyślać, w którym kierunku pójdzie działalność potężnej republiki. Będzie to mianowicie kierunek antiangielski. Publicystyka angielska, zaprzątnięta niebezpieczeństwem niemieckim, przez długie lata przemilczała i maskowała pogłębiający się coraz bardziej antagonizm angielsko-amerykański. Dzisiaj antagonizm ten bardzo głęboki i bardziej jeszcze, niż antagonizm niemiecko-angielski względami ekonomicznymi uzasadniony, ujawni się niewątpliwie w całej swojej przez niewielu tylko należycie ocenianej potędze.

Tak więc wczoraj wieczorem sytuacja Europy przedstawiała się w najogólniejszym schemacie w następujący sposób:

Wojna Niemiec z Francją i Rosją. Przemarsz wojsk niemieckich przez Belgię bez względu na jej neutralność. Wreszcie wojna Anglii z Niemcami. W najbliższych godzinach oczekiwać należy zajęcia przez Niemcy wybrzeży duńskich dla zamknięcia Bałtyku przez flotę angielską i formalnego wypowiedzenia wojny austriacko-rosyjskiej.

Straszliwy pożar, wyszedłszy ze środka Europy, ogarnął już północny jej zachód. W najbliższej przyszłości ogarnie jeszcze i wschód. W ciągu jakichś dwóch tygodni cała Europa stanie w ogniu wojny najstraszniejszej, jaką zna rodzaj ludzki. Kultura współczesna dość wysoka, aby przygotować ten bój straszliwy i środki jego doprowadzić do niesłychanej doskonałości, okazała się niestety za niską do wyrównania w drodze pokojowej tych

olbrzymich kontrastów, które wytworzyły egoizmy kroczących drogami swoich przeznaczeń narodów.

Jeszcze raz, oby ostatni, przodujące ludzkości narody apelują do siły zbrojnej, do przemocy fizycznej, aby rozstrzygnąć między sobą niesłychanie skłębione kwestye sporne swojego bytu i współbytu na tej planecie i na tym kontynencie. Niepojęte brzemie tego rozstrzygnięcia, ale także i największy zaszczyt, jaki ono uczestnikom przynosi, przypadł w udziale naszemu pokoleniu. Waży się ono dzisiaj na czyny tak wielkie, że cały ogrom ich skutków dalszych i bliższych, cały bezmiar ich znaczenia ocenią dopiero należycie — pokolenia następne... One dopiero przeżywać będą wypadki dzisiejsze pełnią świadomości. Synowie nasi dopiero ocenią należycie to, na co ważyli się ich ojcowie. Podważyli oni świat z posad i świat ruszył się i drży...

A już chyba żaden mózg nie wre dzisiaj tak od nadmiaru skłębionych myśli i żadne serce nie ściska się tak palącym uczuciem, jak — polski mózg i polskie serce. Bo oto po raz ostatni może otwiera się księga dziejów na stronicy, na której los spisał tragedję Polski. I wpatruje się polskie oko w krwawe runy tej karty strasznej a ukochanej, aby dojrzeć, czy zapisany tam finał tragedji, czy początek nowego życia i świt odrodzenia.

Oto wśród łoskotu przejeżdżającego po pod moje okna pociągu w chwili, gdy piszę te słowa, dolatuje do mnie dźwięk pieśni Legionów. To strzelcy nasi, zdążający od wschodu, wypełniwszy szczerlnie trzy ostatnie wagony lwowskiego kuryera, witają Kraków, powiewają chustkami i śpiewają, upojeni radością chwili, w której wreszcie mogą spełnić od tak dawna upragniony obowiązek.

Ufni w rozum przywódców i naczelników swoich, z radością niosą swoje młode życie w ofierze ideałowi odrodzonej Polski — oni młodzi, często najmłodszy niemal jej synowie. Pozostawili za sobą skrwawione serca matek, ciężką troską pochylone głowy ojców, pozostawili płacz sióstr i jęki serc dziewczęcych, pierwszą czystą miłością rozkwitłych i spieszą, śpiewając...

Na wielką ofiarę idzie Polska. Dostarczyła kroci swych synów

armiom trzech państw, a kwiat swój, co ma najdroższego, najlepszego i najszlachetniejszego, składa w ofierze dobrowolnej temu, co jest nieznanem, co urągało zawsze wszelkim przewidywaniom — przyszłości.

Ale ofiara ta być musi. Nie bylibyśmy wariami siebie samych, gdybyśmy w czasie pożaru Europy, walenia się całych państw i załęgania nowych, nie przypomnieli łuną wojny powszechnej pokrytemu światu, że oto żyjemy i żyć chcemy, że prawnuki żołnierzy polskich, którzy krwią swoją obficie skropili Europę od skwarnych skał Hiszpanii, po śnieżne pustkowia Moskwy, stają znowu do boju za nieprzedawnioną, za wiekuiście żywą, za świętą, polską sprawę.

Byleby tylko w połodze serca polskiego myśl polska nie straciła swej jasności i trzeźwości. Niechaj oczyści się w tym ogniu świętym z wszelkiego plugastwa, którem obrasta w niewoli, ale niechaj pozostanie jasna i chłodna, jak stal bagnetu, którym ręka polska w pierś wroga największego godzi. Oby celnie, oby skutecznie!

W I E L K I D Z I E Ń

7 sierpnia 1914.

Ambasador rosyjski, Szebeko, otrzymał wczoraj paszporty. Hr. Szapary wczoraj jeszcze opuścił Petersburg. Stało się, co było koniecznem, co z oczywistą szkodą Austrii odkładano od czasów wojny Krymskiej. Sześćdziesiąt lat gotował się ten porachunek, aż wreszcie wczoraj wzięła Austria do ręki miecz, aby rozciąć sieć, którą oplątywała ją Rosya.

Spokojna Austria, od pół wieku pogrążona w niepodejmowanej przez nikogo dotąd pracy nad znalezieniem formy współżycia małych narodów w obrębie jednej organizacyi państwowej, natrafiała na każdym kroku na niebezpieczne miny, które pod fundamenty jej budowli państwowej podkładała Rosya, jako samowłańcza przedstawicielka idei słowiańskiej, w Austrii rzekomo

gnębionej i znieprawianej. Przez pół wieku patrzono w Wiedniu spokojnie na to niebywałe oszustwo, którem był i jest ów „sławizm“ polityki rosyjskiej, mający pokrywać płaszczykiem solidarności rasowej i religijnej wszystkie zakusy nienasyconej zaborczości moskiewskiego mongolizmu politycznego.

Nie było w dziejach Europy większego kłamstwa, bezczelniejszej komedy i bezczelniejszego oszustwa, niż ta uzurpowana przez carów moskiewskich rola opiekunów Słowian i Słowiańszczyzny. Żandarm Europy, Mikołaj I, był jeszcze wzorem uczciwości i szczerości w porównaniu z następcami swoimi. Nienawidził książki, marzył o zamykaniu uniwersytetów, obsadzając w nich na razie katedry — wysłużonymi oficerami, bo nienawidził rewolucji, którą upatrywał przedewszystkiem w książce i rozumie. Ale kiedy prostolinijny jego system szczerego gwałtu i tępego ucisku runął solennie pod Sewastopolem, sam on miał odwagę sięgnąć po truciznę, której zażył na paradzie wojskowej. Następcy jego nie zmienili celu, ale zmodernizowali metody. Mikołaj I chciał za pomocą religii wdrzeć się do Małej Azji i utrwalić w Konstantynopolu. Następcy jego zaczęli używać środków subtelniejszych, bardziej skomplikowanych, lecz jednakowo haniebnych do — tego samego celu. Mongolski głód ziemi, barbarzyńska nienawiść do wszystkiego, co po prostu inne, przyoblekła się powoli w powiewne szaty metafizyki, udekorowała się całą biblioteką ksiąg uczonych a kłamliwych i przyozdobiła się mistyczno-ludożerczemi teoryami prymatu Rosyi wśród słowiańskich narodów, Moskwy jako „trzeciego Rzymu“, który dopiero da światu to, czego nie dały mu dwa pierwsze...

Najwyższe wzloty ducha europejskiego, najgłębsze idee hegelianizmu, przeszczepione na mongolsko-bizantyński grunt Moskwy, dały owoc zatruty i trujący, który nazywa się panslawizmem, a jest w rzeczywistości panrusyzmem. I biedne, małe, wyrrywające się właśnie z kajdan wiekowej niewoli narody słowiańskie na północy i południu idą na lep tego jaskrawo ubarwionego owocu, który jak potworny muchomor rozsiadł się na zimnych bagnach północy. I długie lata wdychały ku temu potworowi, ku temu

państwu okrutnemu, nie widząc i nie chcąc widzieć, że właśnie ta „opiekunka“ uciśnionych Słowian gnębi najsrożej najstarszy w kulturze naród słowiański, że stosuje wobec niego metody, które dopiero w wiele lat później kopiuje już tylko i ulepsza hakatyzm pruski. I Nowosilcow i Murawiew Wieszatiel i legion innej obszytej złotem kanalii — oto reprezentanci „idei“ rosyjsko-słowiańskiej w polskim prasłowiańskim kraju.

Ale wyziewy panslawistycznego muchomora moskiewskiego oślepiły i ogłupiły do tego stopnia słowiańskie młode narody, że zasłaniając oczy przed okropnością krzywdy polskiej, lgną tam ku tej północy fińskiej, aż do upodlenia ostatecznego, na niej wszystkie swoje nadzieje opierając. Dochodzi do tego, że zaślepieni Czesi w rok po stłumieniu powstania polskiego ze sztandarami jadą do Moskwy i głupstwa wygadują na Kremlu. Całe zaś południe słowiańskie wierzy niewzruszenie, że wybawienie przyjdzie z Północy. Nie pomaga widok Polski, przez czynownictwo carskie na zagładę skazanej, nie wzrusza tych zaślepieńców los dziesiątka innych narodów rosyjskiego imperyum, które jęczą pod knutem moskiewskim. Nawet niesłychanie cyniczne akty dyplomacji rosyjskiej, która całe narody słowiańskie wydaje najspokojniej na łup tych właśnie, przeciw którym ma ich bronić rzekomo, pozostają niezrozumiane. Pierwsze lata niezawisłej Bułgaryi, odstąpienie Austrii Bośni i Hercegowiny jako nagrody za neutralność w zdobywczej wojnie tureckiej, dwudziestoletnie krzywdzenie i prześladowanie Serbii za to tylko, że mądrzejsza bez porównania od dzisiejszej, jej poprzednia dynastia starała się utrzymywać poprawne stosunki z Austrią: oto dawki cynizmu moskiewskiego, które, mimo swej siły ogromnej, nie zdołały wyleczyć narodów słowiańskich ze złudzeń moskiewskiego sławizmu. Potrzeba było dopiero, aby „oswobodzicielka“ Bułgaryi rzuciła na nią w najcięższej godzinie jej dziejów, nawałnicę rumuńską za to tylko, że ośmieliła się nie posłuchać rozkazu białego cara, aby nieszczęśliwy, ale dzielny i wytrwały naród bułgarski oprzytomniał i zrozumiał, że w naiwnej swej wdzięczności pomniki stawiał nie opiekunom, lecz wrogom i katom.

Jeszcze tylko jedna Serbia w nieszczęsnem oszołomieniu swoim, kierowana przez najemników rosyjskich i rządzona przez rodzinę, na łaskawym chlebie carskim od lat dziesiątek żyjącą, pozostała w sieci rosyjskiej, w której oto dusi się teraz i ginie.

Polityka kłamstwa i niebywałego oszustwa pomściła się na Rosyi. Widząc, że Serbia pada ofiarą posłuszeństwa ślepego, jakie okazywała dla takich „Słowian“ jak Hartwig, musiała Rosya albo zdecydować się na ogłoszenie niewypłacalności moralnej w świecie słowiańskim, albo wszystko postawić na tę ostatnią słowiańską kartę, jaka jej w ręku jeszcze pozostała, na kartę — serbską...

Ale i tego byłaby ona z pewnością nie uczyniła, gdyby nie równoczesny szantaż na dwóch wielkich narodach zachodniej Europy, które wybujały duch chciwego kramarstwa uczynił powsólnymi narzędziami światowładczych machinacyj cara. Podkarmiona złotem francuskim, spróbowała teraz Rosya wyzyskać jeszcze i krew francuską i tę arcykupiecką bezwzględność Anglii, która ojczyźnie Szekspira i Darwina pozwalała ongiś zakazywać dowozu chininy dla dotkniętych epidemią malaryi wojsk Napoleona, która wśród najgłębszego pokoju zbombardowała nagle Kopenhagę, która nie cofała się nigdy przed żadną zbrodnią, jeżeli czyjaś konkurencyę kupiecką uważała za niebezpieczną.

Na tych wszystkich niskich uczuciach rentyera francuskiego i monopolisty angielskiego spekulując, odważył się car rosyjski na krok szalony. Ale nie można nawet powiedzieć, że się „odważył“. On nie uczynił tego śmiało, po męsku, ze szczerem, chociaż błędnem przekonaniem o słuszności swojej sprawy. On oszukiwał, on kłamał, byle tylko zyskać czas na zwleczenie swoich hord azyatyckich, które wedle wskazówek „białego generała“ Skobelewa są najskuteczniejszym środkiem do — przerażenia Europy... Ogłoszone w Berlinie depesze carskie stanowiąc będą z pewnością jedyny w dziejach dokument, w którym od razu wypowiedziała się cała zarówno oficjalna, jak nieoficjalna Rosya.

Lecz dzisiaj przyszedł już kres tym bezecnym matactwom. Austria, przebolawszy wiele strat, zmarnowawszy wiele doskonałych sposobności, powstała wreszcie z miejsca, aby ująwszy miecz dobrze wyostrzony, poobcinać hydrze moskiewskiej jej panslawistyczne, przewrotnością wszelką przepełnione głowy.

I jeżeli tam nad Newą są jeszcze Słowianie, którzy zdolni są myśleć uczciwie i szczerze odczuwać, to serca muszą się im krwawić na widok tych trzydziestu blisko milionów Słowian, którzy z radością spieszą na dźwięk komendy — niemieckiej, aby porachować się ostatecznie z „opiekunką“ moskiewską, aby jej hegemonii w świecie słowiańskim kres ostateczny położyć. Do tego doprowadziła Rosya swoją polityką „słowiańską“, której ofiarą padły po kolei wszystkie narody — słowiańskie...

I nie powinno być dzisiaj już nie Polaka, bo my w księdze zbrodni rosyjskiej mamy osobne konto, ale nie powinno być rozumnego i uczciwego Słowianina, któryby nie czuł i nie rozumiał, że wojna, którą wczoraj Austria rozpoczęła przeciw Rosyi, to wojna nie tylko o byt tego starego państwa, ale także wojna o przyszłość całej słowiańszczyzny, o swobodę rozwoju kulturalnego i politycznego słowiańskich narodów, wojna o to, aby także na wschodzie Europy położyć wreszcie fundament pod gmach nowoczesnej kultury, z którą knutem przez swego straszego cara w ciągu kilku lat „zeuropeizowana“ Rosya zaprawdę nie miała nigdy i nie ma nic wspólnego.

Wielkie dzieło zaczęła wczoraj Austria. Tak wielkie, że można niemal powiedzieć, iż na to właśnie istniała ona swoje siedmset lat, aby pewnego dnia dać odpór stanowczy hordom azyatyckim, które zagroziłyby Europie.

I dzisiaj dzień ten nadszedł. Mimo ofiar strasznych, jakie złożyć będzie potrzeba, i jako Polacy i jako Słowianie witamy go z najgłębszą radością.

E U R O P A W O G N I U

8 sierpnia 1914.

Wojna europejska toczy się „in potentia“ od lat blisko dwudziestu, ujawniając się na zewnątrz w tym szalonym wyścigu zbrojeń, które same przez się groziły wkrótce ruiną gospodarczą najsilniejszym nawet pod względem ekonomicznym narodom. System odpowiadania sobie wzajemnego na każdy korpus dwoma, na każdy pancernik trzema, z dodatkiem jeszcze krążownika, nie był niczem innym, jak wojną, ograniczającą się co prawda tylko do demonstrowania sobie wzajemnych swoich forsownie zwiększanych sił zbrojnych. Także dyplomacya europejska od czasu zawarcia przymierza francusko-rosyjskiego weszła w stadyum ciągłego przygotowania wojny. Nie była to już praca nad wyrównaniem różnic i kontrastów, które ciągle wytwarza współzycie państw, ale nieprzerwane budowanie i konstruowanie systemów zaczepnych i obronnych, wzajemne oplątywanie się sieciami różnorodnych i skomplikowanych bardzo zobowiązań. Kontrahenci wyznaczyli sobie role na wszelki dający się przewidzieć wypadek, ustawiali się w rozmaitych pozycjach do siebie, uzupełniając w ten sposób pracę sztabów generalnych nad wytworzeniem najdoskonalszego możliwie pogotowia wojennego. Asekuracye i kontrasekuracye, przymierza i „extratury“, „odmawianie“ sobie sojuszników, jak u niezbyt dystyngowanych gospodyń odmawianie służących, niestrudzone intrygi wszystkich przeciw wszystkim, uzupełniały ten obraz wojny potencjonalnej, z którym oswoiło się już nasze pokolenie tak bardzo, że niemal przestało sobie wyobrażać, aby mogło być inaczej.

Powoli zaczęło się nawet utrwalać przekonanie, że wojny rzeczywistej w Europie nie będzie, ponieważ w ostatniej chwili za braknie rządów odwagi do zaryzykowania tego wszystkiego, co w swoje zbrojenia włożyły. Istotnie były to wartości w ogromie swoim trudne wprost do pojęcia. Obliczono, że sześć mocarstw europejskich wydało w ciągu ostatnich lat czterdziestu, t. j. od czasu,

kiedy Bismarck sformułował swoją ideę zbrojnego pokoju, na utrzymanie tego pokoju sumę 210 miliardów franków. Z początkiem roku bieżącego stało w Europie na t. zw. „stopie pokojowej“ przeszło sześć milionów mężczyzn, oderwanych od pracy produktywnej w silę wieku. Utrzymanie i uzbrojenie tych mas kosztowało Europę w ciągu roku ubiegłego przeszło 10 miliardów franków, nie licząc strat gospodarczych, wynikłych z oderwania tych ludzi od pracy wytwórczej. Do kosztów tego zbrojnego pokoju doliczyć należy także oprocentowanie długów państwowych, których suma w roku zeszłym przekroczyła 130 miliardów franków, od czego same odsetki wynosiły blisko sześć miliardów.

Takie to olbrzymie wartości, których ogrom pojmiemy, zestawiając je z obrotem handlowym całej kuli ziemskiej, wynoszącym w roku zeszłym około 150 miliardów, znajdowały się w grze, stanowiły stawkę w wojnie europejskiej. Ogrom tej stawki i bezmiar ryzyka stanowił dla niektórych podstawę do przypuszczeń, że wogóle zamiast wojny powszechnej przyjdzie — powszechne bankructwo. Jeszcze jeden bardzo poważny fakt zdawał się przemawiać przeciw wojnie europejskiej. Była nim obawa klas rządzących o trwałość ustroju społecznego współczesnej Europy, który wystawiony na taką próbę, jak wojna europejska, i połączone z nią nieobliczalne straty, mógłby runąć. Widmo rewolucji socjalnej, którą niektórzy teoretycy uważają za nieuchronne następstwo wojny europejskiej i jej skutków gospodarczych, zdawało się powstrzymać stale państwa europejskie od odwołania się do prawa miecza.

Niezmierne wybudowanie militarystyki państw kapitalistycznych postawiło je w paradoksalnej sytuacji nie tylko pod względem obawy o los kapitałów w ten militarystyk włożonych. Z drugiej strony bowiem kapitały te domagały się odpowiedniego oprocentowania. Ten elementarny postulat, wynikający z natury kapitału, stawał się tem silniejszym, im bardziej wzrastały kapitały. Przedstawianie kosztów militarystyki jako premii asekuracyjnej nie odpowiadało żadnej rozumnej kalkulacji, bo premia nawet

dla najbogatszych była za drogą, dla większości zaś państw wprost rujnującą. Kapitał włożony w wojnę może tylko przez wojnę oprocentować się należycie. Stąd też ogrom tych kapitałów, w militarystyce uwięzionych, o ile z jednej strony utrudniał i opóźniał praktyczne poniesienie ryzyka wojny, o tyle z drugiej strony przyspieszał moment konieczności tego ryzyka. Każde państwo, wysiliwszy się gospodarczo na przygotowania wojenne, zbliżało się powoli do dylematu: albo bankructwo bez wojny, albo wojna ze wszystkimi strasznymi zarówno jak nieskończenie korzystnymi ukrytymi w niej możliwościami.

W sieci tych tragicznych problemów najluźniej tkwiła Rosya wskutek swojej niskiej kultury. Militarystyka jej opierała się tylko w bardzo drobnej części na kapitale własnym. Główną jej podstawę stanowi nieograniczony kredyt francuski. Z tego punktu widzenia ryzyko wojenne Rosyi było stosunkowo najmniejsze. W razie wojny groziła jej bowiem nie utrata owoców pracy pokoleń całych swojego własnego narodu, ale prosta niewypłacalność wobec obcych, co znacznie ułatwia ryzyka wszelkie i spekulacje, tem bardziej, że państwo nie może być wsadzone do kryminału za — lekkomyślną krydę... Także stosunek Rosyi do swego własnego materiału ludzkiego jest zasadniczo inny, niż w państwach cywilizowanych. Wedle rozmaitych obliczeń, wartość produkcyjna przeciętnego Europejczyka wynosi obecnie 5.000 koron. Wartość przeciętnego Rosyanina jest w tym wypadku co najmniej o połowę mniejsza. Chłop rosyjski, zapytany raz podczas wojny mandżurskiej, co myśli o olbrzymich stratach w ludziach, odpowiedział bez namysłu: „No i cóż, baby dzieci narodzą!“ Ten punkt widzenia jest w Rosyi panującym, przedewszystkiem w sferach rządzących. Z powodu niskiej wartości produkcyjnej tamtejszego człowieka i z powodu minimalnego wkładu, jaki w człowieka czyni tam państwo, ryzyko straty miliona ludzi w zabitych i niezdolnych do pracy, jest w Rosyi zawsze bez porównania mniejsze, niż gdziekolwiek indziej w Europie.

Z tych powodów Rosya stała się już oddawna podżegaczką Europy, najślabszym punktem w systemie czterdziestoletniego po-

koju zbrojnego i t. zw. „równowagi“ europejskiej. Ujawniło się to teraz, kiedy dla czystego prestige'u na Bałkanach nie wahała się ona rozpętać wojny europejskiej.

Fakt, że za Rosyą poszły w ogień Francya i Anglia, jest już tylko nieuchronnem następstwem ich systemu politycznego, który opierał się na zasadzie wyzyskania dla siebie tego ogromnego składu taniego mięsa ludzkiego, którem dla obu tych państw była Rosya. Wojna samej Rosyi z obiema potencjami środkowo-europejskimi groziła Francyi i Anglii zużyciem tych zapasów bez korzyści dla nich, które Francya już z góry zaliczkowała dwudziestuczerema przeszło miliardami.

Racya stanu tedy, zarówno Francyi, jak Anglii, wymagała równoczesnego z Rosyą chwycenia za oręż, bo pozostawienie jej własnemu losowi zwiększało ich własne ryzyko w przyszłości, w każdym zaś razie byłoby opłacaną przez nie premię pokojową tak podrożało, że prawdopodobnie nie byłyby już one w stanie nadal jej uiszczać.

W ten sposób, wskutek niższości kulturalnej jednego ze współników, kalkulacya przedsiębiorstwa militarnego grupy trójporozumienia doprowadziła do wojny z taką koniecznością, z jaką źle założony handel musi doprowadzić do nagłej masowej wysprzedaży towarów. Fakt ten stanowi zasadniczą cechę, oddzielającą motywa wojenne trójporozumienia całą przepaścią moralną od motywów wojennych Austrii i Niemiec, które nie dla kalkulacyi, ale istotnie w obronie swojego bytu zdecydowały się na to wstrząśnienie światem cywilizowanym, po którym zaprawdę nie wiadomo, co z tego świata ostoi się i zostanie.

P O L S K A W O B E C W O J N Y

9 sierpnia 1914.

Wszystkie najgłębsze umysły polityczne porozbiorowej Polski przywiązywały zawsze wielkie nadzieje odrodzenia narodowego do momentu, w którym trzy potencje porozbiorowe zetną się z sobą.

Moment ten obecnie nadszedł. Starcie, które się już rozpoczęło, nie będzie igraszką. Niemcy i Austria świadome są, że nie wolno im stanąć w połowie drogi, że prowadzą z Rosją walkę na śmierć i życie, w której albo zniszczą mocarstwowe stanowisko Rosyi, albo same prędeż czy później zagładzie i zniszczeniu ulegną.

Widownią tej strasznej wojny, od której zależeć będzie los całej Europy i całej kultury ludzkiej, są ziemie polskie zarówno w etnograficznym, jak w historycznym znaczeniu. Tu, między Wisłą a Bugiem, na tem odwiecznym pograniczu wschodu i zachodu, na którym od wieków ścierały się z sobą prądy dwóch cywilizacyj, dwóch kultur i dwóch duchowości, także i dzisiaj stoczony będzie straszliwy bój między Wschodem a Zachodem, bój zapewno ostatni, dlatego tem zacieklejszy, w skutkach swych epokowych tem donioślejszy.

Naród polski, jako gospodarz prawowity, jako odwieczny właściciel tej ziemi, nie może wobec tych zapasów zachować obojętności, nie może, kwiat swój, jak żywy inwentarz między trzy walczące z sobą armie rozdzieliwszy, patrzeć spokojnie i obojętnie końca tych cyklopich zapasów, nie może zapomnieć o tem, że kiedy huragan minie, a skutki jego staną się rzeczywistością, nie kto inny, jak tylko właśnie on — nasz polski naród w takiej lub innej formie prawno-państwowej, powołany będzie do zajęcia z powrotem tego zaszczytnego posterunku strażnika kultury zachodniej na wschodzie, na którym przez tyle stuleci mężnie trwał, a z którego go strąciła przemoc i przewrotność Wschodu przy niebaczem i krótkowzrocznem poparciu części Zachodu. Rozpoczęta obecnie wojna otwiera dla nas znowu pole przerwanej przed stu czterdziestu laty historycznej pracy w całej jego olbrzymiej szerokości. Najwspanialsza i najzaszczytniejsza misja narodu naszego musi zmartwychwstać, jeżeli bizantyńsko-rosyjski sławizm ma być raz na zawsze zniszczony, bo nie Niemcy i nie narody monarchii habsburgskiej, ale tylko Polacy, mając swobodę rozwinięcia pełni swego narodowego życia, mogą przeciwstawić fali moskiewskiej wał ochronny dość silny, aby przed jej zalewem ochronić wszystkie ogniska i warsztaty kultury i cywilizacji Zachodu.

W tym momencie, kiedy niezłomna logika dziejów woła znowu naród polski do zajęcia jego odwiecznego stanowiska u wejścia do niżu sarmackiego, nie wystarczy, jeżeli żałośnie wstrząsnąwszy kajdanami, ręce ku drugim wyciągniemy błagalnie, aby nam je rozkuli, lub aby przynajmniej okowy rozluźnić trochę raczyli. W tym momencie naród polski sam musi targnąć temi kajdanami z całą siłą, jaka się w jego wnętrzu tai, z największym wysiłkiem całej swojej woli do życia, do swobodnego życia. Bo miara tego wysiłku naszego, idącego nie z nakazu, nie z zewnętrznego przymusu, ale z najwewnętrzniejszej potrzeby, będzie zarazem miarą tego stanowiska, jakie po wojnie na ziemiach naszych zajmiemy. Zachowanie się bierne, wybranie postawy dyplomatycznego wy-czekiwania w przekonaniu, że co się ma stać dla nas dobrego, stanie się bez nas, byłoby samobójstwem, dowiodłoby, że my już sami ze szczytnych i nigdy nieprzedawnionych praw wolnego narodu zrezygnowaliśmy dobrowolnie, że wystarczy wypełnić przed nami żłoby, abyśmy dla wszystkich, ze wszystkimi i na wszystko byli gotowi.

W chwili, kiedy do najcięższej, jaka być może służby, gotują się najpotężniejsze, najbogatsze i najszcześniejsze narody, zgłosić się musi do niej także i naród polski, nie jako bezwolna i bez-duszna gromada helotów do trzech różnych rydwanów wojennych wprzęgnięta, ale jako indywidualność historyczna, jako żywa je-dność, która wie, czego chce.

Kiedy wali się świat, kiedy rozpętuje się burza, jakiej oczy ludzkie dotąd nie oglądały, próżno byłoby mówić o obowiązku ponoszenia odpowiedzialności. Kto go nie rozumiał i nie speł-niał za dobrych czasów pokoju, ten teraz dotkliwiej odczuje go teraz czasu wojny. Odpowiedzialność olbrzymia za całą przyszłość dwudziestu milionów naszego narodu spoczęła dzisiaj na każdym z nas i na wszystkich razem całym swem, wadze wszelkiej urą-gającym brzemieniem. Musimy ją dźwignąć.

Z radością też, równą chyba doniosłości przeżywanej dziś chwili, każdy Polak widzi, a jeszcze lepiej odczuwa, że we wszystkich nas dokonuje się jakiś głęboki przewrót. Z najgłęb-

szych otchłani duszy, do których nie dociera już żaden promień świadomości, w których właśnie następujące pokolenia żywego narodu składają sobie wzajemnie, jak gdyby w wiecznym depozycie, te wszystkie swoje pragnienia i potrzeby, uczucia i skłonności myślowe, które w sumie swej stanowią duszę narodu, duszę rasy, z tych otchłani dusz naszych wybucha ku świadomości uczucie dawno zapomniane, uczucie Polaka z pod Kirchholmu, z pod Cecory, Chocimia i Wiednia, uczucie Polaka, który pół Europy zrosił swą krwią, który dzisiaj jest ciągle taki sam, jak wówczas, gdy szumiąc skrzydłami husarskimi, leciał na janczarskie zastępy, lub gdy chłopską kosą w chłopskiej dłoni brał moskiewskie armaty.

Obudziło się to wielkie uczucie w narodzie naszym w tym kraju, zapłonęło wielkim ogniem poświęcenia i bezgranicznego zapału, które stanowią nasz własny, nasz wyłącznie polski wkład w tej wielkiej, krwawej grze, która się o przyszłość cywilizowanej ludzkości teraz rozpoczęła. Z tą stawką musimy sobie utworować drogę do stołu, na którym toczy się ta gra, aby naszemi kartami nie grali drudzy.

Ze spokojną powagą i z sumienną ścisłością lojalnych obywateli oddaliśmy obu zachodnim cesarzom, co jest ich cesarskiego. Ani jeden Polak, którego prawo powołało pod sztandary obu państw zachodnich, nie zaniedbał swojego obowiązku. Pozostała reszta naszych obywateli musi spełnić to, czego od nich nie państwowe, wprawdzie, ale głębiej jeszcze, bo w duszach naszych wypisane nasze polskie prawo wymaga. I obowiązek ten już się spełnia. Tysiączne zastępy naszej młodzieży stanęły do apelu. Młodzież, która w innych, szczęśliwszych narodach cieszy się jeszcze beztróską wieku dziecinnego, pospieszyła u nas pod sztandary, aby na polu walki niebywałej, aby w tłoku trzech armij, jakich świat nie widział, odszukać źródła nowego życia polskiego. Ci młodzieńcy szlachetni jak mężowie ofiarni, i ci mężowie ofiarni, jak młodzieńcy zapalni, stanęli we wspólnych szeregach, pozrywawszy związki rodzinne, pokrwawiwszy serca matek, ojców i żon, aby uzdrowić serce naszej wspólnej matki — Polski.

Radosną dumą napełnia nas widok tych ku nieznanemu ciągnących hułców, ale i troską głuchą, co z nimi będzie, czy wrócą i z czym wrócą. Lecz troska tu nie wystarczy. Tu potrzeba największego, na jaki nas stać, wysiłku rozumu i woli, ofiary i pracy, aby ten ożywczy strumień najwznieślijszego, jaki duszę ludzką ożywić może, idealizmu, który z narodu naszego buchnął, przyniósł największy pożytek, aby w jak największej części wcielił się w naszą najbliższą już przyszłość.

Nadszedł dzisiaj czas, kiedy ani jeden Polak, ani jedna Polka nie mogą i nie śmiać stać z założonemi rękami. Wszyscy ze wszystkich klas i zawodów powinni związać się dzisiaj jednym celem niesienia pomocy tym szlachetnym i ofiarnym, którzy poszli, idą i pójdą, aby na nowo zapisywanej tablicy dziejów ludzkich imię żywej Polski krwią swoją wypisać. Męski duch spokojnej stanowczości i niezłomnej energii musi dzisiaj owiać cały nasz ogół, który ująć potrzeba w jedną organizację ducha i woli, aby biernością gnuśną nie udaremniał najszczytniejszych wysiłków swoich najlepszych. W tej też chwili naród nasz ma prawo oczekiwać od przewodców swoich, aby dowiedli, że nie tylko w szarym dniu codziennego, ale także w przełomowych momentach naszego życia mogą i umieją działać. Niechaj wszystko, co w narodzie naszym w czemkolwiek przewodzi, zbierze się, ujmie ster w ręce i pokieruje nim tak, abyśmy tego szczęśliwego wichru dziejowego, który zaczął dziś dąć, jak najwięcej w nasze polskie żagle złapali...

S Ł O W A I F A K T A

11 sierpnia 1914.

Ogłoszona onegdaj proklamacja naczelnej komendy wojsk austriacko-węgierskich do narodu polskiego jest niewątpliwie dokumentem wielkiej historycznej wagi, ale nie powinna być uważana za jakąś enuncyację o charakterze prawno-politycznym. Jest starym i rzeczowymi względami dostatecznie uzasadnionym zwy-

czajem, że wodzowie wojsk, wkraczających na terytorium nieprzyjacielskie, wydają do miejscowej ludności odezwy, w których wyjaśniają powody swego wkroczenia i wzywając ludność do zachowania spokoju lub niesienia wojskom pomocy, zapewniają ją o swojej życzliwości i dobrych wobec niej zamiarach. Proklamacje takie są więc aktami natury czysto wojskowej. I aczkolwiek znaczenie ich, zależnie od warunków miejsca i czasu, może być nieraz bardzo wielkie, to jednak nie należy ich rozpatrywać i oceniać z tego punktu widzenia, jak gdyby oznaczały jakieś definitywy prawnopubliczne o wiążącej mocy międzynarodowej.

Na ten elementarny fakt należy zwrócić uwagę, ponieważ w tych czasach tak zrozumiałego u nas naprężenia i zdenerwowania, szeroki ogół skłonny jest do faktów i zjawisk drugorzędnych przywiązywać pierwszorzędne znaczenie. I tak n. p. po zajęciu przez oddział pruski Częstochowy ogłoszono w naszych pismach, że dowodzący tym oddziałem — porucznik niemiecki ogłosił przyłączenie Częstochowy „na wieczne czasy“ do państwa niemieckiego... Wyobrażono sobie, że podobnie, jak niegdyś na nieznanych wybrzeżach Ameryki lub dzisiaj jeszcze, pod biegunami, wystarczy zatknąć chorągiew jakiegoś państwa na jakiejś ziemi, aby ona już przez to samo stała się jego własnością.

Nie należy zapominać o tem, że teraz rozpoczęła się wojna i że wszystko, co obecnie jakiegokolwiek władze wojskowe podejmują, ma znaczenie nie polityczne, lecz tylko wojenne. W celach taktycznych będą zajmowane przez rozmaite wojska rozmaite miejscowości i okolice, a nawet całe kraje, ale to jeszcze wcale nie znaczy, że przez fakt tego zajęcia polityczny los dotyczących terytoriów został przesądzony.

Wracając do onegdajszej proklamacji wojskowej do ludności Królestwa, należy podnieść, że ma ona na celu uspokojenie jej i obudzenie w niej życzliwości dla wojsk wkraczających. Ze względu na ten cel, proklamacja zawiera pewne stwierdzenia, przypomnienia i obietnice. Najważniejszym, co naczelna komenda wojsk austro-węgierskich stwierdza, jest wyraźne oświadczenie, że wojska te, przekraczając granice, niosą także i Polakom uwol-

nienie z pod jarzma moskiewskiego. „Hiemit bringen wir auch den Polen die Befreiung vom moskovitischen Joch.“

Dalszem doniosłem stwierdzeniem jest oświadczenie, że naczelna komenda uważa za ważne zadanie, „die uns in diesem Feldzug erwächst“, usunięcie przeszkód w użytkowaniu zdobyczy kultury zachodniej i otwarcie przed narodem naszym wszystkich skarbów duchowego i gospodarczego rozwoju.

Nie jest bez znaczenia także ze strony austriackiej oficjalne w tym momencie stwierdzenie zasług Jana Sobieskiego, „der einst den bedrohten Staaten der Habsburger tatkräftige Hilfe brachte“.

Razić musi polskie serce, pomne wywłaszczeń, rugów i wszelkich innych prześladowań, krótkie zdanie, zawarte w proklamacyi, w którym autorowie jej wskazują na „hervorragende kulturelle Entwicklung“, jaką miliony Polaków osiągnęły od lat stu pięćdziesięciu nie tylko w Austrii, ale także i — w Prusiech. Należy otwarcie powiedzieć, że elementarny takt i praktyczne liczenie się z usposobieniem ludności właśnie Królestwa Polskiego, gdzie od lat szeregu, wskutek prześladowań pruskich w Poznańskim, animozya do Niemiec bardzo znacznie wzrosła, powinny były doradzić autorom proklamacyi usunięcie tego zdania. Z drugiej strony jednakowoż potrzeba także liczyć się z tymi specjalnymi austriackimi, a nie tylko naszymi polskimi punktami widzenia, które w proklamacyi musiano uwzględnić. Wszakżeż armia niemiecka jest sprzymierzoną z austriacką. Obie działają wspólnie. Komenda więc austriacka nie mogła w swej proklamacyi pominąć tego faktu. Skoro zaś o nim wspomniała, nie chciała także czynić dystynkcji żadnych, ani wskazywać na zasadnicze różnice losu, który przypadł w udziale Polakom w Austrii, a Polakom w Niemczech. Wszelka ścisłość w tym kierunku, chociażby najbardziej faktyczna, byłaby w Berlinie wytlómaczoną jako chęć Austrii do kaptowania sobie Polaków wyłącznie dla siebie, a na szkodę interesów niemieckich. Takich zaś podejrzeń komenda austriacka chciała z łatwo zrozumiałych powodów starannie uniknąć.

Tak więc, jakkolwiek niema żadnego powodu do nadzwyy-

czajnej radości z tej proklamacyi, niema go też do rozczarowania i zniechęcania się. Zawsze bowiem musimy pamiętać o tem, że o trwałej zmianie naszego położenia decydować będą nie dyktowane zmiennymi potrzebami chwili enuncyacye tych lub owych organów, ale wytworzony przez toczącą się wojnę nowy układ stosunków sił.

W tej chwili wiemy na pewno tylko jedno, mianowicie, że dotychczasowy układ stosunków i sił, w którym czuliśmy się tak źle i niemal beznadziejnie, bezpowrotnie runął i że jego miejsce zajmie niebawem jakiś inny, który się dopiero na dziesiątkach pobojowisk z powodzi krwi wyłoni.

Jako naczelne wskazanie polityce niemieckiej pozostawił Bismarck ostrzeżenie, aby nigdy nie dopuszczała do wytworzenia się między Berlinem a Petersburgiem takiej przepaści, przez którą nie możnaby przerzucić mostu. („Nie unüberbrückbare Abgründe entstehen zu lassen.“) Otóż widzimy, że ten dogmat polityki bismarkowskiej, oparty przedewszystkiem na chęci utrzymania naszego narodu w stanie całkowitego ujarzmienia, runął tak dalece, że obecnie nie tylko przepaść ogromna ziele między Berlinem a Petersburgiem, ale także Berlin ujawnił w sposób bardzo drastyczny swoją niechęć do jakiegokolwiek zasklepienia tej przepaści, nawet po wojnie.

To, co stanowić musi klucz każdej naszej nowej i zmienionej pozycji politycznej — rozdarcie między Hohenzollernami a Romanowymi — to nastąpiło. Wspólność ich interesów w solidarnem gnębieniu naszego narodu okazała się słabszą, niż potężny antagonizm obu tych państw i ich dynastyj, z potężniejszych, niż nienawiść do polskości źródeł ich życia płynący. Antagonizm ten stanie się odtąd na długie dziesięciolecia wytyczną ich wzajemnej polityki. A fakt ten musi mieć dla naszej przyszłości olbrzymie, wręcz epokowe znaczenie.

Dlatego, czemkolwiek skończy się ta straszna wojna, nasze położenie narodowe w każdym razie ulegnie głębokiej zmianie, która okaże się tem korzystniejszą, im bardziej energicznym czynnikiem w kształtowaniu swych przyszłych losów, okazemy się my sami.

N A J W A Ź N I E J S Z E Z A D A N I E

12 sierpnia 1914.

Jeżeli nie wszystkim rozum, to jednak każdemu instynkt mówi, że nastał dla Polski czas wielkich możliwości. Szlachetną troską o jak najlepsze dla sprawy narodowej zużytkowanie tych możliwości drży dzisiaj całe nasze społeczeństwo bez różnicy klas i zawodów. Każdy czuje, że potrzeba coś robić. Każdy odczuwa bierność przymusową, jako nieznośne i upokarzające brzemię, które jak najrychlej potrzeba zrzucić. Czas podniecenia powszechnego i zgiełku dobrych i najlepszych chęci. Obok nieoceny wartości, które przedstawia zapał powszechny i wzrastająca z godziny na godzinę ofiarność, czas taki kryje w sobie także i niebezpieczeństwa poważne. W podnieceniu tem zaniknąć może snadno jasna myśl, dojrzały plan działania i zdolność liczenia się z rzeczywistością, wtedy właśnie najpotrzebniejsza i najtrudniejsza zarazem, kiedy samo życie uskrzydla fantazję, pozwalając jej bezkarnie szybować w bezgranicznym przestworzu marzeń.

Tymczasem jeżeli kiedy, to dzisiaj, gdy szaleje burza i wałęsa się w gruzy fundamenty dotychczasowego świata, niezmacona trzeźwość, najściślejsza analiza rzeczywistości i jej najstaranniejsza ocena stanowią zasadniczy warunek skuteczności wszelkich w dobie takiej podejmowanych poczynąń. Dzisiaj więcej, niż kiedyindziej, musi wkorzeni się w społeczeństwie naszym przeświadczenie, że samym zapałem, chociażby najszlachetniejszym, i samą ofiarnością, chociażby bezgraniczną, nie zrobi się jeszcze nic, że nad tą wyrzuconą nagle z głębin duszy polskiej lawiną uczuć szlachetnych, wiać musi chłodny wiatr zimnej myśli, wazającej wszystkie części danej rzeczywistości i szukającej z trudnym sposobu najkorzystniejszego dla narodu zużytkowania tego ognia, który zeń bucha.

Wojna jest strasznym uproszczeniem zagadnień życia. Czasu wojny morze ma często to do siebie, że zaczyna wydawać się, jak gdyby sięgało — po kolana... Ludzie widząc, że wszystko

właściwie zredukowało się do tego, kto zwycięży, przestają widzieć całą olbrzymią resztę zagadnień, która nie mieści się bynajmniej w tym dylemacie. Wszystko, co wczoraj jeszcze wydawało się im niemożliwym, dzisiaj widzą tak łatwym i prostym, że aż nie wartym trudu. Typowe złudzenia psychologii mas w czasach wojen i wogóle wielkich wstrząśnień, złudzenia dla narodów, jak nasz, państwowych, częstokroć wręcz — mordercze.

Narody państwowe mają rządy, które, nie żałując w takich momentach narkotyków dla mas, same tem pilniej stoją na straży swojej trzeźwości. Niechaj wtedy masom zdaje się, że morze istotnie po kolana, bo inaczejby w nie wogóle nie poszły. Rządy znają dokładnie głębokości tego morza i umiejętnie kierują masami. My, którzy nie mając państwa, nie mamy także właściwego ośrodka jasnej myśli państwowej, musimy sami wytworzyć w sobie taki organ zimnej i jasnej myśli narodowej, organ silnej, ale tem spokojniejszej woli, nastawionej z największą możliwą potęgą na osiągnięcie tego, co w danym momencie chłodny rozum jako możliwe wskazuje, a unikającej starannie tego, co w świetle tego rozumu mrzonką jest tylko i złudzeniem.

Bo zaprawdę nikt nie jest tak bogatym, aby dla celów nieosiągalnych mógł roztrwaniać największe dobro, jakim narody rozporządzają — ich zapał i ofiarność krwi i mienia. Z każdego punktu otwiera się przed oczyma człowieka tysiąc dróg, z których tylko jedna jest najlepsza. W życiu zaś narodów, w momentach takich jak dzisiejszy, wszystko, co nie jest najlepszym, jest — najgorszym. Omyłek ryzykować w takim czasie nie wolno. Bo omyłki takie nieznajdą poprawek. Pamiętajmy, że działać mamy w tej chwili nie tylko dla siebie i za siebie, ale dla całej przyszłości, dla długiego szeregu przyszłych pokoleń. Jest to tak, jak gdybyśmy mierzyli z jakiegoś ogromnego działła, bijącego na straszliwy dystans. Omyłka o pół centymetra w elewacji może efekt strzału uczynić chybionym lub zgoła fatalnym...

Dlatego obok pospiesznego mobilizowania wszystkich moralnych i materyalnych sił narodu, potrzeba równocześnie zmobilizować całą jego inteligencję i rozum polityczny. Niechaj naród

nasz nie będzie w tej chwili jakimś kadłubem strasznym, który po urwaniu głowy działa jeszcze tylko ślepyimi odruchami, ale niechaj będzie całością żywą, w której w każdym momencie dojrzała myśl zgadza się z energicznym, pełnym poświęcenia czynem.

Potrzeba stworzyć organ stałej myśli i świadomej woli narodowej. Potrzeba organizację jego oprzeć na zasadzie legalnej, dającej się bronić i utrzymać. Bo nie sami jesteśmy na świecie i musimy stosować się do zasadniczych pojęć, któreimi rządzą się drudzy. Organizacja ta musi być więc nie tylko w formie swej legalną, jawną i przez jawność swoją odpowiedzialną. Ona musi także znaleźć posłuch, musi go umieć nakazać, musi osiąść tę pełnię władzy moralnej przynajmniej, jeżeli nie może mieć fizycznej, której potrzebuje niezbędnie do kierowania losami narodu i jego wysiłkami.

W danych warunkach jedynym terenem, na którym organizację taką kierowniczą można wytworzyć, jest nasza reprezentacja parlamentarna. Ona istnieje, posiada pełnię swych konstytucyjnych uprawnień i wszystkie wynikające z nich tytuły do niezbędnych rokowań i pertraktacyj z czynnikami władzy państwowej. Ona więc może i powinna stać się zrębem tej kierowniczej organizacji.

Zapewne ludność wybierała posłów w innych czasach i dla innych celów, inaczej oceniając ich kwalifikacje wówczas, przed trzema laty. Pod tym względem mogą więc być braki, które potrzeba uzupełnić w ten sposób, że prezydium Koła polskiego, jako emanacja naszej reprezentacji konstytucyjnej, dobrałoby sobie grono mężów najzasłużeńszych, którzy razem ujęliby ster w ręce. Wybór tych mężów powinien być dokonany na zasadzie względów jedynie rzeczowych, bez jakichkolwiek różnic klasowych, zawodowych i ideowych. W chwili bowiem, kiedy los narodu rzucony został na szalę, nie może być innej idei, jak tylko idea największego pożytku ojczyzny.

Takiemu ciału należałoby powierzyć kierownictwo naczelne wszystkich agend ze sprawą narodową w jakikolwiek sposób związanych. Nie ograniczając autonomii organizacyj lokalnych

i terytoryalnych, już istniejących i nowe nawet w miarę potrzeby i możliwości wytwarzając, miałyby ono na celu zogniskowanie tych wszystkich wysiłków, nadanie im jednolitego kierunku i zużytkowanie wedle planu, opartego na trzeźwej ocenie realnych danego momentu możliwości.

Takie jedynie zcentralizowanie naczelnego kierownictwa spraw narodowych umożliwiłoby konieczną ekonomię sił, zapobiegłoby ich rozpraszeniu, a przez to podwoiłoby je co najmniej. Bez takiego jawnego i legalnego ogniska myśli i obowiązującej wszystkich woli narodowej, grozi nam rozbieżność, zmarnowanie najsłabszych wysiłków i ofiar, zanarchizowanie narodu i osłabienie go wtedy właśnie, kiedy zdolność jasnego i silnego wyrażenia swej woli do swobodnego życia będzie mu najbardziej potrzebną.

N A S Z A S T A W K A

14 sierpnia 1914.

Ogrom problemów narodowego życia, które wojna rozpoczęta przed nami postawiła, wymaga nie tylko jednomyślności, ale także jasności w narodzie. Więcej, niż kiedykolwiek potrzeba dzisiaj przekonań jasnych, trzeźwych i pozytywnych. A jedną z głównych cech chwili tak przełomowej, jak obecna jest ta, że pozytywna myśl jest w nich i najpotrzebniejszą i najtrudniejszą zarazem. Najłatwiej ulegać nastrojom i płynąć z prądem wezbranego strumienia faktów i nie dających się ani przewidzieć, ani przemyśleć możliwości. Ogrom tłoczących się wypadków zachęca do odpowiadania mu ogromem marzeń, kombinacji i nadziei. Powstają w ten sposób całe olbrzymie bicze z — piasku, które bardzo łatwo mogą szkodzić, nigdy pomagać.

Pierwszym obowiązkiem zdrowego rozumu w takich jak dzisiejszy momentach jest — skromność. Nawet najmądrzejszy i najwięcej wiedzący musi sobie powiedzieć, że wie bardzo nie wiele, w każdym zaś razie nie tyle, aby wdrapawszy się na piedestał,

mógł krzyknąć narodowi tubalnym głosem — narodzie tędy!... Kto bowiem i co może wiedzieć w momencie, kiedy rozstrzygnięcie najzawilszych zagadnień oddano orężowi? Wszyscy obracają się wtedy w sferze przypuszczeń, których rodzicem jest oczywiście pragnienie. Każda możliwość ma szereg swoich własnych uzasadnień. Która z nich stanie się rzeczywistością, któż odgadnie? Jest to stan powszechnego ryzyka, które w życiu ludzkim nigdy nie przestaje istnieć, w czasie wojny dochodzi jednak do największego swojego napięcia. Bo wojna nie dlatego jest taka straszna, że giną w niej dziesiątki tysięcy ludzi i marnują się miliardy mienia ludzkiego, ale dlatego, że nigdy nie wiadomo, jaki te ofiary przyniosą pożytek. Jeżeli chodzi o straty w ludziach, to sama gruźlica porywa w Europie co roku więcej ofiar, niż najkrwawsza wojna. Ofiary w mieniu są także względne. Wojna bowiem wiele bierze, ale i wiele daje. To, co stanowi istotę wojny, co czyni ją najstraszniejszym, a zarazem najpiękniejszym objawem życia ludzkiego, — to tkwiące w niej ryzyko, którego nie usunie żaden najściślejszy nawet rachunek, najdalsze przewidywania. Narody w wojnie jak gdyby odrywały się od ziemi i wzniosłszy się ponad siebie samych, rzucały się w odmęt nieznanego. Wiktor Hugo, opisując bitwę pod Waterloo, powiada: „Inaczej byłaby wyglądała mapa Europy, gdyby dnia tego po południu nie był padał deszcz“... To jest najgłębsze określenie wojny. Mapa Europy, więc losy najpierwszych w niej narodów na długie dziesięciolecia, może stulecia, zależą od tego, czy deszcz nie rozmoczy dróg, czy artyleria zdąży na czas zająć swoje stanowiska itd.

I może się wydać paradoksem, jest jednak czystą prawdą, że do tego największego hazardu przygotowują się ludzie z największą ścisłością, z największym dla zbiorowej pracy umysłowej dostępnym nakładem przewidywania. Bez tego przewidywania bowiem i bez tej ścisłości w przygotowaniach nie byłoby hazardu, lecz tylko zwyczajna burda, jedna z tych starych wojen, które każdy naród prowadził sobie na kopy, nie bardzo martwiąc się ich ujemnym wynikiem. Przygotowania, przewidywania, słowem wszystkie te najróżnorodniejsze i niezliczone wysiłki, które

wypełniają w pokoju przygotowanie wojny, są dążeniem do zmniejszenia hazardu. W rzeczywistości jednak osiągają tylko przesunięcie jego momentu ze sfery prymitywnych i łatwych stosunkowo do przewidywania możliwości w sfery wyższe, do odtworzenia w myśli trudniejsze. Karol XII. przegrał bitwę pod Połtawą dlatego, ponieważ miał katar i lekką gorączkę. Napoleonowi w czasie wyprawy na Moskwę dokuczały chore nerki, co wedle świadectwa pamiętnikarzy odbierało genialną lotność jego umysłowi, paraliżowało energię jego lwiej woli. Na naradach wojskowych siedział chwilami tępy i apatyczny, marnując najlepsze sposobności. Hazard nowoczesnej wojny, która w głównych swych zarysach jest dziełem zawsze zbiorowego, długoletniego i systematycznego wysiłku, został już przesunięty w sfery wyższe. Dzisiaj trudno już przypuścić, aby niedyspozycja naczelnego wodza mogła tak decydująco zaważyć na wyniku całej kampanii. Hazard dzisiejszej wojny przesunął się już bardzo znacznie w sfery, że tak powiem, „nadludzkich“ możliwości. Zmniejszyła się przestrzeń ryzyka, ale równocześnie wzrosła ogromnie jego waga.

Jakiegokolwiek zajmiemy stanowisko w tej wojnie, zawsze ryzykujemy nasz byt narodowy i całą naszą przyszłość. W wojnie bowiem nawet nie ryzykując nic, ryzykuje się — wszystko... Nie tylko wdzięczność dla monarchii austriackiej za przyznane nam narodowe prawa, nie tylko elementarne poczucie godności ludzkiej, ale przede wszystkim głębokie przekonanie o wyższości Zachodu nad Wschodem sprawiły, że cały naród polski opowiedział się sympatją swoją i współdziałaniem za monarchią austriacką. Dla niej pragniemy zwycięstwa, na nią — jeśli wolno wyrazić się w ten sposób — stawiamy... A stawiamy bardzo wiele. Stawiamy wszystko. Nie można się też dziwić, że w narodzie, który ma poczucie ogromu tej stawki, znać zdenerwowanie i wzrastające z każdą chwilą wzruszenie, że kłębią się w nim myśli, obawy i nadzieje, że cały on drży od tej nawałnicy uczuć. Potrzeba więc przypominać i wyjaśniać naturę hazardu, potrzeba zrozumieć, że gdziekolwiek byśmy w tej chwili stali, zawsze czulibyśmy jego straszne brzemień na barkach, że wreszcie tam, gdzieśmy rzeczy-

wiecie stanęli, ryzyko to jednak jest najmniejsze, bo przecie trzymamy z kulturą przeciw barbarzyństwu, z kulturą, która nie jest tylko pewną sumą książek wydrukowanych i przeczytanych, ale przedewszystkiem największą organizacją siły ludzkiej, na jaką człowiek w zbiorowym swym wysiłku zdobył się dotąd.

Przekonanie, że sprawę naszą połączyliśmy z tem, co człowiek wytworzył najsilniejszego i najprzedziwniejszego — z olbrzymią sprawnością nowoczesnego państwa, powinno nam dać ten spokój, który daje nie brak ryzyka — to bowiem wcale nie znikło — ale fakt dokonania najlepszego wyboru. Musimy też i nadal postępować po linii najlepszego i najostrożniejszego wyboru między piętrzącemi się możliwościami. Tylko bowiem na tej linii postępowania wytrzymają nerwy nasze to niesłychane napięcie, w jakim je chwila obecna trzyma, tylko na tej linii dojść możemy do pewnych punktów stałych, które stanowić mogą oparcie dla myśli, szukającej drogi w ciemności.

O KIERUNEK MYŚLI POLSKIEJ

15 sierpnia 1914.

Stoimy po stronie monarchii austriacko-węgierskiej nie tylko jako lojalni tego państwa obywatele, ale także jako naród polski, który ze zwycięstwem oręża austriackiego łączy nadzieję odzyskania możności swobodnego rozwoju. To pierwszy punkt stały, od którego w dzisiejszych warunkach rozpoczynać się musi wszelkie polskie myślenie polityczne. To jest przesłanka pierwsza, z której jedynie można snuć pozytywne wnioski.

Drogą tych wniosków potrzeba postępować ostrożnie. Podążającej nią myśli grożą stale dwa wielkie niebezpieczeństwa; uprzedzanie wypadków i rozpatrywanie pragnień jako dokonanych faktów. Aczkolwiek wszystko, co w duszy polskiej jest dobrego i żywego, rwie się naprzód, jakkolwiek myśl niespokojna zabiega daleko w przyszłość, uderzając, jak ptak spłoszony o ścianę, o tajemniczą

zasłonę przyszłości, musimy wyteńczyć wszystkie siły dojrzałych i męskich rozumów, aby myśl nasza nie straciła realnego podłoża niewątpliwych i należycie rozumianych faktów, aby nie zbłąkała się w przestworzach fantazyi.

W tej chwili podłoże tych faktów realnych jest niezmiernie szczupłe. Odpowiedzi na najważniejsze pytanie bytu, które postawiły sobie najpotężniejsze narody świata, nie wyszły jeszcze z trybunału boga wojny, który sam jeden może je dzisiaj sformułować. Byłoby próżną stratą czasu chcieć podpatrzeć tę tajemniczą robotę jeszcze przed jej ukończeniem.

Pozostaje więc tylko przekonanie, że wygrywa konsekwencya, która jest siłą, że do celu dochodzi ten tylko, kto raz wybrałszy pewien kierunek, nie zbacza zeń, ale idzie naprzód. Stanęliśmy przy Austrii. Z losami jej związaliśmy swoje losy. Więc iść musimy z nią śmiało, bez wahań jakichkolwiek, wytrwale aż do końca. Wiemy, o ile o tem można coś „wiedzieć“, przedewszystkiem jednak niezłomnie wierzymy, że koniec ten będzie szczęśliwy, że stanie się on początkiem nowej ery w naszym rozwoju narodowym.

W obranym raz kierunku, precz przepędziwszy wątpliwości, potrzeba iść, potrzeba nieść ofiary i wszelki, na jaki nas stać największy wysiłek. Ciężki ten i ofiarny pochód będzie miał swoje etapy rozmaite, zależnie od rozwoju daleko poza sferą naszej możliwości leżących wypadków dziejowych. Będą przychodziły rozmaite momenty, wytwarzając rozmaite kombinacye i rozmaite pozorne możliwości. Tem wszystkim jednak nie wolno nam się łudzić. Nie możemy, nie powinniśmy ani na krok zboczyć z obranej drogi.

A celem ostatecznym tej drogi jest, aby jak największy obszar ziem polskich uwolniony został z pod jarzma moskiewskiego i aby jak największej tego obszaru dostało się pod panowanie austriackie. Co stanie się z tym obszarem naszej ojczyzny, ze szpon moskiewskich wydartym, jak się go urządzi i ukształtuje, to wszystko kwestye dalsze, któremi próżno byłoby zaprzętać się już dzisiaj.

Będzie czas o tem pomyśleć, kiedy na odwiecznej polskiej ziemi przestaną już uwijać się hordy kozackiej dziczy.

Na razie, zanim padły wielkie i krwawe rozstrzygnięcia, realna myśl polska nie może zabiegać dalej ani gubić się w jakichkolwiek szczegółach nieznanej nikomu przyszłości. Uczynimy wszystko, aby w tym raz obranym kierunku posunąć się jak najdalej, resztę zaś, niewątpliwie ogromną resztę, pozostawmy biegowi rzeczy, tak, jak to uczyniły w tej chwili trzy największe i przodujące ludzkości narody. Co ludzkie, niechaj uczynią ludzie, co boskie, niechaj zrobi sam Bóg.

S Z E S N A S T Y S I E R P N I A

18 sierpnia 1914.

Dzień 16 sierpnia 1914 r. jest wielkim dniem w naszej historii. Jeszcze za blisko niego jesteśmy, zbyt natarcywie myśli nasze szturmują przeszłość tak niedaleką, a w takie ogromności brzemioną, aby można było, spokojnie znaczenie dnia tego rozważywszy, wyznaczyć mu miejsce między ważnemi czy najważniejszymi nawet datami naszego kalendarza historycznego. Serce polskie mówi nam tylko wyraźnie, że w dniu tym stała się rzecz wielka, rzecz, która przejdzie do potomności. Stało się oto bowiem po raz pierwszy, że Polacy tego kraju połączyli się i zgodnie, z silnem postanowieniem ofiary i wysiłku stanęli do ciężkiej pracy dla Polski. Wszyscy, dosłownie wszyscy, znaleźli się obok siebie ramię przy ramieniu. Zamanifestowane tak wspaniale uczucie narodowej jedności, które mogłoby chlębę przynieść każdemu narodowi, dla nas, Polaków, musi mieć szczególniejsze znaczenie. Upadliśmy niezgodą. Więc skoro okazuje się tak dowodnie, że już dorośliśmy do zgody, to zapowiedź to najradośniejsza, że i upadkowi naszemu koniec już bliski, że jutruzenka wyzwolenia i odrodzenia świta nam przedewszystkiem — we własnych duszach. Pogodzili się wszyscy. To słowo „wszyscy“ powinno

brzmieć jak precudny akord w uchu każdego Polaka, który zawsze tak tęsknił do jedności i tak się chętnie w kłótniach i zwadach na piasek lotny rozbijał...

W niedzielę, 16 sierpnia, w sali, w której Rada miejska stolicy Piastów i Jagiellonów radzi nad jej dobrem, przestały istnieć partie i partyjki. Zamilkła ich hałaśliwa zwada, prysła zawiść, zaciętość i nieufność wzajemna. Pozostał jeno duch zgody, pozostała jedna myśl wielka i jedna chęć gorąca i szczerą służenia sprawie ojczystej, sprawie polskiej życiem, mieniem i największym, na jaki nas stać, wysiłkiem.

Przemiana wielka, świetna i w skutkach z pewnością błogosławiona. Radosna wieść o niej w nocy jeszcze obleciała ulice miasta, budząc zapał nieopisany i wdzięczność dla tych, którzy, kierując losami narodu, zwrócili ster nawy narodowej tam, dokąd rwały się wszystkie serca i wszystkie myśli: do zgodnego, męskiego postanowienia. Mimo trudności w komunikacji wieść ta szybko rozejdzie się w narodzie polskim. Gorące słowa manifestu Koła polskiego i męskie postanowienia Koła sejmowego spadną jak balsam na stargane niepewnością dusze polskie, jasnym snopem światła rozświetlą umysł polskim jedyną właściwą drogę, którą Polak w tej chwili wielkiej postępować powinien. Aczkolwiek zbrojne kordony, dzisiaj w czasie wojny bardziej, niż kiedy indziej zwarte i niedostępne, dzielą jeszcze szeroką ziemię polską, to jednak wieść o wielkiem postanowieniu dotrze z pewnością wszędzie, przedrze się przez każdy kordon, otrzeźwiając czadem niewoli zamglone mózgi, krzepiąc serca, zwątpieniem i beznadziejnością osłabłe. Oby jak najrychlej wieść o tej nocy sierpniowej na krakowskim ratuszu dotarła do Warszawy, do tego biednego a dobrego serca Polski, oby przynagliła myśl Poznania, oby zaświtała Wilnu dawno pogrzebioną nadzieją, oby rozrzuconym po rubieżach wschodnich sadybom polskim przypomniała, że na tym skrawku ziemi, na której duszy polskiej nie paczono i nie gnębiono, zrywa się ona do lotu, że Polacy tej ziemi chwytają za broń, aby łączyć miłość Ojczyzny swojej z wierną służbą dla

swego wielkodusznego monarchy, walczyć o lepszą dolę Polski, całej Polski.

A jakąż radością napełnić musiała wczoraj ta wieść oddziały naszych Strzelców, którzy już walczą, już zabiegliwie a mężnie ziemię naszą z najazdu moskiewskiego oczyszczają. Nie czekali oni na postanowienia starszyny w narodzie, lecz zaufawszy sercu polskiemu i myśli polskiej, poszli sami, po cichu, tajemniczo, w cieniach nocy, jak gdyby wykradali się na pole chwały i najświętszego obowiązku. I wczoraj przekonali się, że nie zawiedli się w swej ufności, w swej wierze. Dzisiaj nie są już oni garstką młodzieży szlachetnej wprawdzie ale „niedowarzonej“, dzisiaj nie towarzyszy im już współczucie tylko lub nawet lekceważenie, dzisiaj już nie niektórzy tylko spoglądają na nich z podziwem i miłością, ale wszyscy, wszyscy jak jeden widzą w nich żołnierzy polskich, pierwszy związek pierwszego Legionu polskiego, związek już dzisiaj męstwem i ofiarnością potężny. Od wczoraj ci bojownicy nasi młodzi idą już na odwiecznego wroga w tem przeświadczeniu, że nie są już „ryzykantami“, wartogłowami, ale wysłannikami narodu całego,¹ jednolitego i od szczytów aż do najszerszych nizin tą samą co oni myślą przejętego. To przeświadczenie z pewnością podwoi i potroi ich siły.

Otwarcie i jawnie, przed całym światem, nazwiskami pierwszych w narodzie stwierdzając, ogłosiło Koło sejmowe swoje postanowienia. Nie spiszek, nie tajemnicza jakaś organizacya, ale jawny, dla każdego dostępny, każdemu znany Naczelny Komitet Narodowy ujmuje ster spraw narodowych, aby jawnością swoją i jasnością poczynań swoich zaświadczyć jasność celów swoich. Żadnych niedomówień, żadnych niejasności w postanowieniach Koła sejmowego niema. Wszystko powiedziano jasno i stanowczo, jak przystało tym, którzy w cywilizowanym państwie w poczuciu najgłębszej słuszności swojej sprawy działają. Ocenia też to z pewnością narody tego państwa, oceni Europa, która może teraz przekonać się dowodnie, że Polacy nie byli i nie są żywiołem antypaństwowym, lecz że sercem a nie knutem rządzeni, umieją

zawsze pogodzić najgłębsze i najświętsze swoje dążenia z interesami państwa, z którym los ich związał.

Drugi z rzędu naród słowiański pod względem liczby, pierwszy zaś pod względem swoich zasług dziejowych, tam gdzie tylko fizycznie może, staje jak jeden mąż, aby wypowiedzieć wojnę Rosyi, wojnę jej kłamanemu słowiaństwu, wojnę obłudnej, okrutnej, dzikiej i głupiej ciemńczynie narodów. Niedzielne uchwały Koła sejmowego to ciężki cios, wymierzony w cały ten kręty i krętacki labirynt „ideałów“ słowiańskich, które wysmarzyły moskiewsko-żandarmskie mózgi dla ogłupienia, dla zahipnotyzowania upatrzonych dla swej nienasyconej zaborczości ofiar. Jedna z nich, tam za Sawą i Dunajem, krwawi się, skazana na zasłużoną karę, na karę, która w życiu narodów przychodzi nie tylko za zbrodnie, lecz także za głupotę. Dla innych narodów słowiańskich to memento, którego na szczęście swoje i słowiańszczyzny są one dzisiaj skłonne słuchać pilniej, niż kiedykolwiek. Niepodobna bowiem, aby nie zrozumiały, co to znaczy i skąd to pochodzi, że naród polski po stu latach swego przymusowego współżycia z Rosyą, z entuzjazmem chwyta za broń nie za nią, lecz — przeciw niej... Tak więc i dla sprawy słowiańskiej dzień onegdajszy musi mieć wielką wagę, jako dzień otrzeźwienia narodów słowiańskich z moskiewskiego haszyszu, jako dzień ruiny słowianofilstwa moskiewskiego. Jeszcze zanim hordy moskiewskie doczekały się swego losu na polach bitew, jeszcze zanim rozprószyły się przed armiami Zachodu, napróżno batem, knutem i armatami w patryotyzmie swoim i męstwie od tyłów podtrzymywane, już runęła idealna twierdza rosyjska, już leży w gruzach ta wieża kłamstwa i obłudy, którą była słowiańska ideologia moskiewskiej zaborczości. A cios stanowczy w tę wieżę trupa zadaliśmy onegdaj my, Polacy, manifestując przed całym światem, że sprawa rosyjska nie jest sprawą słowiańską.

K R A K O W S K I M I L I O N

19 sierpnia 1914.

Rada miasta Krakowa uchwaliła wczoraj jednogłośnie ofiarować na Skarb Wojenny kwotę jednego miliona koron. Stolica Jagiellonów, Ateny polskie, stanęły żwawo i ochoczo na czele miast polskich, składając narodowi ofiarę imponującą. Aby nie rządzić się samym tylko sentymentem i nie tracić z oczu surowej rzeczywistości, uchwalono równocześnie nałożyć na mieszkańców miasta nadzwyczajny podatek, który z potrzebną w takich, jak dzisiejsze czasach wyrozumiałością ściągany, zapewni gospodarce miasta konieczną równowagę i mimo ogromnego stosunkowo wydatku utrzyma ją na gruncie ścisłego rachunku.

Czyn ten śmiały, męski i ofiarny powinien służyć za wzór wszystkim naszym miastom. Pokazano w nim bowiem, jak można i potrzeba łączyć ofiarność wielką z rozwagą i zabiegliwością rozumnego gospodarstwa. Zapewne podwyższone podatki miejskie spadną na barki ludności jako nowy ciężar w czasach wojny dotkliwszy, niż kiedykolwiek indziej. Społeczeństwo nasze musi sobie jednak powiedzieć, że kiedy dom płonie, nie żałuje się szyb w oknach.

Znaczenie momentu, w którym żyjemy, zostało wyjaśnione tak, że byłoby już obrazą nawet dla najuboższych duchem przypominać im i tłumaczyć, co to mianowicie się dzieje i jakie to przed naszym narodem stanęły zadania. To już dzisiaj wszyscy od małych dzieci wiedzieć i rozumieć powinni jasno. Dzisiaj też już nie przekonań, ale czynów potrzeba. Do szeregów Legionów polskich śpieszą dzisiaj wszyscy, którzy mogą wytrzymać trudy wojny. Ojcowie wraz z synami stają w szeregach, wiedząc, że dzisiaj miejsce każdego zdrowego Polaka, o ile dla sprawy narodowej nie jest niezbędnie potrzebnym gdzie indziej, znajduje się tam na Północy, naprzeciw odwiecznego wroga naszego.

Ale próżnym byłby najbardziej nawet bohaterski wysiłek tych nieustraszonych żołnierzy naszych, którzy już dzisiaj budzą po-

dziw starych mistrzów sztuki wojennej, gdyby nie stał za nimi naród żywy, naród-organizm, sprawny jak precyzyjny zegarek, prężny jak najsilniej na potężnym łuku naciągnięta cięciwa. Naród musi się w sobie zewrzeć, musi skupić wszystkie siły, aby obrozę moskiewską z szyi swej zerwać. Dlatego potrzeba dzisiaj w Polsce już nie pospolitego, ale najpospolitszego i najpowszechniejszego ruszenia wszystkich zasobów materialnych i moralnych, które leżą w narodzie.

Wojna nowoczesna jest największem przedsięwzięciem społecznem dwoistej natury — militarnej i gospodarczej. Jeżeli militarne zagadnienie wojny rozwiązuje siła moralna walczących i umiejętność ich kierownictwa, to zagadnienie gospodarcze wojny jest bez porównania bardziej złożone i do rozwiązania trudniejsze dla najpotężniejszych nawet rządów, które do dyspozycji swojej mają wszystko, co dać może potęga nowożytnego państwa. My w koniecznem swem a wielkiem poczynaniu zdani jesteśmy wyłącznie na siebie samych. Posługiwać się możemy tylko przymusem wewnętrznym, istniejącym i budzonym w duszach jednostek. Przymus ten musimy sami na sobie wzajemnie wykonywać, zachęcając się wzajemnie do ofiar, do wyrzeczeń, do wyzbycia się kosztownych nałogów i przyzwyczajęń, do oddania sprawie polskiej wszystkiego, czego do najskromniejszego życia niezbędnie nie potrzebujemy, pomnąc, że nawet wszystko oddawszy, nie dorównamy jeszcze tym, którzy ponieśli dla Polski na pole walki samych siebie, swoje życie, swoje najdroższe uczucia, wszystko, czem człowiek porządny i rozumny trzyma się tej ziemi.

Musi w Polsce zapanować jedna myśl i jedno pragnienie — Polski Skarb Wojenny powinien być pełny. Żołnierz polski powinien mieć chleb w tornistrze, opatrunek dobry na ranie, płaszcz ciepły na grzbiecie i buty trwałe na nogach. Wszystko inne w tej chwili jest drugorzędnem. Ta myśl musi przeniknąć mózgi i stać się niemal manią powszechną. Każdy, zanim sięgnie po szklankę czy kieliszek swojego codziennego trunku, niechaj zada sobie pytanie, czy przypadkiem nie dałby się ten napój zamienić w porcję mleka lub posilnej zupy dla zmarzniętego, śmiertelnie stru-

dzonemu żołnierza polskiego, który leży tam gdzieś w okopach strzelniczych, lub pędzi dniem i nocą, aby zetknąć się z wrogiem. Każda Polka, zanim kupi już nie suknię czy kapelusz, bo wydawanie pieniędzy na zbytkowną toaletę byłoby dzisiaj wręcz zbrodnią, ale byle drobnostkę, niechaj przypomni sobie, że tam w polu wśród gwizdu kul czysta koszula na ciele walczącego stanowić może dla niego rozkosz, że mogąc się przebrać i odświeżyć, dozna on uczucia jak gdyby odrodzenia, że siły jego podwoją się i że te siły znowu odda w całości Polsce.

Potrzeba, aby każdy uzmysłowił sobie należycie wartość pieniądza, aby zrozumiał, że każda w rękę trzymana korona jest akumulatorem energii społecznej, która może być użyta na milion sposobów, dzisiaj jednak powinna być używana tylko na jeden sposób — wyposażenia Skarbu Wojennego i wyekwipowania żołnierza polskiego.

Luksus, komfort, słowem wszystko to, co wytwarza i spotrzebowuje wyższa kultura ludzka, aczkolwiek stanowią potężną dźwignię życia gospodarczego, muszą na czas wojny ustać i zniknąć. Wszystkie bowiem energia narodowa i wszystkie środki materialne powinny jednym potężnym strumieniem skierować się w jedną stronę — wygranej, która jest wykładnikiem wyższości wysiłku jednej strony walczącej nad drugą.

Komu nie przemawia do przekonania najwznioślejszy nawet sentyment, do jakiego dusza ludzka jest zdolną, ten niechaj weźmie w rękę ołówek i liczy, a przekona się rychło, że wygrana wojna jest i była zawsze najlepszą lokatą wszelkiego kapitału. Uczą o tem dzieje wszystkich narodów, dowodzi tego rozum. Nic więc nie jest straconem, co doprowadziło do wygranej. Ale z drugiej strony nic też nie jest zbytecznem, co do tej wygranej prowadzić może. Wszystko jest tutaj potrzebnem. Wszystko też potrzeba ofiarować chętnie, a chyżo i bez namysłu.

Niema się co obawiać, że Legionom polskim zabraknie ludzi. Potrzeba jednak uczynić wszystko, aby tym Legionom nie zabrakło chleba i mięsa, butów i mundurów. Pamiętajmy, że ważąc się na to, na co ważyć się było niezbędnem, postawiliśmy jako

stawkę nie tylko życie tysięcy naszej młodzieży, nie tylko znaczną część naszego dobrobytu, ale przede wszystkim — honor narodu. Ten musi być utrzymany i zachowany wśród wszelkich okoliczności, a żeby wyglądał, jeżeliby miało okazać się, że pułki nasze wyruszyły w pole niezaopatrzone, głodne i opuszczone, nie jak bojownicy wielkiego narodu, ale jak sieroty jakieś przez Boga i ludzi opuszczone.

Miasto Kraków, obdarzając Skarb Wojenny milionem koron, dało właśnie wspaniały przykład prawidłowego pojmowania zadań każdego Polaka i każdej zbiorowości polskiej wobec zadań dzisiejszej chwili. Każdy, kto zna podstawy gospodarki naszego miasta i wie, jakie na niej ciążyą obowiązki, oceni należycie ogrom tej ofiary. A jednak stolica nasza poniosła ją z radością i dumą, ufna, że wskazuje miastom polskim i wszystkim Polakom jedyną drogę, którą w tej chwili powinny kroczyć.

Miejmy nadzieję, że się Rada miasta Krakowa w tej ufności swojej nie zawiedzie i że przykład jej znajdzie naśladowców wszędzie i prędko.

C O M Y Ś L I W A R S Z A W A ?

22 sierpnia 1914.

Galicja wre. Kraków ofiarował milion, Lwów półtora miliona. Za obiema stolicami spieszą wszystkie inne miasta galicyjskie, gminy wiejskie, wydziały powiatowe, kasy, banki i t. d. Ofiarność osobista jednostek zaczyna objawiać się w rozmiarach imponujących. Bogaci i biedni spieszą pospołu do kas narodowych, aby ojczyźnie złożyć podatek miłości i niezachwianej wiary w jej odrodzenie. Już dzisiaj spisy ofiar wykazują pozycje rozrzewniające. Tu służąca ofiarowuje wszystkie swoje ciężką pracą zdobyte oszczędności, tam szewc ubogi wydobywa ostatnią koronę na wojsko polskie i t. d. Długo tłumione wysiłkiem zbiorowego rozumu źródło entuzjazmu w narodzie, w chwili, kiedy rozum dał swoje przyzwolenie, zaczęło tryskać dawno już niewidzianą fon-

tanną. Jak gdyby ozon ożywczy rozlał się w atmosferze naszego kraju. Ludzie oddechają raźniej i głębiej. Cicha, spokojna radość przejmie dusze. To radość ofiary, wesele możności jej przyniesienia bez konfliktu z rozumem, bez sprzeczności z ponurą rzeczywistością.

Ale Galicya jest tylko drobną stosunkowo częścią wielkiej Polski. Niepodobna, aby ta nawałnica uczuć najwznioślejszych, która uderzyła w Galicyę, omijała całkowicie resztę Polski. Tam także gotują się mózgi, biją serca tętnem niebywałem. Czy jednak biją w jeden takt z naszymi? Czy z rozgorączkowanych głów lecą myśli na spotkanie z naszymi? Czy tam w Warszawie, w tej wielkiej, wspaniałej, nieszczęśliwej i dobrej Warszawie wiedzą, cośmy tu dla niej przedsięwzięli, czy rozumieją to, czy umieją bronić się przed jadem niewoli moskiewskiej, który dzisiaj osładzają Moskale miodem z rdzennie rosyjskich i słowiańskich barci.

Naczelnny wódz rosyjski, kuzyn krwawego cara pokoju, Mikołaj Mikołajewicz wydał do Polaków odezwę. Jest w niej cała popolita przewrotność duszy rosyjskiej, urobiona na zaprawie bizantyńskiej przez tatarskie baty. Potomek Mikołaja I i Aleksandra II, którzy zgnębiwszy ciało Polski, uwzięli się na jej duszę, którzy uwierzyli święcie, że przedajni i głupi ich czynownicy nauczą matki polskie moskiewskich kołysanek, ma odwagę dzisiaj pisać w hramocie swojej, że dusza polska żyje, ma czelność apelować do tej duszy. Potrzeba było istotnie przez dwieście lat z rządu buty chanów tatarskich całować, aby mózdz zdobyć się na tę — śmiałość. Jeszcze jest tam w radzie carskiej minister, który nie wahał się oświadczyć publicznie w Dumie, że „nie będzie sądownictwa rosyjskiego zaśmiecał Polakami!“ Jeszcze brzmią w naszych uszach mowy podpór tronu samodzierżawnego w Radzie państwa, któremi po raz drugi obalono nędzny samorząd miejski dla Królestwa Polskiego. A tu nagle słowiańsko-rosyjski apel do miecza — grunwaldzkiego...

Czy Warszawa, czytając tę nędzną elukubrację, pamiętała, że w czterysta blisko lat po mieczu grunwaldzkim wstający do no-

wego życia synowie Polski ostrzyli — kosa raławickie? Czy Warszawa widzi i rozumie uczucia Finlandyi, której wojska, posłuszne carskiemu wezwaniu, starannie tłumili powstanie nasze przed pięćdziesięciu laty, a która dzisiaj sama bez najmniejszego ze swej strony powodu padła ofiarą gwałtu, krzywdy i ucisku, urągającego wszystkim przysięgom carskim, wszystkim ukazom, manifestom i obietnicom?

Wiemy, że beznadziejność położenia zrodziła w wielu przednich umysłach warszawskich zgubną ideę „zmniejszenia kąta odchylenia“ od Rosyi i od caratu. Wiemy, że idea ta pleniła się szybko na podłożu interesów gospodarczych z jednej strony, a pewnem rozczarowaniu, które cierpliwość Austrii w polityce międzynarodowej wywoływała, z drugiej. Nie moglibyśmy się też dziwić, gdyby i teraz ten „kąć odchylenia“, na płaszczyźnie walki z wrogiem wewnętrznym wykreślony przed rokiem, okazał minimalną liczbę stopni. A Warszawa, której każde dziecko posiada świadomość głębokiej sprzeczności z Rosyą, Warszawa Pięciu Poległych, Warszawa, mająca plac Grzybowski i ratusz z „achraną“ i dziesiąty pawilon, a na jego stokach mauzoleum swojej szlachetności i swego męczeństwa i swojej nigdy i niczem ani z zewnątrz, ani z wewnątrz nie złamanej woli do swobodnego życia, ta Warszawa z pewnością żyje. I ona z pewnością wstanie w chwili sposobnej, aby powiedzieć księciu Mikołajowi Mikołajewiczowi, że dusza Polski, do której zaapelował, istotnie żywa wstaje właśnie ze stoków cytadeli warszawskiej, aby przez krwawe widma wymordowanych tam męczenników tego „przekazanego nam przez ojców marzenia“ poprowadzić ją nie na Zachód jednak, lecz na Wschód, drogą, którą wydeptali wygnańcy nasi i ich kozackie konwoje.

Nie ma wyobrażenia o Warszawie ten, kto sądzi, że w chwili odpowiedniej — a ta jest już bliską — nie odezwie się w niej zawsze żywa dusza polska, dusza zachodnia, dusza katolicka, i nie uderzy z naszą w jeden takt i w jeden harmonijny akord. W ciągu dwudziestu czterech godzin zniknie czarodziejska moc pełnych żłobów nad nieszczęśliwym narodem, rozwieją się opary trujących złudzeń, a drogi nam gród syreni zajaśnieje w takim

blasku entuzjazmu i ofiarności dla sprawy narodowej, w jakim on tylko jaśnieć może. Ale do tego potrzeba pierwszego faktu dokonanego, potrzeba pierwszej klęski wojsk rosyjskich. Zanim ona nie nastąpi, musimy czekać cierpliwie, wiedząc i rozumiejąc, że Polacy tamtejsi nie mogą okazać się głępszymi od Niemców bałtyckich, którzy w Dumie także wyrzekali się uroczyście wszelkich sympatyj z Rzeszą niemiecką, ale których nikt chyba nie posądzi, aby nagle przestali być — Niemcami. Rzeczywistość jest surową panią, którą zmódz można tylko drugą — rzeczywistością. Oby ona jak najrychlej nadeszła...

O D U S Z Ę K R Ó L E S T W A

25 sierpnia 1914.

Dobrze się stało, że oficjalny organ wiedeński „Fremdenblatt“ odpowiedział na manifest wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, poddając go zasłużonej krytyce i wykazując ogrom zawartej w nim przewrotności i fałszu. Potrzeba jednak liczyć się z faktem, że w zaborze rosyjskim niebawem ten dokument nie znalazł oceny tak jasnej i właściwej, jakiej dla zdrowia polskiej myśli politycznej należałoby pragnąć. Zręczne frazesy wielkosiąjącego manifestu znalazły w pewnych sferach społeczeństwa polskiego Królestwa przyjęcie przychylne, pokrywając się z temi dążeniami i zapatrywaniami politycznymi, które w tych sferach ośmioletni okres reakcyi i związanej z nią beznadziejności wytworzył.

Na jednym z posiedzeń trzeciej Dumy rosyjski minister sprawiedliwości, zwracając się do ław polskich, powiedział: „Nahajka jest rzeczą niegłupią, byleby nie w pijanych rękach!“ Otóż jak gdyby dla potwierdzenia prawdziwości tej maksymy, w społeczeństwie polkiem zaboru rosyjskiego wytwarzała się powoli orientacja rosyjska i słowianofiilska, która w miarę przedłużania się austriackiej polityki cierpliwości wypierała w szerokich warstwach mieszczaństwa i obywatelstwa polskiego panującą tam dotąd wszechwładnie orientację austriacką. Interesy poszczególnych

partyj politycznych i ich ambitnych przywódców zaczęły układać się także równolegle z tą nową tendencją, tak, że dzisiaj stoimy wobec smutnego faktu rozdziału narodu naszego na dwa obozy, może nie wrogie sobie, ale w każdym razie różniące się wcale zasadniczo od siebie pod względem samych podstaw politycznego myślenia.

Przyczyny niezgodnego z naszym sposobem myślenia pewnych warstw społeczeństwa w Królestwie są bardzo rozmaite. Obok gospodarczych i realno-życiowych, najważniejszą z nich jednak stanowi głęboka niechęć i nieufność do Prusaków i strach, że znaczna część Królestwa mogłaby się dostać pod ich panowanie, które w Warszawie uważają powszechnie za gorsze od rosyjskiego.

Przyczyny tej odmiennej orientacji Królestwa są natury przede wszystkim negatywnej. Należy to podnieść z naciskiem, aby należyście zjawisko całe ocenić. Orientacja słowiańska nie wynika ani z miłości do zagrożonego rzekomo świata słowiańskiego, ani tem mniej z miłości i sympatii dla Rosyi. Uczuciowy stosunek masy polskiej do Rosyi, ustalony w ciągu stulecia niewoli moskiewskiej, nie zmienił się z pewnością ani na jotę. Przyćmiła go tylko z jednej strony w ciągu lat celowo pielęgnowana nienawiść do Prusaków, tudzież system doktryn politycznych o przemianie polskiego frontu bojowego, „zmniejszaniu kąta odchylenia“ i tym podobnych wynalazków, którymi najwpływowwsze w Królestwie stronnictwo narodowo-demokratyczne starało się przysłonić i uzasadnić radykalną zmianę swoich na zadania polityki polskiej w Rosyi zapatrywać.

Zasadniczego stosunku uczuciowego masy polskiej w Królestwie do Rosyi nie potrzeba ani zmieniać, ani wskrzeszać. Nie przestał on bowiem istnieć. Potrzeba go tylko odstąpić niejako i uwolnić od tych dwóch krępujących go momentów. Potrzeba tedy znaleźć sposoby uspokojenia społeczeństwa naszego w Królestwie co do niebezpieczeństwa znacznego rozszerzenia zaboru pruskiego czy niemieckiego, z drugiej zaś strony potrzeba obmyśleć sposoby zapobieżenia takim katastrofom, jak kaliska. Dla przeciwstawienia zaś doktrynom politycznym, na orientacji ro-

syjskiej opartym, potrzeba stworzyć coś, coby do wyobraźni i uczuć szerokich mas przemówiło przynajmniej tak silnie, jak manifest Mikołaja Mikołajewicza. Sam chociażby najbardziej trafny komentarz tego manifestu w „Fremdenblacie“ tu nie wystarczy po pierwsze dlatego, że nie dotrze on gdzie należy, a gdyby nawet i dotarł, nie byłby rozumiany bez długich pouczeń i przekonywań, na które niema czasu, powtóre dlatego, że bądź co bądź artykuł nawet oficjalnej gazety to zawsze nieskończenie mniej, niż manifest najwplywowszego członka rodziny carskiej i naczelnego wodza całej armii.

Należy we właściwych sferach wiedeńskich różnicę tę należyście wyjaśnić i to tem rychlej, że niestety zrozumienia dla potrzeb duszy polskiej w zaborze rosyjskim okazano tam dotąd niewiele, w każdym zaś razie nie tyle, ile tego było potrzeba we własnym militarnym i politycznym interesie Austrii.

Potrzeba więc ze strony monarchii austro-węgierskiej jakiegoś uroczystszego odezwania się do naszych rodaków w zaborze rosyjskim, które w połączeniu z pierwszym, większem zwycięstwem wojsk austriackich, wyswobodzi z pewnością w każdym Polaku uczucia antyrosyjskie, kierując je w łóżysko naszej, wszystkim polskim stronnictwom w Galicyi wspólnej myśli politycznej w obecnej dobie.

D O B R Z E

27 sierpnia 1914.

Na schyłku czwartego tygodnia od chwili wielkich postanowień, które zapadły nad światem cywilizowanym, zaczyna się coraz wyraźniej zarysowywać linia drogi, na którą wchodzi historia. Widzimy już szereg wytycznych punktów tej drogi pod Metzem, na olbrzymich alzackich i belgijskich pobojuwiskach i tu na naszej polskiej ziemi pod Radomiem, Kraśnikiem i w kierunku ku Lublinowi. Wielki budowniczy świata trasuje w ten sposób nowe drogi dla ludzkości, dla myśli i dla wszechstronnego wysiłku ludzkiego.

Właściwie, to ta świeża krewią jeszcze dymiąca trasa niespodzianki nie może stanowić dla nikogo, kto nie wierzył liczmanom, kto rozumiał i starał się rozumieć język faktów, prostych, jasnych i niewątpliwych faktów. Tak być powinno. Zwycięstwa niemieckie nad Francuzami i austriackie nad Rosyanami są wynikiem prawa przyrody. Obie te potężne armie idą przed siebie w głąb siedzib wrażliwych, jak niezmożone siły przyrody, jak konieczność zimnej i nieubłaganej logiki. Czyż można sobie było wyobrazić, aby naród, który długo płomieniem twórczego geniuszu rozświetlając Europę, sam wreszcie, jak gdyby się wypalił, który dzisiaj wymiera sam dobrowolnie, własnych obawiając się dzieci, aby taki naród mógł zwyciężyć? Czyż można myśleć, aby na drugiej stronie Europy naród dziecko i schorzały starzec zarazem, naród chory, naród zmiażdżony niewolą, zmiażdżony psychicznie, moralnie i fizycznie, naród haniebnie rządzony, naród żyjący ideałami na kredyt, aby taki naród mógł zwyciężyć mocarstwo potężne ideą pokojowego współżycia swobodnych narodów, ideą przyszłości całej Europy?

Na długości studwudziesiętu kilometrów walczone pod Metzem z takim skutkiem, że sztab francuski sam musiał obwieścić światu, iż wyrzeka się ofensywy, mając nadzieję wytrzymania defensywy. Jest to jawne przyznanie się nie do jednej przegranej bitwy, ale do niemożności sprostania potężnemu przeciwnikowi.

Na długości ośmdziesięciu blisko kilometrów walczyła armia austriacka z rosyjską przez trzy dni i dzisiaj pędzi ją przed sobą na Lublin, a może już i poza Lublin. Moskale prędzej decydują się na odwrót, dlatego mniej dali jeńców i trofeów, niż opanowani swoją rasową „rabies gallica“ Francuzi. Moskale zaczęli już pod Kraśnikiem swoją taktykę cofania się „w porządku“, którą podziwiał świat przed dziesięć laty na polach mandżurskich... Wszystko przemawia za tem, że i teraz mądrość wodzów rosyjskich wysili się tylko na jedno, na wynalezienie momentu dość wczesnego — cofnięcia się... Typowa psychika nomadów, co to przyzwyczaili się do tego, że ziemi mają dość i jest którąś się — cofać. Ale to cofanie się na Zachodzie będzie miało inne

skutki, niż wówczas w dalekiej Mandżuryi. Rosya cofając się, wycofa się z pozycyi mocarstwa europejskiego, które niesłusznie zajęła wtedy, kiedy Europa, przebudowując się wewnątrznie, nie umiała zdać sobie sprawy z tej niesłychanej uzurpacyi.

Można Niemcom zarzucić wiele. Jednego atoli niepodobna im odmówić — siły w każdej postaci. Naród niemiecki znajduje się w tym najszcześniejszym okresie swoich dziejów, który można porównać z wiekiem dojrzałym mężczyzny. Pełnia sił fizycznych przy najwyższym rozwoju umysłowym. Harmonia duszy i ciała. Żaden z antagonistów Niemiec nie może się z nimi równać pod tym względem.

Co mówić wobec tego o Rosyi? Dzieje wojen rosyjskich pozbawione są typu europejskiego. Są to wszystko wysiłki hord niewolniczych, pędzonych batem, spętanych tym tępym fatalizmem bezwoli, który rodzi apatyę i obojętność, lecz nie czynną pogardę śmierci. Poza elementarny wysiłek fizyczny armia rosyjska nigdy nie wyszła. Wyżyny nowoczesnej strategii i twórczości wojennej były jej obce. Jeżeli zwyciężała, to tylko liczbą, ciężarem ciała, rzuconych na żer armatom. Ale nowoczesne armaty szybkostrzelne są nieskończenie żarłoczne. Żadna ilość mięsa ludzkiego nie jest dla nich za dużą. Rosya też traci wobec nich to wszystko, co stanowi jej siłę.

Miażdżąca przewaga obu państw środkowo-europejskich nad ich wrogami wschodnimi i zachodnimi, ujawnia się coraz wyraźniej. Otwiera to nowe perspektywy w dziejach ludzkich, w które i nam także potrzeba spojrzeć śmiało i mądrze.

P A N D M O W S K I

28 sierpnia 1914.

Jak ongiś bywali rycerze bez strachu i bojaźni, tak pan Dmowski jest politykiem bez — zastrzeżeń. Stanowi to zarazem i siłę jego i słabość. Siłę, bo taka „bezzastrzeżeniowość“ dodaje mu tupetu wobec szerokich mas, które lubią proste linie i mocne

frazesy. Słabość, bo polityka bez zastrzeżeń jest, krótko mówiąc — głupstwem...

Od lat ośmiu prowadzi pan Dmowski tę swoją politykę, wierny swej dumnej i silnej zasadzie „bez zastrzeżeń“ w tem jednak tylko, że istotnie bez zastrzeżeń dąży do utrzymania się na powierzchni życia publicznego. Jakkolwiek dawniej gorący anglo-man, nie mógł nigdy przyswoić sobie tej naczelnej zasady polityków angielskich, w myśl której zmieniają oni stanowiska, ale nie zmieniają zasad. Pan Dmowski postępował przeciwnie, w czem najbardziej upodobnił się do swych słowiańskich przyjaciół z północy. Miało to dla niego tę dobrą stronę, że jego biografia polityczna rozrosła się niepomrotnie. Gladstone, Disraeli, Bismarck, Cavour i wielu innych najznakomitszych dadzą ująć się każdy w pewną krótką i jasną formułę. Każdy z nich był tem i tem, zrobił to a to. Pan Dmowski nie jest taki prosty. W panu Dmowskim jest kilku panów Dmowskich. Kiedyś historyk przyszły, tak przynajmniej przenikliwy, jak niejaki pan Mirski z warszawskiej „dwugroszówki“, uporządkuje całą tę kolekcję panów Dmowskich. Dla historii nie tyle polityki, ile obyczajów pewnej warstwy społeczeństwa polskiego w Królestwie, w dobie niedawnej, będzie to przyczynek niewątpliwie cenny.

Ponieważ jednak toczy się największa z wojen i wypadki lecą jak błyskawice, nie możemy czekać, aż pan Mirski, zbadawszy dokumentnie, że powstanie styczniowe było dziełem żydów i masonów, a samorząd Galicyi i nasze prawa narodowe w tym kraju to — „fatałaszk“, jak przed dziesięciu dniami w swym organie dwugroszowym napisał, zabierze się do uporządkowania tej ciekawej kolekcji panów Dmowskich. Musimy sami zająć się ostatnim z nich, który mocarnem ramieniem front bojowy Polski ze Wschodu na Zachód przeniósłszy, zapisał się bez zastrzeżeń w — Słowiany...

Uczniowie tego mistrza, panowie Jaroński poseł z Kieleckiego, więc dzisiaj poseł do Dumy „in partibus infidelium“ niejako, i kolega jego pan Meysztowicz w Radzie państwa, złożyli w sprawie wojny jednobrzmiące niemal deklaracje wiernopoddańcze

i słowiańskie. Otrzymali rześiste brawa od Puriszkiewicza i Bobrińskiego, a Suworin w „Nowem Wremieni“ i Pichno w „Kijewlaninie“ popłakali się jak bobry. Co to dobra szkoła może!

Ale mistrz, widząc, że uczniowie gotowi go prześcignąć, sam co rychlej pospieszył w szranki i dał się — interviewować... A tak widać było mu spieszno, że nie wybierając wiele, skorzystał z ciekawości korespondenta „Birżewych Wiedomostiej“, organu pana Proppera, szanownego ongiś obywatela z naszego Stradomia, który nazywa się dzisiaj „Iwan Mojsiejewicz“ i dyskretnie dodaje — baron... Nie bacząc, że to organ żydowski, pan Dmowski skorzystał z jego gościnności, aby pobić rekord Jarońskiego i Meysztowicza.

Gazety są drukowane na nietrwałym papierze. W czasie wojny mogą zatracić się ich komplety wraz z rozszaniami w nich złotemi myślami. Dlatego, nie chcąc zubażać materyałów do historyi słowianofilstwa polskiego, powtórzymy tu te rewelacye ostatniego pana Dmowskiego za jego organem przybocznym „Gazetą za dwa grosze“. Otóż ten *sit venia verbo* — dziennik z dnia 15-go sierpnia b. r. pisze dosłownie:

„Birżewyja Wiedomosti“ wydrukowały obszerną rozmowę z b. prezesem Koła polskiego p. Romanem Dmowskim.

(Ustęp przez cenzurę skreślony.)

Lat temu dziesięć pan Dmowski, jeden z tych dawniejszych oczywiście, pragnął, aby Rosya była zdruzgotaną. Jeździł nawet do Japonii zawierać przymierze zaczepne z Ojamą, ale dotarł tylko do Kodamy, który mu ofiarował — szkatułkę z laki. Któż zaręczy, czy za rok lub dwa nie zjawi się jaki Dmowski w Wiedniu lub zgoła w Berlinie, aby ofiarować swój sojusz przeciw Rosyi lub Japonii... Potrzeba więc, aby się nie myłono i nie wzięto Dmowskiego słowiańskiego za świeżo odrodzonego austriackiego lub zgoła niemieckiego, aby wiedziano, że Dmowskich Romanów jest dużo, że najpierw był wszechpolski, potem japoń-

ski, potem paryski, potem autonomiczny, potem samorządowy, potem neosłowiański, teraz po prostu rosyjski. Nikt zaś nie może zaręczyć, że nie pojawi się jeszcze jakie pół tuzina Dmowskich. Potrzeba więc pilnować, aby nie pomieszali się z sobą.

I wszystko to byłoby pełne humoru zgoła rodzimego, gdyby nie to, że taki zaciekły bankrut polityczny maćci bezkarnie umyśli w chwili, kiedy powinny one być najjaśniejsze. Pan Dmowski zapomniał o tem, że zdrajcą jest ten, kto czołga się przed wrogiem, przeciw któremu cały zdolny do wyruszenia w pole naród rzeczywiście wyrusza — zdrajcą czasu wojny... Miejmy nadzieję, że we właściwym czasie będzie to panu Dmowskiemu przypominane.

NIEMCY WOBEC SPRAWY POLSKIEJ

29 sierpnia 1914.

Wojna wpływa na gruntowną zmianę zapatrywań niemieckich na sprawę polską. Prasa niemiecka, przedewszystkiem zaś berlińska, coraz częściej wraca do tej sprawy, okazując coraz lepsze jej zrozumienie. Z pod grubej warstwy kłamstw i niedorzeczności hakatystycznych, któremi kwestya polska została przykryta w umysłowości niemieckiej, zaczyna kiełkować rozumna myśl, zaczyna przebijać się na światło dzienne świadomość dwóch elementarnych faktów: po pierwsze, że Polacy, na których odwiecznej ziemi rozgrywa się jeden akt olbrzymiego dziejowego dramatu, muszą być w nim także osobą działającą; powtóre, że zdrowie przyszłej, przetwarzającej się teraz w pożodze wojny Europy, wymaga nie tylko wskrzeszenia, ale także i załatwienia kwestyi polskiej w sposób, zgodny z wymaganiami sprawiedliwości, przedewszystkiem zaś rzeczywistości realnej, którą naród polski, jako jedyny przedstawiciel i rzecznik kultury zachodniej na niżu wschodnio-europejskim stanowi.

Już dzisiaj pojawiają się w prasie niemieckiej najrozmaitsze projekty załatwienia sprawy polskiej. Jakkolwiek różne w szcze-

gółach, mają one wszystkie to ze sobą wspólnego, że opierają się jako na założeniu na konieczności odbudowania „jakiejś Polski“. Postać tej przyszłej Polski nie ustaliła się jeszcze w głowach niemieckich. Jedni chcieliby ją mieć dalej na wschód wysuniętą i zatrudnioną wielkiem zadaniem pozyskania dla kultury zachodniej całego pogranicza polsko-rosyjskiego od Libawy i Mitawy aż niemal po Czarne Morze. Drudzy nie zdążyli jeszcze zlokalizować tej przyszłej Polski, ograniczając się tylko do wykazywania konieczności, aby państwo niemieckie dopomogło do powstania Polski.

Przypomniano sobie słowa Bismarcka, wyrzeczone ongiś do Crispiego, że potrzeba tylko „trochę dopomódz“ Polakom, aby oderwali się od Rosyi. „Ausrotten“ tego samego Bismarcka ustąpiło dzisiaj miejsca tej jego myśli, którą publicystyka niemiecka rozwija obecnie na wszystkie sposoby.

Realizm polityczny z naszej strony nie pozwala nam wobec tej znamiennej zmiany zapatrywań niemieckich na dwie rzeczy: nie pozwala nam jej przeceniać, ale także i niedoceniać. Znamy wszyscy motywa tej zmiany i wiemy, że nie wynikły one z jakiegoś nagłego otrzeźwienia Niemców na punkcie sprawy polskiej, ale że źródłem ich jest nieodparta konieczność wojenna liczenia się z nastrojem ludności, teatr wojny zamieszkującej. Z tego punktu widzenia jest to u Niemców cnota z musu, która, jak wiadomo, ma bardzo niewielką wartość. Z drugiej strony jednak nie należy zapominać, że polityka i życie międzynarodowe operują z reguły tylko takimi „przymusowemi cnotami“, które w sferze zjawisk politycznych stanowią fakta, tak samo jak wszystkie inne wymagające zrozumienia należytego i pełnego uwzględnienia. Przyjaźnie i sympatye wzajemne narodów tem się właśnie różnią od takich uczuć indywidualnych, że wartość ich i trwałość są tem większe, im więcej tkwi w nich realnego interesu własnego i egoizmu zaprzyjaźnionych.

Badając zaś z tego właśnie punktu widzenia polonofilskie wy-nurzenia prasy niemieckiej, musimy stwierdzić, że w nich istotnie

tkwi bardzo znaczny interes niemiecki, że więc wartość ich polityczna jest rzeczywiście duża.

Dotychczasowa antypolska polityka niemiecka była możliwa tylko dopóty, dopóki między Berlinem a Petersburgiem nie wytworzyła się ta właśnie przepaść, której tak bardzo obawiał się Bismarck, przepaść, przez którą nie można przerzucić mostu — „unüberbrückbarer Abgrund“ — jak ją kanclerz żelazny nazywał. Łańcuch przyjaźni, łączący Poczdam z Carskiem Siołem, stanowił najważniejszą część składową naszych kajdanów. Dzisiaj łańcuch ten pękł, przepaść, przez którą nie rychło uda się przerzucić najwęższą chociażby kładkę, ziele. Od tego też momentu musi zmienić się zasadniczo stanowisko Niemiec wobec narodu polskiego. Z pewnością zmiana ta nie pójdzie aż do oddania Polsce Poznańskiego, ale obiektywna konieczność doprowadzi ją do intensywnego poparcia naszych aspiracji narodowych poza granicami dzisiejszych Prus, a także do zmiany kursu wobec żywiołu polskiego w samych Prusiech.

Powtarzamy — polityki nie buduje się na sentymentach, które na fasadach budowli politycznych stanowią tylko ornamentację, ale na interesach wzajemnych. Tocząca się wojna zmniejsza bardzo znacznie kąt odchylenia — mówiąc językiem dra Balickiego — interesów niemieckich od polskich.

Gdyby istniały wątpliwości co do ostatecznego wyniku tej wojny, możnaby jeszcze wstrzymać się od realizowania politycznych wartości, tkwiących w tem zjawisku. Wszystko jednak na polach walk układa się w ten sposób, że wzrastająca z dniem każdym pewność ostatecznego zwycięstwa koalicji niemiecko-austriackiej na wszystkich frontach nie jest już dzisiaj wyrazem pragnień tylko, ale rezultatem spokojnej oceny faktów. Wynik wojny na zachodnim teatrze jest już dzisiaj prawie przesądzony. W bezpośrednim zaś związku z nim musi stać także dodatni wynik wojny na jej teatrze wschodnim.

W tych warunkach dokonująca się zmiana stanowiska Niemców wobec sprawy polskiej, nabiera dla nas ogromnego znaczenia faktu realnego. Jest też obowiązkiem kierownictwa naszej po-

lityki narodowej fakt ten starannie zarejestrować i w działalności swojej uwzględnić. Na razie przede wszystkim w drodze publicystycznej. Prasa niemiecka stała się bardzo chłonna na informację o sprawach polskich, chciwą na polskie opinie. Powinniśmy skorzystać z tego, aby, zaspakajając ten głód prasy niemieckiej, przykryć w głowach niemieckich warstwę kłamstw hakatystycznych warstwą korzystnych dla nas i z prawdą zgodnych zapatrywań na sprawę polską. Polityczna myśl niemiecka stała się przystępną dla naszego polskiego młota. Potrzeba ją więc kuć i urobić w kształt dla nas korzystny.

L W Ó W

2 września 1914.

Od kilku dni serca polskie ścisnęły się bolesną trwogą o los stolicy naszego kraju, o ten polski Lwów, który w czasach największych nawałnic dziejowych zaszczytne sobie miano „pomnożyciela polskości na Wschodzie“ zaskarbiwszy, utrzymał je i utrzymuje dotąd wytężoną i ofiarną pracą narodową na kresach. Jak ongiś za czasów Chmielnickiego, nawałnica ze Wschodu była nad nim, także i teraz zawisła. Zagony moskiewskie docierały już w jego bezpośrednie pobliże. I aczkolwiek dla każdego, kto zachował w tych czasach zdolność jasnego myślenia, było jasnym, że nawet wzięcie Lwowa nie uczyniłoby Moskali silniejszymi i nie rozstrzygnęłoby bynajmniej na ich korzyść tej największej w dziejach ludzkich bitwy, która się we wschodniej części naszego kraju już siódmy dzień toczy, to jednak żal głęboki owładnął nami wszystkimi na myśl o tem, że losy tej strasznej wojny mogłyby nie oszczędzić Lwowa, że hordy moskiewskie, wspierane przez domorośłych zdrajców ruskich, mogłyby chociaż przez czas krótki gospodarować w tej najsilniejszej twierdzy polskości na wschodzie. Pięćdziesięcioletni dorobek myśli i woli naszej narodowej, którego olbrzymia część skupiła się we Lwowie, był narażony na zmarnowanie i na stratowanie pod kopytami hordy

dzikiej i złej, zawistnej, mściwej i okrutnej. Nasze wspaniałe biblioteki, muzea, galerie z takim trudem i ofiarnością gromadzone, słowem wszystko, co kulturalny wysiłek polski w tem mieście w ciągu ostatniego pół wieku stworzył, wszystko to mogło paść ofiarą niszczycielskiego rozpędu tej hordy.

Nie można się też dziwić panice i rozpaczce, która w ostatnich dniach ogarnęła Lwowian. Całe społeczeństwo polskie z nimi współczuło, wiedząc, że ta straszna wojna, która na ziemiach naszych się toczy, może zażądać od nas także ofiary Lwowa. Na szczęście rzeczy wzięły pomyślniejszy obrót. Znakomite wojska nasze, doskonale kierowane, doprowadziły Rosyan do opamiętania. Jest zaś ze wszech miar uzasadniona nadzieja, że już w najbliższej przyszłości ofenzywa rosyjska w Galicyi pozostawi Moskalom tylko żalotne — wspomnienie...

Ostatnie dni we Lwowie pouczają najlepiej, jak niezbędnym w czasie wojny jest spokój umysłów i silna, męska wola przeczekania i przetrwania wszystkich perypetyj wojny, której szczęśliwy ostateczny wynik nie może ulegać żadnej wątpliwości. Zadanie, które dziejowa konieczność postawiła przed naszą wspaniałą armią w Galicyi wschodniej, jest niebywale wielkiem. Takich pensów nie odrabia się na poczekaniu. Cierpliwość, metodyczność działania i spokój stanowią zasadnicze warunki jego pomyślnego rozwiązania. Naczelne dowództwo naszej armii rozporządza temi drogocennymi ingrediencyami wszelkiego zwycięstwa, w imponującej ilości. Ludność kraju przyswoić je także sobie powinna i uodpornić się na wszystkie zmieniające się z godziny na godzinę wrażenia wojny. Nie należy dnia chwalić przed zachodem, bo wtedy każda najdrobniejsza chmurka wyrzuci wrażenie zapadającej nocy. Potrzeba zachować spokój i ufność, że losy państwa i kraju złożone zostały w ręce pewne i wytrawne, które niemi umiejętnie pokierują.

Daleko na północy w Prusiech wschodnich Rosyane także rozpoczęli gwałtowną ofenzywę, która, tak samo jak w Galicyi, ma charakter gry „*va banque*“, gry na ostatnią kartę zrujnowanego szulera. Komenda niemiecka w osobie nadzwyczajnego

w swych określeniach kwatermistrza Steina, zapowiedziała ludności otwarcie, że musi się przygotować na przyjęcie Moskali i okazywać im gościnność. Równocześnie zaś generał pułkownik Hindenburg czynił już pilne starania, aby Moskale nie mogli zbyt długo nadużywać tej — gościnności. I starania te powiodły się. Siedmdziesiąt tysięcy jeńców moskiewskich wędruje już w tej chwili w głąb Niemiec, reszta zaś rozgromionych trzech korpusów rosyjskich pospiesznie ucieka.

W taki sam sposób musi znosić wojnę ta część naszego społeczeństwa, którą groza tych tytanicznych zapasów bezpośrednio dotyka lub jeszcze dotknąć może. Zimna krew, spokój i zaufanie do armii i jej dowództwa muszą przezwyciężyć zrodzone zderzenie i podniecenie, tem bardziej, że ostateczny wynik wojny zapowiada się już dzisiaj takim, jakim w wojnie kultury i wolności z barbarzyństwem i despotyzmem być powinien.

C E L W O J N Y

4 września 1914.

Głównym celem toczącej się wojny jest złamanie hegemonii moskiewskiej. Ten rezerwoar barbarzyństwa, który dla swoich egoistycznych celów postanowił eksploatować dwa najcywilizowańsze mocarstwa europejskie, musi być rozbity i wypróżniony. Wojna bez tego końca byłaby zbrodnią przeciw cywilizacji, której najwybitniejsi twórcy i przedstawiciele krwawią się teraz w strasznych zapasach. Wojna, niezakończona zmiążdżeniem Rosyi, zgruchotaniem glinianych nóg tego kolosa takim, aby już nigdy więcej nie mógł podnieść się groźnie nad Europą, byłaby czemś potwornem, byłaby szaleństwem, niczem nie dającym się wytłómaczyć.

Carat był przyczyną wojny, carat nienasycony, carat rządzący hordami niewolników. Te masy taniego mięsa skusiły Francję do przyjaźni z nim, ponieważ dekadent francuski spodziewał się przy ich pomocy utrzymać to, do czego jemu samemu

sił już nie starczy — mocarstwowe stanowisko swego państwa. Carat wyzyskiwał to złudzenie, za które Francya zapłaciła najpierw dwadzieścia miliardów swem złotem, teraz zaś płaci tem, czego nie sposób w miliardach wyrazić — swoją egzystencyą jako wielkiego, jako pierwszorzędnego państwa.

Wszystkiemu winna jest Rosya. Gdyby dwóch trzecich kontynentu europejskiego nie zajmował ten olbrzymi chanat, dekadenci francuscy nie byliby spekulowali na miliony jego postu-sznych i dzikich hord, lecz byliby szukali drogi pokojowego pogodzenia się z naturalnemi zjawiskami wzrostu i rozwoju rasy tak silnej i tak twórczej, jak germańska.

Najkonserwatywniejsze żywioły europejskie, od których nic nie jest tak dalekiem, jak jakiegokolwiek dążności rewolucyjne, zrozumiały ostatecznie, że dalsze panoszenie się chamskiego w Europie zagraża samemu konserwatyzmowi. W jednym dniu runęły złudzenia, jakoby despotyczna Rosya była zabezpieczeniem konserwatywnej i monarchicznej zasady w Europie, jakoby interes dynastji europejskich wiązał się z interesem Romanowych. Przekonano się bowiem, że mimo objawów najdzikszej reakcyjności, Rosya żywiołem konserwatywnym nie jest, lecz przeciwnie, jak wszelkie barbarzyństwo, stanowi ona żywioł negacyi i anarchii, bezmyślnej i bezcelowej. Nic zaś nie jest tak obcem najgłębszej istocie kultury europejskiej i duszy europejskiej jak tępa negacya, jak anarchia właśnie typu rosyjskiego.

Dlatego głównym i zasadniczym celem wojny jest zniszczenie potęgi Rosyi. To jedno usprawiedliwia tę straszną wojnę, te rzezie bratobójcze narodów cywilizowanych. Jedynie uwolnienie Europy od zmory moskiewskiej uświęcić może te hekatombi. Pogrom Francyi jest tragedją bankierskiego egoizmu, który posługiwał się lichym rachunkiem. Rachunek Niemiec z Anglią pozostanie z pewnością niezakończony i zamknie się później, o ile Anglicy nie przyjdą tymczasem do zbawiennego przekonania, że handlować sukniem i bawełną i zatruwać Azyę opium mogą nie tylko oni, lecz także inni.

Rzeczą główną jest uśmierzenie caratu, który hordami swemi zalewa teraz kraje cywilizowane, niszcząc i paląc dorobek wielu pokoleń, zgłiszczami znacząc drogę swego pochodu. Pokojowy car w cichości ostrzył miecz i z modlitwą na ustach chciał go pchnąć w serce znienawidzonego sąsiada, który stanął mu na drodze jego światowładczych a raczej światoburczych pragnień. W cichości przygotowywano ten zamach na Europę, ten cios skrytobójczy na jej spokój i kulturę. Stąd mogła Rosya rzucić w tak krótkim czasie ogromne zastępy swych niewolników i zalać nimi pograniczne okolice Austrii i Niemiec.

Najboleśniej musimy ten fakt z konieczności odczuwać my — Polacy. Galicyę wschodnią zdewastowała horda moskiewska i zagroziła jej stolicy. Dopomogła jej w tem prawdziwa zaraza zdrady.

Zanim Niemcy nie skończą z wierzycielami, Austria sama jedna niemal musi wytrzymać na swych barkach brzemień hordy dłużników. Jest to ofiara ciężka, wysiłek olbrzymi. Ze wszystkich narodów austriackich my jedni opłacamy go nie tylko tem, czego od nas żąda prawo państwa, ale wszystkim, co mamy najdroższego — owocami wyteżonej cywilizacyjnej i kulturalnej pracy na wschodzie.

Musimy jednak znieść tę ofiarę mężnie i spokojnie, jak przystało ludziom, którzy rozumieją, że wielkich rzeczy nie osiąga się małymi środkami. A rozgromienie Rosyi, to zaiste rzecz wielka. I rozgromienie to przyjdzie nieodwołalnie i nieuchronnie jak prawo natury, jak konieczność dziejowa. Kultura europejska, która wytrzymała wędrowkę ludów, zalew hord mongolskich, wytrzyma także ten dzisiejszy zalew rosyjski i odepchnie go daleko na wschód ku Wołdze. Nie wartoby żyć na świecie, gdyby stać się miało inaczej.

ZAPRZYSIĘŻENIE LEGIONISTÓW

5 września 1914.

W powodzi wrześniowego słońca, na szmaragdowym kobiercu Błoń stanęło wczoraj rano trzy tysiące sześćset młodych Polaków we wzorowym ordynku wojskowym. Mając przed sobą kopiec Kościuszki i majestatyczną sylwetę zamku Wawelskiego, odkryli głowy i podniósłszy palce prawej ręki do góry, powtarzali głośno, wyraźnie i dobitnie słowa wielkiej przysięgi, największej, najwspanialszej i najstraszniejszej, jaką człowiek może złożyć człowiekowi. Przysięgali przed Bogiem Wszechmogącym, że na lądzie i na morzu, w dzień i w nocy, wśród wszelkich okoliczności walczyć będą, ilekroć zażąda tego od nich cesarz Franciszek Józef I, cesarz Austrii i apostolski król Węgier.

Potrzeba, aby ten fakt zapamiętała Europa, aby on wrył się głęboko w pamięć jej monarchów i ich doradców, bo to jest fakt jedyny, wypadek bezprzykładny, w którym synowie rozszarpanego narodu stanęli dobrowolnie bez cienia jakiegokolwiek przymusu, aby monarsze, jedną częścią tego narodu władającemu, przysięgę żołnierską złożyć. A stanął to kwiat młodzieży naszej, jego skarb największy, jego nadzieja złota. Połowa z nich to ludzie z wysoką inteligencją, którzy nieraz wyrwali się po prostu z objęć stroskanych matek, mężowie dojrzałym wiekiem, mężowie i ojcowie, którzy targnęli czemś jeszcze mocniejszym, niż macierzyńskie objęcie, bo łańcuchami obowiązków najbardziej osobistych, zanim stanęli wczoraj tam, na tej runi zielonej. Nic ich tam nie sprowadziło, jeno miłość bezgraniczna ojczyzny. Jeżeli zaś przysięgali nie ojczyźnie, lecz cesarzowi Austrii i apostolskiemu królowi Węgier, to uczynili to dlatego, że równie wielkie, jak miłość Ojczyzny, żywią oni — zaufanie w szlachetność i rozum tego wspaniałego nestora monarchów Europy. Wczorajsza przysięga budziła wielokrotne echo, które dobrze słyszało polskie ucho. To echo mówiło, że w tych twardych ślubach żołnierskich zawiera się bez porównania więcej, niż wypowiedzieć można słowami, że

tam cała nadzieja, cała ufność bezgraniczna, że ten wczorajszy czyn polskiej młodzieży mierzony nie będzie łokciem, że to potężnej armii austriacko-węgierskiej przybył nie pułk jeden, czy jedna brygada, ale że monarsze austriackiemu przybyło serce jednego całego narodu, pod względem liczby piątego w Europie.

Przed pół wiekiem najstarsi w narodzie wyrzekli pamiętne słowa: „Przy tobie Panie stoimy!“ Wczoraj powtórzyła ją młodzież nasza, powtórzyli ją młodzi rycerze polscy z żołnierską dobitnością, jasnością i nieodwołalnością. Gdyby minister cara Mikołaja II, który jeszcze tak niedawno śmieciem naród polski nazywał, mógł był wczoraj to ślubowanie usłyszeć, nawet w jego chamskiej duszy musiałoby się było obudzić coś nakształt żalu, że naród jego i jego państwo przez setkę lat deptały tak zaciekle te właśnie szlachetne pierwiastki polskiej duszy, które, dostrzeżone wczas gdzieindziej i swobodnemu swemu rozwojowi pozostawione, zakwitły oto tak dziwnie pięknym kwiatem. Także i tam, na zachodzie, gdzie likwiduje się dzisiaj towarzystwo tępienia polskości, powinni dosłyszeć słowa tej wczorajszej dobrowolnej polskiej przysięgi, bo one mówią zupełnie co innego, niż tam uparcie wbrew oczywistości codziennej ze złą wolą i wiarą przez tyle lat powtarzano...

Krwią bowiem, krwią najdroższą, bo najszlachetniejszą i dobrowolnie przelaną przypieczętuje naród polski ten związek głęboki, jaki ustalił się między jego nigdy nieśląbnącym pragnieniem i dążeniem do odzyskania wolności, a ufnością w szlachetność monarchy austriacko-węgierskiego, że dążenie to, jak należy oceni. Szczęśliwym i błogosławionym jest monarcha, który niewolników na — ochotników przemienia, który z losami swego państwa i tronu umiał związać najświętsze pragnienia wielkiego, a w nieszczęściu swoim jeszcze większego narodu. Ufamy, że ten dar bezcenny, ten bezprzykładny zakład wierności i nadziei, uszanowany będzie i odpowiednio oceniony.

Główną część swojego zadania osiągnął Naczelny Komitet Narodowy, patrząc wczoraj na ciągnące przed nim hufce polskie. Jest wojsko polskie. Cokolwiek powiedziećby mógł zrzęda i wieczny opo-

zycyonista jaki, jest ono polskiem i tylko polskiem. Sformowało się ono jawnie, nigdzie granicy prawa nie przekroczywszy, wszystkich niebezpieczeństw spisku uniknąwszy. Potrzeba najgłębsza żywego narodu, aby nie być biernym tylko świadkiem rozgrywających się na jego odwiecznej ziemi wypadków epokowych, została zaspokojona rozumnie przy zabezpieczeniu maximum osiągalnych korzyści, przy ustaleniu minimum niebezpieczeństw. Tej drogiej młodzieży naszej, która pospieszyła i jeszcze pospieszy w szeregi Legionów, nie grozi już żadne niebezpieczeństwo, oprócz czysto żołnierskiego, które niebezpieczeństwem nie jest. Nie śmierci bowiem bać się musi żołnierz polski, ale zmarnotrawienia jego wysiłków, roztrwonienia jego ofiary. Tej obawy dzisiaj już żywić nie może. Idzie bowiem w pole ze wszystkimi prawami bojowników. Może mieć pewność, że z wysiłku jego dla Ojczyzny pożytek wielki wyniknie. Dlatego niechaj każdy Legionista polski spełni do końca swój dobrowolnie na się wzięty obowiązek, posłuszny żołnierskiemu wezwaniu swego wodza generała Baczyńskiego — niechaj młóci i jeszcze raz młóci Moskala.

T Y L K O S P O K O J N I E !

16 września 1914.

Podobnie jak gniew także i strach jest bardzo złym doradcą. Należy bać się przedewszystkiem własnego — strachu... Przerazona matka zgubiła niemowlę, ale dalej piastuje pustą poduszkę. Ktoś drugi zerwał ze ściany gitarę i pędzi z nią zdyszany na kolej, aczkolwiek jako żywo nie umie grać na tym instrumencie. Pewna pani z całego swego zamożnego domu uznała za stosowne wziąć tylko kocioł, pudło z kapeluszem i moździerz kuchenny... Wszystko to autentyczne fakta z ostatnich ciężkich dni w naszym kraju. Nie potrzeba mnożyć tych przykładów, aby się przekonać, że te olbrzymie rzesze na poły nieprzytomnych zbiegów noszą z sobą swego najzjadlejszego wroga. Nazywa się on nie „moskal“, nie „dziki kozak“, ale — „dziki strach“.

Panika powszechna, która olbrzymimi falami przelatuje dzisiaj przez społeczeństwa europejskie, jest jednym z bardzo ciekawych zjawisk życia społecznego wogóle. Jak gdyby istniało tu pewne prawo antytezy, w myśl którego te same masy, które wczoraj z nieopisanym zapałem wyprawiły na straszny ogień nowoczesnych dział zastępy swoich żołnierzy, dzisiaj wskutek lada głupiej plotki wpadają w rozpacz, dają się ogarnąć strachowi, który z niesłychaną forsą sam sobie dorabia pośpiesznie najnie-dorzeczniejsze motywy. Zdaje się, że łatwość szerzenia się paniki jest w czasie wojny wynikiem głębokich zaburzeń w budowie tkanki społecznej. Mianowicie usunięte z niej zostały elementy męskie. Nad pozostałą resztą przeważa element kobiecy, który zresztą nierzadko chodzi w spodniach i nosi strasznie sumiaste wąsy. Ta dysocjacja tkanki społecznej zwiększa niezmiernie jej pobudliwość, co objawia się w panice, przerzucającej się z miejsca na miejsce jak pożar wichrem niesiony. Można też być z góry pewnym, że huragan jej będzie przelatował nasze państwo w rozmaitych kierunkach, zależnie od kierunku rowijających się wypadków wojennych i towarzyszących im plotek.

Panika, podobnie jak samobójstwo, nie jest nigdy uzasadniona. Czy banki wyjeżdżają, czy nie, czy władze mówią to lub tamto, nigdy niema dostatecznej racji, aby ludzie ze strachu sami na siebie ściągali nieszczęścia i katastrofy, większe niejednokrotnie, niż te, przed którymi tak zwawo uciekają. Bo ostatecznie i władze są złożone także z ludzi, których mundur połocisty nie wyjmuje bynajmniej z pod praw, psychiką zbiorowiska ludzkiego rządzących. Kiedyś, dożywszy spokojnych czasów, będziemy mieli dość wiele na ten temat ciekawych rzeczy do powiedzenia. Dzisiaj o tem przedewszystkiem zawsze i wszędzie pamiętać należy, że człowiek, jak drzewo, najsilniejszy jest tam, gdzie zapuścił korzenie, gdzie wyrósł i w co wrósł. Więcej też ma on szans przetrwania burzy, trzymając się tych korzeni, niż dobrowolnie oderwawszy się od nich. Człowiek raz przez falę paniki wyrzucony ze swego środowiska, staje się jak łódź bez steru i żagli, miotana falami bezbrzeżnego morza, na którym szaleje burza.

A jest to położenie straszniejsze, niż wszelkie inne. Wiadomo, że podczas epidemij, strach przed niemi przyczyniła się bardzo znacznie do ich rozszerzenia. Strach bowiem zmniejsza odporność organizmu. Strach jest substancją obcą zdrowemu organizmowi. Usuwa on ją z siebie niby truciznę, z którą żyć nie może. Dlatego nikt nie może się bać zbyt długo. Doświadczenie wszystkich bitew uczy, że największe szanse bezpieczeństwa daje atak na bagnety. Zakrawa to na paradoks, a jest szczerą prawdą, którą nie tak znowu trudno zrozumieć. Znowu przykład, że spokój, męstwo i niezmnieszona zdolność zajrzenia niebezpieczeństwu w oczy, zmniejsza samo niebezpieczeństwo.

Miasto nasze jest twierdzą. Komenda jej wydała rozkaz, aby z miasta wyjechali wszyscy obcy, innym zaś poradziła, aby albo także jechali, albo aby poczynili odpowiednie zapasy żywności. Niema nic naturalniejszego, jak tego rodzaju polecenie w obrębie potężnej twierdzy podczas wojny. Należy się do niego zastosować, ale to bynajmniej nie znaczy — popadać w panikę. Tego bowiem komenda twierdzy bynajmniej nie polecała. Należy zachować spokój i dokładnie drogę dalszego postępowania sobie wytyczyć, rozważając te wszystkie „pro“ i „contra“, co każdy w swem życiu ma do rozważenia. Ani w interesie państwa, ani społeczeństwa nie może leżeć, aby ludzie rujnowali bez koniecznej potrzeby swe egzystencje, stawali się ciężarem dla drugich. Dlatego nie będzie to wcale sprzecznem z uzasadnionem poleceniem komendy twierdzy krakowskiej, jeżeli powiemy, że ci przede wszystkim, którym pozostawiono wolny wybór między wyjazdem a gromadzeniem zapasów, powinni wybór ten uczynić swobodnie, o ile możliwości przemyślawszy do końca konsekwencje jednej i drugiej ewentualności. Tylko bowiem działając z jasną świadomością celów, środków i skutków, mogą uchronić się przed następstwami nieraz gorszemi, niż to, czego się chciało uniknąć.

Ż E L A Z N Y W A Ł

17 września 1914.

W czasach długiego pokoju zatracalo się u nas pojęcie o olbrzymiej wadze, którą dla dziejów Europy miały zawsze i mają dotąd nasze ziemie. Od trzech tygodni jednak w ogromnym promieniu dokoła Lwowa toczy się największa w dziejach świata bitwa o posiadanie jednego skrawka tej właśnie naszej ziemi. Rosya rzuciła tu całą swą olbrzymią siłę militarną, aby zapanaować nad tym skrawkiem. Austria wryła się weń i wkopała, ogromną część swej armii zużywając na to, aby nawałnicy rosyjskiej przeciwstawić wał żywy, najeżony bagnętami i armatami. Całe narody zwały się tam na tych żyznych polach koło naszego Lwowa, aby biegowi dziejów nadać nowy kierunek. Od trzech tygodni stolica naszego kraju weszła do historii świata jako jedno z tych miejsc, w których trakt dziejowy zwraca się gwałtownie z jednej strony w drugą. Może tylko wzięcie Konstantynopola przez Turków będzie pod względem swej wagi dziejowej równorzędnem z datami bitew podlwowskich. Tak bowiem, jak wówczas, przed pięciuset laty utwierdzone nad Bosforem panowanie tureckie nadało dziejom Europy nowy kierunek, tak dzisiaj pod Lwowem znowu przygotowuje się w tych dziejach naszego kontynentu jedna z tych wielkich i głębokich zmian, których skutki trwają nieprzerwanie całe wieki.

Rosya zwarła się tu z Austryą jako najdalej na Wschód wysuniętą placówką kultury i obyczaju zachodniego. Rosya, dość wczesnie w tajemnicy zmobilizowana, zwała się jak olbrzymia lawina na armie austriackie, które ani na chwilę nie tracąc między sobą kontaktu, złączyły się w olbrzymie, kilkuset kilometrowe półkole i oto już od trzech tygodni wytrzymują niepojęte w swej sile parcie masy rosyjskiej. I nie tylko wytrzymują biernie. One przeciwdziałają jej czynnie tak, że odzyskują utraconą przestrzeń, że biorą dziesiątki tysięcy jeńców i że armia rosyjska dotrzymuje im placu tylko dzięki temu, że ciągle jeszcze wzmacniają ją świeże korpusy, w morderczy ogień bitwy dopiero wprowadzone.

Plan rosyjski zarysował się już dzisiaj wyraźnie. To, co Niemcy zrobili we Francji, to Rosya chciała powtórzyć wobec Austrii. Z nieoczekiwaną szybkością i olbrzymimi masami uderzyła na Galicyę od północy i wschodu, w nadziei, że armia austriacka nie wytrzyma tych cyklopich ciosów, że wiązania jej prysną i że zabezpieczywszy sobie w ten sposób południową flankę, będzie dopiero mogła uderzyć na Berlin. Tymczasem stało się inaczej. Nawet te olbrzymie siły rosyjskie, które wedle relacyj lotników, wyglądały w pochodzie, jak nieprzejrzone chmary szarańczy, okazały się za słabemi, aby rozerwać ten żywy wał nieporównanego męstwa, brawury i poświęcenia, jaką w postaci słabszych liczebnie armij austriackich przed sobą znalazły. Armie austriackie pod olbrzymiem ciśnieniem rosyjskiem tylko cofnęły się nieco, ale za to zwały się mocniej i niejako stwardły, jak twardnieje żelazo pod uderzeniami ogromnego młota. Dzisiaj od Sanu po Dniestr w olbrzymiem półkolu stoją armie austriackie jedna obok drugiej, tak samo gotowe do boju i do brawurowej ofensywy, jak gotowemi były przed dwudziestu kilku dniami, kiedy dopiero zaczynał zwał się na nie kolos rosyjski.

Jest to wysiłek gigantyczny, któremu równego próżno szukać w historyach wojen. Aby go należycie ocenić, należy zrozumieć to, co zamierzała, a czego dotąd nie zdołała Rosya osiągnąć. Rzuciła ona olbrzymią część swej armii na Austryę, aby ją kilkoma uderzeniami zdruzgotać. Zamiast tego zajęła tylko niemożliwą do obrony, a w dodatku przez szpiegostwo ruskie podminowaną, część wschodniej Galicyi, i oto już dwudziesty dzień ma przed sobą armię austriacką nie tylko nie zwyciężoną, ale przeciwnie tak potężną, że przed naporem jej może się ta olbrzymia siła rosyjska ratować tylko w ten sposób, że ciągle wzrasta...

Mimo trzytygodniowych, niebywałych pod względem zaciekłości bojów, armia rosyjska nie zdążyła dotrzeć nawet do Sanu, nie wzięła żadnej twierdzy austriackiej i nie osiągnęła żadnego efektu, któryby przynajmniej w przybliżeniu o wyniku tych tytanicznych zapasów na korzyść Rosyi przesądzał.

To też wszyscy obywatele tego państwa mogą spoglądać na tę armię z ufnością i dobrze przez nią zasłużonem uwielbieniem. Nie tylko bowiem wytrzymała ona straszliwe uderzenia olbrzymiej nawałnicy rosyjskiej, ale także złamała jej pierwszy, najstraszniejszy impet, tak, iż dzisiaj można już mówić o zatrzymaniu się ofensywy rosyjskiej bez jakichkolwiek decydujących wyników.

O Ł A D W P R Z E W R O C I E

20 września 1914.

Wojna jest największym przewrotem, jaki obok rewolucyi spaść może na uporządkowane społeczeństwo. Wychodząc na wojnę, nie wie się nigdy, dokąd się mianowicie zajdzie i co się będzie miało przed sobą, a co za sobą. Już wskutek tego wojna wymaga spokojnej odwagi nie tylko od żołnierzy, lecz także od całej ludności, przede wszystkim zaś od tych, którzy ludnością tą rządzą. Koleje wojny są zmienne. To znaczy, że w czasie wojny na wszystko należy być przygotowanym, wszystko przyjmować spokojnie, bez wątpienia i bez strachu. Zdolność takiego stoickiego stosunku do niebywałych i nikomu niemal z żyjących nieznanych zjawisk, jakie towarzyszą współczesnej wojnie, jest cnotą rzadką. Nie można jej wymagać od ogółu. Ale tem energiczniej potrzeba jej żądać od rządzących. Bo właściwie dopiero w takich czasach, jak dzisiejsze, okazać mogą rządzący pełnię kwalifikacyj swoich do kierowania rzeszami ludzkiemi. W czasach spokojnych, kiedy maszyna państwowa, od wieków nastawiana, idzie, skrzypiąc od czasu do czasu, kiedy w długiem doświadczeniu ustalone szablony pokrywają najbardziej zewnętrzne i najprymitywniejsze potrzeby życia zbiorowego, administracya nie jest rzeczą trudną. Właściwe jej wysokie zadanie ujawnia się w swej ogromnej postaci dopiero wówczas, kiedy życie staje na głowie, kiedy rozlatują się szablony, kiedy niema ani jednego dnia, w którymby ranek był do wieczora podobny. Tu dopiero

nastęcza się wdzięczne pole dla twórczej, energicznej, pomnej swych wysokich obowiązków, rozważnej a przedewszystkiem — odważnej administracji.

Zapewne, dzisiaj, kiedy wojna jest w pełnym toku, kiedy część kraju padła ofiarą inwazyi rosyjskiej, nie czas na bardziej szczegółowe roztrząsanie tej kwestyi. Chodzi jednak o to, czego dobro kraju nieodzownie wymaga, o to, aby w tej reszcie panował jaki taki porządek, aby ludzie w oczekiwaniu ciosów, którymi może w nich ugodzić zmienny los wojny, sami sobie zawczasu przez nieład i rozprzężenie nie zadawali ciosów, częstokroć boleśniejszych i niebezpieczniejszych, niż może je zadać najstraszniejszy nawet nieprzyjaciel.

Codzienna obserwacja uczy, że w tym względzie najwięcej szkód ponoszą ludzie wskutek własnego nadmiernego strachu i wskutek niezdolności zorientowania się w sytuacji. Strategia wymaga dochowywania najściślejszej tajemnicy. Wojna nie jest teatrem, a bitwy przedstawieniami amatorskimi dla gapiów. Ale z drugiej strony, jeżeli się od ludności wymaga, aby zachowywała spokój i wiarę w powodzenie swej słusznej sprawy, nie podobna zaszyć jej w worek i kazać cicho siedzieć. Ta ludność musi mieć także jakieś, względnie pewne wskazówki, zachowania się. Ona ich szuka nawet instynktownie i szuka w ten sposób, że bacznie śledzi postępowanie i zachowanie się tych, którzy nią rządzą, którzy przed Bogiem i państwem wzięli na się wysoki obowiązek dbania o dobro ludności. I oto nowe typowe wojenne zadanie administracji cywilnej. Ma ona ludności świecić przykładem spokoju, ufności i odważnego wyczekiwania wszystkiego, co wojna przynieść może.

W powiatach, gdzie ludność od szeregu lat przyzwyczała się widzieć w staroście wcielenie porządku państwowego i potęgi państwowej, starosta ten jest dla niej jak gdyby — latarnią morską w ciemności. Jeżeli starosta urzęduje, pełen spokoju ukazuje się między ludźmi, to ludność jest spokojna, bo on przecież wie lepiej, co robić.

Nadeszły czasy ciężkie. Nikt nie może zaręczyć, czy nie na-

dejdą cięższe. W takich czasach każdy dzień przeżyty w porządku, ładu i zaufaniu do trwałości gruntu, na którym się stoi, jest czystym zyskiem, jest zdobyczą, którą rozum i charakter biorą na gromadnych instynktach masy ślepej i oślepianej.

Jeżeliby mi dano do wyboru dostać w łeb teraz, lub za miesiąc, wybrałbym bez wahania ten drugi termin. Za miesiąc bowiem stać się może bardzo wiele rozmaitych rzeczy. Przedewszystkiem wroga mego mogą wziąć dyabli, może się rozmyśleć, mogą ja nabrać sił do koniecznej obrony i t. d. Ten sam sposób rozumowania należy zastosować do życia społecznego w obecnym położeniu.

Dlatego wielka spoczywa dzisiaj odpowiedzialność na tych, których wojna zastała na kierujących stanowiskach. Niechaj nie łudzą się, że przez proste opuszczenie tych stanowisk uchylą się od tej odpowiedzialności. Tak po prostu nie przedstawiają się te rzeczy...

P R A W O W O J N Y

24 września 1914.

W 1212 roku położono kamień węgielny pod tę cudowną epopeę w kamieniu i marmurze, którą jest słynna katedra w Reims. Dzisiaj w siedmset lat później, dokoła precudnych wieżyc tego arcydzieła wczesnego gotyku, z których każda jest wyższą, niż nasza Maryacka, latają olbrzymie pociski niemieckie, szukając ukrytych za murami świątyni wojsk francuskich. Sam generalny sztab niemiecki poczuł się w obowiązku zawiadomić świat, że armaty niemieckie, ostrzeliwując Reims, mogą trafić także w jego katedrę, która stanowi własność nie tylko tego nieszczęsnego miasta, nie tylko Francji, ale także cywilizowanego świata. Niemcy ocenili znaczenie tego bezcennego klejnotu i lojalnie zawiadomili świat cywilizowany, iż nie oni są winni, skoro nieubłagane prawo wojny zmusza ich do ostrzeliwania katedry. Czy winni są temu Francuzi? Także i oni nie. Nimi bowiem rządzi

w tej chwili także tylko jedno straszliwe prawo wojny i tylko wojny. Prawo to nie zna wyjątków, nie zna okoliczności łagodzących, litości ani współczucia. Duchem tego prawa jest krańcowy utylitaryzm *in minus*, utylitaryzm zniszczenia. Wszystko, czem można nieprzyjaciela zniszczyć, jest dobre. Najcięższą zbrodnię wobec prawa wojny popełniłby ten, ktoby, mogąc zaszkodzić nieprzyjacielowi, odstąpił od tego z jakichkolwiek ubocznych względów. Całych stuleci rozwoju kulturalnego narodów europejskich było potrzeba do tego, aby powstały konwencye międzynarodowe, chroniące lazarety i urządzenia sanitarne, służące do użytku walczących. Ale i tu wykonanie tego postanowienia daje w każdej wojnie mnóstwo powodów do skarg i rekryminacyi wzajemnych i do zgoła haniebnych nadużyć. Zabytki sztuki, pomniki genialnej twórczości poprzednich pokoleń, nie są niestety objęte tem dobroczynnem aczkolwiek problematycznym prawem lazaretów wojennych. Nad nimi prawo wojny może wyciągnąć swój miecz płomienny, obracając je w gruzy.

Dlatego też głucha trwoga przejąć musi każdego Polaka na myśl, że najdroższe polskie miasto Kraków, jako twierdza, może uleść temu samemu prawu wojennemu, że te wszystkie wspaniałe monumenty kamiennie naszej starożytnej kultury, te ryte w kamieniu dowody naszego organicznego związku z Zachodem, mogą paść ofiarą strzelających w imię prawostawia, samodziernawia i rosyjskiej narodowości.

Widok gotyckich wieżyc katedry w Reims musiał przemówić do serc niemieckich artylerzystów, bo im te ostre, strzeliste łuki nie są obce, bo do ich dusz tak samo, jak do każdej europejskiej duszy przemawiają hieroglify misternych rozet i cudownych, w kamieniu tkanych, koronek gotyckich.

Ale moskiewska dusza nie rozumie tajemniczego języka tych cudownych kształtów. Jak wszystko niezrozumiałe i organicznie obce, napełniają ją one wstrętem i odrazą i nienawiścią nieubłaganą, niszczącą, dziką. Nawet w Petersburgu, w stolicy cara i w mieście najwyższej kultury rosyjskiej, moskiewska dusza nie mogła znieść harmonii empirów i baroków architektów francu-

skich i włoskich, lecz „ozdobiła“ ich dzieła prawosławnymi „cebulami“ i polichromią, która cywilizowanego widza może przyprowadzić o apopleksję. Przepiękny pałac Staszica w Warszawie, którego fronton zeszepeciono bizantyńsko-kazańską mozaiką i pięknie w paski malowanymi cebulkami, to żywy dokument stosunku duszy moskiewskiej do pomników zachodniej kultury.

Strach zbiera na myśl, jakie to instynkty odezwałyby się w duszach artylerzystów z pod Moskwy na widok smukłych wieżyc kościoła Maryackiego lub wspaniałej sylwety Wawelu... Wszak byłyby to pierwsze na ich drodze spotkane wielkie, w oczy bijące strażnice Zachodu i tej jego cywilizacji, która, zdaniem najznakomitszych myślicieli moskiewskich, jest zgniłą i wymaga koniecznie uzdrowienia i oczyszczenia przez — Rosyę...

Straszne prawo wojny, nakazujące zniszczenie, które wobec katedry w Reims zaciężyło boleśnie artylerii niemieckiej, byłoby pod murami Krakowa najpożądańszym pretekstem dla artylerii rosyjskiej... Miejmy jednak nadzieję, a nie tylko nadzieję, lecz także i wiarę niewzruszoną, że nad prawem wojny jest jeszcze jedno prawo — prawo cywilizacji i kultury. A to prawo jest po naszej stronie i po stronie naszych wojsk sprzymierzonych. Aczkolwiek więc nawała moskiewska, korzystając obficie ze zdrady dusz wschodnich i równie jak ona kulturze Zachodu obcych, zalała znaczną część naszego kraju, to jednak wierzymy, że już niebawem zatrzyma się ona przy tamach, które postawi jej kultura Zachodu prawdziwa, stara, a nie tylko świeża, i z nigdy należycie nieocenioną ofiarnością nasadzana. Niepodobna bowiem przypuścić, aby to samo, co przed dziesięciu laty wykonali z taką precyzją najmłodszy uczniowie cywilizacji europejskiej tam, na Dalekim Wschodzie, mogło nie udać się mistrzom i to wtedy, kiedy bronić mają już nie honoru, nie dóbr materialnych, ale swego istnienia wobec nawałnicy moskiewskiej.

P O L I T Y C Z N A W O J N A

6 października 1914.

Nie troszcząc się o swoje punktacje sojuszowe z Francją, które z pewnością nie obejmują nawracania ludności wschodniogalicyskiej na prawosławie, Moskale zajmują się najspokojniej — „zbieraniem rosyjskiej ziemi“ i nasadzaniem na niej świętego prawosławia. Wielkiej, rozstrzygającej bitwy na zachodnim froncie swoim nie chcą, lecz co rychlej przebijają ruskich parochów w szerokie prawosławne rjasy i pchają się wszystkimi szparami na Węgry, ku tym 400.000 „Rosyan“ węgierskich, których tak niedawno jeszcze przy pomocy braci Gierowskich i grafa Bobrińskiego obrabiał w duchu rosyjskiego prawosławia zasądzony w marcu tego roku w Marmarosze Sziget słynny Kabaluk. Rosyjskie wycieczki na Węgry w chwili, kiedy armie sprzymierzone austriacko-niemieckie stoją w pełni swej sprawności bojowej na całym zachodnim froncie galicyjskim, nie mają pod względem strategicznym żadnego sensu. Są to najoczywistsze spacer polityczne, mające służyć do mydlenia oczu Europie i własnemu społeczeństwu, że oto dokonuje się wielkich rzeczy, bo „wyzwała się z pod jarzma austriacko-węgierskiego“ uciśnionych Rosyan. Sami siebie nie umieją wyzwolić z pod jarzma Hindenburga, który bierze w nie jeden rosyjski korpus po drugim. Ale na Wschodzie hulają i na gwałt budują Rosyę, korzystając z chwilowych sukcesów, które osiągnęli dzięki olbrzymiej swej przewadze liczebnej i azyatyckiemu wprost marnotrawieniu materiału ludzkiego. Pół miliona kosztują już carską Rosyę te krótkotrwałe, z humbugiem graniczące tryumfy.

I za tę olbrzymią cenę osiągnęli wodzowie rosyjscy tyle tylko, że mogą mieć satysfakcję wejścia do tego miasta, w którym przed ośmiu miesiącami gra Bobriński jako świadek w procesie Kabaluka dał się złapać na kłamstwie i krętactwie. We Lwowie, w „oczyszczonej“ z unii katedrze św. Jura archiepiskop Eulegiusz odprawia dziękczynne modły i „urządza“ prawosławie. W Czer-

niowcach zbieg z więzienia austriackiego Gierowski rządzi miastem, spłacając swoje rachunki nienawiści i zyczliwości. Równocześnie jednak olbrzymia ofenzywa rosyjska jak gdyby rozplynęła się nad Sanem. Szybko wyrósł oręż rosyjski z okresu bohaterskiej młodości. Piękne tradycje rajterów Kuropatkina odżywają w armii rosyjskiej na nowo. To gwałtowne urządzenie prawosławia w Galicyi i na Węgrzech w porównaniu z cofaniem się Rosyan na Zachodzie i z klęskami ich na Północy, odbiera wszystkim dotychczasowym powodzeniom rosyjskim najważniejsze, bo strategiczne znaczenie. Mimo wszystkich okropności, które wojnie rosyjskiej towarzyszą, traci ona w tych warunkach majestat wielkiej wojny na śmierć i życie i staje się jakąś niedorzeczną, komedyancką demonstracją polityczną, propagandą prawosławia przy wtórze setek baterij rozmaitego kalibru. Tak prowadzona wojna jest — polityczną, nie strategiczną akcją, obliczoną nie na zgniecenie wroga, ale na urządzenie demonstracyj i kucie kapitału politycznego, który później, kiedy odwróci się karta, ma posłużyć rządowi rosyjskiemu do okupienia się przed — własnym społeczeństwem...

W listach od rozmaitych ludzi z Prus wschodnich opowiada się ciągle, z jakim to pośpiechem starali się Moskale w czasie krótkiego swego w tej prowincyi pobytu zepsuć wszystko i — zapaskudzić. Tylko bowiem to trywialne wyrażenie oddaje należycie całą istotę akcji zdobywców rosyjskich. Powtarzają oni to samo jota w jotę w Galicyi z tym jeszcze dodatkiem, że tu „oczyszczają“ uciśnionych Rosyan... Jest w pośpiechu tego oczyszczania cała udreka niepewności najbliższego jutra, cała psychika barbarzyńcy, który mimo powodzeń nie śmie sobie samemu zaufać.

To też gdyby nawet nie było innych faktów czysto już militarnej natury, to już to samo przemienianie wojny ze strategicznej w polityczną operację ze strony Rosyan, stanowiłoby dla nich najgorszą wróżbę. Świadczy ono bowiem wyraźnie, że nie czują się pewnymi we wschodniej Galicyi i starają się z gorączkowym pośpiechem zostawić po sobie jak najwięcej — śladów. Jakich, — o to się ci słowianofile nie troszczą. Byle były ślady.

Ale też ten pośpiech rosyjski powinien dodać nam otuchy. Jest on bowiem dobrą wróżbą, że panowanie rosyjskie we wschodniej części naszego kraju nie przetrwa najbliższych miesięcy, że hordy moskiewskie, jak przyszły, tak pójdą, zostawiwszy tam tylko — swoje ślady. Ale i tu dostarcza obecna wojna przykładów, które nas mogą pocieszyć. Oto, zajmwszy Tylżę, wojska rosyjskie rozkwaterowały się w koszarach wojskowych i po prywatnych kwaterach, zamieniając je w mgnieniu oka w chlewy. Nie minęło jednak dziesięć dni od tego czasu, jak te same wojska wróciły znowu do Tylży, ale już bez broni, w charakterze jeńców i pod dozorem landszturmistów niemieckich zabrały się do odczyszczania tego, co zanieczyściły. Niemcy byli pod tym względem tak skrupulatni, że nawet popu rosyjskiemu kazali wziąć czynny udział w usuwaniu tych śladów rosyjskości, jakie w krótkim momencie swego tryumfu pozostawiła tam armia pana „Biego-boja“...

Miejmy nadzieję, że Rosyanie nietylko wyjdą z Galicyi, ale także będą zmuszeni do uprzątnięcia swoich w niej śladów. Im więcej złego teraz robią, tem większa czeka ich fatyga w niedalekiej przeszłości...

ANGLIA I FRANCYA WOBEC POLSKI

8 października 1914.

Wedle dochodzących do nas z różnych stron wiadomości, w Rosyi panuje przygnębienie. Te sto armat i dwadzieścia tysięcy jeńców, które aplikowano codzień czytającej publiczności rosyjskiej dla uspokojenia, okazały się dawką niewystarczającą wobec faktów niewątpliwych i nie dających się ukryć. Na północy Hindenburg zniósł dwie armie rosyjskie, którym Mikołaj Mikołajewicz wyznaczył zaszczytną misję zdobycia Berlina. Na południu zaś olbrzymia armia rosyjska wprawdzie wdarła się do Galicyi środkowej i zajęła Lwów, urządzając stamtąd wycieczki agitacyjno-misyjne

aż na Węgry, ale przyjemność ta kosztowała ją strasznie drogo, bo pół miliona ludzi w zabitych i rannych. To też, kiedy ochłonięto w Rosyi z pierwszego upojenia „tryumfami“ Ruzskiego i Brusilowa, zrozumiano, że zdobyty z takim trudem towar, srodze — przepłacono. Ogromna ofenzywa rosyjska, okupiona stratą blisko siedmuset tysięcy ludzi i jednej czwartej całego parku artyleryi, a uwieńczona tylko zajęciem bez walki bezbronnego Lwowa i kilkoma wycieczkami przez Karpaty, jest interesem złym. Rozumieją to coraz lepiej w Rosyi, wiedzą, że drugiej takiej ofenzywy już powtórzyć nie będą w stanie, a pierwsza przyniosła bardzo niewiele. Stąd przygnębienie w Rosyi, które wzrasta w miarę jak sprzymierzone wojska niemiecko-austryackie zbliżają się coraz bardziej ku centrum Królestwa Polskiego.

W tych warunkach wydaje się naszym słowianofilom warszawskim jakoś nie á propos mówić o konieczności oglądania się na Rosyę i liczenia się z nią. Skoro bowiem sami widzą, że po bezowocnem załamaniu się ofenzywy rosyjskiej rozpoczyna się obecnie druga faza wojny, której nieuchronnym epizodem będzie zajęcie Warszawy przez wojska sprzymierzone, nie mogą już twierdzić, że Rosya jest potęgą niezmożoną, przeciw której szaleństwem jest porywać się. Pełni więc konceptów, przywódcy „słowianofilstwa“ wynaleźli teraz innego konika, na którym usiłują jeździć. Nazywa się on koniecznością utrzymania przyjaźni — Francyi i Anglii.

Przypatrzmy się bliżej temu konikowi. Pan Dmowski i jego przyjaciele twierdzą, że stanowisko, przez nich zajęte, musi być utrzymane nadal już nie tyle ze względu na Rosyę, która jednak będzie prawdopodobnie pobita, ile ze względu na Francyę i Anglię, które pogniewałyby się srodze na Polskę, gdyby w całości swej zechciała pójść po linii, jaką jej w Galicyi wytknęły uchwały Koła sejmowego z dnia 16 sierpnia, a pogniewawszy się, nie chciałyby pomagać przy odbudowywaniu Polski lub przynajmniej przy wywalczaniu dla niej samorządu czy autonomii. Na gruncie notorycznego obskurantyzmu politycznego, jakim grzeszy, niestety nie z własnej oczywiście winy, Królestwo Polskie, ta nowa

„oryentacja“, która już nie jest orientacją „pure et simple“ rosyjsko-słowiańską, ale „oryentacją ku trójporozumieniu“, może mieć także szanse przyjęcia się chwilowego, mimo, że niedorzeczność jej leży na dłoni.

Przedewszystkiem jaki kapitał polityczny przedstawiają dla nas w obecnej fazie Francya i Anglia? Najszkromniejszy nawet czytelnik gazet wie, że kapitał ten równa się zeru. Francya republikańska, związawszy się sojuszem z caratem, pracowała przez lat dziesiątki nad tem, aby zatrzeć niemiłe sojusznicze północnej francuskie tradycje przyjaźni z Polską. Paryż przestał być dawno asylem polskiej myśli wolnościowej i polskiego patryotycznego wychodźstwa, bo stał się domeną achrany moskiewskiej, która rządziła się w nim tak swobodnie, jak w Moskwie lub jakim innym Kazaniu. W usłudze swojej wobec caratu doszedł rząd trzeciej republiki do tego, że urzędników achrany rosyjskiej nawet do perlustracji poczty paryskiej dopuszczał... O Polsce mówiono we Francyi niechętnie, pobieżnie i głupio. Nawet ci drugorzędni publicyści francuscy, których my sami sprowadzaliśmy do siebie, nie umieli się zdobyć na nic więcej w stosunku do nas, jak na czcze i naiwne frazesy.

Dopiero w ostatnim roku, kiedy wojna europejska stała się bardzo konkretną możliwością i kiedy Delcassé wyjechał do Petersburga, zaczęto przebąkiwać o jakiejś akcji, prowadzonej przez oficjalne sfery francuskie nad Newą, na naszą korzyść. Jeżeli jednak akcja ta nie była nawet gazeciarskim mitem, lecz faktem, to w każdym razie musiała ona być bardzo słabą, skoro nie dopomogła nawet takiej drobnostce, jak przyjęcie projektu rosyjskiego samorządu dla miast polskich przez rosyjską Radę państwa na miesiąc przed wybuchem wojny. Teraz zapewne prasa francuska jest przepelnioną deklamacyami na temat Polski. Ale deklamacyj w nieodpowiednim czasie nikt poważny nie słucha.

Jeżeli zaś w stosunku Francyi do Polski istnieje przynajmniej zamarła już co prawda tradycja rzeczy tak wielkich, jak nasz udział w kampaniach napoleońskich, to w stosunku do Anglii niema już nic doprawdy, prócz przemijających stosunków dypl-

matycznych, które oprócz ogólnikowych przyrzeczeń nigdy nic innego ze strony Anglii nie przynosiły. Przeciwnie, Anglia, jak za czasów Napoleona, tak i teraz, była zawsze przeciw tym, z którymi my losy swoje łączyliśmy. W antyrosyjskim okresie swojej polityki zagranicznej Anglia oczywiście spoglądała z sympatją na nasze ruchy i dążenia, przeciw Rosyi skierowane. Chytrzy politycy angielscy, którzy nie spuszczały z oczu niczego, co mogłoby w danym razie zaszkodzić Rosyi, którzy wysyłali dowódców bandom greckim w Macedonii, aby zwalczały bandy bułgarskie, przez Rosyę kierowane, którzy opiekowali się Afganistanem, o ile chciał występować przeciw Rosyi, nie mogli nie patrzeć także z pewną sympatją na to, co się działo w Warszawie. Ale poza platoniczną sympatją politycy ci nie wyszli nigdy ani na krok. Kiedy zaś po zjeździe w Rewlu skończył się antyrosyjski okres polityki angielskiej, Polska stała się dla Anglii Hekubą. I jest grubą naiwnością albo wręcz szarlataneryą polityczną, przypuszczać, że Anglia, która dla pozyskania Rosyi oddała jej pół Persyi, w danym razie zgodziłaby się na otwarcie dla floty rosyjskiej Dardaneli, że ta dzisiejsza Anglia Greya, a nie owa dawna Anglia Disraeliego i Gladstona, chciałaby i mogła cokolwiek zrobić dla Polski wbrew woli Rosyi. Jeżeli Anglia tych dwóch, biegunowo sobie przeciwnych, a w pracy nad wielkością swojej ojczyzny tak dziwnie zgodnych jej polityków, nie uczyniła dla Polski nic, to z pewnością nie zrobi dla niej nic sir Edward Grey, polityk, niemający ani Disraelowskiej głowy, ani Gladstonowskiego serca.

Tak więc ani Francya, ani Anglia nie mają obecnie żadnego kapitału politycznego, któryby mogły zużytkować dla dobra sprawy polskiej. Zobaczmy, czy możliwemi są kombinacye, z których kapitał ten dałby się ukuć i z jakim skutkiem?

Zwolennicy „oryentacyi ku trójporozumieniu“ mogą jednak powiedzieć, że wprawdzie dotychczas Anglia i Francya mało okazywały zainteresowania dla sprawy polskiej, to jednak teraz, a szczególnie przy likwidowaniu obecnej wojny, okażą je niewątpliwie i pod pewnymi przez nas spełnionymi warunkami ze-

chcą z pewnością postarać się o zabezpieczenie naszego losu narodowego. Rozpatrzmy tę drugą możliwość, którą zwolennicy trójporozumienia skłonni są przedstawiać jako realną.

Istnieje jedna alternatywa: albo zwycięży trójporozumienie, albo zwyciężą Niemcy i Austria. Założmy pierwszą ewentualność — zwycięża trójporozumienie. Dotychczasowe okoliczności złożyły się w ten sposób, że czynnikiem decydującym o zwycięstwie trójporozumienia może być tylko Rosya. Przebieg wojny we Francji dowiódł, że armia francuska, jeżeliby potrafiła obronić własny kraj przed podbojem niemieckim, to już osiągnęłaby *summum* tego, co dla niej jest wobec armii niemieckiej możliwym. Pomoc angielska ma wartość bardzo problematyczną. Działalność zaś floty angielskiej może być bardzo dotkliwa dla handlu niemieckiego, na tok jednak i ostateczny rezultat wojny kontynentalnej wywiera wpływ bardzo niewielki i tylko pośredni. W tych warunkach, jeżeli zwyciężyłoby trójporozumienie, to czynnikiem o zwycięstwie tym decydującym mogłaby być tylko Rosya. Ona musiałaby rozbić Austryę i Niemcy przynajmniej do tego stopnia, aby zmuszone były zaniechać swego naporu na Francję i poprosić o pokój. Rzecz jasna, że Rosya zwycięska byłaby nią nie tylko wobec nieprzyjaciół swoich, lecz także wobec sojuszników, którzy jej właśnie mieliby do zawdzięczenia swoje własne wybawienie. Stosownie do swojej roli w wojnie zwycięskiej postępowałyby Rosya także przy jej likwidowaniu i zawieraniu pokoju, dyktując przedewszystkiem swoją wolę i wedle swoich planów urządzając Europę. Współdziałanie Francji i Anglii zredukowałoby się w praktyce do granic bardzo szczupłych z tego prostego powodu, że same zawdzięczając Rosyi swoje zwycięstwa i bardzo wysilone i wyczerpane, nie miałyby instrumentu żadnego do wywarcia na zwycięską Rosyę w danym momencie odpowiedniej presji. Wola zaś, nawet najlepsza, ale siłą niepoparta, nie ma w polityce znaczenia, tem mniej zaś wówczas, kiedy taka bezsilna wola idzie w kierunku, sprzecznym z wolą czynnika działającego w poczuciu, że to on właśnie jest panem placu. W razie zwycięstwa trójporozumienia, dyktatorką Europy byłaby Rosya.

Jej wola przedewszystkiem musiałaby być respektowaną, a już zupełnie byłaby decydującą na wschodnim terenie wojny, więc właśnie na ziemiach polskich. Wynika stąd, że w razie zwycięstwa trójporozumienia, losy Polski byłyby najzupełniej zależne od woli zwycięskiej Rosyi. Gdyby Anglia i Francya chciały nawet wywrzeć swój wpływ na ukształtowanie tych losów wbrew woli Rosyi, to nie miałyby żadnej praktycznej możności urzeczywistnienia tego. Jak zaś mogłyby wyglądać losy Polski, kształtowane wyłącznie przez zwycięską Rosyę, łatwo można się domyśleć. Zresztą tą kwestyą zajmę się gruntownie niebawem.

Weźmy teraz drugą część zasadniczej naszej alternatywy: zwyciężają Niemcy i Austria. Ewentualność ta antycypuje pobicie Francyi i Rosyi przy zupełnem izolowaniu Anglii. Warunki pokoju dyktują teraz oba zwycięskie mocarstwa środkowo-europejskie. Nikt inny nie ma tu nic do gadania. Wszystkie te gazeciarskie nowinki o tem, jakoby członkowie trójporozumienia poprzysięgli sobie tak dalece dozgonną wierność, że pokoju jeden bez drugiego nie zawrze, należy od razu włożyć między bajki. Dwuprzymierze, zwyciężywszy na obu frontach, zawrze dwa pokoje — jeden na Zachodzie, drugi na Wschodzie. Pokój z Rosyą będzie zawierał elementy takiego lub innego rozwiązania sprawy polskiej. Na warunki tego pokoju nie będzie miała żadnego wpływu ani pobita Francya, ani izolowana i o bezsilności swej w sprawach kontynentu przekonana Anglia. Tak więc i w drugiej ewentualności — zwycięstwa Niemiec i Austrii, obie potencye zachodnie wpływu na ukształtowanie losów Polski nie wywrą żadnego.

Mówi się jednak popularnie o jakimś kongresie, który będzie rzekomo kolegialnie urządził Europę po wojnie. Te nadzieje co do kongresu są dość naiwne i pochodzą raczej z nałogu, niż ze zrozumienia obecnej sytuacji. Wszystkie dotychczasowe kongresy dochodziły do skutku na tej prostej zasadzie, że większość mocarstw europejskich, pozostających w spokoju, regulowała spory członków mniejszości, pozostających w walce. Kongres berliński był sądem Europy nad zwycięską Rosyą i pobitą Turcyą. Doszedł on

do skutku za wolą czterech mocarstw w wojnie turecko-rosyjskiej neutralnych, które jednak widziały się poszkodowanymi przez warunki, jakie Rosya podyktowała Turcyi w San Stefano. Kongres w Algeciras miał na celu wyrównanie przeciwieństw między Niemcami i Francją w sprawie Maroka. Inne państwa w tym kongresie uczestniczące, aczkolwiek niewątpliwie stronnice, występowały jednak jako czynniki rozjemcze tylko, i formalnie nie interesowane. Po wojnie takiej, jak obecna, w której pięć największych mocarstw Europy walczy ze sobą na śmierć i życie, niema po prostu podstawy faktycznej dla takiego kongresu. Któż bowiem będzie w tym kongresie zasiadał? Walczące z sobą wielkie mocarstwa ułożą się między sobą grupami, czy pojedynczo nawet, wedle rozstrzygnięć, jakie ich oręż spowoduje. Czy można przypuścić, aby małe państwa neutralne — Bułgaria, Rumunia, Portugalia, Hiszpania i królestwa skandynawskie, mogłyby utworzyć synedryon europejski, któryby ostatecznie mocarstwa wojujące z sobą rozsądził?

Tak więc kongresu europejskiego, w typie berlińskiego, po tej wojnie nie będzie. A skoro nie będzie kongresu takiego, upada także i trzecia możliwość, jakoby Anglia i Francya, jako uczestniczki takiego kongresu, mogły głosami swymi zawazyć na losach przyszłej Polski.

Nie pomogą tu przeto żadne kręctwa i wymysły, bo sprawa nasza stoi tak, że może ją rozstrzygnąć tylko albo zwycięska Rosya, albo zwycięskie dwuprzymierze austriacko-niemieckie. „*Tertium non datur.*“ Żadne Francye i Anglie nic tu nie będą miały do gadania. — A jeżeli pan Dmowski opowiada romanse o jakichś francusko-angielskich dla sprawy polskiej „gwarancjach“, to jest to albo naiwność, albo świadomy humbug. Ale o naiwność niestety nie możemy go posądzać...

„G R U B A B E R T A“

10 października 1914.

Nie można powiedzieć, aby była koniecznie piękną. Tułów ma stanowczo za długi, talię marną, a buzię o wiele za szeroką. Czterdzieści dwa centymetry w średnicy, czyli nie przymierzając, jak — średniej wielkości szaflik... Przytem ruchy ma ociężałe, z boską gracyą nic nie mające wspólnego. Mimo tych wszystkich mankamentów jednak żołnierze niemieccy są w niej zakochani, jak pensyonarki w młodym profesorze. Niemiecka bowiem dusza ma także swój niemiecki ideał piękności, którego najważniejszą część składową stanowi to, na co my właściwie nie mamy odpowiedniego wyrazu, a co się krótko nazywa „Tüchtigkeit“... Jest to pojęcie całkowitej przystawalności środka do celu. Umysł niemiecki ocenia każdą rzecz przedewszystkiem z punktu widzenia tej przystawalności. Wszystko, co dobrze służy swemu celowi, jest wedle niego — „tüchtig“ i jako takie podoba mu się najbardziej. Zdrowa, chętnie rodząca kobieta, która dobrze wychowuje swe dzieci i rozumnie a oszczędnie prowadzi gospodarstwo domowe, jest „tüchtig“. Dlatego Niemiec kocha ją mimo „Plattfussów“, mimo dotkliwych braków w rysunku jej sylwety, mimo notorycznego braku smaku w ubraniu. Ona bowiem odpowiada wszystkim swym celom, a to w oczach Niemca jest szczytem piękności. To też kiedy „Gruba Berta“ — bo tak się nazywa owa potężna, pracowita a niezgrabna Niemka, wtoczy się wreszcie na przygotowaną dla niej pozycyę i zacznie pilnie raz po raz wyrzucać z siebie na odległość czternastu kilometrów pięćsetkijlogramowe pociski, jeden celny jak drugi, dusza niemiecka rośnie z radości, bo widok tej spokojnej, celowej a gigantycznej pracy odpowiada najbardziej najgłębszym upodobaniom tej duszy.

Wszystkie narody posługują się końmi i armatami. A jednak tylko Niemcy wyhodowali największą rasę konia i największą rasę armaty. Może to nie sam tylko przypadek... Wszakże do wojny sposobili się wszyscy i do oblężania fortec. A jednak

Francuzi i Anglicy, nie mówiąc o Rosyanach, dopiero teraz głośną światu, że zaczęli pracować nad konstrukcją wielkich armat, gdy tymczasem „Gruba Berta“, otoczona licznem a godnem jej rodzeństwem, porozbijała już najsilniejsze forty na świecie.

Jest w psychice niemieckiej pewien składnik, czy też pewne specjalne ustosunkowanie składników, które sprawia, że naród ten zdolen jest akumulować w swoim zbiorowisku bez porównania większą siłę, niż każdy inny. Zauważono to już dawno, porównując Niemca najchętniej z maszyną. Zasadniczymi cechami dobrej maszyny są celowość i ekonomia. Im bardziej odpowiada celowi konstrukcja maszyny, im mniej traci ona siły na siebie samą lub po prostu w przestrzeni, tem silniejszym i skuteczniejszym musi być jej działanie, zmierzające do pewnego celu, obliczone na pewien ściśle określony skutek. Francuz i Słowianin szedłby szturmem na niezdobyte twierdze, Anglik, pykając fajkę, myślałby, kogoby i za jaką cenę wysłać, aby za niego twierdzę tę zdobył, a Niemiec skonstruował sobie maszynę, która dwumetrowe ściany z betonu i żelaza rozbija jak stare garnki... I aż naiwnie prostą jest podstawa tego postępowania. Skoro pobudowano niezmiernie silne twierdze, to potrzeba zbudować niezmiernie silne armaty. Oto typowo niemiecki sylogizm, który mimo swej nieskończonej prostoty okazał się jednak tak trudnym do odszukania w głowach wszelkich innych wojujących narodów. Możnaby powiedzieć, że takimi właśnie sylogizmami Niemcy zwyciężają, że w czynach Hindenburga, że w kunsztyku łodzi podwodnych „U 9“, że we wszystkim innem, co dotąd Niemcy działali, istotę najgłębszą stanowi ten właśnie najprostszy sylogizm środka i celu.

Niemiecki kult ofenzywy, którą Francuzi nazywają „brutalną“, nie jest także niczem innem, jak tem „umaszynowionem“ pojęciem celów walki. Skoro bowiem okazuje się, że ofenzywa jedynie zapewnia w walce powodzenie, to niemiecka logika powiada, że powodzenie to będzie tem większe i tem rychlej przyjdzie, im ofenzywa ta będzie silniejszą, czyli brutalniejszą. A skoro do tego wniosku niemiecka głowa doszła, to niema już żadnej siły, któ-

raby wolę niemiecką wstrzymała od jego urzeczywistnienia. Woli tej bowiem nie krępują żadne przyzwyczajenia, żadne nałogi myślowe, żadne przesady. „Gruba Berta“ jest przewycięzeniem przesądu balistycznego, wedle którego w budowie armat nie można wyjść poza pewien kaliber. Hołdowanie temu przesądowi opłacili Francuzi utratą swoich potężnych twierdz. W niedalekiej przyszłości okaże się z pewnością, ile to jeszcze innych przesądów przewyciężyli Niemcy, przesądów, które krępowały i ubezwładniały innych.

Klasyczny jednak, już teraz znany fakt to — awiatyka. Stworzyli ją Francuzi. Lotnicy francuscy wywracali koziołki w powietrzu ku zdumieniu całego świata i szerokich rzesz niemieckich, przed którymi produkowali się chętnie, nie bez ukrytej intencji zastraszenia ich. Teraz niemieckie „gołębie“ latają sobie spokojnie nad Paryżem, znosząc nań bomby, jak jajka, o francuskich zaś koziołkarzach powietrznych zupełnie przestało się słyszeć. Z Zeppelinów śmiano się i z ironicznymi uśmiechami przyjmowano każdą wiadomość o ich niepowodzeniu. Dzisiaj zaś Anglicy zwołują ankietę ekspertów dla zbadania, w jaki sposób można bronić Londynu przed Zeppelinami, a ankietą dochodzi do wniosku, że — sposobu takiego niema... Zeppelin nie miał za sobą nic, jak tylko logikę, ubogą w porównaniu z szeroką frazeologią jego krytyków, lecz o ileż od niej silniejszą. I dzisiaj tryumfuje jego logika nad frazesami tak, jak spokojny, wyłącznie celowi swej skromnej misji militarnej oddany lotnik niemiecki nad powietrznym akrobatą francuskim.

Armia rosyjska runęła jak lawina. Waliły te nieprzejrzane zastępy przed siebie i waliły, tysiącami żywych ciał zatykając gardziele armat austriackich. Niby coś wielkiego. Aż nagle depresja, zniechęcenie, zwątpienie i wyjazd cara na pole walki dla podnoszenia ducha. Jakież to bardzo... słowiańskie. Jest przysłowie rosyjskie, które brzmi: „Sdielał skandał, pałuczył w mordu i udrał“. Znaczy to: „zrobił skandal, dostał w gębę i uciekł“. Armia rosyjska znajduje się w najlepszej drodze do potwierdzenia słuszności tego przysłowia. Czy można wyobrazić sobie wodzów

niemieckich w położeniu rosyjskich, którzyby, opuszczając główny cel z oka, wysyłali brygady całe gdzieś w góry i za góry na to, aby je tam po kolei znosono. Rennenkampfa bił Hindenburg, a Żyliński spacerował z pół milionową armią po Królestwie tak, że lotnicy niemieccy nie mogli zorientować się, dokąd on właściwie zmierza. Rosyjska strategia, to najjaskrawsza antyteza niemieckiej. Wiekuista improwizacja słowiańska, lenistwo, niedbalstwo i niekosenkwencya, wobec systematyczności, niezłomnej logiki i stalowej konsekwencji niemieckiej. Nie żelazo zwycięża, tylko dusze i głowy. Czy można mieć wobec tego wątpliwości, kto ostatecznie zwycięży?

ROSYA I AUTONOMIA POLSKI

11 października 1914.

Ułamki czterech stronnictw warszawskich: narodowych demokratów, realistów i dwóch stronnictw — pożał się Boże — postępowych, stanęły na początku wojny na stanowisku, że należy sprzyjać Rosji, ponieważ zwycięska Rosja odbierze Prusom Poznańskie i Gdańsk, a Austrii Galicyę i skupionej w ten sposób pod berłem Romanowa całości ziem polskich da samorząd, a jak powiedział niedawno pan Dmowski — „może i coś więcej“.

Jak widzimy „oryentacja“ jasna i prosta. Tak prosta, że aż żal bierze tego papieru, który zepsuto i tych języków, które sobie postrzępiono, włączając to głębokie „wskazanie“ w głowy burżuazyi warszawskiej. Istnieją w zjawisku tej „oryentacji“ dwa problemy: problem jej obiektywnej słuszności i problem jej narodowo-subiektywnego uzasadnienia. Zajmę się dzisiaj tym pierwszym.

Jak się przedstawia strona faktyczna endecko-realistyczno-postępowej orientacji?

Jak widzimy z przytoczonej wyżej koncepcji, podstawę jej stanowi stary postulat polskiej myśli politycznej, aby całość ziem polskich znalazła się pod jednym kapeluszem. Dlaczego jednak

wymienieni politycy warszawscy upodobali sobie właśnie — czapkę moskiewską, pod którą pragnęliby zobaczyć nie tylko Poznań i Gdańsk, lecz także Lwów i Kraków? Oto dlatego, że wyobrazili sobie, iż z pośród Niemiec i Rosyi — Austrii oni nie raczą liczyć — Rosya jest słabszą, więc mniej niebezpieczną. Jako słabsza, Rosya będzie musiała bardziej liczyć się z prawami i żądaniami Polaków, więc nie tylko da Polsce samorząd, ale go także nie będzie próbowała odebrać. To jest kościec argumentowy tej moskalofilskiej orientacji, który rzecznicy jej przyozdabiają w frazeologię słowiańską, a ostatnio także w europejsko-kulturalną, twierdząc zgodnie z ogłupiałymi szowinistami francuskimi, że obecna wojna toczy się przeciw — „barbarzyństwu“ germańskiemu...

Kryterium wyboru między Niemcami a Rosją, którem jest jej „słabszość“ — jest zupełnie niedorzecznem. Bo skoro raz stajemy na tem beznadziejnem stanowisku, że ani ze strony Rosyi, ani ze strony Niemiec nie możemy się niczego spodziewać, to dalsze pocieszanie się tem, że jednak Rosya jest słabszą, niż Niemcy, nie ma żadnego sensu. Byłaby to logika człowieka bezbronego, który, napadnięty przez dwóch zbójców, jednego z młotem żelaznym, drugiego z kłonicą w ręce, zacząłby szukać ratunku u tego z kłonicą, ponieważ kłonica jest słabsza, niż młot żelazny...

Rosya jest niewątpliwie słabszą, niż Niemcy, ale bynajmniej nie w stosunku do nas. Nie tylko bowiem cała przeszłość, ale jeszcze bardziej teraźniejszość całego zaboru rosyjskiego dowodzi, że Rosya ma dość siły nie tylko aby nas gnębić i rozwój nasz tamować, ale co więcej, aby nas demoralizować i doszczętnie ogłupiać, jak to widzimy w samym fakcie możliwości pojawiania się takich endecko-realistyczno-postępowych „orientacji“...

Czy jednak Rosya może dać Polsce samorząd i czy może go w przyszłości uszanować? Szereg zupełnie nieodpartych argumentów przemawia za tem, że gdyby nawet rząd rosyjski zdobył się na ten akt sprawiedliwości elementarnej wobec Polaków, to już w najbliższej przyszłości musiałby powrócić do polityki analogi-

cznej z jego polityką finlandzką, zmierzającej do zacieśnienia tego samorządu i stopniowego jego zniesienia na rzecz dotychczasowej centralistyczno-unifikacyjnej polityki.

Przedewszystkiem argument psychologiczny. Rosya, która prowadzi obecną wojnę, jest Rosyą nacyonalistyczno-reakcyjną, opierającą się na znanym programie: prawosławia, samodzierżawia i narodowości oczywiście rosyjskiej. Zwycięstwo Rosyi byłoby niesłychanym tryumfem tego właśnie programu, w którym niema miejsca na żadne samorządy, który wyklucza po prostu wszelkie prawa obcych narodowości, twierdząc, że wszystkie one powinny zlać się — w rosyjskim morzu... Potrzeba istotnie być albo głupcem, albo zgoła czemś jeszcze gorszem, aby rozumować, że jakiś program polityczny dlatego odnosi zwycięstwo, aby się zmienić w swoją — antytezę...

Tryumf nacyonalizmu rosyjskiego, który na dzisiejszym poziomie kultury rosyjskiej jest po prostu ludożerczym, byłby po zwycięstwie Rosyi tak wielkim, że niema siły, któraby dążenia unifikacyjne tego nacyonalizmu mogła ograniczyć. A przecież bez takiego ograniczenia tych właśnie typowych dążeń nacyonalistycznych nie mogłoby być mowy o jakimś uznaniu praw Polski jako całości narodowo i kulturalnie odmiennej. Rosya, której olbrzymie zwycięstwo — bo musiałyby ono być olbrzymiem — potwierdziłoby słuszność rządzących nią dzisiaj zasad despotyzmu i skrajnego nacyonalizmu, stałaby się państwem krańcowo reakcyjnym. Potrzeba znać historię panowania Mikołaja I, aby móżdż nabrać przybliżonego przynajmniej wyobrażenia o tem, na jakie to zawrotne wyżyny pychy i pewności siebie wzbijały się wówczas „tryumfująca moskiewska świnia“, że użyję słynnego wyrażenia Mereżkowskiego. Kancelarya Sazonowa mogłaby jeszcze cały tuzin rozmaitych manifestów do Polaków napisać dla użytku rosyjskiego generalissimusa. Nie tylko ulice Warszawy, ale także ulice Lwowa mogłyby być tymi manifestami od góry do dołu zalepione, to jednak nacyonalistyczna Rosya pozostałaby tem, czemby ją zrobiło zwycięstwo...

Dzisiaj wiadomo już, że rząd rosyjski na długo jeszcze przed-

tem, zanim wysłał skrytobójców z Belgradu do Sarajewa, już rozpoczął był mobilizację. Już w kwietniu i maju zaczęto ściągać syberyjskie pułki na Zachód. Więc Rosya przygotowywała się do wojny. W Petersburgu urzędował Delcassé, który podobno nakłaniał rząd rosyjski do ustępstw na rzecz Polski. A jednak mimo tych przygotowań do olbrzymiej wojny i mimo protekcji Delcassé'go rząd rosyjski nie zdobył się wobec Polaków nie tylko na żadne ustępstwo, ale nawet na spełnienie danych już zobowiązań. Jeszcze w czerwcu Rada Państwa odrzuciła po raz drugi projekt rosyjskiego samorządu dla miast Królestwa Polskiego. I znowu powtórzę, że potrzeba być skończonym głupcem, albo czemś znacznie gorszem, aby myśleć i chcieć, aby także drudzy myśleli, że Rosya zwycięska nie tylko da nam to, czego nie dała, przygotowując się dopiero do wojny, ale jeszcze — „coś więcej“.

Wiemy, że Synod petersburski ogłosił obecną wojnę jako świętą wojnę prawosławia z wszelkiego gatunku „bezbożnikami“ katolikami i innymi. We wszystkich cerkwiach rosyjskich od Władywostoku po Warszawę popi rosyjscy wygłaszają kazania, wzywając wiernych do wojny w obronie świętego prawosławia, przedstawiając ją jako pochód krzyżowy prawosławia przeciw innowiercom. A teraz wyobraźmy sobie, że po zwycięstwie, odniesionem w tej prawosławnej wojnie, Rosya daje nagle samorząd, czy „coś więcej“ nawet — komu? Katolickiej Polsce, Polsce reprezentującej tak świetnie Rzym i jego ducha, Polsce należącej każdą myślą swoją do tego znieprawionego i „zgniłego“ Zachodu, który właśnie legł u stóp zwycięskiego nacjonalizmu i prawosławia rosyjskiego . . .

Nie, zaiste potrzeba samemu stanąć na głowie i to zupełnie pustej, aby w ten sposób na głowie stawiać najoczywistszą rzeczywistość.

Ale to bynajmniej nie wszystkie argumenty i nie najważniejsze przeciw — endecko-realistyczno-postępowej orientacji.

Dalsze przedstawię niebawem.

Powyżej starałem się wykazać, że nie tylko brak wszelkich danych, któreby przemawiały za tem, iż Rosya zwycięska mogłaby obdarzyć Polskę mniej lub więcej szeroką autonomią, lecz także,

że istnieje szereg danych bardzo poważnych, uprawniających do wniosku, wprost przeciwnego, mianowicie, że Rosya zwycięska rozpoczęłaby dopiero silną politykę eksterminacyjną i unifikacyjną wobec Polski. Wszystkie te, zanalizowane w tym artykule dane, leżą w sferze czynników czysto politycznych.

Teraz przyjrzymy się technicznej stronie owej rzekomej autonomii, której, wedle zapewnień czterech stronnictw warszawskich i obietnicy generalissimusa rosyjskiego, mamy oczekiwać od zwycięskiej Rosyi, n. b. jeżeli będziemy grzeczni... Już bowiem bardzo powierzchowne nawet zaznajomienie się z techniczną stroną tej kwestyi przekona nas, że autonomia Polski, chociażby tylko etnograficznej, z rąk Rosyi, jest rzeczą praktycznie niewykonalną.

Od lat pięćdziesięciu Królestwo Polskie jest zalane czynownictwem rosyjskiem, którego liczbę zwiększa się przy każdej sposobności dla wzmocnienia kolonizacyi rosyjskiej nad Wisłą. Upaństwowienie kolei warszawsko-wiedeńskiej obok względów pseudostrategicznych, podyktowane zostało tym właśnie zasadniczym względem na wzmocnienie i zwiększenie żywiołu rosyjskiego w Królestwie. Rugi urzędników polskich, które wbrew obłudnym zapewnieniom Kókowcewa nastąpiły natychmiast po dokonaniu upaństwowienia tej kolei, dowiodły tego najlepiej.

Czynownictwo, którem Rosya zalewa od pół wieku Królestwo Polskie, znajduje się w położeniu wysoce uprzywilejowanem. W stosunku do ludności miejscowej reprezentuje ono żywioł panujący, co wyraża się przedewszystkiem w większej niż w Rosyi rodzimej bezwzględności w wyciskaniu z ludności łapówek i wszelkich innych nieprawnych opłat. W stosunku zaś do rządu hordy te stanowią kadry „Kulturträgerów“ — należy czytać „Kulturbrecherów“ — rosyjskich, których powołaniem zasadniczem jest nie tylko administrowanie krajem, ale także zaszczepianie w nim rdzennie rosyjskiego ducha patryotyzmu i nacyonalizmu.

Czynownictwo takie, demoralizowane dodatkami nadzwyczajnymi do pensyj i po prostu zachęcane do uciskania i szykanowania ludności w duchu patryotyzmu rządowego, już z powodów

najbrutalniej ekonomicznych staje się podstawą i ostoją wojującego nacyonalizmu państwowego, który ze swej strony pielęgnuje usilnie jako najsilniejszą podstawę ideową swego uprzywilejowanego położenia materyalnego. Wszystkie kluby patryotyczne rosyjskie w Warszawie składają się wyłącznie niemal z urzędników rosyjskich, posiadających rozmaite jawne i tajne „priebawienia“ do — „żałowanij“...

Nie mam pod ręką dokładnej statystyki ludności Królestwa Polskiego. Mogę jednak bez ryzyka zbyt wielkiego błędu powiedzieć, że ten czynowniczo-rosyjski żywioł, który w ciągu półwiekowego przeszło trwania dotychczasowego systemu polityki rosyjskiej wobec Królestwa wtłoczyła w nie Rosya, wynosi co najmniej pięćdziesiąt tysięcy rodzin, rozlokowanych w rozmaitych poziomach życia społecznego od najwyższych do niskich, lecz bardzo rzadko — najniższych, te bowiem rząd rosyjski pozostawiał dotąd łaskawie — autochtonom...

Gdyby Rosya chciała obdarzyć Królestwo Polskie najskromniejszą chociażby autonomią, to przynajmniej cztery piąte tej rzeszy musiałyby cofnąć się z powrotem do Rosyi, na pozycye pod względem materyalnym dotowane znacznie gorzej, w środowisko kulturalnie niższe, od którego czynownicy Królestwa już dawno odwykli, nauczywszy się cenić wygodę życia w społeczeństwie cywilizowanem. Jedno i drugie byłoby przez dotkniętych takimi rugami odczute jako — krzywda, tem cięższa, że niezasłużona. Bo oni przecież pracowali dla Rosyi uczciwie, usilnie starali się rusyfikować i maltretować zdradziecką ludność miejscową, mnóstwo z jej strony znosili przykrości, a w zamian za to całe „poświęcenie bez granic“ dla sprawy rosyjskiej muszą teraz wracać do Rosyi na gorsze materyalnie i moralnie stanowiska. Pokrzywdzone w tak srogi sposób czynownictwo Królestwa podniosłoby straszliwy lament, wobec którego nie mogłyby pozostać głuchemi wszystkie nacyonalistyczne żywioły w Rosyi. Rozumowałoby ono niewątpliwie w ten sposób: jakto, czyż na to zwyciężyliśmy świat germański, abyśmy teraz najzasłużeńszych pracowników i szermierzy naszej wielkiej i zwycięskiej idei mieli pozbawiać ich

stanowisk i warsztatów ich — jak się okazało — tak owocnej pracy...

I z punktu widzenia nacjonalizmu rosyjskiego nie możnaby temu rozumowaniu zarzucić braku logiki. Jeżeli bowiem czynownicy rosyjscy administrowali krajem nadwiślańskim tak dobrze, że w czasie wojny okazał on tak wielką lojalność wobec Rosyi, to jakież może być powód do usuwania ich stamtąd i zastępowania czynownictwem innym — polskim. Przeciwnie, należy wzmocnić jeszcze czynownictwo rosyjskie, jako czynnik dowodnie dla państwa pożyteczny. Taki musiałby być tok rozumowania rządu rosyjskiego, który zupełnie zgadzałby się z rozumowaniem nacjonalizmu rosyjskiego, doprowadzając w konsekwencji nie do autonomii Królestwa, ale do dalszego wzmocnienia i uprzywilejowania stanowiska czynownictwa rosyjskiego w tym kraju.

Tak więc kwestya czynownicza w Królestwie Polskiem sama jedna stanowić musi nieprzewycięzoną przeszkodę do obdarzenia tej części Polski autonomią czy samorządem, nawet gdyby te i owe żywiły w rosyjskich najwyższych sferach były ożywione najlepszymi w tym względzie chęciami.

Przypuśćmy jednak, że całe to powyższe rozumowanie okazuje się fałszywem, ponieważ, wbrew przewidywaniom, Rosyę zwycięską ogarnia płomień wdzięczności dla Polaków za zachowanie się ich czterech grup rusofilskich, że płomień ten przepala dusze nie tylko rozmaitych Bobrińskich i Eulogiuszów tak, że nie protestują przeciw autonomii, ale także i dusze czynowników warszawskich, którzy bez szemrania pozostawiają dobrze zagrzone swoje miejsca polskim następcom, a sami wracają do Kaługi, Rjazania i t. p. Przypuśćmy jednym słowem, że pod wpływem jakiegoś porywu szlachetności i wdzięczności, Królestwo Polskie otrzymuje istotnie tę upragnioną autonomię rosyjską. Jakże może ona posiadać załatki trwałości?

Antagonizm Rosyi do pobitych Niemiec musiałby być znacznie większy, niż był dotychczas, ponieważ Rosya musiałaby ciągle liczyć się z odwetem niemieckim, któremu zapewne sprzyjałaby w przyszłości także i Anglia, jak obecnie sprzyja naporowi rosyj-

skiemu. Wskutek tego Królestwo Polskie byłoby po wojnie zwycięskiej „plasdarmem“ jeszcze ważniejszym, niż było dotychczas, kiedy to poglądy na znaczenie strategiczne tego kraju zmieniały się w Petersburgu bardzo często a tak gruntownie, że twierdze w Królestwie to burzono, to budowano na nowo... W Królestwie Polskiem Rosya zwycięska musiałaby skupić jeszcze większe, niż dotąd, siły wojskowe, aby być gotową do odparcia ciosów niemieckich. Z konieczności czysto rosyjski czynnik militarny w tym kraju nie tylko zachowałby swoje dotychczasowe znaczenie, ale jeszcze wzrósłby w niem w sposób dotąd niebywały. Ponieważ zaś jest bardzo niewiele kwestyj administracji cywilnej, któreby tak lub inaczej nie wiązały się z kwestyami administracji wojskowej, przeto można sobie z łatwością wyobrazić, coby się działo w Królestwie samorządnem, czy nawet autonomicznem, w którem administracja cywilna spoczywałaby w rękę polskiem, wojskowa zaś w rosyjskiem. Tarcie pomiędzy temi administracyjami byłoby nieuniknione. A jego skutki byłyby tylko jedne: rosyjska administracja wojskowa brałaby coraz bardziej górę nad polską administracją cywilną, zacieśniając stopniowo coraz bardziej jej zakres działania i prędzej czy później unicestwiając ją zupełnie. Jeżeli Finlandya, od której przywódców fińskich przedewszystkiem nasi rusofile uczyć się mogą dopiero sztuki lojalności wobec Rosyi, której znaczenie strategiczne dla Rosyi nie może iść w porównanie z takimże znaczeniem Królestwa, nie wytrzymała ostatecznie naporu rosyjskiego nacjonalizmu i militarizmu, to jakże można się łudzić, że oprze mu się przez czas dłuższy autonomia Królestwa Polskiego, świeża, wielkodusznie darowana przez zwycięską Rosyę? Tak więc, gdyby nawet stał się cud i Rosya zwycięska dała autonomię Królestwu, to autonomia ta już w swym zarodku nosiłaby z konieczności zadatki bliskiego i opłakanego dla nas końca.

W zwycięskiej Rosyi zatem ani autonomia, ani samorząd Królestwa Polskiego nie są technicznie wykonalnemi.

O D P Ł Y W

13 października 1914.

Wysoko wzniosłszy swe mętne fale, mocno bryznęło niemi morze rosyjskie na granice Galicyi, zalewając je szeroko, po Karpaty na południu, po Wisłę na zachodzie. Lecz rozlawszy się, stanęło. Potężne jego fale rychło straciły swój rozpęd. Morze ze wzburzonego stało się martwem, w którym też zaraz rozmaici rybacy zaczęli — ryb szukać... Lecz zanim jeszcze cokolwiek godnego uwagi złowili, zaczął się odpływ. Armia rosyjska okazała się bezkształtną amebą, pozbawioną silnego rdzenia pacierzowego, któryby kierował jej ruchami z siłą i stanowczością. Ofenzywa rosyjska złamała się jak gdyby sama w sobie, jak gdyby kierownikom jej zabrakło nagle wątki myśli, niby niewprawnym mowcom, którzy, zgubiwszy wyuczony na pamięć tekst, zaczynają się jąkać i zakłopotani już, aby tylko sam fakt mówienia ratować, zaczynają wszystko — od początku...

Wzięli Moskale bezbronny i niebroniony Lwów, co przedstawili u siebie w domu jako zwycięstwo olbrzymie. Widzieliśmy ilustracje, przedstawiające okropnie krwawe „zdobywanie“ Lwowa. Potem posunęli się aż pod Przemyśl, rozwinąwszy aż dwa czy trzy korpusy, zdobyli przyczółek mostowy w Sieniawie, broniony przez tysiąc naszych i dwa karabiny maszynowe, rozsypali się po wzgórzach między Sanem i Wisłokiem i stanęli, jakby nie wiedzieli, co dalej robić z taką masą — „sukcesów“. Próbowali obchodzić Przemyśl, który, jak potężna i niedostępna wyspa, sterczał wśród moskiewskiego potopu, pomacali tu i tam i wreszcie zdecydowali się, że Przemyśla zostawić nie można, że potrzeba go brać. Licząc się jednak z tem, że to branie nie pójdzie tak prędko, wysłali przesmykami górskimi na Węgry oddziały swych wojsk, aby potem telegrafować mogli swoim i sojusznikom i neutralnym, ciągle jeszcze pełnym wahania, że oto idą na Węgry, że lada chwila zajmą Budapeszt, podadzą dłoń Serbom i zniszczą nienawistną monarchię.

Jeszcze Niemcy z daleka tylko oglądali forty Antwerpii, a Zeppelinów ich krążyły nad nią groźnie, a tajemniczo, zbierając wiadomości, kiedy armia generała Ruzskiego otoczyła już zwartem kołem Przemysł i zaczęła go oblęgać i gwałtownie szturmować. Dzisiaj Niemcy są już panami Antwerpii, a Moskale odeszli z pod Przemysła z kwitkiem. I to nie odeszli, ale najdosłowniej w świecie uciekli...

Jedynie twierdze, jakie kiedykolwiek zdobywali Moskale w ciągu całych swoich dziejów, leżały daleko na wschodzie Europy, w środku Azji lub za Kaukazem. Pierwszy raz pokusili się o zdobycie twierdzy w środku Europy i doznali przerażającego fiaska. I nie chodzi tu o te trzydzieści blisko tysięcy trupów rosyjskich, którymi armia Ruzskiego usiała rozmokłe pola pod fortami Przemysła, chodzi tu o coś znacznie donioślejszego, o to mianowicie, że pod tym prastarym grodem Czerwieńskim ujawniło się po raz pierwszy w całej pełni to złamanie się ofensywy rosyjskiej i jej ducha. Zdobycie Sewastopola kosztowało armie sprzymierzone 64.000 ludzi. Japończycy za Port Arthura zapłacili także przeszło 50.000 ludzi. Niemcy z pewnością nie brali tego pół tuzina twierdz francuskich i belgijskich, które im dotąd w ręce wpadły, gołymi rękami. Decydującym jest tu moment nie strat w ludziach i materiale, ale moment cofnięcia się bez wszelkiego rezultatu. Armia, która odstępuje od oblężenia, jest już zwyciężoną w swem wnętrzu, sama dobrowolnie zrzeka się prawa atakującego, który jest jak gdyby prawodawcą na polu bitwy.

Lat temu trzydzieści siedm uderzała armia rosyjska siedm razy na zbudowane na prędcie polowe oszańcowania Osmana paszy pod Plewną i za każdym razem odbijała się od nich, jak potworny kłębek skrwawionych i poszarpanych ciał ludzkich. Generalny sztab rosyjski już był postanowił odwrót, gdy w ostatniej chwili król Karol rumuński zdecydował się wkroczyć ze swoją armią i sprawę rozstrzygnąć. Dzisiaj ten król leży właśnie na katafalku. A w armii rosyjskiej niema żadnej europejskiej duszy, któraby jej dodała odwagi i zdolności wytrwania.

Odstąpienie od Przemysła rozpocznie niewątpliwie nowy roz-

dział w historii tej wojny, rozdział dziejów defenzywy i cofania się Rosyan. Moskiewskie „Utro Rossii“, dziennik nacyonalistyczny i wychodzący pod cenzurą rosyjską, ogłasza, że dotąd straty Rosyan w zabitych, rannych, wziętych do niewoli i chorych wynoszą — ośmset tysięcy ludzi. Jakkolwiek wysoko szacowalibyśmy to, co mogłaby wystawić Rosya, zasługującego na miano armii, będzie to co najmniej jedna czwarta część, która już dzisiaj jest tylko tęsknem wspomnieniem dla wodzów rosyjskich. Przy takim procencie strat ogólnych, nawet silniejsze i kulturalniejsze armie tracą pierwotny rozpęd i mimowoli zaczynają oglądać się wstecz. W armii rosyjskiej zjawisko to musi być już całkowicie powszechnem. Zresztą w odstąpieniu od Przemyśla możemy je obserwować najwyraźniej.

Wody morza rosyjskiego, które zalało przed miesiącem Galicyę, już cofają się. Każdy dzień i każdy tydzień będzie odślaniać coraz więcej nieszczęsnej ziemi naszego kraju. Oby na widok tego, co ujrzymy po całkowitem już ustąpieniu zalewu moskiewskiego, nie — zabolaly nas oczy...

P R Z E D W C Z E S N Y P R O G R A M

15 października 1914.

Gdyby mocodawcy grafa Georgia Bobrińskiego, „generał-gubernatora Galicyi wschodniej“ mieli ślad jakiegokolwiek kultury politycznej, powinni by dać mu dymisję natychmiast po wygłoszeniu przezeń słynnej mowy programowej w pałacu namiestnikowskim we Lwowie. Barbarzyńska bowiem i brutalna otwartość, z jaką wypowiedział on swoje i nacyonalistycznej Rosyi zamiary wobec Galicyi, była niebacznem wyrzuceniem kart na stół na długo jeszcze przed — ukończeniem gry... Mocodawców swoich naraził on na śmieszność i szkodę, bo odtąd nie będą już mogli nigdy wyprzeć się swojej wspólności z rosyjską agitacją w naszym kraju, ani też przybierać niezgrabnej pozy liberałów, „oswobodzicieli“ i t. p. Graf Bobrinskij bowiem jako przedstawi-

ciel rządu rosyjskiego, nie czekając nawet końca, który — jak wiadomo — dzieło chwali, wystąpił w charakterze typowo rosyjskiego rewindykatora praw, których nigdy nie miał, których nikt nigdy nie dawał, ani nie pisał. Rosyjski duch ma zapanować w całej Galicyi wschodniej i Łemkowszczyźnie. Co się zaś tyczy Galicyi zachodniej, której polskość łaskawy graf raczył uznać, to po „wyswobodzeniu“ jej, jeżeli okaże się grzeczną i potulną, pomyśli się o niej miłościwie.

Panowie Dmowski i jego przyjaciele obiecywali narodowi polskiemu hojne dary od ruszającej na zwycięstwa Rosyi. Graf Bobrinskij przyniósł je rzeczywiście i rozłożył szerokim gestem przed oczyma zdumionego świata. Nie mieliśmy co do nich nigdy żadnych złudzeń, wiedzieliśmy zawsze, że od Rosyi możemy oczekiwać tylko zagłady, walki na śmierć i życie i bezlitosnego niszczenia owoców naszej wiekowej na Wschodzie pracy kulturalnej. Ale to musimy przyznać, że nawet w ustach rosyjskiego satrapy galicyjskiego nie oczekiwaliśmy tyle nieokrzesania bezgranicznego, tyle mongolskiej zaiste buty. On przyszedł „wyzwalać“ Galicyę nie tylko wschodnią, lecz także i zachodnią — o dziwo! Wyzwalać? Z czego? Zapewnie z tych dwóch uniwersytetów polskich i licznych katedr ruskich, z jedynej polskiej politechniki, z szeregu szkół zawodowych, z ogromnego szkolnictwa ludowego, z półtorej setki szkół średnich, z wolności stowarzyszeń, które oczywiście zabierają wiele czasu, z wolności słowa, która sprzyja gadaniu głupstw, i z tej wielkiej obywatelskiej wolności, dzięki której każdy czuje się pod ochroną sumiennie wykonywanego prawa swobodnym i wolnym. Wyzłocony sługa cara moskiewskiego zapowiada obywatelom państwa najliberalniej rządzonego, państwa z parlamentem, na powszechnem głosowaniu opartym, państwa, w którym, w teorii przynajmniej, wszystkim wszystko stoi otworem, w którym wolność panuje tak wielka, że nawet przekupna i zdradziecka kanalia wszelkiego gatunku może swobodnie torować drogi siepaczom carskim — obywatelom takiego to państwa car rosyjski obiecuje przez usta swego wiernopoddanego raba — „wyzwolenie“...

Głęboko musiała pochylić się biała głowa szlchetnego wice prezydenta miasta Lwowa, dra Rutowskiego, pod brzemieniem tych dzikich bredni. Bolesnie musiało ścisnąć się to serce, które tak ukochało ten Lwów, tego „pomnożyciela polskości“, kiedy początkujący satrapa rosyjski z naiwną pychą potomka koniuchów tatarskich zapowiedział, że odtąd gród ten sławny ma być ogniskiem — rosyjskiego ducha. Trwożnie musiała drgnąć dusza kulturalna tego poważnego demokrata polskiego, kiedy słyszał, że owoce jego niestrudzonej pracy i wysiłków, aby w tym Lwowie, na polskich kresach zbudować twierdzę kultury polskiej, pójdą oto na marne, bo potomek Holstein-Gottorpów aroguje sobie prawa do tej „najstarszej stolicy rosyjskiej“ ze wszystkim, co w niej wyhodowała i wypieściła kultura — polska...

Tak wyglądają dary, które ośmielała się Polsce obiecywać demokracja narodowa warszawska i inna. Tak wyglądają te „zdobycze“ narodowe, które każą nam cenić najbliżsi przyjaciele tych, którzy jeszcze przed rokiem niespełna ze swej kameleonowej skóry wyłazili, broniąc — polskości Lwowa... Dużo, dużo potrzebaby o tem powiedzieć. I niedalekim już jest czas, kiedy o tem potrzeba będzie pogadać. Bo nie tylko graf Georgij Bobrinskij zawcześnie odślonił swe karty. Nieostrożny co najmniej pośpiech ujawnili także i inni, którzy, jeżeli nie stanęli jeszcze przed sądem własnego sumienia, będą musieli stanąć przed innym sądem.

Potop moskiewski już ustępuje. Mongolska fala odpływa. Oby zabrała z sobą także to wszelkie plugastwo upadku i zacierzonej głupoty, które jak gdyby wypłukała z wschodnio-galicyskiego gruntu. Niechaj spłynie ono z nią razem do — rosyjskiego morza, aby oczom naszym przedstawił się widok kraju nieszczęsnego wprawdzie i zniszczonego na długie lata, ale czystego, kiedy nad tą krwawą sceną podniesie się kurtyna, kiedy wojska nasze, walczące o najwyższe dobra ludzkości, zgniotą wreszcie pychę moskiewską i na zawsze ocalą nasz naród przed największym nieszczęściem, kulturę i cywilizację przed katastrofą największą.

L E G I O N Y W O G N I U

16 października 1914.

Trzy pułki naszych Legionów stoją już w ogniu. Podczas gdy pułk Piłsudskiego oddaje armii austro-węgierskiej ogromne usługi na północnym terenie wojny, poszczególne bataliony dwóch drugich wieńczą się sławą nieustraszonego męstwa w przesmykach karpackich, broniąc wraz z oddziałami wojsk austriackich ziemi węgierskiej przed inwazyją moskiewską.

Tradycja wspólności broni, która łączy nasz naród z węgierskim i wspólność wroga, który nam zarówno jak i Węgrom zagraża najstraszniejszym nieszczęściem, pozwala nam łatwiej godzić się z faktem, że nasze wojsko, na które naród polski zdobył się z heroicznym wprost wysiłkiem ofiarności w ludziach i dobytku, nie walczy na polskiej ziemi, ale na obcej. Rozumiemy, że fakt udziału naszych Legionistów w walkach pod Marmaros Szigetem, może jeszcze bardziej zacieśnić sympatyczny stosunek między naszym a węgierskim narodem i zapewnić nam jego poparcie dla naszych spraw narodowych, które prędzej czy później znajdą się na porządku dziennym. Dlatego też bynajmniej nie ubolewamy nad tem, że tę wielką chwilę chrztu ogniowego, która w życiu każdego żołnierza jest tak bezmiernie doniosłą, wypadło naszym Legionistom przeżyć na węgierskiej, a nie na polskiej ziemi, mimo, że i na tej nieszczęśliwej ziemi mieliby oni do tej krwawej uroczystości aż nazbyt dużo sposobności.

Jednakowoż sądzimy, że po tym chrzcie ogniowym, który wskutek rozmaitych okoliczności odbył się na niepolskiej ziemi, dalsza rycerska działalność naszych Legionów powinna rozwijać się w Polsce i na polskiej ziemi, dopóki szczęście wojenne nie pozwoli jej przenieść dalej ku Wschodowi na ziemię odwiecznego wroga, którego przecież nie w Polsce, ale na jego własnej ziemi zgnieść tylko można i do uszanowania naszej woli do życia zmusić. Wymaga tego wyraźnie akt erygujący powstanie samych Legionów, które, wedle wyraźnego brzmienia aktu z dnia 16 sier-

pnia 1914, walczyć mają przeciw Rosji na ziemiach polskich. Wymaga tego racya najgłębsza tego bohaterskiego porwywu, na który zdobył się naród nasz, wysyłając w pole tę resztę swojej młodzieży, która mu jeszcze po mobilizacyi powszechnej pozostała, i wyposażając ją we wszystko, co za wdowi grosz zrujnowanego wojną społeczeństwa kupić i sporządzić jeszcze było można.

Naczelne dowództwo armii austriacko-węgierskiej, zgadzając się na wystawienie tych Legionów, rozumiało niewątpliwie ich rację i wiedziało dokładnie, że wartość ich bojowa wzrastać będzie tem bardziej, im jaśniej widzieć będą Legioniści, że walczą o tę sprawę, którą przedewszystkiem ukochali, o tę ideę dla nich i dla nas wszystkich najświętszą, która ich oderwała od rodzin, która już dawno napoiła ich tęsknotą do broni, tęsknotą tak długo niestety niezaspokajaną. Ideą tą zaś jest idea polska, której największa siła leży na ziemi polskiej. Jeżeli więc prawdą jest, że na wojnie obok armat i karabinów działać musi zawsze jeszcze i trzecia siła, zwana „ideą“, to także jest prawdą, że siła tej idei rozwinąć się może najwspanialej tam tylko, gdzie się ta idea zrodziła, gdzie żyje i gdzie przedewszystkiem działa.

Wprawdzie w przesławnych przodkach naszych Legionistów idea polska była tak silną, że dla niej szli na San Domingo, w przekonaniu, że i tam będą coś mogli dla Polski wywalczyć, ale wiemy, że dzieje późniejsze dowiodły, iż takie nazbyt szerokie stosowanie idei, jednak z pewnem określonym terytoryum związanej, nie przyniosło pożytku ani tym, którzy największe ofiary z siebie dla tej idei składali, ani tym, którzy ofiary te przyjmowali.

Mamy zaufanie do rozumu i lojalności decydujących w tej sprawie czynników i wierzymy, że nie zechcą one powtórzyć błędu San Domingo, że Legiony nasze ogniem moskiewskim na pograniczu węgierskiem ochrzcivszy, przyprowadzą je na ziemię polską. Bo na tej ziemi znajdzie się dla chłopców, którzy w serca swe wzięli wszystek ból i wszystkie nadzieje nieszczęśliwego a wielkiego narodu, dość miejsca i dość sposobności do okaza-

nia, że nie co innego, jak tylko najczystsza a bezgraniczna miłość sprawy ojczyściej i niezachwiana wiara w lojalność Austrii na pole krwawych zapasów ich sprowadziła.

Pułk Piłsudskiego, który gdzieś tam nad Wisłą dokazuje cudów, o jakich później dopiero będzie nam wolno dowiedzieć się dokładnie, dowodzi najlepiej, czem może być Legion polski, użyty na właściwym miejscu, wśród właściwych warunków i we właściwym mu celu. Wierzymy, że czynniki w tej mierze decydujące zechcą to zrozumieć i że w najbliższej przyszłości już dadzą możliwość także dwom drugim pułkom naszych Legionów zmierzenia się z naszym wrogiem odwiecznym nie tylko w Karpatach węgierskich, lecz także na naszych rodzinnych, na naszych polskich ziemiach.

„O S W O B O D Z E N I E” G A L I C Y I

27 października 1914.

Rdzeń konstrukcji politycznej czterech stronnictw rusofilskich w Warszawie jest następujący: Rosya zabierze wschodnią Galicyę jako ziemię „rdzennie rosyjską”, w zamian zaś za to przyłączy do Królestwa Polskiego Galicyę zachodnią, Poznańskie i Gdańsk, obdarzając zjednoczoną w ten sposób Polskę etnograficzną autonomią szeroką pod berłem Romanowa.

Dzisiaj na schyłku pierwszego kwartału wojny tylko pierwsza część tego wielkiego programu warszawsko-petersburskiego została urzeczywistniona i to bardzo — prowizorycznie. Rosya zajęła wschodnią Galicyę, zapowiadając w niej przez usta swego generał-gubernatora wprowadzenie jak najrychlejsze — rosyjskiego ducha, ale o Gdańsku i Poznaniu, nie mówiąc już o Krakowie, jakoś dotąd nie słyhać. Natomiast mogą politycy warszawscy przysłuchiwać się dokładnie hukowi armat niemieckich pod — Warszawą... Być może, że w echem tych strzałów doszukają się nowych argumentów dla — swojej konstrukcji politycznej... Wiadomo bowiem, że panowie ci mają hart i wytrwałość...

Ta ostatnia szczególnie cnota udzieliła się widocznie ogromnej części prasy warszawskiej, która z nieprawdopodobną wprost wytrzymałością brnie coraz dalej w niepojętych wprost fałszach i głupstwach, objawiając równocześnie jakieś przerażające znieczulenie wobec najdotkliwszych nawet ciosów.

Tymczasem Rosya, odkładając widocznie wzięcie Gdańska, Krakowa i Poznania na później, bo to przecież takie drobnostki, skupia całą swą uwagę i wypróbowaną twórczość na „urządzaniu“ Galicyi wschodniej. Program tej pięknej roboty, której jednak rychły kres lada tydzień armaty austryackie położą, znamy już po części z mowy programowej grafa Bobrinskiego, mimo, że więcej było w niej pospolitych gróźb, niż twórczych myśli. Ale gubernator rosyjski nie jest od myślenia. Tę żmudną robotę wykonuje się w centrum państwa nad Newą, gdzie po temu znajdują się od dawna już wytworzone i należycie przygotowane organa. Najważniejszym z nich jest Towarzystwo rosyjsko-halickie, które do niedawna, złożone z Werguna i jeszcze raz z — Werguna, rozrosło się teraz niepomiernie, ponieważ program jego stał się nagle doskonałą platformą dla szybkiej a niezawodnej karyery. Dzisiaj w towarzystwie tem działa już wypróbowany przyjaciel Polaków, minister sprawiedliwości, Szczegłowitow, który zapewne drży z niecierpliwości, aby jak najrychlej z sądów wschodnio-galicyjskich usunąć — polskie śmiecie, w czem mu oczywiście p. Dmowski nie będzie przeszkadzał. Obok tego dostojnika siedzi tam mnóstwo innych na żer łakomych, łącznik zaś pomiędzy tem towarzystwem a niebem prawosławnem stanowi „archiepiskop“ Eulogiusz, który wraz z kolegami swoimi — metropolitą Flawianem, odeskim Nazaryuszem i kiszyniewskim Platonem, założył już spółkę dla zorganizowania i eksploataowania prawosławia w Galicyi.

W tem to Towarzystwie halicko-rosyjskiem znajduje się główny warsztat myśli polityczno-narodowej rosyjskiej, produkowanej teraz wyłącznie na użytek świeżo „oswobodzonej“ Galicyi. Wszystkie oficjalne enuncyacje mężów stanu rosyjskich są tylko wiernem, a odpowiednio osłabionem echem głosu tego Towarzystwa, który

też potrzeba usłyszeć bezpośrednio, aby nabrać wyobrażenia, czego mianowicie „oswobodzona“ Galicya ma od oswobodzicieli swoich w bliższej i dalszej przyszłości oczekiwać.

Otóż niedawno zgromadzenie członków tego Towarzystwa uchwaliło następującą programową rezolucję:

Członkowie Towarzystwa Halicko-Rosyjskiego, zebrani po raz pierwszy po oswojeniu Rusi ujarzmionej, stwierdzają konieczność możliwie rychłego i najbardziej celowego urządzenia przyłączonej Rusi Przykarpackiej w taki sposób, któryby uwarunkował całkowite zlanie się tego kraju rosyjskiego z kulturą ogólnorosyjską. W tym celu walne zgromadzenie prosi rząd, aby:

1. W miarę możności przy tworzeniu ognisk zarządu administracyjnego Galicyi wzmacniał starożytne miasta rosyjskie, jak: Halicz, Trębowłę, Busk, Dźwinogród i inne, gdzie już za książąt ruskich założone zostały podwaliny kultury rosyjskiej, i unikał miast, jak: Tarnopol, Stanisławów i t. p., wywyższonych do godności centrów administracyjnych w czasach obcego panowania.

2. Mianował do administracyi przyłączonych dzielnic rosyjskich miejscowych działaczy rosyjskich i takich Rosyan wogóle, którzy już są obznajomieni z potrzebami miejscowej ludności rosyjskiej i potrafiliby bronić interesów rosyjskich przed wszelkiemi zakusami dla uniknięcia powtórzenia się gorzkich prób, dokonanych na początku minionego stulecia w kraju południowo- i północno-zachodnim ...

3. Wprowadził rozprawy i akta sądowo-administracyjne i inne odrazu w języku rosyjskim i niezwłocznie stworzył sieć szkoły rosyjskiej od niższych do wyższych zakładów naukowych, istniejących obecnie, zamykając jednocześnie instytucye, założone w celu wykorzenienia lub spaczenia kultury rosyjskiej.

4. Niezwłocznie rozszerzył działalność banków Włociańskiego, Szlacheckiego i Ziemskiego na przyłączone dzielnice Galicyi, tudzież ułatwił dostęp do nich prywatnym instytucyom kredytowym rosyjskim.

Tak wygląda plan „urządzenia“ wschodniej Galicyi, ułożony i rządowi rosyjskiemu do wykonania zalecony przez Halicko-

Rosyjskie Towarzystwo. Zasadniczą ideą tego planu jest natychmiastowe wykorzenienie polskości ze wschodniej Galicyi. Administracya i sądownictwo ma natychmiast stać się rosyjskiem. Szkolnictwo od najniższego do najwyższego ma być także rosyjskiem, a to w tym celu, aby zapobiedz „smutnym“ doświadczeniom, jakie kultura rosyjska poczyniła na początku ubiegłego wieku na Litwie, Wołyniu i Podolu, gdzie w tym właśnie czasie wzmógł się był najbardziej wpływ kultury — polskiej.

Cały ten program zatem jest niczem więcej, jak wyrazem dążenia do wytępienia i wyniszczenia w Galicyi wschodniej tego wszystkiego, co w tym kraju stworzyła i ugruntowała pięćsetletnia kultura polska. Przeciw Ukraińcom zwraca się ten program o tyle tylko, o ile każe pozamykać instytucye, założone przez wrogów Rosyi dla „wykorzenienia lub spaczenia kultury rosyjskiej“. Wszystko inne zwraca się przeciw Polakom i kulturze polskiej.

Tak więc jeszcze zanim rząd rosyjski spełnił obietnice, dane panu Dmowskiemu i Dobieckiemu, zanim odzyskał dla Polski i Słowiańszczyzny Gdańsk i Poznań, zanim „oswobodził“ Kraków od ucisku — polskiej myśli, polskiego uczucia i polskiego życia, już ruguje się polskość w Galicyi wschodniej, z województwa ruskiego, niszcząc brutalnie wszystkie warsztaty pracy polskiej na tej ziemi. Kanarki poznańsko-gdańskie siedzą jeszcze spokojnie na niemieckim dachu, gdy tymczasem „oswobodziciel“ moskiewski tratuje i w swoje moskiewskie błoto wciska pięciowiekowy dorobek polskiej kultury na tym jedynym skrawku ziemi, na którym mogła się ona swobodnie nadal rozwijać i pracę swoją kontynuować.

Jeden z dwóch polskich uniwersytetów, jedynych, jakie na ziemiach polskich istnieją, jedyna polska politechnika, jedyna polska akademia rolnicza, jedyna polska akademia weterynaryi, jedyna polska wyższa szkoła lasowa, siedmdziesiąt gimnazyów, mnóstwo szkół przemysłowych, cała gęsta sieć instytucyj kulturalnych polskich z ogromnym wysiłkiem stworzonych, jednym słowem całokształt bogatego polskiego życia kulturalnego w Galicyi wschodniej — skazano na zagładę, na zniszczenie, jako

cenę Gdańska i Poznania, tudzież „oswobodzonego“ Krakowa. Tak wygląda w rzeczywistości i praktycznym wykonaniu kalkulacya polityczna pana Dmowskiego i jego przyjaciół...

Straszną jest ta wojna, która wygląda chwilami, jak koniec świata. Straszniejszym jeszcze to, że najwyższe fale tego niebywałego potopu wzdymają się na naszej właśnie ziemi. Ale najstraszniejszym jest, że w tym momencie znaleźć się mogli w Polsce różni Dmowscy i Baliccy ze wszystkim, co ogłupionym rzeszom do wierzenia podają.

W O J O W N I C Y C A R S C Y

22 października 1914.

Korespondenci wojenni, którzy zwiedzali w tych dniach świeżo od oblężenia uwolniony Przemyśl, opowiadają straszne rzeczy. W siedmdziesięcio-dwugodzinnym szturmie wojska rosyjskie szły ławami na forty i koszone ogniem artylerji i karabinów maszynowych austriackich, padały jak pokosy siana. Na plecach rannych i wziętych do niewoli Rosyan znajdowano po kilka i kilkanaście świeżych pręgów od batów, którymi właśni oficerowie gnali ich do szturmu... W drugim dziesięcioleciu dwudziestego wieku w środku Europy powtórzyło się dosłownie to, co ongiś, przed dwoma przeszło tysiącami lat, zapisał Herodot o wojskach Kserksesa, gnanych batami do bitew, z wolnymi synami Grecji... Olbrzymie państwo, które rozpostarło się od Wisły po Ocean Spokojny, do tego stopnia nie umiało i nie umie wychowywać swych obywateli, że jak ongiś przed dwudziestu trzema wiekami, tak dzisiaj musi żołnierzy swoich batami pędzić do boju za — „świętą sprawę“...

Całe tomy, spisane na temat przewrotności polityki rządu carskiego i całkowitej obcości jej światoburczych i światowładczych celów olbrzymim masom ludu rosyjskiego, nie mogłyby tak niezbiecie przekonać nas o przepaści, ziejącej między carem a jego ludem, jak te właśnie czerwono-sine pręgi na plecach jeńców

rosyjskich. Bo to są ostatnie i jedynie — skuteczne argumenty, których użyć musieli oficerowie rosyjscy, aby przekonać swoich żołnierzy, że ich biały car ma słuszość, posyłając ich na ziejące ogniem armaty i na trajkocące złowrogo karabiny maszynowe.

Te sine pręgi na plecach biednych chłopów rosyjskich lepiej, niż wszystko inne, przekreślają legendę o woli ludu rosyjskiego, żądającej tej zdradzieckiej i zbrodniczej wojny, na którą pędzi go car i jego kamaryla. Te sine pręgi odsłaniają całą ohydę kłamstwa, obłudy i fałszu bezdennego, które w ideologię tej wojny Rosya oficjalna włożyła, nazywając ją wojną „świętą“, wojną za sprawę słowiańską, wojną o „oswobodzenie jęczących w niewoli rodaków“.

A któż tych nieszczęsnych oswobodzicieli — oswobodzi? Kto im, tym biednym, ciemnym tłumom rosyjskiego chłopstwa da swobodę od batów, którymi zmuszają go do tego, przed czym wzdryga się jego serce, czego nigdy nie pojmie jego ciemny, ale prosty umysł? Tam daleko za sobą na Wschodzie zostawił on przecież olbrzymie obszary ziemi najurodzajniejszej w Europie, na której on jednak co kilka lat głoduje i od tyfusu głodowego umiera. Ziemia rosyjska, bezbrzeżna jak morze i jak morze pusta i złowieszcza. Zasypiając wieczorem, w kurserskim pociągu, rzucawszy okiem dokoła, widzi się ziemię tłustą a ubogą i nędzne budy chłopskie daleko na horyzoncie. Nazajutrz rano, wstając w kurserskim pociągu, widzi się znowu ziemię tłustą a ubogą i nędzne budy chłopskie daleko na horyzoncie. Jak gdyby wspaśniały ten pociąg stał w miejscu, a nie pędził z szybkością pięćdziesięciu wiorst na godzinę...

Zostawił ten chłop rosyjski za sobą olbrzymie rzeki tak rybne, że kiedy połów się uda, a zwieźć go na czas nie można, stopy najszlachetniejszej ryby gniją w czystym polu. Zostawił za sobą góry najprzedniejszej rudy żelaznej, pola złotonośne, nieocenione żyły miedzi i innego cennego kruszcu, olbrzymie zapasy przedniego węgla. Zostawił olbrzymie przestrzenie, ociekające naftą, zostawił cały olbrzymi obszar, szóstą część kontynentu naszego, na której jest dosłownie wszystko, od najprzedniejszej bawełny

i wonnych liści herbaty do szarych mchów grenlandzkich, od tygrysów bengalskich do reniferów i białych niedźwiedzi. I zostawiwszy to wszystko nietknięte, nienapoczęte nawet i nienadgrzione, poszedł — zdobywać Przemyśl...

Potrzeba wmyśleć się w nedorzecznosc tej kombinacji, aby pojąć całą potwornosc Rosyi i tego, co nią rządzi, co ją zamiast spichrzem świata, warsztatem dla setek milionów rąk pilnych i umiejętnych, czyni postrachem Europy, wrogiem jej kultury i cywilizacji, hańbą naszego wieku.

I ten chłop rosyjski, pod Przemyśl przypędzony, który, mając kolej obok siebie, rok rocznie przewędrowuje piechotą te olbrzymie obszary swego kraju rodzinnego, zapewne nie myśli tak, jak ja tu oto, ale on z pewnością czuje, że dzieje się tu coś niepotrzebego, że się tu jakaś zbrodnia popełnia na nim i na ludzkości, skoro zamiast nauczyć go należyście pracować na swych niezmiernych obszarach, każą mu zdobywać — Przemyśl... I ten chłop rosyjski, którego cały dobytek stanowi najczęściej stary, połamany samowar i drewniana socha, nietyle do orania, ile do łaskotania ziemi przeznaczona, przyszedłszy do Galicyi, widzi w każdej chacie chłopskiej łóżko ze stosem poduszek, widzi budynki gospodarskie, a w nich maszyny i porządne narzędzia rolnicze, w komorze znajduje słoniny polcie i skrzętnie zbierane dobytki, stroje i skarby gospodyni, o których nie śniło się nawet żonie najgrubszego we wsi rosyjskiej — kułaka i mirojeda... I temu nędzarzowi z nad Wołgi kazali nagle „oswabadzać“ tych oto magnatów w jego oczach... I rozwścieklony głodem i nahażami i strasznymi wyzwiskami, któremi ucho jego pieszczą przełożeni wszystkich rang i stopni, chłop ten „oswabadza“ ich rzeczywiście, pali, morduje, gwałci i niszczy. Ale chwilami błysnie w głuchem pustkowiu jego mózgu jakieś błędne światelko myśli. A myśl ta, skoro się tylko zbudzi, jest myślą buntu i oporu przeciw tej sile strasznej i okrutnej, która wypędziła go z jego „nieprochodimej“ Rosyi, tu między te wioski galicyjskie i miasteczka, tu pod ziejące ogniem glacisy Przemyśla.

I ten oto związek myśli wycinają w głowie mużika rosyjskiego

jego przełożeni batami, pędząc go, jak stado na druty kolczaste, na przewody elektryczne, po których krąży prąd o sile czterech tysięcy wolt, na paszcze dział.

Ale nigdy jeszcze życie zbudowane nie było batami. I Rosya carska nie potrafi tej sztuki, której nie potrafiła żadna despotya Wschodu, jakkolwiek wielka i potężna. Pozrywają się na grzbiecie chłopa rosyjskiego wszystkie baty carskie i postrzępią się nahaje, a ów błędny ogień myśli buntowniczej błąkać się nie przestanie po jego głowie, dopóty, dopóki nie buchnie kiedyś pożarem, jakiego świat nie widział, pożarem, który w niwecz obróci i cara i wszystko carskie.

Tam, pod Przemyślem, wśród stosu trupów muzyków rosyjskich, stanęła także jedna z kolebek nowej rewolucyi rosyjskiej i nowej Rosyi. Spotkają się z nią Romanowy i ich doradcy prędkiej czy później oko w oko, ale wówczas nie będą już na nich czekały torpedowce i krążowniki niemieckie, gotowe w każdej chwili odwieźć ich daleko za morze poza sferę sprawiedliwego gniewu tego wielkiego, a tak strasznie dręczonego ludu.

R O S Y J S K I E C E L E

23 października 1914.

W jednym z niedawnych numerów „Nowego Wremieni“ petersburskiego zastanawia się słynny Mieńszikow nad zadaniami Rosyi w tej wojnie, formułując je w następujący sposób:

„Oto, co Rosya powinna zrobić zaraz w ciągu pierwszych dni po swoim zwycięstwie: Powinna ogłosić i przysiąc, że Królestwo Halickie zajęte zostało przez nas na zawsze, że nie jest to zajęcie chwilowe, ale wieczne — o ile to leży w mocy ludzkiej — że jest to zjednoczenie ostatniego oderwanego od Rosyi kraju z jej gniazdem rodzimem. Wszelkie inne terytorya możemy zajmować warunkowo — z gotowością potargowania się o nie w przyszłości, ale rosyjską Galię w całym jej obszarze zabieramy bezwarun-

ko wo, uznając za rzecz haniebną nawet wstępowanie w tej sprawie w jakiegokolwiek pertraktacye. Jest to ziemia rdzennie nasza, ziemia rosyjska, tak samo święta, jak ta, na której stoją Nowogród, Kijów i Moskwa. Ani teraz, ani w przyszłości nie możemy już nic ustąpić z Rusi Czerwonej i o tem powinni wiedzieć wszyscy sąsiedzi, jako o najpierwszym kategorycznym imperatywie, wynikającym z wojny obecnej.

„Mogą być i napewno będą jeszcze inne imperatywy; w najwyższych manifestach i odezwach zwierzchniego wodza naczelnego wskazane zostały wysokie cele wojny, ale za pierwszy cel, poza obroną ojczyzny, powinno być uznane — uwolnienie narodu rosyjskiego, jęczącego pod jarzmem austriackiem.

„Już na drugim planie stoi obrona Serbii, na trzecim — przywrócenie pod berłem rosyjskiem Polski w jej granicach etnograficznych, na czwartym przywrócenie niezależności narodów słowiańskich i innych, związanych przez przemoc austriacką, na piątym wytworzenie w Europie środkowej nowego porządku, przy którym rasa niemiecka przestałaby być groźbą dla całego świata.

„Oto jak mnie się wydaje naturalne stopniowanie celów wojny, jeśli Bóg ześle nam zwycięstwo ostateczne. Zesłany nam już został pierwszy z tych stopni — zdobycie Rusi Czerwonej. Przyłączenie jej powinno być — jak sądzę — rozstrzygnięte jako „*conditio sine qua non*“. Pozwólcie poczuć i nam i Rusinom Czerwonym radość zjednoczenia, a ta radość narodowa, być może, zdwoi nasze siły. Niechaj wszyscy arcybiskupi wzorem Antoniusza charkowskiego, niechaj wszyscy duchowni od Karpat do Oceanu Wielkiego, opowiedzą ludowi z ambony cerkiewnej przy śpiewie „Z nami Bóg“ i biciu w dzwony, że znaleźli się wreszcie nasi bracia, utraceni przed siedmiuset laty, że zostali oni uwolnieni z niewoli i znowu weszli do rodziny następcy tronu św. Włodzimierza, monarchy wszechrosyjskiego. Niechaj głębie ludu aż do każdego włościanina, do każdej kobiety wiejskiej dowiedzą się o tem wielkiem wydarzeniu, a zobaczą, jak to podniesie w nas ducha bohaterstwa. W tych ubogich chatkach, gdzie

już oplakują ranionych i zabitych, trzeba, aby wiadano, jakie święte zadanie zostało rozwiązane, choćby nawet za drogą cenę krwi. Jeszcze wiele czynów wielkich mamy przed sobą, ale i zjednoczenie plemienia rosyjskiego i doprowadzenie do końca planów Iwana Kality jest już dostatecznie doniosłym faktem historycznym“.

Cała ta gradacya celów wojny rosyjskiej tak, jak ją sobie wyobraża najwybitniejszy publicystyczny przedstawiciel nacjonalizmu i imperyalizmu rosyjskiego, jest bardzo ciekawą i charakterystyczną. Niewątpliwie odpowiada ona także rzeczywistym poglądom rosyjskich sfer kierujących. Wzięcie Galicyi wschodniej jako kraju „rdzennie rosyjskiego“, jest dla nich istotnie niezmiernie ważnem, bo asekuje je niejako przed gniewem ludu na wypadek niepowodzenia wojny. Rosya carska może spokojnie przegrać wojnę na wszystkich jej teatrach, może stracić Królestwo Polskie, prowincye nadbałtyckie, a nawet część „inorodczej Litwy“. Jeżeli jednak utrzyma się przy Galicyi wschodniej, czyli, jak ją nazywa — „Królestwie Halickiem“, to będzie zawsze mogła powiedzieć opinii publicznej: „Nie zdołałam uczynić wszystkiego, ale najważniejsze uczyniłam — prastara ziemia rosyjska Lwa i Daniela, uwolniona z siedmiowiekowej niewoli, należy do nas“.

Dlatego nie łudźmy się, jakoby odebranie Galicyi wschodniej Moskałom mogło pójść łatwo. Z właściwym sobie uporem będą jej oni bronili zaciekle i wytrwale. Mikołaj Mikołajewicz tak, jak rozkazał temu karyeryowiczowi bułgarskiemu pod Przemyślem wziąć go „za wszelką cenę“, tak każe bronić Galicyi „za wszelką cenę“. Ponieważ dla Mikołaja Mikołajewicza, jak i dla całej rodziny Romanowów, utrzymanie się przy Galicyi wschodniej stanowić będzie puklerz przed gniewem narodu rosyjskiego i przed rewolucją nawet wówczas, gdyby wojna na wszystkich innych terytorych zakończyła się dla nich podobnie, jak na — jeziorach mazurskich...

Nieutrzymanie się przy Lwowie przy równoczesnej klęsce na innych polach bitew, byłoby dla Rosyi carskiej taką samą katastrofą, jak utrata Kijowa. Lwów stał się dla Rosyi „punctum sa-

liens" tej strasznej wojny. Ona też będzie go broniła z tą zaciekłością, jaką ujawniła przy nieudanych szturmach na Przemyśl.

Na ten fakt musi zwrócić szczególną uwagę nasze dowództwo, rozumiejąc jasno, że podczas gdy dla niego Galicya wschodnia jest tylko terenem zagadnień czysto taktycznych, dla Rosyi stanowi ona obiekt olbrzymiej wartości politycznej.

„Przywrócenie Polski pod berłem rosyjskiem w jej granicach etnograficznych“ stanowi w skali Mieńszykowa punkt trzeci. Jest to fakt niezmiernie charakterystyczny, że dla nacyonalizmu rosyjskiego ważniejszą jest Serbia i jej megalomańskie zamiary, niż sprawa polska, nawet zredukowana do granic t. zw. „etnograficznych“. Co znaczy ta gradacya? Oto to, że wojująca Rosya może zadowolnić się ostatecznie, jeżeli utrzyma się przy Galicyi wschodniej i umożliwi Serbii zabranie Bośni i Hercegowiny. Jeżeli „tylko“ tyle osiągnie Rosya zwycięska, będzie mogła uważać się za zadowoloną. Odbieranie Poznańskiego i Gdańska, które tak zawróciło w niektórych głowach warszawskich, leży w planach nacynoalizmu rosyjskiego poza przyczynieniem się do zwycięstwa Serbii. Stąd wniosek jasny, że o Poznańskie i Gdańsk Rosya wojująca wcale nie zamierza rozbijać sobie głowy. Skoro zaś tak, to co są warte obietnice Mikołaja Mikołajewicza?

PRZYCZYNY VOTUM NIEUFNOŚCI DLA SPRAWCÓW ROZBICIA LEGIONU WSCHODNIEGO

29 października 1914.

Wczoraj ogłosiło prezydium Naczelnego Komitetu Narodowego uchwały, powzięte na plenarnem jego posiedzeniu, odbytem w dniu 20 października b. r. N. K. N. przyjął w tych uchwałach do wiadomości rezolucye obu swoich sekcji, potępiające rozwiązanie Legionu wschodniego i sam wyraził osobom, które to rozwiązanie spowodowały — votum nieufności. Smutna to i ciężka uchwała, jak każdy wyrok, skazujący na — maksymalną karę.

Bo votum nieufności jest najwyższą karą, jaką instytucja, jedynie ufnością wzajemną stojąca, wymierzyć może.

Najcięższe to obywatelskie potępienie dotyczy oczywiście tylko bezpośrednich sprawców tej katastrofy, którą rozbiście Legionu wschodniego niewątpliwie stanowi. Niestety, sprawcy ci znaleźli w łonie N. K. N. może nie obrońców — bo nikt ich nie miał odwagi bronić — ale nazbyt już wiernych przyjaciół, którzy sprzeciwiwszy się nie karze, lecz jej wymiarowi, razem z bezpośrednio ugodzonymi złożyli swoje do N. K. N. mandaty.

Większość ogromna tej najwyższej naszej w tej chwili magistratury narodowej odczuła boleśnie ten fakt solidarności partyjnej, stanowej czy, nawet familijnej tylko, która okazała się u szeregu osób silniejszą, niż wzgląd na dobro narodowe i na konieczność utrzymania harmonii i pozornej przynajmniej zgody w tym czasie strasznych prób, w czasie wielkich możliwości i większych jeszcze niebezpieczeństw narodowych. Niestety osoby te, aczkolwiek same nic wspólnego z rozbiściem Legionu wschodniego nie miały, w poczuciu tej solidarności, wręcz fatalnie pojętej, stanęły na jednej płaszczyźnie ze sprawcami tej katastrofy i razem z nimi złożyły mandaty.

N. K. N., licząc się z naturą wszelkiego afektu ludzkiego, postanowił dać jeszcze możliwość powrotu do pracy lub przynajmniej do pełnego prawa — krytykowania tej pracy tym właśnie solidarystom „à outrance“. W tym celu wstrzymał się z ogłoszeniem powziętych już prawomocnych uchwał swoich, aby przez to nie odcinać im drogi do odwrotu.

Niestety, wstrzemięźliwość N. K. N. okazała się niepotrzebną. Secesyoniści pierwsi uznali za wskazane i pożyteczne ujawnić przed światem swoją solidarność ze sprawcami rozwiązania Legionu wschodniego i niesłychanego zmarnowania wysiłków i ofiar narodowych, poniesionych przez ogół na to, aby Legion wschodni był, a nie, aby go nie było... Secesyoniści ogłosili publicznie swoje oświadczenie, w którym usiłują nawet motywować swój krok. Wobec tego N. K. N. ogłosił wczoraj powzięte przez się uchwały. Zwracają się one — jak już rzekliśmy — jedynie i wy-

łącznie przeciw bezpośrednim sprawcom rozwiązania Legionu wschodniego. W nich godzą. Ich usunięcie z łona N. K. N. jako żywiołu jawnie szkodliwego mają na celu. Powzięcie tych uchwał wygląda jak rozbicie tej wielkiej Instytucji, którą przepiękny przywódca narodowy w dniu 16 sierpnia do życia powołał. W rzeczywistości jednak jest ono jej oczyszczeniem. I z pewnością nie N. K. N. jest winien, że także kilku niewinnych a — chętnie dodamy — szanownych członków tego ciała zsolidaryzowało się uparcie z tymi, którzy zaufanie N. K. N. z powodów aż nazbyt dostatecznych stracili.

Stan faktyczny.

Wobec takiego zawikłania sprawy potrzeba, aby naród nasz znał dokładnie jej podkład rzeczywisty, aby sam mógł ocenić motywy, którymi kierował się N. K. N., wydając z największą dla siebie boleścią ten ciężki obywatelski wyrok. Dlatego przedstawimy tu pokrótce dzieje rozwiązania Legionu wschodniego w ich najważniejszych momentach, zaznaczając, że z ogromnego wprost materiału dowodowego czynić będziemy wybór jak najtroskliwszy i jak — najogłędniejszy zarazem. Kiedyś historia odsłoni wszystkie sprężyny i wszystkie czynniki, które w tej katastrofie i tej kompromitacji działały i uczestniczyły pośrednio i bezpośrednio. Dzisiaj niechaj mówią tylko niektóre, ponad wszelką wątpliwość stwierdzone fakta.

Dnia 29 sierpnia wyszedł ze Lwowa silny oddział ochotników, mających stanowiąc Legion wschodni, w kierunku ku Sanokowi, ponieważ nie chciano ich zostawić w stolicy kraju, zagrożonej już wówczas inwazyą rosyjską. Oddział ten, liczący w chwili wymarszu około 4.000 ludzi, wzrósłszy po drodze do blisko 5.000, przyszedł najpierw do Sanoka, skąd po krótkim pobycie ruszył dalej na zachód do Jasła. Oddziałowi towarzyszył szef Wydziału wojskowego Sekcji wschodniej N. K. N., poseł hr. Skarbek, tudzież kilka osobistości cywilnych, między niemi znani działacze partyi narodowo-demokratycznej, pp. Biega i Wierczak, jako intendanci.

Mimo wielkich niewygód i ogromnych braków w intendanturze, oddział ten, wzrósłszy wreszcie do blisko 6.000 ludzi, dotarł do Jasła. O dziwnie niskiej sprawności intendantury świadczy fakt, że w chwili przybycia tego wielkiego już oddziału do Jasła, na wyżywienie go miała ona tylko — 200 koron, tak, że musiała pożyczać w miejscowym Komitecie powiatowym i zaapelować do składek, mimo, że fundusze, na sformowanie Legionu wschodniego przeznaczone, zostały w znacznej części jeszcze do dziś nieużyte.

Te zaniedbania w zaopatrzeniu ochotników w żywność i ubranie, nie uzasadnione bynajmniej brakiem pieniędzy, wywierały na świadków tych przemarszów wrażenie celowo stosowane go środka w celu zniechęcenia i zdemoralizowania ochotników. Na podłożu wytwarzanego w ten sposób niezadowolenia przyjmowały się lepiej nasiona politycznej agitacji, którą w Legionie uprawiano systematycznie przy wszystkich sposobnościach i na każdym miejscu. Zapał jednak tej szlachetnej młodzieży, która w lichem obuwie, o głodzie i chłodzie wędrowała setki kilometrów w przekonaniu, że wreszcie danem jej będzie służyć ojczyźnie, był tak wielki, że ani zaniedbania intendantury, ani towarzysząca im agitacja polityczna nie rozluźniły Legionu, który jeszcze w dniu 14 września w Jaśle przedstawiał się, jako poważny zastęp dwóch pułków po trzy bataliony każdy.

Komendant Legionu tego, pułkownik Fiałkowski, w publicznym swem oświadczeniu w tej sprawie stwierdza, że odjeżdżając, zostawił Legion, jako „dobrze zorganizowaną jednostkę wojskową“, że oba jego pułki były „zupełnie zdolne do służby“. „Złożyć jednak musiałem komendę — powiada tenże komendant Fiałkowski — ponieważ czynniki polityczne, którym Legion podlegał, pozbawiały dowództwo wojskowe władzy nad wojskiem, samowolne zaś działanie tych czynników nie pozwalało mi brać nadal odpowiedzialności za los Legionu. Akcja tych czynników, dążąca do tego, aby kierownictwo wojskowe utrudnić i pozbawić należytej powagi i posłuchu, już przed wyruszeniem ze Lwowa, czyniła me położenie

trudnem do zniesienia. Znosiłem je jednak dla świętej sprawy tak długo, jak długo pozwalał na to honor wojskowy.“

Dnia 16 września stanął Legion w Mszanie Dolnej, z której już nie miał wyjść dalej, bo tu wreszcie systematyczne usiłowania tych „czynników“, o których mówił komendant Fiałkowski, uwięzione zostały skutkiem — Legion rozwiązał się.

Rota przysięgi.

To, czego nie osiągnięto celowemi zaniedbaniami w intendaturze i niestrudzoną agitacją polityczną, obliczoną na wsączanie do młodych serc żołnierskich jadu zwątpienia i nieufności do sprawy, tego dokonano za pomocą agitacji „patriotycznej“ przeciw — rocie przysięgi, którą w myśl zarządzenia Naczelnej Komendy Armii austro-węgierskiej, a zgodnie z istniejącymi w tej mierze przepisami wojskowymi, obowiązani byli Legioniści złożyć na wierność cesarzowi Franciszkowi Józefowi. Wszelkie bardzo energiczne starania, podjęte przez prezydyum N. K. N. w celu uzyskania takiej zmiany roty przysięgi, któraby uwydatniała ideę, uzasadniającą powołanie do życia Legionów i ożywiającą żołnierzy, rozbiły się niestety o ten twardy przepis wojskowy. Tymczasem potrzeby nagliły. Pierwszy pułk Legionów, stojący już w Królestwie Polskiem w bezpośredniem pobliżu nieprzyjaciela, mógł każdej chwili znaleźć się w ogniu, pozbawiony nowoczesnej broni, amunicyi i ubrania. Naczelne dowództwo armii austriackiej uzależniło dostarczenie Legionom broni i ubrania od złożenia takiej, a nie innej przysięgi. Sekcja zachodnia, mająca do wyboru albo rozwiązanie Legionu, albo narażenie naszej młodzieży najlepszej na beznadziejną walkę z wrogiem za pomocą starej, lichej i nielicznej broni, albo wreszcie zalecenie złożenia przysięgi, żądanej bez wszelkich szczególnych dodatków, wybrała to trzecie, ponieważ chodziło jej o treść, a nie o formę, ponieważ wierna celowi, dla którego w dniu 16 sierpnia została powołana, pragnęła szczerze wytworzyć najlepszy możliwie oddział wojska polskiego, chociażby nawet bez specjalnie polskiej przysięgi. Dla Sekcyi Zachodniej N. K. N. ważniejszym był fakt powstania puł-

ków polskich z polską komendą i z polskimi godłami, aniżeli najkrótszy chociażby, specjalnie polski, dodatek do roty przysięgi, o który sama bardzo gorliwie, aczkolwiek niestety bezskutecznie zabiegała, którego brak sama bardzo boleśnie odczuła. Powtarzamy jednak, że wobec możliwości, iż lada dzień stojące już w polu wojska nasze mogły zetknąć się z nieprzyjacielem, uzbrojone w niedostateczną ilość lichej, przestarzałej broni, o której każdy fachowiec wojskowy twierdzi, że wychodzić z nią dzisiaj na pole walki jest czystym samobójstwem, Sekcja Zachodnia wolała wyrzec się dwóch czy trzech wyrazów w rocie przysięgi, niż wojska polskiego, które bez tej przysięgi byłoby albo marnie zniszczone, albo rozprószone.

Z tych względów Sekcja Zachodnia poleciła swojemu Legionowi złożenie przysięgi, co też stało się rzeczywiście w dniu 4 września w Krakowie, nazajutrz zaś w Kielcach. Legion Zachodni zawierał w swych kadrach najwięcej żywiołów z zaboru rosyjskiego. Wszystko to ludzie zahartowani w bojach z caratem i w bojach tych zaprawni do swobodnego myślenia, które z trudnością godzi się z rotami przysięg wojskowych. A jednak wszyscy oni, jak jeden mąż podnieśli palce do tej wojskowej przysięgi, rozumiejąc doskonale, że jest ona twardą koniecznością. I tacy bojownicy narodowej sprawy, jak: Piłsudski, Sosenkowski i setki innych, którzy dowody swojej miłości Polski składali nie na wiecach w dziedzińcu ratusza lwowskiego, ale w katorgach moskiewskich i w trwającej dziesiątce lat nieustraszonej walce z moskiewskim najeźdźcą, nie wahali się przysiąc wierności cesarzowi austriackiemu, skoro zrozumieli, że bez tego nie osiągną swojego głównego celu, dla którego nieraz narażali swe głowy, dla którego nie tylko gadali głośno, lecz walczyli, walczyli naprawdę, nieustraszenie długie dziesiątki lat.

Niestety polityczni kierownicy Legionu Wschodniego w Mszynie Dolnej okazali się bez porównania większymi patriotami. Oni znieść nie mogli, aby przysięga była bez dodatku i ciągle zwlekali z jej złożeniem, oczekując rzekomo tego, o czym wiedzieli, że jest niemożliwym do osiągnięcia. Bo wszak nie mogli przy-

puszczać, aby im właśnie przyznano to, czego tak skutecznie odmówiono Legionowi Zachodniemu, aby zastęp ochotników, którzy jeszcze żywego Moskala nie widzieli, obdarzono tem, czego tak twardo odmówiono tym, którzy w związku z austryacką dywizją kawaleryi pod Kielcami już od dwóch tygodni uwijali się w ciągłych potyczkach z Moskalami...

Mimo tej oczywistości pan szef wydziału wojskowego Sekcyi Wschodniej czekał dalej. I tak był w tem czekaniu konsekwentnym, że nie zachwiał się w niem nawet wówczas, kiedy Sekcyja Wschodnia powzięła formalną uchwałę — wzywającą Legionistów w Mszanie do natychmiastowego złożenia przepisanej przysięgi. Uchwałę tę przyjął do wiadomości pełny N. K. N., obradujący w Krakowie dnia 16 września i ze swej strony jeszcze raz uchwalił wezwąć Legionistów w Mszanie do złożenia przysięgi. Uchwała ta zaraz nazajutrz została ogłoszona w pismach, a hr. Skarbek na swoje własne zapytanie telegraficzne otrzymał również telegraficznie od prezesa całego N. K. N., exc. dra Lea, dosłowny tekst uchwały, wzywającej — powtarzamy — do złożenia przysięgi. Wiedziony jednak troską, aby nie popełnić jakiejś fatalnej omyłki, hr. Skarbek nie zadowolnił się tą odpowiedzią prezesa N. K. N., który właśnie jako prezes ma jedynie prawo autentycznej interpretacyi uchwał, pod jego przewodnictwem powziętych, ale zażądał jeszcze od pp. Cieńskiego i Strońskiego przysłania mu tekstu tej uchwały. Ci panowie odpowiedzieli hr. Skarbkowi, że N. K. N. „zaleca“ Legionistom wschodnim złożyć przysięgę.

Warto przytem zauważyć, że autentyczne brzmienie uchwały N. K. N. z dnia 16 września, wzywającej do złożenia przysięgi, a nie „zalecającej“ to złożenie, zostało ogłoszone zaraz nazajutrz w dziennikach. Pp. Cieński i Stroński przeciw temu tekstowi uchwały nie zgłosili żadnych zastrzeżeń, co im jednak nie przeszkadzało zakomunikować hr. Skarbkowi dowolnie zmieniony tekst uchwały, twierdząc, że uchwałą tą N. K. N. nie wzywa Legionistów do złożenia przysięgi, ale im ją tylko — „zaleca“...

Lecz teraz przychodzi rzecz najważniejsza:

W sprawozdaniu swoim o Legionie Wschodnim, które hr. Skarbek przedłożył Sekcyi Wschodniej na posiedzeniu dnia 19 października, a które, jak wiadomo, nie zostało przez Sekcyę przyjęte do wiadomości, wyjaśnia on niezastosowanie się do wyraźnego polecenia N. K. N. w ten sposób, że otrzymał dwa teksty dotyczącej uchwały. Ponieważ w jednym z nich mówiło się o wezwaniu do złożenia przysięgi, w drugim zaś tylko o jej „zaleceniu“, przeto on — hr. Skarbek — w dokładnem rozumieniu różnicy, zachodzącej między pojęciami „wzywać“ i „zalecać“, nie uznał za możliwe ani — wezwać, ani zalecić Legionistom złożenie przysięgi... W ten sposób szef Wydziału Wojskowego Sekcyi Wschodniej uznał za możliwe postąpić z wyraźnym rozkazem pełnego N. K. N., zakomunikowanym mu telegraficznie przez tegoż prezesa.

I rzeczywiście Wydział Wojskowy Sekcyi Wschodniej, ignorując zupełnie tę uchwałę i zawarte w niej wezwanie, wydał następujący rozkaz do Komendy Głównej Legionu Wschodniego:

„Do Szanownej Komendy I-go Pułku Legionu Wschodniego w Mszanie Dolnej: Okólnikiem z dnia 15/IX 1914 zawiadomił Wydział Wojskowy N. K. N. Szanowną Komendę o warunkach utworzenia Legionu, dodając przytem, że prezes N. K. N. (Sekcyja Wschodnia) p. Tadeusz Cieński został upoważniony do starania się o zmianę warunków w kierunku odpowiadającym bardziej naszym uczuciom i pragnieniom narodowym. Równocześnie oświadczył Wydział Wojskowy N. K. N., że o wyniku usiłowań p. Cieńskiego zawiadomi Szanowną Komendę w swoim czasie. Obecnie, gdy usiłowania p. Cieńskiego, wobec złożonej już przez Legion Zachodni przysięgi — nie odniosły skutku i warunki te zostały już definitywnie ustalone, Wydział Wojskowy N. K. N. zawiadamia o tem Szanowną Komendę, celem ogłoszenia ich w rozkazie dziennym. Obecnie zatem wszyscy członkowie organizacji wojskowych (drużyny strzeleckie, sokole i bartoszowe), stojących dotychczas pod wspólną komendą główną, muszą w terminie trzech dni zdecydować

się, czy pozostają w Legionie Wschodnim, czy też opuszczają jego szeregi. Mający zamiar pozostać w Legionie, mają zgłosić to postanowienie w terminie trzech dni w Komendzie Głównej. Wszyscy Legioniści będą obowiązani złożyć w najbliższym czasie przysięgę wojskową, przepisaną dla pospolitego ruszenia. Od chwili złożenia przysięgi, Legioniści wchodzi w skład c. i k. armii i podpadają ogólnym wojskowym przepisom. Po wyćwiczeniu zostanie Legion przydzielony do jednej z operujących na terenie wojny grup c. i k. armii. Członkowie obecnych organizacyj militarynych (drużyn sokolich, bartoszkowych i strzeleckich), którzy należą do pospolitego ruszenia, a nie zgłoszą się do Legionu, muszą bezzwłocznie zgłosić się do najbliższej komisji asenterunkowej, względnie komendy uzupełniającej. Ci, którzy nie zechcą pozostać w formującym się Legionie, mają złożyć cały rynsztunek i mundury w komendzie i zgłosić się po potrzebną legitymację do Wydziału Wojskowego. Wkońcu zawiadamiam Szanowną Komendę, że komendantem Legionu Wschodniego zamianowany został podpułkownik Homiński. Mszana Dolna, 20 września 1914. Wydział Wojskowy N. K. N. (Sekcja Wschodnia) Skarbek m. p., Tad. Cieński m. p., prezes N. K. N., Sekcja Wschodnia.“

Rozkaz ów Sekcji Wschodniej N. K. N. został — jak rzecz naturalna — zakomunikowany Legionistom dnia 21 września z dodatkiem:

„Po odczytaniu pisma niniejszego należy wytłómaczyć krótko i jasno sprawę i wēzwać druhow do oświadczenia się, którzy z druhow występują z tak zwanego Legionu Wschodniego, a którzy wstępują do c. k. Legionu.“

Tym to niesłychanym rozkazem zadali pp. hr. Skarbek i Cieński cios stanowczy zorganizowanemu przez Sekcję Wschodnią Legionowi. Żołnierze i oficerowie, już dobrze zagitowani, rozpierzchli się na wszystkie strony. Wedle niedokładnych obliczeń przeszło 2.000 ich wstąpiło do pospolitego ruszenia austriackiego, składając w niem tę samą właśnie przysięgę, której „nie mogło“

złożyć w Legionie, część rozeszła się po świecie, więziona po drodze za włóczęgostwo i ścigana nieco później przez władze bezpieczeństwa, jak niebezpieczni maroderzy. Tylko wreszcie drobna część tych rozbitków, około czterystu ludzi, wstąpiło do Legionu rzeczywistego, czyli, jak w rozkazie Wydziału Wojskowego Sekcji Wschodniej z przekazem powiedziano, do — „c. k. Legionu“ ...

Broń repetyerowa.

Obok przysięgi i dodatku do niej narodowego mieli ci organizatorowie, a raczej świadomi i celowo pracujący — „dezorganizatorzy“ Legionu Wschodniego jeszcze jednego konika, na którym zapamiętali harcowali. Była to kwestya — uzbrojenia i zaopatrzenia. Sprawy te bynajmniej nie z winy jakichkolwiek czynników w N. K. N. rzeczywiście czas długi chromały. Przewlekają się z rozmaitych powodów dostarczenie mundurów z fabryk rządowych. Przedewszystkiem jednak budziła obawy kwestya repetyerowej broni. Ale kwestya ta niepokoiła także Sekcję Zachodnią, która czyniła heroiczne wprost wysiłki, aby dostarczenie tej broni Legionom zabezpieczyć. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, aby Legion Zachodni rozwiązać, lub przynajmniej prowadzić wśród jego żołnierzy sprzeczną z zasadniczym celem Legionu agitacyę z powodu niedostatecznych gwarancyj co do tej broni. Stara broń jednostrzałowa, której władze dostarczyły, wystarczała do ćwiczeń. Z braku nowoczesnej broni repetyerowej można było wysnuć co najwyżej tę konsekwencyę, że nie uzbrojone w nią oddziały na pole bitwy wogóle dopóty nie pójda, dopóki broni tej nie otrzymają. Dlatego Zachodnia Sekcja, mimo tych dotkliwych braków, szła konsekwentnie i śmiało swoją drogą, nie wierząc po prostu, aby mógł znaleźć się jakiś czynnik, któryby odważył się wziąć na się odpowiedzialność za wysłanie oddziałów Legionu na pole walki bez nowoczesnej broni. I przekonanie to okazało się najzupełniej słusznem. Dzisiaj na rozmaitych teatrach wojny stoi w ogniu przeszło 12.000 naszych Legionistów, ale żaden z nich nie ma broni innej, jak tylko — repetyerową.

Tak więc doświadczenie uczy, że troska dezorganizatorów Legionu Wschodniego o broń nowoczesną dla niego była co najmniej przesadną, skoro woleli wystać znaczną część Legionistów do zamiatania ulic w Zakopanem, lub dla zapewnienia więzień na Śląsku i Morawach, niż na pole ćwiczeń wojskowych, chociażby tylko ze starymi „Werndlami“ na razie...

W posiadaniu zarówno prezydium N. K. N., jak Departamentu Wojskowego Sekcji Zachodniej znajduje się bardzo poważny zbiór dowodów na to, że począwszy od wymarszu ze Lwowa, aż po dzień rozwiązania nieszczęsnego Legionu, prowadzono wśród jego żołnierzy jawną, konsekwentną i bardzo energiczną agitację w kierunku, jaskrawie sprzecznym z postanowieniami aktu z dnia 16 sierpnia i z samą ideą Legionów. Istnieją zeznania protokolarne wybitnych działaczy publicznych i osób bardzo szanownych i poważnych, które istnienie tej agitacji z oburzeniem stwierdzają. Zresztą w tym kierunku zgodne są zeznania wszystkich tych kilkuset żołnierzy i oficerów, którzy po rozbiciu t. zw. „Legionu Wschodniego“ zgłosili się do służby w Legionie rzeczywistym.

Nie pomogą tu żadne wykręty. Powołane bowiem czynniki N. K. N. są w posiadaniu bardzo dokładnych informacji o poszczególnych fazach i postęпах tej agitacji. Informacja każda jest należycie udokumentowaną, tak, że pp. dezorganizatorzy Legionu Wschodniego i ich obrońcy trudzili się zupełnie niepotrzebnie, starając się zabiegi swoje przedstawić innymi, niż były w rzeczywistości.

Tak wygląda jedna grupa argumentów, przedstawiona możliwie najkrócej, na których oparł się N. K. N., wyrażając sprawcom rozwiązania Legionu Wschodniego — *votum* nieufności.

Z dziejów t. zw. „Legionu Wschodniego“, których najważniejsze i najbardziej charakterystyczne momenty przytoczyliśmy powyżej, wynika jasno i niezbicie, że te czynniki Sekcji Wschodniej N. K. N., na których spoczywał bezpośredni obowiązek zorganizowania Legionu Wschodniego, nie tylko nie zorganizowały go, ale przeciwnie, pracowały świadomie i konsekwentnie

nad tem, aby utworzenie tego Legionu u d a r e m n i ć i należących już do niego ochotników — ochoty pozbawić i po kraju rozprószyć.

Ten jeden fakt wystarczyłby aż nadto do uzasadnienia głębokiej nieufności do tych czynników, która w uchwale pełnego N. K. N. z dnia 20 października znalazła swój wyraz. Niestety jednak towarzyszą temu faktowi także inne okoliczności, które rzucają nań jeszcze bardziej ponure światło. Niektóre z nich uważamy za potrzebne omówić nieco obszerniej, naprzód dlatego, że są bardzo charakterystyczne, powtóre zaś dlatego, że dotyczą one publikacyj dziennikarskich, są więc przynajmniej jednej znacznej części naszego społeczeństwa znane.

Trafne przepowiednie.

Oficyalny organ partii p. Dmowskiego w Warszawie „Gazeta Warszawska“, w numerze 264 z soboty, dnia 26 września b. r., złożył dowód, że posiada doskonałe i dziwnie szybkie informacje z Galicyi i z N. K. N. Oto znajduje się w tym numerze, organu najbardziej w rusofilstwie zaawansowanej partii Królestwa Polskiego, obszerny artykuł wstępny pod tytułem: „W Galicyi“. Na treść artykułu składa się szereg przytoczonych już to dosłownie, już to w cytatach dokumentów, dotyczących N. K. N., tudzież głosów prasy krakowskiej i szereg własnych refleksyj i przepowiedni redakcyi. Artykuł ten zaczyna się od następującego wymownego wstępu:

„Wiadomości, otrzymane przez nas od osób przybyłych ze Lwowa i Krakowa, oraz informacje pism galicyjskich, potwierdzają w zupełności, iż osiągnięta w Galicyi pod postacią N. K. N. jedność polityczna była rzeczą — zupełnie pozorną (sic!).

„N. K. N. nie odbył ani jednego plenarnego zebrania do dnia 16 września, w tym dniu zgromadził się w Krakowie, obradował trzy dni, a następnie bez powzięcia uchwał został odroczone bez terminu, by, jak nas informują, już więcej się nie zebrać.

„Poza pozornem zjednoczeniem grupy, skupione w N. K. N., prowadziły politykę i pracę organizacyjną każda na swoją rękę (sic!). Żywioty narodowe (a, tuś mi!) miały przewagę w sekcji wschodniej komitetu, dawny blok namiestnikowski (Leo, German, Jaworski) ujął ster komitetu zachodniego, a Komisya Tymczasowa rozwinęła swą działalność na gruncie Królestwa Polskiego w Kieleckiem.

„Sekcja wschodnia Komitetu z chwilą zajęcia Galicji wschodniej przez wojska rosyjskie, przestała być czynną, a zaczątek Legionu, przez nią sformowany, nie brał absolutnie żadnego udziału w akcji wojennej (w oryginale kursywą), ustąpił przed wzięciem Lwowa do Sanoka, następnie do Jasła i ma być rozwiązany.“

Zwracamy na ten ustęp już teraz uwagę czytelnika, bo widać zeń wyraźnie tendencję zapewnienia Rosyan, że Legion Wschodni „żadnego absolutnie“ udziału w akcji wojennej nie brał. Zapewnienie to wzmocnione zostało jeszcze trafną przepowiednią, że Legion Wschodni — ma być rozwiązany.

W dalszym ciągu artykuł zawiera oświadczenie prezesa Sekcji Zachodniej w znanej sprawie organizacyj narodowych w Królestwie, omawia rzekomy stosunek tych organizacyj do N. K. N. i przytacza dosłowny tekst wniosku, jaki na posiedzeniu pełnego N. K. N. zgłosił prof. dr Stroński w sprawie działalności tych właśnie organizacyj. Fakt, że „Gazeta Warszawska“ mogła tekst tego wniosku tak rychło uzyskać i ogłosić, jako sam przez się ważny, omówimy poniżej. Z przytoczonego przez się wniosku dra Strońskiego wnioskuje „Gazeta Warszawska“ w ten sposób:

„Z komunikatu powyższego widać dobitnie (1), że większość komitetu pragnęła położyć kres akcji, prowadzonej w jego imieniu na terenie Królestwa, wobec tego mniejszość z pp. Leem i Daszyńskim na czele, zebranie N. K. N. rozbiła (1).“

Zaznaczywszy dalej, że część organizacji strzeleckiej złożyła przysięgę, której tekst dosłowny podaje dziennik warszawski za „Nową Reformą“ i przytoczywszy jeszcze jeden cytat z „Naprzodu“

w sprawie działalności organizacji narodowej w Zagłębiu, tak kończy swoje wywody i informacje organ p. Dmowskiego:

„Z powyżej przytoczonych faktów i cytata widać, że Naczelny Komitet Narodowy jest faktycznie rozbity i że związana z nim organizacja wojskowa się rozpadła.

„Mamy nadzieję, że żywioty narodowe (znowu one!) w Galicyi wyciągną z tego odpowiednie konsekwencye i Naczelny Komitet Narodowy, faktycznie nieistniejący (!), rozwiążą.“

Zastanówmy się przez chwilę nad przytoczonym tu w najważniejszych wyjątkach artykułem „Gazety Warszawskiej“. Składa się on z dwóch części: z reprodukcji rozmaitych dokumentów i cytatów z pism krakowskich, tudzież z refleksyj, uwag i wypowiedni, które na podstawie tego faktycznego materiału snuje redakcja. Dokumenty i cytaty są wszystkie prawdziwe i dokładnie powtórzone. Ten więc, kto ich redakcyi organu p. Dmowskiego dostarczył, musiał znać i posiadać wszystkie inne dokumenty N. K. N., dotąd publikowane. Gdyby więc był chciał dziennik warszawski należycie i obiektywnie poinformować o sprawie, byłby jej dostarczył całości tych dokumentów, co trudnem nie jest, zważywszy, że wszystkie one opublikowane są w czterech numerach „Dziennika Obwieszczeń“ N. K. N. (Sekcyi Zachodniej). Z wyboru jednak, jaki między tymi dokumentami zrobiono, widać wyraźnie tendencyę poniżenia roboty N. K. N. i dostarczenia „dowodów“ na to, że działalność tej instytucyi nie udała się, ponieważ socjaliści zaczęli rzekomo rządzić w niej na własną rękę, a „żywioty narodowe“ w odpowiedzi na to — rozbiły N. K. N. I istotnie, jeżeli się uważnie przeczyta ogłoszoną onegdaj deklaracyę secesjonistów z N. K. N., stanowiących właśnie te żywioty, które w języku „Gazety Warszawskiej“ nazywają się — „narodowymi“, to znajdzie się bez trudu jota w jotę tę samą argumentacyę.

Tak więc dochodzimy do pierwszego bardzo ważnego dla nas punktu, mianowicie do stwierdzenia, że najbardziej morskafilski organ warszawski był w stanie na podstawie au-

tentycznych dokumentów, odpowiednio dobranych, już na miesiąc blisko przed secesją N. K. N. przedstawić bardzo dokładnie niesnaski w N. K. N. i przepowiedzieć jego ostateczne rozbitcie, zalecając nawet wyraźnie w końcowym ustępie „żywiółom narodowym“, aby nie zwlekały z wysnuciem „ostatnich konsekwencyj“ i dokończyły dzieła.

Tam, gdzie argumentacja dokumentowa organowi Dmowskiego nie wystarcza, tam dorabia on lub przekręca wprost fakta, ale znowu w taki sposób, w jaki to może uczynić tylko ktoś, znający rzeczywisty stan rzeczy, czy przebieg sprawy. I tak n. p. przytoczywszy tekst wniosku prof. Strońskiego, objaśnia „Gazeta Warszawska“, że wniosek ten miał za sobą większość, co zobaczywszy pp. Leo i Daszyński, rozbili zebranie... Zwracamy uwagę na fakt, że „Głos Narodu“, ogłaszając ten sam wniosek na kilka dni przed „Gazetą Warszawską“, dodał także objaśnienie, że wniosek ten miał większość za sobą. — Dziennik krakowski nie mógł tylko pozwolić sobie na tyle licencyi dziennikarskiej, ile udzielił jej sobie warszawski, i nie mógł twierdzić, że wskutek tej większości pp. Leo i Daszyński — „rozbili“ zebranie. To, co można w Warszawie, tego jednak nie można w Krakowie... Faktycznie rzecz z tym wnioskiem miała się następująco:

N. K. N. zebrał się plenarnie dla załatwienia sprawy przysięgi Legionu Wschodniego i dla uchwalenia odpowiedzi na pewne, zupełnie określone kwestye natury wysoce politycznej, które przed nim postawiono. Dyskusya nad jedną i nad drugą sprawą trwała długo. Dopiero pod koniec tej dyskusyi zabrał głos prof. Stroński i po długim motywowaniu postawił swój wniosek, bardzo obszerny, oskarżający socyalistów przedewszystkiem o rozmaite „crimina“, popełnione rzekomo w Królestwie Polskiem. Na to przemówienie odpowiedział p. Daszyński, żądając odroczenia dyskusyi dla zebrania materyału dla merytorycznej odpowiedzi na zarzuty p. Strońskiego. Na tem posiedzenie przerwano. Nazajutrz zaś kontynuowano debatę nad ową odpowiedzią, poczem powrócono do dyskusyi nad wnioskiem prof. Strońskiego. Dyskusyi

jednak nie skończono. A przewodniczący dr Leo odroczył dalsze obrady do późniejszego terminu.

Ze sposobu przedstawienia sprawy w „Gazecie Warszawskiej“ widać, że informator jej znał sprawę dokładnie, ale ponieważ przebieg jej nie zupełnie dogadzał jego zamiarom, przeto „skorygował“ go w swem przedstawieniu odpowiednio, twierdząc, że wniosek Strońskiego miał większość, co jest nieprawdą, bo nie było nad nim głosowania, i dodając jeszcze, że Leo i Daszyński „rozbili“ zebranie, co jest już oczywiście niedorzecznością.

Tak więc dochodzimy do wniosku, że „Gazetę Warszawską“ informował ktoś, znający rzeczywiście bieg sprawy, ale rozmyślnie w celu obniżenia powagi N. K. N. i zdeprecjonowania jego działalności, prawdę tę przekręcał i wypaczał.

Zestawienie dat tych enuncyacyj w Krakowie i w Warszawie jest także bardzo — oryentującym... I tak, aczkolwiek obrady N. K. N. są z natury rzeczy najściślej poufnymi, niedzielny „Głos Narodu“ z dnia 20 września przyniósł dosłowny tekst wniosku prof. Strońskiego z tym dodatkiem wspólnym także i „Gaz. Warsz.“, że jest to wniosek, za którym oświadczyła się większość N. K. N. Już w sobotę, dnia 26 września „Gazeta Warszawska“ drukuje ten sam wniosek z tym samym nie odpowiadającym rzeczywistości dodatkiem „plus“ informacja o „rozbiciu zebrania“.

Wiemy wszyscy, że komunikacja jakakolwiek z Krakowa do Warszawy jest dla zwyczajnych śmiertelników zupełnie niemożliwą. Znamy wypadki, w których ludzie najśmielsi tylko, ryzykując na każdym niemal kroku jeżeli nie życie, to wolność osobistą, zdolali przedrzeć się z jednego miasta do drugiego, ale nie znamy wypadku, aby przedzieranie się trwało krócej niż — dziesięć dni, czemu nie można się dziwić, bo przedzieranie się to możliwem jest tylko na długich okrężnych drogach, przy wyzyskiwaniu przypadkowych okazji, przy długich przymusowych postojach i t. p. W czasie, w którym enuncyacja ta w Krakowie i w Warszawie została ogłoszoną, ta „komunikacja“ między oboma miastami była jeszcze bardziej utrudnioną, a raczej wręcz niemożliwą. Wiemy już bowiem dzisiaj, że właśnie wówczas ogromna armia

rosyjska szła w kierunku na Kraków od północy, że przednie jej straże już były zajęły Kielce i że armia ta wróciła pospiesznie najpierw ku Piotrkowu, a potem za Wisłę pod Warszawą dopiero około 28 września, kiedy natknęła się na bardzo znaczne siły niemieckie, jakie właśnie do Królestwa wkroczyły.

W tym więc czasie, kiedy właśnie całe niemal lewobrzeżne Królestwo było zajęte przez znajdujące się w ofensywie wojska rosyjskie, komunikacja Krakowa z Warszawą była wręcz niemożliwą. A jednak stało się, że wniosek prof. Strońskiego, który światło dzienne ujrzał po raz pierwszy na szpaltach „Głosu Narodu“ w niedzielę, już w sobotę tego samego tygodnia był dosłownie przedrukowany przez „Gazetę Warszawską“, która więc tekst jego musiała otrzymać najmniej w piątek, czyli, że w czasie zalania walczącymi wojskami całej przestrzeni między Warszawą a bliską okolicą Krakowa istniała jednak komunikacja, która w stosunku do normalnej obsługi pocztowej w czasie pokoju dostarczyła do Warszawy wniosek Strońskiego tylko z — trzydniowym opóźnieniem... Tak więc okazuje się, że wniosek ten miał zdolność latania nad milionowymi armiami niby srebrno-pióry gołąbek...

Zanalizowany przez nas artykuł „Gazety Warszawskiej“ pozwala stwierdzić jako fakta niewątpliwe, co następuje:

1. Już na miesiąc blisko przed rozwiązaniem Legionu Wschodniego, oficjalny organ rusofilskiego narodowo-demokratycznego stronnictwa w Warszawie twierdził stanowczo, że rozwiązanie to nastąpi.

2. Już na miesiąc przed uchwaleniem *votum* nieufności sprawcom rozwiązania Legionu Wschodniego, ten sam organ twierdził, że jedność w dniu 16 sierpnia osiągnięta jest tylko pozorną, że N. K. N. jest rozbity.

3. Już na miesiąc przed secesją przedstawiciele narodowych demokratów i Podolaków z N. K. N., tenże organ warszawski wzywał t. zw. „żywoły narodowe“ do ostatecznego rozbicia N. K. N., przyczem podnieść należy, że jest notorycznym faktem, iż w języku partyi narodowo-demokratycznej „żywołami narodo-

wymi“ nazywają się: galicyjska partya narodowo-demokratyczna, tudzież obie partye konserwatywne wschodnio-galicyjskie.

4. Że istotnie przedstawiciele tych właśnie partyj z N. K. N. wystąpili, aczkolwiek uchwalone *votum* nieufności nie odnosiło się bynajmniej do wszystkich z nich, ani nie do ich partyj, jako takich.

5. Że wreszcie „Gazeta Warszawska“ posiadała w owym czasie stosunkowo bardzo dobrą komunikację, dzięki której otrzymywała do swego użytku dokumenty z N. K. N., które do uzasadnienia jej zapatrywań były potrzebne.

Na razie te tylko motywa uchwalonego przez N. K. N. *votum* nieufności uważamy za potrzebne przytoczyć. Gdyby jednak okazały się one niewystarczającymi do przekonania o słuszności tego *votum*, przytoczymy jeszcze inne motywa, tak samo, a może i więcej jeszcze ciekawe...

N. K. N. W W I E D N I U

9 stycznia 1915.

Drugi miesiąc upływa już od czasu, jak twardą koniecznością wojny zmuszony Naczelny Komitet Narodowy kontynuuje swoją działalność na gruncie wiedeńskim. Nikt chyba więcej, niż sam Komitet, nie odczuwa boleśniej tej czasowej rozłąki z krajem i miastem, z którego wyszedł. Nikt goręcej nie pragnie powrotu na ziemię ojczystą, niż właśnie członkowie N. K. N. Niestety jednak, przedłużająca się niepewność położenia wojennego i ciągle jeszcze nad Krakowem wiszące niebezpieczeństwo oblężenia uniemożliwiają N. K. N. upragniony przezeń powrót do Krakowa, ponieważ ciało to, powołane do zorganizowania Legionów, opiekowania się nimi i wreszcie do wydobycia z ich bohaterskich wysiłków jak największych narodowych korzyści, nie może ryzykować zamknięcia w twierdzy i odcięcia na czas dłuższy od Legionów, jak i od tych sfer, wśród których w obecnym stadyum sprawy z natury rzeczy przedewszystkiem musi rozwijać działalność.

Potrzeba też, aby społeczeństwo zrozumiało należycie powody tego przymusowego pobytu N. K. N. w Wiedniu, aby w opinii publicznej nie lęgiły się żadne inne, częstokroć najopaczniejsze mniemania.

Okres — oby jak najkrótszy — tej swojej niedobrowolnej emigracji postanowił N. K. N. wyzyskać możliwie najintensywniej w celu uregulowania szeregu spraw pierwszorzędnej wagi, które zarówno z Legionami, jak z wielkimi zagadnieniami politycznymi, jakie wojna obecna przed narodem naszym postawiła, wiążą się jak najściślej.

Już jedno z naczelnych założeń wielkiego dzieła z dnia 16-go sierpnia, mianowicie, że naród polski w Galicyi tworzy Legiony dla walki z Rosyą w związku z Monarchią austriacko-węgierską, sprawia, że bardzo znaczna część pierwszorzędnych zadań N. K. N. nie może być ani podjęta, ani rozwiązana gdzieindziej, jak tylko w stolicy tej monarchii. Bo wszakże chodziło nie tylko o to, aby wysłać w pole dwadzieścia kilka tysięcy bohaterskiej młodzieży polskiej, ale przede wszystkim o to, aby olbrzymia w danych stosunkach na ołtarzu strasznej wojny złożona ofiara nie była wysiłkiem daremnym, aby całemu narodowi naszemu pożytek przyniosła. Polityczne zaś zużytkowanie tego niebywałego wysiłku narodu, któremu obecna wojna niewątpliwie najgłębsze zadała rany, stanowi splot zagadnień i problemów, których ogromną trudność ocenić będzie można dopiero wówczas, kiedy społeczeństwo spojrzy na nie oczyma obiektywnych badaczy.

Trudności, tkwiące w samej naturze problemu polskiego, postawionego tak, jak to słusznie uczynili twórcy aktu z 16-go sierpnia, komplikują się jeszcze trudnościami natury lokalnej, wynikającymi z niedostatecznego zrozumienia rzeczy przez rozmaite czynniki, a niestety także i stąd, że w samym zdenerwowanem już do ostatnich granic społeczeństwie naszym zbyt wątplą jest świadomość konieczności solidarnego, lojalnego, a przede wszystkim wytrwałego i niczem nie dającego się zamącić współdziałania w raz obranym i za słuszny uznany kierunek.

Wiele tych trudności udało się N. K. N. już w ciągu dotych-

czasowej pracy na gruncie wiedeńskim pokonać. Dziś oczywiście nie pora na szczegółowe tych rezultatów przedstawienie. Żaden z nich nie jest jeszcze ani pełnym, ani ostatecznym. Wszystko „staje się“ dopiero, przyczem tempo i kierunek tego „stawania się“ zależą z natury rzeczy od biegu wypadków wojennych. To jednak można już dzisiaj z całą pewnością stwierdzić, że dzięki wytrwałym zabiegom N. K. N. udało się już bardzo znacznie pogłębić zrozumienie problemu polskiego jako jednego z najważniejszych problemów polityki międzynarodowej w Europie, które ta wojna ma rozwiązać, że dalej udało się ugruntować sympatyę dla naszej sprawy w sferach, posiadających prawo historycznych decyzji, że wreszcie zdołano także osiągnąć pewien wpływ na organa opinii publicznej w stolicy państwa, paraliżując równocześnie zabiegi, które w tej dziedzinie czynili od początku różnorodni wrogowie nasi. Złowróźbne milczenie prasy obcej o wysiłkach naszych w tej wojnie zostało ostatecznie przerwane. Wszystkie organy prasy wiedeńskiej objawiają dzisiaj żywe zainteresowanie Legionami i ideą, w imię której Legiony te walczą. Biuro prasowe N. K. N. nie działa już w próżni. Komunikaty jego i relacje z łatwością docierają do maszyn drukarskich, jeżeli zaś mimo to częstokroć nie oglądają światła dziennego, to winien temu czas wojenny i srogie jego obyczaje, pod brzemieniem których cierpi dzisiaj cała prasa w całej niemal wojującej Europie...

Z końcem ubiegłego miesiąca przystąpił N. K. N. do wydawania zakrojonego na wielką skalę tygodnika polskiego w języku niemieckim, mającego na celu informować świat o Polsce i jej potrzebach. Przedsięwzięcie to, należycie pojęte, nawet w czasach normalnych trudne i odpowiedzialne, w stosunkach dzisiejszych przedstawia szereg specjalnych i wyjątkowych trudności, które jednak redakcja „Polen“ i kierujący nią N. K. N. zwycięsko pokonują. Założenie tygodnika polskiego w języku niemieckim, tygodnika, nie mającego nic wspólnego z dotychczasowymi drobnymi i przedewszystkiem w związku ze stosunkowo ciasnymi zagadnieniami życia partyjno-parlamentarnego pozostającymi pu-

blikacyami peryodycznymi, wypełniło lukę, której istnienie dawno już dotkliwie odczuwano. Niemiecki tygodnik N. K. N. rozsyłany masowo po całej Europie przyczyni się niewątpliwie do znacznego spopularyzowania kwestyi polskiej w świecie międzynarodowym, co dla należytego jej postawienia i rozwiązania podczas likwidacyi wojny będzie miało znaczenie bardzo duże.

Także wydawane przez Departament Wojskowy N. K. N. „Wiadomości Polskie“, przeznaczone w pierwszym rządzie dla stojących w polu Legionistów, stanowią zdobycz cenną i pożyteczną. Brak stałej publicystycznej obsługi naszych Legionistów, odciętych nieraz tygodniami całymi od świata, dawał się odczuwać już dawno. Legiony bowiem, złożone w trzech czwartych z inteligentnej młodzieży, domagały się zawsze ze słuszną usilnością, aby obok mięsa i chleba dostarczano im także strawy duchowej w postaci peryodycznego pisma. Potrzeba przyznać, że biuro prasowe Departamentu Wojskowego, kierowane sprężystą ręką dra Kota, zaspakaja dzisiaj tę duchową potrzebę naszych młodych rycerzy z godną żywego uznania hojnością i usilnością. Dwa w tygodniu numery, redagowane żywo i z zapałem, pełne są zawsze treści, która zbudować, umocnić i pouczyć może nie tylko żołnierzy polskich. Każdy obywatel i patriota polski znajdzie w nich zawsze wiele ciekawych i serce polskie krzepiących wiadomości.

Departament Skarbowy N. K. N., urządzony wedle wszelkich wymagań techniki bankowej, znalazł na gruncie wiedeńskim wdzięczne zadanie uruchamiania tych kapitałów, które, ofiarowane w swoim czasie w papierach wartościowych i książeczkach Kas oszczędności, wymagają w dzisiejszych stosunkach szczególnie zawyżonych operacyj, aby z nich wycisnąć odpowiedni strumień gotówki tak bardzo potrzebnej. I aczkolwiek nie można niestety powiedzieć, aby strumień ten groził — wezbraniem, to jednak stwierdzić należy, że sączy się on stale, umożliwiając pokrywanie najniezbędniejszych przynajmniej wydatków.

Tak w najogólniejszych zarysach przedstawiają się dotychczasowe wyniki pracy N. K. N. na gruncie wiedeńskim. Aczkolwiek

nie można ich dziś jeszcze sumować i oceniać, to jednak to już można o nich powiedzieć, że równoważą one w zupełności te braki i nieuchronne szkody, które z czasowego pobytu N. K. N. na gruncie obcym wynikają, lub jeszcze więcej zdają się wynikać.

D L A C Z E G O Z W Y C I Ę Ź Y M Y ?

17 stycznia 1915.

Sześć miesięcy wojny wypełnionych jest zjawiskami, których suma czyni pytanie — czy zwyciężymy — nieaktualnym. Wystarczy bowiem zastanowić się spokojnie nad dotychczasowym wynikiem wojny, aby przyjść do przekonania, że w zasadzie kwestya naszego zwycięstwa jest już rozstrzygnięta. To zwycięstwo już jest. Musi być tylko wykończony...

Przed pół rokiem na oba środkowo-europejskie mocarstwa rzuciły się trzy największe potencje militarne, które, aczkolwiek przemożne, okazały się w rzeczywistości jeszcze możniejszymi, niż ogólnie przypuszczano. Armia francuska, zawsze wprawdzie przez znawców ceniona, ujawniła wytrwałość i tężyznę, jakiej jej nie przypisywano. Posiłkowa armia angielska okazała się rychło także czemś bez porównania więcej, niż doskonale zgranym zespołem — footballistów. Joffre i French dowiedli pierwszorzędných zdolności strategicznych. Na Zachodzie więc, zarówno materya, jak duch, po stronie nieprzyjacielskiej nie tylko odpowiedziały w zupełności oczekiwaniom, ale jeszcze je znacznie przewyższyły.

Rekord jednak w urządzaniu niespodzianek osiągnęła Rosya. Powolna mobilizacya jej olbrzymiej armii stanowiła w rachubach wszystkich sztabów generalnych wartość stałą i ogromnie ważną. Na nieuchronnych konsekwencyach tej powolności oparto cały system wojowania z Rosyą, system, którego słusznosc sama Rosya zdawała się potwierdzać przez ujawnioną tendencyę do cofania swych linii obronnych w głąb państwa.

Tymczasem w dwa tygodnie po wybuchu wojny okazało się, że Rosya jest gotową do wojny, że wojska jej są skoncentrowane

w pobliżu granic, że o tysiąc kilometrów odległe korpusy azya-tyckie wchodzi w skład pierwszej linii bojowej, że zapasy wszelkie są nie tylko w komplecie, ale że okazują nawet zdumiewająco nadmiar. Artylerya rosyjska sieje po prostu szrapnelami, które, o dziwo, wybuchają może aż nazbyt dokładnie, miota granatami, które trafiają i ryją głębokie dziury. Żołnierze rosyjscy doskonale i bardzo celowo ubrani, a przedewszystkiem syci, zwawo kopią swoje znakomite dziury — słowem, dziw nad dziwy, którego przy największym nawet szacunku dla potęgi militarnej caratu nie oczekiwano.

Potrzeba drugim oddawać sprawiedliwość, aby ją módz wymierzyć także i sobie. Należy przyznać, że potęga, którą w pierwszym okresie wojny rozwinęło całe trójporozumienie, okazała się większą, niż w Europie środkowej przypuszczano. Moment stwierdzenia faktu tej nadwyżki potęgi strony przeciwnej, był zarazem momentem najkrytyczniejszym dla dwuprzymierza. Po trzy do czterech milionów bagnetów cisnęło na nie z dwóch stron równocześnie, nie licząc dwóch państw serbskich, które zaprawione w rzemiośle wojennym w niedawnych bojach krwawych, ożywione bezprzykładnym wprost fanatyzmem, drobiazgiem także nie były. Przewaga liczebna olbrzymia. Przewaga techniczna, szczególnie w artyleryi, bardzo znaczna. To były fakty, które ujawniwszy się, musiały nabrać znaczenia szans ogromnych dla — trójporozumienia.

Ale od tego czasu minęło już pięć miesięcy. Przypatrzmy się rezultatom, które trójporozumienie, rozporządzając temi szansami, osiągnęło. Są one wyłącznie ujemne. Mimo straszliwego naporu, mimo niewidzianej dotąd potęgi, jaką koalicya antyniemiecka rozwinęła, Niemcy i Austria ostały się jak blok granitowy. Pod potężnymi uderzeniami młota rosyjskiego odłupano od tego bloku tylko drobną część jednego narożnika — wschodnią Galicyę, za co jednak zapłacono słońco, i drobniejszą jeszcze część Prus Wschodnich, za co zapłacono jeszcze — słońciej... Na Zachodzie nawet tego efektu potęga trójporozumienia nie osiągnęła. Niemcy zajęły całą Belgię ze wszystkimi twierdzami i przeszło dwadzie-

ścia tysięcy kilometrów terytorium rdzennej Francji, których wartość obliczają ekonomiści francuscy na piętnaście miliardów franków. Wyjąwszy drobne skrawki nadgraniczne w Alzacyi, ani jeden metr kwadratowy ziemi niemieckiej nie widział dotąd najeźdźcy od strony Zachodu. A pamiętać proszę, że to już sześć miesięcy upłynęło od czasu, jak wojna z ogromną wehemencją wybuchła.

Jeżeli ogrom szans, tkwiących w niewątpliwej pierwotnej przewadze trójporozumienia nad dwuprzymierzem, porównamy z rezultatami, spostrzeżemy bez trudu, że szanse te zostały zniszczone niepowrotnie i bez rezultatu... „Rabies gallica“ nie dotarła do Renu. Rosyjski walec parowy nie przewalcował nie tylko Berlina, ale nawet Poznania i Torunia. Angielski kolos morski musiał zadowolnić się zatopieniem kilku krążących po dalekich oceanach krążowników niemieckich, i to wtedy dopiero, kiedy one ogromną część swego karkołomnego zadania z nieporównaną brawurą spełniły i kiedy udało się Anglikom ściągnąć na pomoc wszystko, co tylko mogli — więc nawet okręty japońskie... Na właściwym jednak terenie — na morzu Północnem — paniami sytuacji pozostają dotąd — niemieckie łodzie podwodne. Flota niemiecka jest cała i nietknięta i tak zuchwała, że składa nawet wizyty portom angielskim, oddała się od swoich podstaw o setki kilometrów, jak gdyby wyzywając kolosy angielskie do nierównej walki. Kolosy te jednak, pomne losu swoich kuzynów, nie dają się skusić, ponieważ dowódcy ich podejrzewają, że dokoła pancerników niemieckich, które widać, uwijają się stada łodzi podwodnych, których nie widać. A te są dla nich groźniejsze.

A więc nawet na tym terenie wojny, na którym absolutna przewaga Anglii nad Niemcami była pewnikiem matematycznym, rzeczywistość przeprowadziła poprawkę, której rezultatem dzisiaj niewątpliwym jest koniec legendy o hegemonii angielskiej na morzu... Londyn zasłania dzisiaj nocami troskliwie swoje okna, niebo natomiast skrupulatnie przeszukując reflektorami. Tworzą się nowe wojska, przeznaczone nie dla francuskich teatrów wojny, ale dla obrony własnych brzegów przed inwazyą niemiecką. Więc

po sześciu miesiącach wojny uważa się za możliwe to, z czego śmiano się jeszcze w lipcu i sierpniu...

Ale wróćmy raz jeszcze do Rosyi. Olbrzymia armia rosyjska ruszyła z kopyta w dwóch kierunkach równocześnie, główne swe uderzenie kierując przeciw Galicyi, silny cios dwiema wyborowemi armiami wymierzając w Niemcy. Na terenie galicyjskim, ofenzywa austriacka, obliczona na armię rosyjską, mobilizującą się dopiero, zakończyła się oczywiście ujemnie, ponieważ założenie nie okazało się zgodnem z rzeczywistością. Gdzie oczekiwano dziesiątków tysięcy, zastawano krocie, gdzie przypuszczano istnienie kroci, tam natrafiono na miliony. — Trzykrotna przewaga sił rosyjskich nad austriackimi stanowiła złowieszczą regułę w ciągu pierwszych trzech miesięcy wojny. Siedmiokrotna zaś nawet nie należała do zbyt wielkich wyjątków...

Wiele w myśleniu zależy od sposobu postawienia pytania. Dlatego, jeżeli postawimy pytanie, co osiągnęła ofenzywa austriacka, to odpowiedź naturalnie owieje — melancholia, która się i nam z łatwością udzieli. Spróbujmy jednak postawić pytanie inaczej, mianowicie, co osiągnęła Rosya, Rosya, która mobilizację swych olbrzymich wojsk kończyła właśnie wtedy, kiedy myśmy swoją dopiero zaczynali, Rosya ze swoją olbrzymią przewagą doskonałej artyleryi, ze swoimi zapasami, słowem, ze swoimi uzbrojonymi po zęby milionami. Rachujmy: Rosya wzięła Galicyę wschodnią, kraj strategicznie niezmiernie trudny do obrony, z wyschniętymi podczas upalnego lata rzekami i z dwiema połowemi twierdzami Haliczem i Mikołajowem, które wskutek niskiego stanu wody w Dniestrze straciły właściwe swoje znaczenie jako przyczółki mostowe, i dlatego nie były nawet bronione.

Rosya dalej sforsowała szereg przełęczy karpackich, przez które wypuszcza po kolei cienkie macki w głąb Węgier z tym jednak skutkiem, że się jej te macki po kolei obcina. Linję Sanu armia austriacka odstąpiła dobrowolnie, cofając się w październiku na inne pozycye w myśl olbrzymiego planu całej operacyi na wschodnim froncie. Ale środkowego punktu tej linii, Przemysła, bez którego nie można mówić na prawdę o strategicznem

posiadaniu przez Rosyan ani linii Sanu, ani nawet wschodniej Galicyi, Rosyanie dotąd nie mają i zapewne nie posiadą go wcale.

Porównajmy sposób, w jaki Niemcy opanowały Belgię, ze sposobem, w jaki Rosya zasiadła w Galicyi wschodniej, a różnica między tymi sposobami da nam także miarę różnicy między strategiczną wartością jednej i drugiej zdobyczy. — W Belgii Niemcy zajęli wszystkie twierdze i całe wybrzeże morskie, co wyklucza wszelką pomoc angielską. Na południe od granic belgijskich Niemcy daleko w głębi Francyi pociągnęły swój front, który jest dzisiaj obronnym, który jednak jutro może się stać miazdząco atakującym. Te bowiem drobne i najczęściej dla nas, laików, niezrozumiałe rezultaty czteromiesięcznych krwawych bojów we Flandryi, koło Verdun i t. d., które tak skrupulatnie rejestruje naczelne dowództwo niemieckie, sumują się i mogą dać kiedyś efekt, który znowu zadziwi świat. Rosya w Galicyi nie ma ani jednej twierdzy. Od południa i zachodu jest ciągle atakowana, posiadając w tej części naszego kraju nie *definitivum*, ale — *provisorissimum* strategiczne.

Tak jest w Galicyi. Gorzej jeszcze jednak ma się rzecz w Królestwie. Tu olbrzymia ofenzywa rosyjska na Poznań i Wrocław złamała się dziwnie szybko. Inicytywa strategiczna, jak błyskawica przeleciała z rąk Mikołaja Mikołajewicza w mocną dłoń Hindenburga. — Ci, którzy przed dwoma miesiącami szli na przełamanie linii Odry, dzisiaj uważaliby za szczyt powodzenia możliwość obronienia linii Wisły...

Jeżeli to wszystko obiektywnie zważymy, uwalniając się na chwilę od silnych praw psychologii ludności kraju nieszczęściem wojny najstraszniej dotkniętego, nie podobna, abyśmy nie zrozumieli, że pytanie, czy zwyciężymy? nie jest już aktualnem. Ta kwestya bowiem została już przesądzoną. My zwyciężymy, tylko jak? i kiedy?

Jeżeli tocząca się wojna pójdzie dalej dotychczasowym torem, t. j. jeżeli ze strony państw neutralnych nie nastąpią jakie niespodzianki, to zwycięstwo obu mocarstw środkowych jest pewnem. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie leży w obiektywnem roz-

ważaniu i porównywaniu zdolności wyrównywania zużycia sił, jaką obie walczące strony posiadają.

Przyjmijmy przedewszystkiem dwa pewniki, mianowicie, że prawo zużycia działa równomiernie po obu stronach i że fakt niedoskonałości ludzkiej i wynikająca zeń konieczność brania znacznych poprawek dla wszelkich zamierzeń ludzkich jest również po obu stronach jednakową.

Pewniki te potrzeba w głowie ulokować na honorowem miejscu, ponieważ stronniczość w myśleniu zbyt często każe o nich zapominać, wskazując na objawy zużycia po jednej stronie, a przemilczając takie same objawy po drugiej. Otóż to potrzeba wiedzieć, że wojna nikomu nie przysparza sił, że jest ona tych sił intensywnem wydatkowaniem, a nie mnożeniem. Wojna ludzi nie mnoży, tylko ich tępi i to zarówno we Francyi i Rosyi, jak w Niemczech i Austrii, liczby patronów i karabinów nie zwiększa, lecz zmniejsza, resursy pieniężne nie wzmacnia, lecz osłabia.

Co się tyczy drugiego pewnika, że natura ludzka jest wszędzie niedoskonałą, to powszechność jego jest nie mniej jasną, niż powszechność pierwszego. Czy to jest zbieg okoliczności i gra przypadku, czy też może wynik natury współczesnej wojny, dość, że dotychczasowy jej przebieg ujawnił, iż to, co się nazywa „geniuszem strategicznym“, jest w obecnej wojnie niejako — zdepersonalizowane i prawie równomiernie między wszystkie walczące strony rozłożone. Wojna stała się z jednej strony ścisłą kalkulacją rachunkową, z drugiej zaś tak skomplikowanem przenoszeniem olbrzymich mas, że brak w niej po prostu z jednej strony wolnej przestrzeni duchowej dla fantazyi twórczej, z drugiej zaś przestrzeni fizycznej dla ruchu wojsk, t. j. tego właśnie, bez czego indywidualny geniusz strategiczny nie może się ujawnić. Bo na czemże polega genialność, jeżeli nie na genialnych improwizacyach? Jak zaś improwizować, skoro wszystko opiera się na rachunku i najściślejszej analizie, a co gorsza, jeżeli olbrzymie masy wojsk walczących zajmują tyle miejsca, że niema po prostu wolnej przestrzeni na to, co stanowi materję strategicznej improwizacyi, t. j. na jakieś nieoczekiwane ruchy, obejścia i t. p. ma-

newry. We Francji jedni drugich dopóty usiłowali obejść, dopóki nie wyciągnęli się równomiernie w dwie olbrzymie linie od granicy szwajcarskiej po Kanał. Jeżeli się zaś tak stanie od ściany do ściany, to manewrować nie można. Na wschodnim terenie wojny Hindenburg tak doskonale wyzyskał właściwości terytorium Prus Wschodnich, że odniósł nad dwiema armiami rosyjskimi zwycięstwo godne największych zwycięstw napoleońskich. Ale później i tu także w miarę rozszerzania się frontów obu walczących armij, przestrzeń improwizacji strategicznej zaczęła się coraz bardziej zacieśniać, aż wreszcie nawet sam Hindenburg musiał ograniczyć się do najprostszego — parcia naprzód.

Zresztą, być może, że i nowoczesna wojna otwiera dla twórczości strategicznej jakieś nieznanne jeszcze pola, że istnieją w niej jeszcze jakieś nowe, nieprzeczuwane możliwości. Takiego jednak „nadgeniusza“, któryby je odkrył lub przynajmniej przeczuł, nie wydała dotąd żadna walcząca armia, a skoro dotąd nie wydała, zapewne także już nie wyda. Pod względem siły kierujących intelektualistów, wszystkie armie są sobie niemal równe. Joffre okazał się równie doskonałym, jak French. — Sztab generalny rosyjski wytrzymuje na ogół porównanie ze sztabami państw środkowych. Błędy w ciągu wojny popełniano wszędzie. A częste pogrzeby — żywych generałów, którzy nagle zaczynają „chorować“, są na porządku dziennym w każdej armii. Dowodzi to, że nigdzie nie wynaleziono niezawodnego systemu stawiania właściwych ludzi na właściwych stanowiskach i że wojna wszędzie jest twardym egzaminem, który pewną ilość nieudolności odrzuca. A pod tym względem równomierność wśród walczących jest tak duża, że możnaby jej dowieść niemal — statystycznie, zestawiając liczby rozmaitego stopnia dowódców, którzy, czy to wskutek nieodpowiedniego użycia, czy wogóle wskutek nieudolności spadli w ciągu wojny z czynnego etatu walczących armij... W tych warunkach niema powodu do obaw lub nadziei, aby pewnego pięknego dnia wódz tej czy tamtej strony dokazał nagle jakiegoś cudu strategicznego. Raczej można być pewnym, że pod względem kiero-

wnictwa nikt tu nikomu zbyt bolesnej, czy radosnej niespodzianki nie sprawi.

Genialny poeta amerykański, Edgar Allan Poe, powiedział frazes, że szachy są grą, w której w zasadzie niema wygranej, bo na najwyszukańszy atak znajdzie się zawsze najwyszukańsza obrona. Ale też w szachy nie gra sama kombinacja szachowa „in abstracto“, ale gra człowiek kombinujący, z całą nieskończonością różnic, jakie go od innego człowieka dzielą. Tak samo w tej wojnie, aczkolwiek siła kombinacji strategicznych i taktycznych „in abstracto“ okazuje się w niej na ogół równą, to jednak z tego faktu nie wynika jeszcze, że wojna pozostanie bez zwycięzców i zwyciężonych. Zwycięstwo i klęska nie zależą wyłącznie od kombinacji, lecz stanowią przedewszystkiem wypadkową pomiędzy tempem zużywania sił, a tempem ich uzupełniania. Równość geniuszu strategicznego sprawia tylko to, że dla naszych rozważań przestaje on być jakimkolwiek czynnikiem, że możemy go z rozważań tych opuścić, tak jak w działaniach arytmetycznych wypuszcza się po obu stronach równą ilość zer...

Skoro zaś przyjęliśmy za pewnik powszechność i równomierność prawa zużycia, to kwestya, kto zwycięży, da się zlokalizować w kwestyi, kto prędzej i lepiej zdoła swoje zużycie uzupełnić, kto szybciej dziury w swoim własnym płaszczu wyłatać potrafi. Rozważmy teraz tę kwestyę.

Zużycie w wojnie dokonuje się przedewszystkiem w dwóch kierunkach — w liczbie ludzi i w materiale wojennym. Wszystkie armie tracą zabitych, rannych, chorych i wziętych do niewoli. Jak zaś szybkim jest to tempo strat, świadczy chociażby ten fakt, że dotąd państwa środkowe mają przeszło ośm kroć sto tysięcy jeńców, czyli więcej, niż wynosiła jakakolwiek przed tą wojną w Europie wystawiona armia. Zużycie materiału jest jeszcze intensywniejsze. Powoduje to najpierw samą sposób prowadzenia wojny, ogrom bitew i niesłychana rozrzutność w zużyciu środków, powtóre zaś także i to, że ogrom walczących armij utrudnia niesłychanie wszelki system oszczędnościowy i wszelką racjonalną

gospodarkę w tym względzie. Rosyanie n. p. dotąd stracili przeszło półtora tysiąca armat, czyli bez mała tyle, ile ich miała cała armia niemiecka w wojnie w r. 1870... Zużycie karabinów n. p. w tej wojnie jest niezwykle. Wojna mieie te instrumenty, jak gdyby były nie ze stali, lecz z ciasta...

Jakże wygląda zdolność uzupełniania tych strat i braków u obu stron walczących?

Po stronie trójporozumienia obraz tej zdolności uzupełniania braków jest bardzo niejednostajny. Francya, cierpiąca na depopulację, ma minimalną zdolność uzupełniania strat w materiale ludzkim. Fakt powołania tam chłopców siedmnastoletnich pod broń i to bez oględzin lekarskich, mówi w tej materji więcej, niż wszystkie wywody statystyczne. Puszczanie na urlop kilku roczników rezerw we Francji nie oznacza bynajmniej nadmiaru ludzi, ale po prostu jest wynikiem walk pozycyjnych, które wymagają mniejszych mas, niż wojna ruchowa. Natomiast pod względem zdolności uzupełniania braków materialnych Francya wygląda dobrze, bo i sama jest krajem wysoce przemysłowym i dzięki sojuszowi z Anglią ma zapewniony dowóz produktów przemysłu, szczególnie amerykańskiego.

W Rosji te rzeczy przedstawiają się wręcz przeciwnie. Nie cierpi ona na depopulację, jak Francya, i w swoich 170 milionach ludności posiada niewyczerpany wprost zapas materiału ludzkiego, ale za to bardzo lichy przedstawia się jej zdolność uzupełniania braków materialnych. Chociaż także i co do materiału ludzkiego, to obfitość jego w Rosji należy oceniać zawsze z tem zastrzeżeniem, że przetworzenie go w żołnierza jest tam bez porównania trudniejsze i mniej obiecujące, niż gdzie indziej w Europie. Jeżeli bowiem prawdą jest, że dzisiaj wszystkie walczące państwa przekroczyły już dawno granice swoich armij regularnych i dalsze armie improwizują, to z drugiej strony jest nie mniejszą prawdą, że co innego jest improwizowanie takiej armii w społeczeństwach o wysokim poziomie kultury i oświaty, a co innego w społeczeństwie takim, jak rosyjskie, które ze swojemi 70% analfabetów przedstawia najbardziej oporną masę

dla wszelkich improwizacji. Turcy w wojnie bałkańskiej improwizowali także armie z ludności ciemnej i barbarzyńskiej. Ale rezultat był taki, że żołnierz turecki, na prędcie z chłopca anatolijskiego przerobiony, nie umiał dać sobie rady z tak zwanym „Aufsatzem“ na karabinie, bo nie umiał odczytać cyfr, ani nie mógł pojąć ich znaczenia. Dalej, masy same, nawet przyodziane w mundury i dźwigające karabiny, nie są jeszcze dopóty armią, dopóki nie mają odpowiedniej liczby dostatecznie inteligentnych oficerów. Materiału zaś na takich oficerów Rosya ma stosunkowo najmniej, ponieważ w społeczeństwie rosyjskiem inteligencya jest jeszcze bardzo nieliczną, a procent ludzi ze średnim wykształceniem wynosi drobny ułamek.

Jeżeli więc nawet ukazy carskie potrafią zmobilizować dalsze miliony chłopów rosyjskich i koczowników ze stepów azyatyckich, to w każdym razie będzie to trzoda bez pasterzy, ponieważ zbraknie jej oficerów, których już improwizować nie można. Jeżeli się zaś zważy, że już przed dwoma miesiącami „Russkij Inwalid“, a więc źródło niewątpliwie kompetentne, obliczał straty armii rosyjskiej w oficerach na blisko 40.000 ludzi, to już dzisiejsza armia cierpi na dotkliwy brak oficerów. Cóż mówić o tych przyszłych, które się ma dopiero w pole wyprowadzić?

Tak więc nawet w kwestyi uzupełniania braków w materiale ludzkim Rosya mimo obfitości surowca ma do pokonania nieprzewyciężone trudności w postaci niskiego stanu kultury swoich mas i szczupłego zapasu inteligencyi, a więc tych dwóch braków, które się z dnia na dzień usunąć nie dadzą.

Jeżeli zaś teraz przejdziemy do kwestyi sprawności w pokrywaniu braków materialnych, to położenie Rosyi okaże się najgorszem ze wszystkich państw wojujących. Przemysł rosyjski nie jest tak rozwiniętym, aby, sam na siebie zdany, mógł pokryć wszystkie zapotrzebowania wojny. Wiadomo n. p., że pewnego rodzaju pocisków do używanych w armii rosyjskiej armat, fabryki wogóle wyrabiać nie mogą. Dowóz z zewnątrz, który wskutek zamknięcia morza Bałtyckiego szedł dotąd tylko przez Archangielsk lub jeszcze dalej przez Władywostok, dozna w ciągu zimy

ogromnego ograniczenia, ponieważ porty te zamarzają tak silnie, że najsilniejsze łamacze lodów tylko z największym trudem mogą torować drogę okrętom do portów wpływającym. W ostatnich czasach Rosya z ogromnym pośpiechem wybudowała drugą linię kolejową, łączącą ją na północnych wybrzeżach Zatoki Fińskiej ze Szwecją przez Haparandę, aby tędy sprowadzać kontrabandę wojenną. Jest to jednak także bardzo szczupły dopływ, tem bardziej, że z powodu różnicy w szerokości torów musi się tu odbywać żmudne przeładowywanie towarów. Rosya wreszcie, tracąc dotąd lewy brzeg Królestwa, straciła z nim razem jeden z bardzo ważnych swoich centrów przemysłowych i węglowych. Tekstylne fabryki Łodzi i innych osad fabrycznych Królestwa mają zdolność produkcyjną, równającą się co najmniej 30% ogólnej zdolności produkcyjnej całego tekstylnego przemysłu rosyjskiego. Dzisiaj są one dla Rosyi stracone, co teraz właśnie, kiedy wojna wymaga zużycia całej zdolności produkcyjnej danego przemysłu, równa się stracie tych 30% jego produkcji. — Utrata Zagłębia Dąbrowskiego jest dla Rosyi ciosem nie mniej dotkliwym. Najbliższy rezerwoar węgla znajduje się dopiero nad Donem. Jeżeliby nawet wystarczał do zaspokojenia wszystkich potrzeb przemysłu rosyjskiego, to olbrzymia trudność rozwiezienia węgla po olbrzymich przestrzeniach, zwłaszcza w czasie, kiedy koleje są zajęte transportami wojskowymi, równa się po prostu katastrofie. To też Rosya cierpi na dotkliwy głód węgla i innych środków opałowych.

Zużywanie materiału wojennego stoi z natury rzeczy w prostym stosunku do zwiększania mas ludzkich, wprowadzonych do boju. Każda nowa armia, którą wystawia Rosya, zwiększa jej brak środków materialnych, który znowu ze swej strony kładzie granice nieprzekraczalne mnożeniu samych armij. Już w szóstym miesiącu wojny znajdowano w rosyjskich rowach strzeleckich stare jednostrzałowe karabiny systemu Berdana, które stanowiły doskonałą broń w wojnie rosyjsko-tureckiej w r. 1877... Z zeznań zaś jeńców okazuje się, że i tych „berdanek“, którymi Rosya obdarzała stale swych pupilów, nie wystarcza i że w rowach na

trzech do czterech żołnierzy wypada jeden taki muszkiet. Pierwotna przewaga liczebna artylerii rosyjskiej należy już dzisiaj do wspomnień. Dowóz amunicji szwankuje. Zauważono niejednokrotnie, że baterie rosyjskie, które w pierwszym okresie ziały po prostu ogniem, najdrobniejszy nawet cel ostrzeliwując salwami, dzisiaj objawiają coraz bardziej wzrastającą skłonność do milczącej — kontemplacji...

Miesiąc wojny kosztuje Rosję przeszło pół miliarda rubli, nie licząc kosztów uzupełniania zużytego materiału. Dotąd wydała Rosja na wojnę przeszło pięć miliardów rubli. Wydatki te będą wzrastały coraz bardziej, w miarę jak wyczerpywać się będą różnorodne w ciągu lat pokoju przygotowane i wtedy już popłacone zapasy. Niedobór w budżecie rosyjskim na rok 1915 wynosi przeszło 1.300 milionów rubli. — Przez zakaz sprzedaży wódki wyschło najważniejsze źródło dochodów fiskusa rosyjskiego — monopol wódczany. Dochody z innych podatków okazują także stałą tendencję zniżkową. Rosyjski zapas złota, którym finansisci petersburscy zawsze tak bardzo imponowali światu, zmniejsza się. Dnia 14 lipca wynosił on 1616 milionów, podczas gdy suma not w obiegu wynosiła tylko 1647 milionów. Dnia 23 grudnia wynosił on już 1550 milionów, za to suma not w obiegu urosła do olbrzymiej wysokości 2.900 milionów. Jeszcze szybciej, niż zapasy materiałów, wyczerpuje się w Rosji gotówka. Już dzisiaj musi Rosja groźbą osobnego pokoju wymuszać nowe pożyczki na sojusznikach. Czy w niedalekiej przyszłości groźby te nie przestaną skutkować, kto odgadnie?

W przeciwieństwie do Francji i Rosji, Niemcy i Austria okazują bez porównania większą zdolność uzupełniania zużycia swych armij zarówno pod względem ludzi, jak materiału wojennego. Oba państwa środkowe ze swoimi 116 milionami ludności kulturalnej i oświeconej, posiadają rezerwoar materiału ludzkiego bardzo poważny. Przekształcenie tego materiału w żołnierzy i zaopatrzenie go w odpowiednią liczbę oficerów dzięki wyższej kulturze ogólnej jest bez porównania łatwiejsze, niż w Rosji. Co się zaś tyczy sprawności w produkowaniu materiału wojennego,

to wogóle Rosyi z państwami środkowemi porównywać nie można. Niemcy są olbrzymim warsztatem przemysłowym, który dotąd pracował na eksport. Ponieważ eksport ten ustał, przeto warsztat ten pokrywa zapotrzebowanie wewnętrzne, przedewszystkiem wojenne. Niemcy zatrudniały przed wojną w przemyśle około 16 milionów robotników i 5 milionów robotnic. Jeżeli z tej olbrzymiej armii robotniczej odliczymy nawet trzy miliony mężczyzn, powołanych pod broń, to zawsze jeszcze zostanie 18 milionów wykwalifikowanych robotników i robotnic, które olbrzymią maszynę przemysłu niemieckiego bez trudności w ruchu utrzymać zdołają.

Zdolność produkcyjna przemysłu austriackiego nie jest także małą. W ostatnich czasach zdołał on także przystosować się znakomicie do potrzeb wojny, tak, że dzisiaj armia austriacka ma podostatkiem wszystkiego, czego potrzebuje. Wystarczy rzucić okiem na wyruszające w pole nowe oddziały, aby się o tem przekonać.

Odporność finansowa państw środkowych jest również większa, niż Rosyi, a pod pewnymi względami nawet i Francyi, która kapitały swoje ma uwięzione. W Niemczech ani przez godzinę nie było moratorium. Zapas złota niemieckiego, w przeciwieństwie do rosyjskiego, stale wzrasta. Dnia 23 lipca zapas ten wynosił 1691 milionów marek, dnia 23 grudnia zaś 2130 milionów marek... Siła finansowa Austrii, aczkolwiek naturalnie nie tak znaczna, jak Niemiec, jest również znaczną, czego dowodem chociażby bardzo zadowolający wynik niedawnej pożyczki wojennej.

Zważywszy te wszystkie momenty, musimy przyjść do przekonania, że zdolność przetrwania, która nie jest niczem innym, jak zdolnością samoistnego uzupełniania zużycia wojennego, jest po stronie mocarstw środkowych bez porównania większą, niż po stronie przeciwnej.

W dotychczasowych rozważaniach doszliśmy do przekonania, że materialna zdolność przetrwania jest większą po stronie mocarstw środkowych, niż po stronie koalicji. — Wiadomo jednak, że w wojnie nie rozstrzyga sama materya, że najwyższe nawet

góry szrapneli i granatów, najpełniejsze spichrze i najliczniejsze hufce okażą się lotnym piaskiem, jeżeli nie ożywi ich — duch. Jakże więc przedstawiają się zapasy tego ducha po obu walczących stronach?

Wśród mocarstw koalicyjnych największą energię objawia duch — francuski. W ciągu tej wojny dokonał on rzeczy ogromnej, mianowicie znalazł dość siły, aby przeciwstawić się młotowym uderzeniom armij niemieckich i zamknąć je w zaczarowanym kole olbrzymiego frontu bojowego, przez który od czterech miesięcy z małymi tylko rezultatami starają się przerąbać. We wrześniowej defenzywie francuskiej, podjętej przez Joffre'a już po wielkich klęskach, po utracie Belgii i szeregu ważnych twierdz na granicy północnej, zajaśniał jeszcze raz w całej pełni duch galijski, który pod sztandarami Napoleona przekształcał zmurszałą Europę. Gdyby armia francuska miała tak znaczne resursy w ludziach, jakie ma w uczuciach gorącego patryotyzmu i poświęcenia dla ojczyzny, byłaby nadal niezwyciężoną. Wiemy jednak, co stanowi jej brak zasadniczy, którego wypełnić nie zdoła.

Armia angielska, której w środkowej Europie nie doceniono, wykazała w ciągu dotychczasowych bojów także zupełnie pierwszorzędne zalety. Pomijając wyborne, wręcz luksusowe zaopatrzenie i doskonałe kierownictwo, cechuje tę armię, specjalny, nigdzie indziej nie spotykany duch waleczności dla waleczności, jak gdyby sztuki dla sztuki.

Z początku naigrawali się niektórzy z żołnierzy angielskich, jako z — „footballistów“, za złe im biorąc ich zamiłowanie do sportu. Tymczasem okazuje się, że główną siłą tej armii jest właśnie jej — sportowy stosunek do wojny. — Bitwy swoje staczają żołnierze angielscy z tą samą dokładnością, starannością i zimną krwią, z jaką po bitwach dla odpoczynku urządzają matche footballowe. Metodyczność i zimny upór doskonałych graczy cechuje ich sposób wojowania. Idea, zapal porywający się na największe i najniebezpieczniejsze zadania, nie odgrywają tu zbyt wielkiej roli. Więcej tu wyrachowania zimnego i zimnej również odwagi,

która oddana jest wyłącznie na usługi bardzo jasnego i ściśle pracującego rozumu.

Jeżeli więc chodzi o obu wielkich zachodnich członków koalicji, to ich zapas ducha wojennego jest bardzo znaczny i z pewnością wystarczyłby, gdyby także inne zapasy okazywały po tej stronie analogiczną obfitość.

Inaczej kwestya ducha przedstawia się w Rosyi. Tu „ducha“, który ożywia armie francuskie czy angielskie, niema i być nie może. Duch tamtych bowiem armij, to duch wielkich produjących kulturze ludzkiej narodów, który do mas rosyjskich długo jeszcze nie będzie miał żadnego przystępu. Nie wystarczy jednak powiedzieć sobie, że skoro w Rosyi niema ducha podobnego do francuskiego czy angielskiego, to wogóle niema żadnego. Tak mówiono sobie z początku, upraszczając zagadnienie aż do naiwności i rozczarowywano się boleśnie. Bo czy z duchem, czy bez ducha armie rosyjskie szły jedna za drugą, strzelały mocno, gięły śmiało i osiągały pewne i to niemałożnaczne rezultaty.

Więc coś tam jest jednak...

Otóż niewątpliwie armia rosyjska ma swego „ducha“, ale zupełnie odmiennego od europejskich „duchów“. Natura jego jest inną i zasługuje na poznanie przynajmniej w najogólniejszych zarysach. Główną cechą tego ducha, jego siłą i jego słabością zarazem jest — bierność. Z jednej strony sprawia ona, że masy wojsk rosyjskich są w ręku swych wodzów może najplastyczniejszym materiałem wojennym, jaki istnieje na ziemi, z drugiej zaś bierności tej przypisać należy niezdolność do wielkiej ofenzywy, skłonność do cofania się, a w wyjątkowych nawet razach powodzeń znacznych, nieracjonalny stosunek między ofiarami i wysiłkami, a rezultatami.

Patrząc na wysiłki armii francuskiej, widzimy, że walczy tu cały naród, jako żywa i świadoma swoich celów zbiorowość. Państwo, jako organizacya przymusu i autorytetu, odgrywa tu rolę tylko organizatora, kierownika, ale nie — motoru popędowego. Na czele rządu może sobie stać Poincaré, adwokat prowincjonalny, więc najmniej odpowiedni symbol wszechwładzy

państwa, ale naród francuski walczy mimo to tak, jak walczył pod orłami Napoleona.

W Rosyi rzecz ma się wprost przeciwnie. — Tam naród, jako świadoma sobie zbiorowość nie istnieje i nie współdziała. Tam porusza się tylko olbrzymia masa ludzka, ujęta w karby maszyny państwowej, a kierowana wolą z zewnątrz, wolą rządu. Artylerzysta francuski jest żołnierzem, który z powodów takich lub innych posługuje się armatą. Artylerzysta rosyjski jest dodatkiem do armaty, jej konieczną częścią składową, bez której wódz rosyjski nie mógłby jej używać. We Francyi naród używa wodza. W Rosyi wódz używa narodu.

Naród w Rosyi potrzebuje być tylko posłusznym, t. j. biernym. Ma iść na szturmy krwawe i często jawnie bezcelowe, ma leżeć w rowach i wychodzić z nich tylko na rozkaz, który dla niego jest rozkazem w znaczeniu nie organizacyjnym, ale stanowi „ultima ratio“ wszelkiego wogóle działania. Francuz bije się, bo uważa to za konieczne. Gdyby mu nawet zakazano się bić, to on przedewszystkiem wyrzuciłby tych, którzy mu zakazują, a potem postawiłby na swem czele tych, którzyby mu — rozkazywali się bić. Rosyanin bije się tylko, ponieważ mu kazano. Ta zdolność podporządkowywania się cudzej woli jest u Rosyan olbrzymią. Sposoby podtrzymywania wytrwałości w żołnierzach są zdumiewająco prymitywne. Niedawno pod Zakliczynem jeńcy rosyjscy byli święcie przekonani, że o trzy wiorsty stamtąd znajduje się — Wiedeń... Okazało się, że dowódcy rosyjscy, aby zachęcić swych żołnierzy do bezskutecznych, a straszliwie krwawych ataków, wmówili w nich, że to już ostatni bój, że o trzy wiorsty leży Wiedeń, z którego zajęciem skończy się wojna...

Potrzeba wmyśleć się w przyczyny i skutki takich metod, aby zrozumieć, w czym leży słaba strona absolutnej bierności mas rosyjskich. Oto w tem przedewszystkiem, że w pewnym momencie może ona przekroczyć granice, pożądane dla dowództwa. Bierność rosyjska może w pewnej chwili rozszerzyć się z dziedziny stosunku do przełożonego także na dziedzinę stosunku do nieprzyjaciela... A chwila ta z matematyczną pewnością nadchodzi

wtedy, kiedy słabnie dowództwo wykonujące, t. j. cały ten olbrzymi aparat, złożony z oficerów niższych stopni, którzy mają pośredniczyć między mózgiem armii, a masą jej ciała.

Armia rosyjska, wyposażona w odpowiednią liczbę oficerów, więc zorganizowana w taki sposób, aby wola kierująca w możliwie najdokładniejszy sposób była rozprowadzona w masie wojska, jest na ogół biorąc niewyciężona. Już Napoleon powiedział, że żołnierza rosyjskiego nie wystarczy zabić, potrzeba go jeszcze trącić, aby upadł... Żadne wojsko nie jest zdolne do takich bohaterских czynów bez śladu jakiegokolwiek bohaterstwa, jak rosyjskie. Ta masa odpowiednio kierowana idzie i idzie. Szturmy na Przemysł są tej dziwnej siły stadnego instynktu najświeższym przykładem.

Z chwilą jednak, kiedy wola kierująca utraci te drobne naczynia włoskowate, które w postaci niższej komendy doprowadzają do masy rosyjskiej odpowiednie impulsy, masa ta sama z siebie nie jest zdolną wyprodukować żadnego impulsu z wyjątkiem tego najprymitywniejszego, który dyktuje instynkt samozachowawczy jednostki — impulsu ucieczki lub poddania się. W Bochni wachmistrz — mojęszowej wiary do spółki z jakimś ułanem „wziął do niewoli“ stu pięćdziesięciu Rosyan z dwoma oficerami. W niedawnych bitwach nad Dunajcem podoficer Legionów z ośmioma — jak Piłsudski swoich chłopców nazywa — „dłubinosami“ zagarnął 28 żołnierzy rosyjskich, pułkownika i czterech oficerów i to ze wsi, która cała była obsadzona przez Rosyan. Zupełny brak aktywności nawet u dużych stosunkowo grup odciętych od masy, lub sądzących się być od niej odciętemi, uderza jako fakt ogromnie znamienne.

Armia rosyjska straciła olbrzymi odsetek oficerów. Brak ich daje się coraz wyraźniej poznać po wzrastającym niedołęstwie w manewrowaniu piechoty rosyjskiej, które da się wytłómaczyć tylko brakiem odpowiedniego kierownictwa niższego rzędu. W ciągu świetnej swej działalności na terenie galicyjskiem zdarzyło się raz Piłsudskiemu, że przeciw jego dwóm batalionom stanęło odrazu półtorej — dywizji... W najlepszym razie groziło mu zrzucenie

go z szosy na stoki górskie, po których pod ogniem karabinów i armat musiałyby się cofać. Tymczasem krótka obserwacja ruchów nieprzyjacielskich przekonała naszego wodza, że są one pozbawione wszelkiej myśli przewodniej, że są raczej jakimś bezcelowym przesuwaniem się z prawa na lewo i naodwrot, niż ruchem taktycznym. Efekt ostateczny dowiódł słuszności tej obserwacji. Piłsudski nie tylko spokojnie cofnął się po szosie, ale nawet nie fatygował się zbyt w tym odwrócić, ponieważ na dwunastym kilometrze zatrzymał się, nie nagabywany już wcale.

W olbrzymim organizmie armii rosyjskiej centralne źródło woli kierującej bije jeszcze z wielką siłą. Wyższe dowództwo rosyjskie jest nadal uparte, energiczne i konsekwentne. Ale te drobne centra nerwowe, przez które mózg armii kieruje jej masą, słabną z dnia na dzień. Wskutek tego najwyższe dowództwo traci coraz bardziej kontakt ze swojemi wojskami, które, z rąk wypuszczone, stają się masą bierną, do żadnego działania niezdolną.

Dlatego też ci, którzy znają armię rosyjską nie tylko z książek i teorii, ale z doświadczenia własnego i własnej obserwacji, przepowiadają zgodnie, że niedalekim już jest dzień, kiedy potężną tę armię tknie coś w rodzaju paraliżu. Jeszcze mózg jej będzie działał żywo, a nawet znakomicie, jeszcze potężna wola Mikołaja Mikołajewicza będzie parła naprzód, ale wszystko to nie będzie już mogło poruszać i kierować masą, ponieważ pomiędzy centrum, a nią przerwane zostaną nerwowe kontakty. I wtedy okaże się, że tryumfy rosyjskie były stanowczo przedwczesne...

Zapasy energii duchowej po stronie mocarstw środkowych są stanowczo większe, niż w Rosyi, a w żadnym razie nie mniejsze, niż u dwóch innych członków nieprzyjacielskiej koalicji. Nie sympatya szczególna, tem mniej nizkie korzenie się przed objawami siły, ale obserwacja bezstronna każą przyznać, że akumulator energii zbiorowej, który przedstawiają dzisiejsze Niemcy, jest czemś dotąd w dziejach ludzkich niespotykanem. Nieprześcigniona organizacja tego państwa nagięła tam wszystko do celów wojny i tylko wojny. Wszystko, co się tam robi, myśli i mówi, zmierza tylko do jednego — do zwycięstwa za wszelką

cenę i wśród wszelkich warunków. O wysiłku, do jakiego zdolna jest energia sześćdziesięciu milionów kulturalnych jednostek, ujętych w taką organizację, nie można po prostu mieć jasnego wyobrażenia z tej racji, że dotąd takiej energii nie widziano. Niewątpliwie ma ten przerost zmysłu organizacji państwowej swoje słabe strony. Natura rzeczy nie znosi jednostajności. „Varietas delectans“ to nie tylko źródło przyjemności, ale przede wszystkim pełni życia. — Lecz z drugiej strony to także jest pewnem, że ujemne strony tego nadmiaru ujawnią się dopiero po wojnie. Dzisiaj, w czasie wojny, nadmiar ten jest szczytem przystosowania się do konkretnego celu wojny — zwycięstwa i jego zasadniczym warunkiem, któremu żaden inny z belligerentów w tym stopniu jak Niemcy nie odpowiada.

Znany pisarz polityczny niemiecki, dr Paweł Rohrbach, w broszurze swojej p. t. „Zum Weltvolk hindurch!“ napisał:

„Mogło się to przeistoczyć w wielkie niebezpieczeństwo narodowe, gdyby zwycięstwa nasze w tej wojnie były następowały po sobie z tak błyskawiczną szybkością, jak się to działo w pierwszych tygodniach. Dopiero to, że poznajemy rzeczywistą siłę naszych przeciwników w długich walkach ostatnich miesięcy, uczyni ostateczne nasze zwycięstwo błogosławieństwem dla nas. Bo dopiero przewyciężywszy ciężkie zadanie wewnętrznej organizacji tryumfu, staniemy się zdolni pojąć prawdziwy cel walki i drogi, które doń wiodą.“

Może w tej obawie zbyt szybkich i łatwych zwycięstw jest dużo przysłowiowej „cnoty z musu“, ale w każdym razie takie stawianie kwestyi w ogólności jest samo przez się już bardzo znamienne i orientującym. Człowiek bowiem, który w przeciwnieństwach czerpie zapał do ich przewyciężenia, przewycięży je z pewnością. Naprawdę bowiem niema większej siły na ziemi, niż — silna wola człowieka...

Austro-Węgry, tak ściśle pod względem właśnie wojskowym związane z tym bezprzykładnym akumulatorem energii militarnej, którym są Niemcy, już dzisiaj sprawiły ciężki zawód swoim wro-

gom, którzy tak wiele stawiali na niejednolitość narodową tego państwa

(Skreślone przez cenzurę.)

Austria okazała w tej wojnie tak głęboką spoistość wewnętrzną,

(Skreślone przez cenzurę.)

Austro-Węgry nie tylko stoją, jak stały, ale wzmacniają się coraz bardziej z tygodnia na tydzień,

(Skreślone przez cenzurę.)

Właśnie siedm kończących się teraz miesięcy wojny tak ciężkiej, jak ta, prowadzonej w tak trudnych warunkach, jak obecne, z wrogim takim, jak Rosya, dowodzą najlepiej siły Austrii, przekonują najdowodniej, że w tym pozornym zlepku rozmaitych rozmaitości tkwi jednak jakaś potęga integracyjna, że części jego ulegają sile przyciągania wzajemnego tem więcej, im energiczniejsze czynione są z zewnątrz usiłowania, aby je od siebie oderwać.

Monarchia naddunajska zdała w tej najstraszniejszej z wojen egzamin ze swojej siły życiowej i zdała go świetnie przed naj-sroższym egzaminatorem, który nie pominął niczego, aby egzamin ten utrudnić. Świadomość tego faktu powinna górować we wszystkich głowach nad tym chaosem niebywałych wrażeń, dzikich plotek i podawanych sobie wzajemnie sugestyj, jako punkt stały i niezmienny. Oto mocarstwo, na które rozgorączkowane głowy zlały już całą lawinę nieszczęść i katastrof wszelkiego rodzaju, trwa dalej i walczy, walczy bez przerwy bronią nie tępiejącą, ale, przeciwnie, coraz dokładniej ostrzoną. Słowa Galileusza w więzieniu: „E pur se muove!“ dadzą się zastosować także do Austrii...

Rozważając te wszystkie fakta i okoliczności, musimy przyjść do przekonania, że bilans ogólny toczącej się wojny, aczkolwiek zapewne jeszcze nie gotowy, już dzisiaj jednak układa się dla mocarstw środkowych korzystnie. Widziane, jako militarna całość

stanowią one potężny blok geograficznie idealnie dla celów obecnej wojny położony, koncentrycznie zbudowany, zwarty i rozprężliwy zarazem. W porównaniu ze wszystkimi członkami koalicji ma on zawsze na jakimś bardzo ważnym i rozstrzygającym punkcie przewagę. Nad Francją góruje bogactwem żywej siły wojskowej, nad Anglią charakterem militarnym w ogólności, nad Rosyą przewagą techniki i miazdzącą przewagą ducha.

Pozostawałaby jeszcze kwestya państw neutralnych, która licznym spędza sen z powiek, a jeszcze liczniejszym dostarcza wątki do niemożliwych plotek i bredni. Otóż nie wdając się w zbyt odległe dociekania, to można stwierdzić, że państwami neutralnymi rządzą ludzie rozumni. Skoro zaś tak jest, to nie można w tej chwili obawiać się złamania przez nich neutralności, skoro tego już dotąd nie uczynili. Wyobrazenie, że Rumunią rządzi hałaśliwa ulica bukareszteńska, a Włochami medyolańska lub rzymska, jest złudzeniem więcej jeszcze naiwnem, niż fałszywem. Rządy te dowiodły już nieraz ogromnego rozumu stanu i wielkiego daru przewidywania. One nie popełnią błędu, którymby było złamanie teraz przez nie neutralności na czyjąkolwiek stronę. Każdy, kto rozumie się nieco na warsztacie politycznym, wie doskonale, że polityka rządzi nastrojami, a nie nastroje polityką, z wyjątkiem oczywiście naszej biednej Polski, gdzie te rzeczy nie zawsze dzieją się tak, jak u innych ludów. Nastrój jest środkiem politycznym bardzo doniosłym. Nie należy go jednak pojmować symplistycznie. — Często bowiem nastroje wojenne są manipulacją: czysto — targową, dla podniesienia ceny pokoju... Czy tak jest w państwach neutralnych, oczywiście napewno nie wiadomo, chociaż wiele przemawia za tem, że z nastrojów kuje się tam kapitał polityczny, który dopiero przy ostatecznem likwidowaniu wojny ma dać odpowiednie odsetki... Rozważając niebezpieczeństwa, grożące ze stron neutralnych, popełnia się najczęściej jeden błąd zasadniczy — przecenia się hałasy uliczne i wykrzykniki demagogów, a nie docenia rozumu i wytrwałości odpowiedzialnych kierowników danych państw. — Sprowadziwszy oba te czynniki do równowagi, przekonamy się zaraz, że te nie-

bezpieczeństwa bynajmniej nie są tak wielkie, że niema ani jednej sytuacji, w którejby na argumenty jednej strony, nie było dostatecznych argumentów z drugiej. Dopóki zaś istnieje równowaga argumentów, niebezpieczeństwa niema.

Tak więc nie powinno być u nas miejsca na zniechęcenie i pesymizm, wychodzący z nerwów i do nerwów wracający. Dotąd rozczarowania doznali ci tylko, którzy wogóle nie zdawali sobie sprawy z ogromu zadań, które ta wojna przed każdym z prowadzących ją państw postawi. Kto wyobrażał sobie, że wojna z Rosją będzie spacerem do Brześcia Litewskiego, a może i do Petersburga i Moskwy, ten istotnie mógł się ciężko rozczarować, ale też opinie i wrażenia ludzi w ten sposób sądzących nie mogą w zdrowym społeczeństwie odgrywać żadnej roli...

Wojna ma przebieg normalny. Nigdzie nie dzieją się żadne cuda. Ale to właśnie stanowi naszą największą szansę, bo sprawy swej mocarstwa środkowe nie opierały na cudach, lecz na normalnym przebiegu wojny. Rydwan wojenny tych mocarstw jest zmontowany z przewidywaniem wszystkich, nawet najgorszych dróg. I on te drogi przebędzie, osiągając cel zamierzony.

WOJNA A OPINIA PUBLICZNA

28 stycznia 1915.

Jedną z ofiar wojny jest wolność prasy. Walczące państwo musi strzedz pilnie swoich tajemnic, nietylko przed nieprzyjacielem, ale także przed niedyskrecją najlepszej nawet woli. Nieodzowność tej czujności wytwarza niebywale zaostroszony nadzór nad prasą, która też, w zrozumieniu wyższych racji tego nadzoru, poddaje się bez szemrania i oporu. Z punktu widzenia administracji wojennej na tem cała kwestya byłaby wyczerpaną. Inaczej natomiast przedstawia się sprawa z punktu widzenia interesów społeczeństwa, a więc i samego państwa nowożytnego, którego od społeczeństwa oddzielać nie można.

Państwo jest organizacją nie tylko fizycznego przymusu

i elementarnego bezpieczeństwa, ale także organizacją pewnych pojęć i uczuć społecznych. Funkcye państwa nowożytnego przekroczyły już dawno zakres czysto policyjny i militarny. Te zasadnicze funkcje dawnego państwa absolutystycznego zajmują w zakresie działania nowoczesnego, praworządnego państwa miejsce nawet jak gdyby podrzędne w porównaniu z temi olbrzymimi zadaniami, które państwo to podejmuje w interesie swoich obywateli i swoim własnym w dziedzinie zagadnień gospodarczych, społecznych i rozwoju duchowego.

Podejmowanie i rozwiązywanie tych wszystkich zadań nie da się pomyśleć bez wolności prasy, jako najważniejszego organu, którym społeczeństwo współdziała z państwem zarówno pozytywnie, jak negatywnie — popierając lub oceniając jego działalność. Wolność prasy nie jest tedy przywilejem lub szczególną łaską, udzielaną wzamian za grzeczność i dobre wychowanie, ale integralną częścią nowożytnego państwa, bez której nie mogłoby ono po prostu działać, a więc także istnieć.

Oczywiście wojna jest stanem tak głębokiego zaburzenia w życiu państwa nowożytnego, że cała jego budowa wewnętrzna ulega gruntownemu przeistoczeniu. Państwo, które na zewnątrz ma rozwinąć całą swą potęgę, jakiej potrzebuje do narzucenia swej woli innemu państwu, nie może pozostawić nietkniętym całego zakresu swobody swoich obywateli wewnątrz. Przymus, który ma państwo wykonywać zewnątrz, musi mieć odpowiednik we wzroście przymusu wewnętrznego, który też w czasie wojny zastępuje w zupełności tę swobodną grę sił społecznych, na jakiej opiera się życie państwa nowożytnego w czasie pokoju.

Jednakowoż stan wojny nie jest stanem normalnym, a więc także i nie jest trwałym. Po wojnie musi nastąpić spokój z jego prawami i koniecznościami. Jeżeli prawdą jest, że wojnę należy przygotowywać w czasie pokoju, to nie mniej prawdą będzie także, że pokój należy przygotowywać w czasie — wojny.

I tu mądrość państwa natrafia na swój kamień probierczy. Ma ono połączyć twarde wymagania wojny z niezbędnem przygotowaniem pokoju. Państwo w stanie pokoju potrzebuje nieodzo-

wnie — jak powiedzieliśmy — wolnej i swobodnej prasy. Jak postępować z tą prasą, aby nie szkodziła wojnie, a pomagała pokojowi? Jest to problem, który rozwiązać można tylko na zasadzie mniejszego zła. Potrzeba sobie zadać pytanie, co byłoby dla państwa gorszem: czy skutki tych mimowolnych niedyskrecyj, które wolna prasa może popełniać wobec wojny (na rozmyślnie niedyskrecyje bowiem państwo ma zawsze środki zaradcze zupełnie dostateczne), czy też skutki zupełnego skrępowania prasy, które w praktyce równa się jej całkowitemu zaniemówieniu?

Spokojna obserwacja i zastanowienie muszą każdego doprowadzić do wniosku, że obawa nowoczesnych państw wojujących przed niedyskrecją prasy bywa bardzo znacznie przesadzona. Co bowiem stanowi najpilniej strzeżoną tajemnicę państwa wojującego? Oto środki wojny i sposób ich zamierzonego użycia. Rozumie się samo przez się, że państwo wojujące nie może znieść, aby niepowołane oczy zaglądały do kuchni sztabu generalnego, aby niepowołane sfery dowiadywały się, co, gdzie, ile i jak swoich środków wojennych państwo chce użyć dzisiaj, jutro lub pojutrze. Więc cała militarna strona życia państwowego musi być w czasie wojny usunięta z pod dyskusji publicznej. Dalej państwo wojujące nie może dopuścić, aby wrogowie jego z wewnętrznych sporów partyjnych, które w czasie pokoju są elementem życia państwowego, mogli wnosić o sile i spoistości wewnętrznej państwa, aby stąd snuli wnioski co do słabych stron danego państwa. I tu więc zakaz dalszych polemik partyjnych, czy narodowych, jest uzasadniony. Poza tem jednak pozostaje cała olbrzymia dziedzina życia gospodarczego, społecznego i politycznego, w której niebezpieczeństwo niedyskrecyj ze strony prasy jest zupełnie nieprawdopodobne.

Wszakżeż państwo nowożytne jest instytucją jawną. Olbrzymia część jego agend, i to najważniejszych, odbywa się zupełnie jawnie pod kontrolą wyposażonych w prawo nietykalności członków ciał prawodawczych i całego społeczeństwa. Ten stan całkowitej jawności trwa aż do momentu wypowiedzenia wojny. Wszystko, co się do życia państwa odnosi, jest nietylko szeroko

omawiane, lecz opisywane. Państwo samo rozpowszechnia wydawnictwa swoich biur statystycznych, ogłasza swoje budżety, bilanse handlowe i bankowe i t. p. Jeszcze we wtorek każdy rozumny obywatel państwa miał nie tylko prawo, ale poniekąd nawet obowiązek, znać to wszystko dokładnie, rozumieć i omawiać. Natomiast we środę rano, po wypowiedzeniu wojny, spada na to wszystko siedm pieczęci tajemnicy wojennej... A przecież w ciągu tej nocy wybuchła wprawdzie wojna, lecz poza tem nic się nie zmieniło. Ani jedna cyfra w budżecie państwa nie uległa zmianie. Państwo zostało nadal takim, jakim było we wtorek i jakim je wszyscy znali i znać mieli obowiązek.

Lecz może ta tajemnica odnosić się ma przedewszystkiem do wroga? Byłoby jednak bardzo niebezpiecznem niedocenianiem wroga, gdyby się przypuściło, że wybierając się na wojnę, nie poznał on już dość wczesnie i dość dokładnie swego przeciwnika. Najlepsze studia o zawiłych problemach wewnętrznej polityki austriackiej mamy od dawna w literaturze — francuskiej i angielskiej. Rosyę, jej mocne i słabe strony, najłatwiej można poznać z dzieł niemieckich. Po prostu niema dziedziny w życiu jednego państwa, którą nie zajmowałyby się bardzo gruntownie dotycząca literatura drugiego państwa. I to zjawisko jest nie tylko naturalnem, lecz także bardzo pożytecznem. Obcy, wyposażony w odpowiednie kwalifikacje, sądzić może o sprawach znacznie jaśniej i bezstronniej. Państwa takie, jak Anglia, posuwają swoją żądę znajomości stosunków obcych tak daleko, że na uniwersytetach fundują „ad hoc“ katedry całe z profesorami i docentami, którzy dany przedmiot mają badać systematycznie. Co więc może tu stanowić tajemnicę, i to tajemnicę wojenną? Gdzie tu jest pole do niedyskrecyj?

Weźmy dla przykładu kwestyę aprowizacyi danego państwa. Każde ministerstwo rolnictwa ogłasza rok rocznie bardzo dokładne sprawozdanie ze zbiorów rolnych. Międzynarodowe biuro statystyki rolniczej prowadzi w celach handlowych bardzo dokładne zapiski o produkcji każdego państwa. Istnieją sprawozdania z całych dziesiątków lat, na podstawie których każdy, kto się zna

trochę i kto się nie leni, może z precyzyjną niemal dokładnością określić, jakimi zapasami żywności rozporządza dane państwo w czasie wojny. — Omyłka na milion nawet kilogramów nie odgrywa tu żadnej roli. Państwo nie jest twierdzą, której zapasy i stosunek ludności do nich można w tajemnicy przed nieprzyjacielem zaimprovizować. Urodzaju pszenicy nie można specjalnie na czas wojny zmienić. Jest to bowiem zjawisko, zależne od praw natury, nie państwa. A prawa natury są na ogół znane.

Państwo w stanie wojny, krępując swoją prasę w omawianiu kwestyj, leżących poza dziedziną ściśle militarną, nie może zatem osiągnąć żadnego praktycznego pożytku. Możliwość szkodliwych dla państwa niedyskrecyj jest tutaj równa zeru. Bo wrogowie znają oddawna wszystkie jego silne i słabe strony. Stosunki gospodarcze i polityczne rozwijają się w czasach normalnych w tempie bez porównania powolniejszym, niż następują po sobie wypadki wojenne. W czasie wojny tempo tego rozwoju wolniej jeszcze bardziej. Stąd wniosek, że to wszystko, co było znanem przed wojną, jest znanem także podczas wojny. Niespodzianki w tych dziedzinach są wykluczone. A w takim razie co ma tu stanowić przedmiot tajemnicy?

Jak powiedzieliśmy, państwo jest nie tylko organizacją bezpieczeństwa, ale także organizacją pojęć i uczuć, a więc samowiedzy zbiorowej danego społeczeństwa. Najważniejszym organem tej samowiedzy jest prasa peryodyczna. Odbierzcie nowożytnemu społeczeństwu jego prasę, a przestanie być sobą. Pozbawcie rząd nowożytny prasy, a zawiśnie w powietrzu. Olbrzymie koła jego skomplikowanej maszyny zaczną wirować w próżni. Społeczeństwo i państwo staną się wtedy równaniem o dwóch niewiadomych. Ktoś będzie rządził — czemś.

Skrepowanie prasy równa się jej całkowitemu zniesieniu. Zbyt krępujące bowiem przepisy i zakazy odbierają prasie różnorodność, pozbawiają jej poszczególne organy ich indywidualności, która gruntuje się zaiste nie w guście redaktorów, ale w potrzebach i skłonnościach tych większych, czy mniejszych, grup społecznych, które się koło tych organów umysłowo i uczuciowo skupiają. Ni-

szczyć więc indywidualność dziennika, to nie wyrządzać osobistą przykrość jego redakcyi, ale niwelować i usuwać z samowiedzy zbiorowej myśli i uczucia społeczno-państwowe tej grupy, którą dziennik dany reprezentuje. Jeżeli się wszystkie dzienniki w ten sposób skrępuje, to zniweluje się indywidualność wszystkich grup społecznych, a proces tworzenia się i rozszerzania samowiedzy społecznej ulegnie przerwie.

Wojenna reglamentacya prasy ma swą podstawę w wojskowym pojmowaniu natury zbiorowości. Armia jednak i społeczeństwo, to zjawiska zupełnie nie współrzędne. Dyscyplina wojskowa i społeczna, to dwie dyametralnie odmienne rzeczy. Posłuszeństwo bezwzględne i absolutna hierarchiczność czynią armię silną, społeczeństwo słabem. Armie one spajają w jedno ciało żywe i sprężyste, społeczeństwo rozbijają i czynią zupełnie niezdolnem do podejmowania jakichkolwiek zadań.

Jednakowoż zwolennicy wojennej reglamentacyi prasy powiedzą, że prasa bynajmniej nie jest skrępowana w swojej działalności. Przepisy i zakazy wytyczają tylko jednolity kierunek tej działalności. W praktyce — jak wiemy — jest to zniesienie indywidualności organów prasy, które wynika z fałszywego założenia, że dość będzie, jeżeli organy te będą różniły się od siebie — tytułami...

Już Pismo Święte porównuje ludzi z trzodą. O słuszności tego porównania świadczy chociażby jego — starożytność. Nie należy jednak tej „trzody“ brać zbyt dosłownie. Jest to bowiem raczej mnóstwo „trzód“, które tem łatwiej skupiają się w jedną, im więcej każda z nich ma swobody — pozostawmy już przy porównaniu — beczenia, a przedewszystkiem — pastwiska...

Budowa społeczna wykazuje ogromne powikłanie. Piętra jej nie mają jednostajnych poziomów. Ściany nie leżą bynajmniej w pionie. Widzimy tam przekroje i układy we wszystkich możliwych kierunkach, poprzeczne, pionowe, ukośne i t. d. Warunkiem siły i sprawności życiowej społeczeństwa jest uszanowanie tej jego niezmiernie zawilej budowy. Interesy grup społecznych są tak sprzeczne i tak powikłane, że jedyny sposób ich wyrównania,

to swobodna ich gra. Zastępstwo tych interesów spoczywa znowu na prasie. Skrępować prasę zatem, to skrępować grę tych interesów. A skrępować grę interesów poszczególnych grup społecznych, to zatamować strumień życia całości.

Takie są organiczne niebezpieczeństwa nadmiernej reglamentacji prasy w ogólności. — W czasie wojny są one znacznie większe. Wojna bowiem sama jest ciężkiem przesileniem państwowo-społecznym, szczególniejsza wojna, która nikogo, dosłownie nikogo, nie pozostawia poza obrębem swego straszliwego wiru. Wojna nie państw, ale narodów i społeczeństw, stawia tak olbrzymie wymagania żywotności i sprawności tych właśnie społeczeństw, że tamować strumień ich życia przez krępowanie prasy, to — palić świeczkę z obu końców naraz.

A jeżeli się lepiej nieco zastanowimy, to zrozumiemy, że nie wiadomo, co właściwie jest w czasie wojny trudniejszym zadaniem, czy prowadzenie samej wojny, czy powrót po wojnie do stanu normalnego. Dopiero po raz pierwszy zobaczyliśmy, co to znaczy — mobilizacja powszechna i także wojna i przekonaaliśmy się, że przeszła ona najśmielsze oczekiwania. — Nikt jeszcze nie widział jednak — demobilizacji po tej wojnie. A jeżeli się ktoś ludzi, że będzie ona polegała na prostem odesłaniu rzesz walczących do domu, to składa dowód, że nie ma wyobrażenia o społeczeństwie i jego życiu.

Mobilizacja powszechna i wojna obecna są na razie tylko próbami zdolności państwa nowożytnego do olbrzymiego wysiłku. Demobilizacja jednak będzie dopiero generalną próbą — **wytrzymałości i trwałości** nowożytnego państwa. Mobilizacji towarzyszy nieświadomość mas co do jej skutków tak dla nich, jak dla państwa. Demobilizacja, to ostateczny porachunek, to bilans zysków i strat, który wszakże ukryć się nie da. Pewnego dnia rozwinie się on w całej swojej potwornej pełni przed oczyma społeczeństwa. Pewnego dnia policzą się wdowy i sieroty, policzą się kalecy, którzy już tylko na łaskę i wdzięczność państwa mogą rachować, zsumują się wszystkie straty i cierpienia. I moment uświadomienia sobie tych sum przez społeczeństwo będzie mo-

mentem — najkrytyczniejszym. Któż wie, jak budowa społeczeństwa nowożytnego zniesie brzemień tej świadomości. Na takie bowiem obciążenie nie jest ona obmyślaną...

Jedyny sposób zmniejszenia niebezpieczeństw, któremi grozi demobilizacya, jest stopniowe przygotowanie społeczeństwa do niej. Potrzeba, aby przyzwyczajało się ono do świadomości, że tam, poza tą krwawą kurtyną strasznej wojny kryje się coś, czemu, aby spojrzeć prosto w oczy, potrzeba tytanicznej zaiste siły nerwów i rozumu.

Powiada Francuz, że rządzić, to — przewidywać. I aczkolwiek co dzień przekonujemy się, jak bardzo i jak często grzeszono przeciw temu pierwszemu przykazaniu sztuki rządzenia, to jednak musimy domagać się, aby przewidywano przynajmniej rzecz tak prostą, jak ta, że przecież po wojnie nastąpi spokój z jego niemięjszymi, niż wojenne, prawami...

Na przywołanie tego pokoju, kiedy wysiadać będzie z krwawego rydwanu strasznej wojny, potrzeba przygotować społeczeństwa. A do tego jedna jest droga — zwrócić prasie część przynajmniej należnej jej swobody.

O N A S Z U D Z I A Ł W R Z A D Z I E

31 stycznia 1915.

Wojna zaskoczyła nas w stanie rozbicia i wielkiego, aczkolwiek przemijającego osłabienia. Miarą jego był fakt, że w Radzie koronnej, po raz pierwszy od lat dziesiątek, znaleźliśmy się bez przedstawicielstwa.

Spółceństwo przeżyło właśnie wielkie przesilenie wewnętrzne, które towarzyszyło narodzinom sejmowej reformy wyborczej. Takie akty niezmiernie powikłanych kompromisów, jak właśnie owa reforma, nigdy nie przychodzą darmo. Spółceństwo opłaca je swojemi siłami, które wprawdzie później tem obficiej narastają, w danym momencie jednak okazują dotkliwy niedobór. Niefortunny zbieg okoliczności sprawił, że właśnie w chwili takiego

niedoboru sił polityczno-twórczych w naszym narodzie, wybuchła wojna, stawiając nas przed nowymi zadaniami polityki narodowej i krajowej o nieprzeczuwanym dotąd ogromie.

Bieg wojny, przeniesienie znacznej części jej krwawego teatru na terytorium naszego kraju, uczyniły nasze położenie jeszcze trudniejszym. Brak właściwej reprezentacji w Radzie koronnej — zawsze dotkliwy — urósł w tych warunkach do fatalności. Pozostaliśmy bez głosu, lub prawie bez głosu tam, gdzie ogniskują się sprawy państwa, a razem z nimi nasze sprawy krajowe i znaczna część narodowych.

W tej ciężkiej opresji oczy wszystkich zwracały się z uczuciem jedynej nadziei ku wąskiej, starej ulicy wiedeńskiego śródmieścia, gdzie w zacisznym, barokowym pałacu, rezyduje jedyny jeszcze czynny mąż stanu polski w służbie państwa austriackiego — dr Biliński. Resort jego — wspólne ministerstwo skarbu i wielkorządztwo Bośni — nie miał wprawdzie nic wspólnego z naszymi sprawami, potrzebami, bólami i nadziejami, ale w ważnych chwilach ważnym jest nie urząd, lecz sprawujący go człowiek. Biliński zaś jest godnym przedstawicielem polskiej tradycji politycznej. Wytrawny parlamentarzysta, który pracą i zdolnościami zdobył po kolei w bezprzykładny niemal sposób najwyższe godności w państwie, reprezentuje autorytet, posiadający swe prawa daleko poza zakresem jego właściwego w danym momencie resortu.

Ujawniło się to najwyraźniej w ciężkim dla nas czasie obecnej wojny. Biliński ani przez chwilę nie próbował zasłaniać się obcością swego resortu. Od pierwszego momentu zrozumiałwszy należycie, co Polak na jego stanowisku winien jest Polsce w jej obecnem położeniu, objął po prostu patronat nad sprawami polskimi wobec rządu i wobec wszystkich czynników miarodajnych w państwie. Stary, wytrawny i doświadczony polityk, który trudny zawsze grunt swej działalności zna, jak nikt lepiej od niego, nie mógł nie wiedzieć, że to „wyjście poza sprawy bośniackie“ nie przysporzy mu przyjaciół, a pomnoży niechętnych. Mimo to wyszedł „poza swój resort“, i wszystko — talent, doświadczenie,

autorytet, wpływy, oddał na usługi rodaków. Nie wszystko, co Biliński w ciągu tego krwawego półrocza dla Polski i nieszczęsnego swego kraju robił i zrobił, nadaje się w tej chwili do publicznego omawiania. Energiczna inicjatywa jego w organizacji pomocy dla zbiegów galicyjskich i ciągła, ofiarna troska o ich los, — niechaj stanowią na razie „pars pro toto“ tych zasług.

Dzięki Bilińskiemu tedy dotkliwy brak odpowiedniej polskiej reprezentacji w rządzie centralnym kompensowały się do pewnego stopnia jego wpływami i jego patryotyczną ofiarnością. Teraz jednak grozi nam utrata także i tej kompensacji.

Wskutek pewnych kombinacyj nurtujących obecnie prądów politycznych w monarchii, wspólne ministerstwo skarbu jej znalazło się w stanie przesilenia. Ze zgodnych głosów prasy wnosząc, dr Biliński opuści swe stanowisko. Jeżeli równocześnie nie dokona się w rządzie austriackim zmiana, przywracająca nam przynajmniej w części nasze tradycyjne stanowisko w Radzie koronnej, pozostaniemy zupełnie bez przedstawicielstwa, chociażby tylko bezpośredniego w rządzie. W czasie wojny, w okresie największych przewrotów, wśród których także i los nasz znajdzie ostateczne zapewne rozstrzygnięcie, odcięte może być nam to jedyne ramię, którem w jednym przynajmniej warsztacie historii politycznej mogliśmy bronić naszej sprawy.

Zawsze z uzasadnioną dumą wskazywaliśmy, jako na najważniejszy dorobek nasz polityczny w tym kraju, że w Austrii, w jedynem państwie rozbiorowem, posiadamy udział bezpośredni w rządzie, i to nie chwilowy, ale trwały, na dobrej tradycji oparty. I teraz właśnie mielibyśmy ten dorobek stracić, teraz, kiedy jego wartość staje się największą, kiedy interesy już nie kraju naszego, ale narodu, wymagają nieodzownie, abyśmy w centrum władzy jednego przynajmniej z beligerantów mieli przedstawiciela nie tolerowanego tylko, nie działającego wyłącznie na podstawie uprzejmości drugich, ale oficjalnie legitymowanego, wyposażonego w nieukróconą pełnię praw członka rządu.

Obawiać się należy, że, jak to u nas najczęściej bywa, zamiast szukać rady, zacznie się szukać — winowajców... „Instyunkt

partyjny“ każdemu wskaże w tym względzie łatwą aż nazbyt drogę. Tem usilniej należy ostrzedz przed pochopnem wchodzeniem za nią.

W zasadzie odpowiedzialnem jest za reprezentację w rządzie — Koło polskie. Ale za Koło polskie odpowiedzialnem jest — oczywiście na takiej samej zasadzie — społeczeństwo polskie...

Czy Koło polskie może zaradzić złemu? Pomijając wszystko inne, nie należy zapominać, że Koło jest czynnikiem polityki parlamentarnej. Koło bez parlamentu jest wszystkim innym, tylko nie realnym czynnikiem politycznym. Cóż mówić dopiero o znaczeniu Koła w okresie wojny niezmiernie ciężkiej, która wstrząsa podstawami nie tylko parlamentaryzmu, ale instytucyj bez porównania starszych i silniejszych? Jeżeli zaś dodamy, że wewnętrzny stan Koła jest smutny, że nie znalazło ono dość siły, aby w ogniu dziejowych wypadków zahartować swoją własną, mocno rdzą waśni partyjnej nadgryzioną obręcz, to co jeszcze pozostanie, coby uzasadniało nadzieje, do Koła polskiego przywiązane?

Sytuacja, w której znaleźliśmy się, jest typową sytuacją, w której zawinili — wszyscy. Niema zaś winowajców tam, gdzie wszyscy winni. Któż bowiem będzie sędzią?

Z nadzwyczajnych trudności są tylko nadzwyczajne wyjścia. Jeżeli przesilenia ministeryalne w czasie wojny będziemy traktowali, jak zwyczajne sceny z jarmarku parlamentarnego, nie sprostamy zadaniu. Ratować swe stanowisko w państwie możemy tylko przez energiczne i nieszablone działanie. Niechaj najstarsi i najwytrawniejsi w narodzie obmyślą praktyczne sposoby tego działania. Bo w sferze możliwości leżą one niewątpliwie.

O P R E Z E S U R Ę K O Ł A

10 lutego 1915.

Po złożeniu godności prezesa przez dra Lea stanęło Koło polskie przed zagadnieniem bardzo doniosłym, a trudnym: kogo wybrać następcą? Pytanie to, zawsze ważne, a przy obecnym

składzie partyjnym Koła kłopotliwe zarazem, w tem położeniu, w którym wskutek wojny znalazł się kraj nasz i cała sprawa polska nietylko w tem państwie, lecz wogóle w Europie, zogniskowało w sobie bardzo znaczną część problemu ogólnopolskiego w jego dzisiejszej, niebywale zawiłanej postaci.

Prezes Koła polskiego, to najważniejszy czynnik polityki polskiej nietylko w polityce wewnętrznej, ale w ogólności w każdej dziedzinie, w której interesy polskie podlegają rozstrzygnięciom. Przy znanem osłabieniu naszej reprezentacji w Radzie korony, to znaczenie prezesa Koła polskiego wzrasta jeszcze bardziej. Musi on podwoić swą czynność i musi rozporządzać takimi wpływami, któreby przynajmniej w części wyrównwały owe braki w naszej reprezentacji u rządu.

Koło polskie dalej jest rozbite. Partyjna zawiść i nieufność zatrąła w niem ducha, osłabiając jego wewnętrzną energię inicjatywy i pracy, która musi być nie tylko ciągłą, lecz także możliwie najintensywniejszą. Kwestya, czy Koło ma ulegać dalszemu nieuchronnemu rozkładowi i upadkowi, czy też dźwignie się ono z depresji i dekadencji i odzyska zdolność energicznej, celowej a zgodnej pracy, zależy w pierwszym rzędzie od tego, kto stanie na czele Koła.

Szcześliwy traf zrządził, że przesilenie na stanowisku prezesa Koła zbiegło się z drugim przesileniem — na stanowisku wspólnego ministra skarbu, na którym stał dotąd jeden z najtęższych mężów stanu polskich — dr Biliński. Kandydat więc doskonały, bo dający największe możliwe gwarancje we wszystkich kierunkach, znalazł się. Ale dr. Biliński nie posiada mandatu poselskiego, a statut Koła wymaga, aby prezesem jego był tylko poseł. Chcąc wybrać dra Bilińskiego swoim prezesem, musiałoby Koło zmienić statut i wytworzyć precedens, który ze względu na przyszły rozwój Koła mógłby nastęrczać pewne wątpliwości.

Opinia jednak, że dr. Biliński byłby najodpowiedniejszym prezesem Koła polskiego w chwili obecnej, okazała się tak silną, że jedna grupa partyjna za drugą oświadczyły się w Kole

za zmianą statutu, któraby formalnie umożliwiła wybór dra. Bilińskiego.

W niedzielę wolę swoją w tym kierunku wyraziła jednomyślnie także i grupa demokratyczna w Kole, i to przy żywym współudziale i poparciu ze strony dotychczasowego prezesa Koła dra Lea. Grupa demokratyczna jest tą, która w obecnej sytuacji miała do ofiarowania najwięcej. Wszak do niej należy pierwszy wiceprezes Koła dr. German, który z natury rzeczy miał pierwszeństwo w objęciu godności prezesa Koła. Mimo to grupa demokratyczna wyrzekła się bez wahania tego swego stanu posiadania partyjnego i przyszedłszy do przekonania, że w chwili obecnej kandydatura dra. Bilińskiego jest najodpowiedniejszą, przyłączyła się z gotowością do innych grup Koła polskiego, umożliwiając przez to solidarne jego postępowanie w akcie tak ważnym, jak wybór nowego prezesa.

Czyn ten demokratycznej grupy Koła polskiego witamy też z najwyższym uznaniem, zgadzając się z nią w zupełności w tem, że w ciężkiej chwili obecnej wszelkie względy partyjne powinny ustąpić na plan dalszy wobec olbrzymich zagadnień bytu polskiego, przy których niedalekiem już rozwiązywaniu Koło polskie musi działać jako czynnik silny, poważny i wpływowy.

Wobec niedzielnych postanowień grupy demokratycznej, jednomyślność Koła zarówno co do zmiany statutu, jak co do samego wyboru prezesa, jest zapewnioną. Ponieważ zaś także i dr. Biliński oświadczył już, że wybór przyjmie pod warunkiem jednomyślności, przeto sprawę prezesury Koła można już uważać za załatwioną w zasadzie.

W najbliższym czasie, zdaje się 18 b. m., Koło otrzyma prezesa w danych warunkach najodpowiedniejszego. Dr. Biliński, zwolniony z obowiązków, które nigdy nie mogły odpowiadać jego właściwym dążeniom, będzie mógł znowu poświęcić narodowi swemu cały ogromny zapas swego doświadczenia politycznego, swoich wpływów osobistych i swego talentu godzenia i wytwarzania zdolnych do życia całości tam nawet, gdzie tylko były „disiecta membra“.

T A J E M N I C A P O L S K I E J S I Ł Y

11 lutego 1915.

Z siedmdziesięciu ośmiu tysięcy kilometrów kwadratowych naszego kraju zaledwie cztery tysiące oszczędziła dotąd furja wojny. Na ogromnej przestrzeni od Sokala po Wieliczkę i od Zaleszczyk po Limanowę niema jednego miasta, jednej wsi, jednej osady, która nie drżałaby od huku armat i od straszniejszego jeszcze wrzasku najeźdźców. Zdawałoby się, że w tych warunkach paraliż tępego, głuche go bólu powinienby unieruchomić już wszystkie serca, zamrozić wszystkie głowy. W Królestwie Polskiem, które wszakże jest także naszą, serdecznie naszą, polską ziemią, rzeczy mają się jeśli nie gorzej, to tak samo. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć — cmentarze, ruiny i popieliska. Okrywana łzami prawdziwego, a jeszcze więcej forsownie robionego współczucia Belgia — o ileż szczęśliwszą jest w porównaniu z polską ziemią i z polską ludnością?

Zdawałoby się, że w tych warunkach wszystko powinno by w Polsce zamrzeć. A jednak w rzeczywistości nie zamarło i nie zamiera. Źródło entuzjazmu, tak obfite w głębokich pokładach duszy polskiej, bije dalej, aczkolwiek przysypywane gruzami i popiołem, aczkolwiek zalewane strumieniami krwi.

W takim małym Oświęcimiu wystarczyło trochę energicznych zabiegów kilku ludzi dobrej woli, aby poruszyły się rzesze, aby całe setki ludzi wszystkich stanów i zawodów pośpieszyły uczcić pamiątkę ostatniego powstania i rozplomienić się świętym ogniem ofiarnej miłości ojczyzny. Wszyscy, którzy tam w niedzielę do skromnej sali kina oświęcimskiego spieszili, poznali groźbę wojny już z bliska. Mocno musnęła ich po twarzach szorstka dłoń niewysłowionej nędzy ewakuacyi i ucieczki przed wrogiem. Nerwy ich razem z szymbami ich domów drżały niedawno od nieprzerwanego huku armat w pobliżu...

A jednak zapomnieli o wszystkim, kiedy zabrzmiało wśród nich hasło walki o wolność narodu. Głęboka, niewysłowiona ra-

dość napełniła ich serca, kiedy ujrzeli wśród siebie bohatera obecnej walki Piłsudskiego, tego żywego, prawdziwego i dziwnie prostego Piłsudskiego, który...

Wystarczyło spojrzeć na tę cisnącą się koło niego rzeszę, aby odczuć, że w jego pobliżu, w promieniu jego osobistego uroku, ci ludzie gotowi są zapomnieć o wszystkim, co już przeszli i nie myśleć o tem, co jeszcze przejść mogą. Tak zupełnie, tak całkowicie zdolni są poddać się panowaniu jednej idei — idei polskich Legionów. Potrzeba tylko, aby ta idea zbliżyła się do nich w dostatecznie uchwytniej postaci, aby mogli naocznie przekonać się, że to, do czego drżą ich serca gorącym ukochaniem, istnieje rzeczywiście w ich pobliżu. Potrzeba to prostej duszy ludzkiej ogromnie elementarna. Zaspokoivszy ją, wydobyć można z tej duszy dziwnie jasne płomienie zapału, dziwnie gorący żar wiary. Źródła entuzjazmu polskiej duszy zaiste nie wysychają wśród żadnych, nawet najtwardszych okoliczności.

Albo spojrzeć na tych żołnierzy młodych, na tych oficerzyków chwackich, którzy niby pszczoły matkę otaczają swego komendanta. Ich entuzjazm niby głęboka, spokojna rzeka. Ani śladu fanfaronady, aczkolwiek po sześciu miesiącach nieprzerwanych bojów byłyby już niejaki podstawy dla niej. Ani śladu egzaltacyi. Spokój mężów i wesoła beztroska dzieci zarazem, oto ta prawdziwa mieszanina, z której składa się dusza Legionisty polskiego. Jakich to potężnych ciśnień moralnych potrzeba, aby taki amalgamat wytworzyć i ustalić.

Powiada Piłsudski, że jego żołnierze są najspokojniejszym wojskiem, jakie widział. Spokój ich wzrasta razem z niebezpieczeństwem. Stają się najzimniejszymi, kiedy armaty — rozgrzewają się najmocniej... Polska lekkomyślność i jakaś naiwna filozofia, którą sobie te bohaterskie chłopaki urobiły na prosty temat „było nie było“, czynią ich hartownymi i zimnymi, jak stal, wtedy właśnie, kiedy pod piekielnym ogniem nieprzyjaciela mięknie najtwardsza wola. „Śpiewającym wojskiem“ nazywają Legionistów Niemcy, słuchając ze zdumieniem radosnych śpie-

wów, które z nadmiaru „ekspresyi“ aż z rykiem graniczą, kiedy skądś nadchodzi ten lub tamten batalion Legionu.

Jakie wulkany zapału i entuzjazmu kryć się muszą w tych młodych duszach, których nie łamie nic, dosłownie nic. Pod Ł. już przed samem wyjściem na odpoczynek brygada Piłsudskiego odparła w ciągu jednej doby — siedmnaście wściekłych ataków rosyjskich. Biły na nią, jak fale wzburzonego morza, najprzedniejsze pułki rosyjskie, więc kijowskie, ukraińskie, co nawiasem mówiąc, potwierdza najlepiej rozmaite legendy, rozsiewane po świecie, o rwącej się do samoistnego państwa Ukrainie i syberyjskie. I siedmnaście takich fal wzdętych bagnietami rozprysnęło się na skałach polskich młodych piersi...

Entuzjazm tej niesłychanej młodzie dokonyuje cudów. W ogniu jego przerabiają się obce dusze na coś nieoczekiwanego. Jest w brygadzie Piłsudskiego kilku żołnierzy rosyjskich, którzy uważają za szczęście, że zamiast w niewoli, pozwolono im zostać w tem towarzystwie. Absolutna, psia wierność tych kacapskich „Leginistów“ została już mnóstwo razy ponad wszelką wątpliwość stwierdzoną. To samo dotyczy wstępujących do Legionu Czechów, Niemców, Węgrów i t. p. O znikaniu przeciwnych „oryentacyj“ u tych ich właścicieli, których los rzucił do wnętrza polskiego Legionu, nie warto nawet mówić. Nie zdarzyło się jeszcze, aby taka „przeciwna orientacja“ utrzymała się tam dłużej, niż tydzień, ustępując potem miejsca bezgranicznemu oddaniu się idei Legionów... Kiedyś ludzie oczom swoim wierzyć nie zechcą, że w Legionie walczył także ten lub tamten i to tak walczył, jakby nigdy inaczej, niż twórcy Legionu nie myślał.

Wszystko to sprawia ta dziwna potęga entuzjazmu, do której zawsze na nowo okazuje się zdolną dusza polska.

Niedawno jeden z ekonomistów naszych wywodził słusznie, że Galicya, jako kraj rolniczy nie może być nigdy „doszczętnie zniszczoną“, ponieważ główne jej bogactwa leżą w naturze gleby, która wszak nie ulega zniszczeniu. To samo można powiedzieć o sprawie polskiej, której główna siła tkwi w niewysychających

źródłach entuzjazmu duszy polskiej. Potrzeba tylko te źródła w czystości utrzymywać, a dostarczą nam one zawsze tyle siły żywotnej, że przetrzymamy wszystko — naprawdę wszystko.

„E P I G O N“ B I S M A R C K A

12 lutego 1915.

Prezes Naczelnego Komitetu Narodowego, prof. dr. Władysław Leopold Jaworski, wydał list otwarty do Maksymiliana Hardena, redaktora berlińskiej „Zukunft“, w odpowiedzi na rzucone przezeń oszczerstwo, jakoby siedmiuset polskich urzędników w Galicyi pozostawało pod zarzutem szpiegostwa i zdrady.

Kto jest Harden? Jest to sobie hałaśliwy dziennikarz berliński, bardzo rozpowszechnionego typu. Imponuje gwałtowną erudycją drobiazgów, anegdot i szczegółików. Sypie nimi, jak z rękawa z gestem natarczywego w okazywaniu swego dobrobytu dorobkiewicza. A poczciwi ludzie czytają i myślą — jaki mądry, jak strasznie mądry!...

Erudycya taka opiera się na zasadzie: ja wiem więcej. Skoro ty wyliczysz wszystkie ulice starożytnego Rzymu, to ja mogę ci dodać dokładną litanię ulic nie mniej starożytnych — Syrakuz. Widzisz, żem mądrzejszy? Erudycya taka zamiast wyjaśniać, zaciemnia. Głównie też w ciemnych celach bywa używaną.

Harden z właściwym swej rasie sprytem i natarczywością umiał zdobyć sobie w Berlinie pewną publicystyczną pozycję. Polegała ona na tem, że jedne sfery w walce z innymi sferami „uzupełniały“ jego erudycję faktami, które ogłoszone, wywołały sensację.

„Autorytet“ Hardena ugruntował się ostatecznie podczas słynnej afery Eulenburga. Wówczas „erudycya“ jego grzmiała jak trąba jerychońska. Harden stanął u szczytu. Tu uzupełnił swój kostium publicystyczny i z dużą forszą narzucił się ś. p. Bismarckowi na — epigona. Całe szczęście, że kanclerz żelazny już nie żył, bo byłby się srodze zirytował. O ile bowiem sza-

nował i cenił zawód dziennikarski, o tyle fizyologicznie nie znosił takiego właśnie typu dziennikarzy, jak — Harden.

W miarę, jak wzrastała wziętość energicznego dziennikarza, uszlachetniały się również tematy jego rozważań. Od jakiegoś czasu robi on wyłącznie w wielkiej polityce i to jedynie w duchu najczystszeo — ultra-bismarkizmu. Podobnie jak jego rodacy, robiący w towarach łokciowych, nie rozstają się z łokciem, tak on nie rozstaje się z Bismarckiem, szczególnie z jego „Myślami i wspomnieniami“.

Bethmann-Hollweg kichnie, dajmy na to, rano, a Harden z namaszczeniem augura oświadcza publicznie, że obecny kanclerz łamie tradycję i narusza myśl Bismarcka, bo on kichał zawsze — wieczorem... Takie rzeczy imponują tłumowi. I Harden wyrasta na mędrca.

Od czasu do czasu zdarzy mu się także coś pożywniejszego. Od wojny bałkańskiej robi on stale we frondzie antiaustryackiej. Na początku tej wojny miał odczyt w Wiedniu, przyjęty nad Dunajem z całym ceremoniałem, na jaki tylko reklama dziennikarska zdobyć się może. Na odczycie był cały Wiedeń. Nie brakowało nawet samego ministra spraw zagranicznych, który przez trzy godziny cierpliwie słuchał, jakby pan Harden pragnął polityką austriacką kierować. Ale widocznie nie wystarczyło Hardenowi to przyjęcie. Nie darmo bowiem z Witkowera czy Witkowskiego przezwiał się Hardenem, co niewątpliwie kojarzy się z — hardością... Potentat małego tygodniczka wrócił do Berlina i zaczął wyraźnie gniewać się na Austryę. Pod koniec drugiej wojny bałkańskiej ogłosił nawet zupełnie zdumiewające rzeczy o polityce hr. Berchtolda, który rzekomo chciał raz dzielić Serbię z Bułgarią, drugi raz Bułgarię z Serbią...

Widocznie ktoś w Berlinie miał w tem jakiś interes, aby dokuczyć Berchtoldowi i użył do tego wielkiego erudyty. Potrzeba bowiem wiedzieć, że każda dyplomacya ma w swoim aparacie pewne ukryte sprężyny, które mają na celu umożliwianie wszelkich „hokus-pokus“. Sprężynami temi są najczęściej dziennikarze pośledniejszego gatunku, używani do t. zw. „Hintertreppendienst“.

Oczywiście pocziwa publiczność nic o tem nie wie i często dziwi się temu, co wcale nie jest dziwne.

Powaga toczącej się wojny usunęła jednak na plan dalszy te wszystkie figle aparatów dyplomatycznych. Z nimi razem znalazł się także Harden poza sferą wtajemniczonych i współdziałających. Widzi dokoła siebie mnóstwo innych, poważniejszych wprawdzie bez porównania, ale za to mniej „olśniewających“, jak stanęli w wyznaczonych im miejscach olbrzymiego warsztatu wojny. A tylko jego ominięto. Więc fronduje. Oczywiście łagodnie i delikatnie, jak tego wymaga surowe prawo stanu wojennego, ale za to systematycznie.

Jako konsekwentny epigon Bismarcka, jest przeciwnikiem wojny z Rosyą. Nie wypowiedział tego nigdzie wyraźnie, bo nie mógł, ale za to nie ominął żadnej sposobności, aby do każdego kielicha oficjalnych nadziei dolać kroplę goryczy sceptycyzmu i zwątpienia. Berlin pracuje oczywiście intensywnie w Bukareszcie w známym kierunku. Więc Harden pisze olbrzymi artykuł pełen zdumiewającej erudycji, z których wynika, że praca ta jest zupełnie bezowocną i bezcelową.

Bethmann-Hollweg pojmuje cele wojny z Rosyą w całej ich olbrzymiej dziejowej rozciągłości. Więc Harden tak zawsze kwestyę stawia, aby wynikało coś zupełnie innego. Jest w Berlinie silna grupa polityczna, która wzniosła się wreszcie na wyżyny zrozumienia szkodliwości dotychczasowego systemu polityki polskiej i konieczności oddzielenia się od Rosyi murem silnej Polski. Więc Harden wysiła swą erudycyę na wykazanie, że niema w Polsce materiału na budowę tego muru, bo Polacy są co najmniej tak samo urodzonymi moskalofilami, jak on, Harden, rodowitym — germaninem...

A gdzie nie wystarcza erudycya, tam fałsz historyczny, jak n. p. rzewna opowieść o liście Wielopolskiego do Bismarcka, lub zgoła oszczerstwo, jak twierdzenie, że siedmiuset polskich urzędników w Galicyi stoi pod zarzutem zdrady...

Prezes N. K. N. z tytułu ciążących na nim obowiązków, nie mógł pominąć tego oszczerstwa milczeniem. Czasem wysoka

godność zmusza — do zniżenia się. Tak stało się i w tym wypadku. Szanowny prezes N. K. N. musiał krzyknąć „wara!“, aby nas byle co nie chwyciło za — łydkę...

Nie należy jednak niebezpieczeństwą Hardenowskiego przece-
niać. Jak ostatecznie uformuje się niemiecka myśl polityczna
w sprawie polskiej, nie można wiedzieć ani odgadnąć. Tego jednak
można być pewnym, że opinie „epigona“ Bismarcka z „Zukunft“
nie odegrają w tem kształtowaniu żadnej a żadnej roli.

Z A K A Z A N E B R A T E R S T W O .

13 lutego 1915.

Ciekawą wiadomość z Petersburga przyniosło wczoraj Biuro korespondencyjne. Oto z rozkazu gubernatora skonfiskowano tam zapas medali pamiątkowych, sprzedawanych na rzecz funduszu pomocy dla Królestwa Polskiego. Medale te z jednej strony przedstawiały Polaka i Rosyanina, złączonych braterskim uściskiem dłoni, z drugiej zaś rosyjskiego i polskiego orła.

Tak więc niewinny symbol młodego, sześciomiesięcznego „braterstwa“ polsko-rosyjskiego został skonfiskowany. Akt ten policyi petersburskiej jest sam niewątpliwie... symbolem... A od tamtego, skonfiskowanego symbolu różni się tem, że nie stanowi numizmatycznej rzadkości, ale przeciwnie, łączy się organicznie z całą bujnie rozkwitającą symboliką polsko-rosyjskich stosunków.

Dochodzące z Galicyi wschodniej wiadomości nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do tego, że uczuciami braterskimi przepełniona Rosya pracuje bardzo usilnie nie tylko nad ostatecznem wyzwoleniem, ale także nad całkowitem zjednoczeniem tej części naszego kraju z „rdzennie rosyjskimi“ ziemiami. Zapał i stanowczość, w tym względzie objawiane, budzą nawet pewne wątpliwości w postępowych sferach rosyjskich. Nawet tym świeżo do tryumfującego nacyonalizmu rosyjskiego przypisanym liberałom zaczyna być jakoś nieswojo na wiadomość, że coroczny kongres „ludzi prawdziwie rosyjskich“ ma odbyć się w Galicyi,

że rusyfikacja szkół i urzędów postępuje tam tak szybko, iż o wiele, bardzo wiele, wyprzedza ustalenie wytworzonego przez wojnę stanu rzeczy.

Kto zupełnie nie upadł na głowę, musi dostrzedz różnicę między Warszawą a Lwowem. We Lwowie graf Bobrinskij pracuje jak wół, aby urzeczywistnić zasadę wyswobodzenia i zjednoczenia Rusi halickiej z Rosyą. W Warszawie zasię p. Essen palcem nawet nie ruszył, aby w polityce swej zbliżyć się na włos przynajmniej do słynnych zapowiedzi i obietnic generalissimusa Mikołajaja. Bezczywność Essena tłumaczą w Petersburgu stanem wojennym. Ale czyż stan, istniejący we Lwowie, uważają tam na prawdę za — pokojowy?

Fałsz, głęboki fałsz polsko-rosyjskiego „braterstwa“ wychodzi wszystkimi porami. Niedawno Mienszikow wyklarował jasno jak na dłoni, w jaki sposób pojmuje „braterstwo“ z Polakami. Oto najpierw należy „zabezpieczyć“ przed „braćmi polskimi“ wszystkich Rosyan i niby Rosyan Podola, Wołynia, Litwy i t. d., a potem już będzie czas na — całowanie.

Ponieważ każdy wie dobrze, co to znaczy „zabezpieczanie biednych Rosyan przed polskim uciskiem“, potrzeba więc jeszcze tylko dodać, że o tem zabezpieczeniu pisze Mienszikow, który wie, jak trawa prawdziwie rosyjska rośnie...

Przed kilku tygodniami Milukow powtórzył pod adresem Polaków słynne słowa Aleksandra II — „precz z marzeniami, panowie!“ Podziękował mu za to szczere wyznanie staruszek Świętochowski w wielkim, wspaniałym artykule, w którym zaślepienie idzie o lepsze ze szlachetnością motywów.

Bardzo, bardzo „bratersko“ brzmiał ten dyalog dwóch przywódców dwóch postępów — rosyjskiego i polskiego... Ten sam Milukow, który od wybuchu wojny zapisał się „w patrioty“, w debacie zagranicznej w Dumie mówił o Konstantynopolu, jako o celu rosyjskiej ekspanzyi. No, a cóż będzie z Gdańskiem? Wszak w sierpniu wyswobodzenie Gdańska i ujścia Wisły i oddanie go przyszłej, zjednoczonej Polsce nazywało się „pierwszym zadatkem“ polsko-rosyjskiego braterstwa. A może p. Milukow

uważa wyswobodzenie Gdańska i Królewca za taką bagatelę, o której nawet wspominać nie warto?...

I napróżno skarżą się gorzko niektóre organy prasy warszawskiej na te objawy szczerości, które mnożą się w prasie rosyjskiej i w wystąpieniach polityków rosyjskich. One są objawem czegoś silniejszego, niż fikcja „polsko-rosyjskiego braterstwa“, mianowicie tej prawdy, że braterstwa takiego nie było, być nie mogło i nigdy nie będzie.

Gradonaczelnik petersburski jest widocznie także człowiekiem szczerym i uczciwym. Jego prostym rozkazem braterstwo to nawet na niewinnych medalach zostało — skonfiskowane. Rozgrzane głowy polskie winne mu za to wdzięczność, jak za każdy strumień zimnej, chłodzącej wody. Im więcej takich strumieni, tem rychlej minie czar „braterstwa“, tem rychlej odłoni się przed wszystkimi oczyma polskimi straszny obraz twardej rzeczywistości, tem łatwiej też na gruncie tej rzeczywistości, nigdzie nieprzecenianej, nigdzie na kolor żadnego „filstwa“ niemalowanej znajdziemy się wszyscy razem, aby, uraz wzajemnych nie pomni, wziąć się z tą rzeczywistością za bary.

POLSKIE POZYCYE W PRUSKIM BUDŻECIE

19 lutego 1915.

Istnieją dane, nie nadające się jeszcze do publicznego omawiania, które pozwalają przypuszczać, że w miarodajnych sferach berlińskich ustala się powoli nowy pogląd na kwestyę stosunku Niemiec do Polaków, że, z trudem co prawda i opornością większą, niżby się tego można było na podstawie prostoty samej kwestyi spodziewać, toruje tam sobie drogę przekonanie o wadliwości, bezpodstawności i bezcelowości dotychczasowych metod polityki niemieckiej wobec Polaków. Nawet najbardziej uparci i we własnem mniemaniu konsekwentni zwolennicy tych metod przyznają, że Polacy zaboru pruskiego zachowaniem swem bez zarzutu dowiedli najlepiej bezpodstawności obaw, na których w pierwszym rządzie

opierały się dowody niezbędności tych metod. Dalej zaś patrzący i widzący nie ukrywają już dzisiaj przeświadczenia, że sprawa polska nie przestała istnieć, a skoro nie przestała istnieć, to musi być jakoś załatwiona. Jest jeszcze i trzecia kategoria najdalej patrzących, ale też i najmniej licznych, którzy nie poprzestając na samem uznaniu istnienia niezałatwionej sprawy polskiej, rozumieją jasno cały ogrom jej znaczenia dla Europy w ogólności, a dla dalszego układania się stosunków niemiecko-rosyjskich w szczególności.

Obok swobodnie pracującej myśli politycznej działają tu jeszcze i naturalne względy, powiedzmy „konkurencyjne“. Z trzech belligerentów na wschodnim terenie wojny światowej, dwóch uznało zaraz na początku znaczenie i rolę, którą w tej wojnie odegrać może i musi naród polski, odwieczny gospodarz ziem, teatr wojny stanowiących. Uznanie to w Austrii znalazło swój wyraz w zgodzie na tworzenie Legionów polskich. W Rosyi wyraz tego uznania więcej patetyczny niż faktyczny, lecz nie mniej dobitny, stanowi znana odezwa generalissimusa rosyjskiego dla narodu polskiego. Tylko Niemcy czuły się dość silnemi i — ambitnemi, aby w tej sprawie milczeć. Drogą śmiesznych skoków rosyjskich od przesładowania do „wyzwalania“ pójść nie chciały, drogą szczerości austriackiej — nie mogły. Więc milczą. Nie znaczy to jednak, że nie myślą i że już pewnych prostych zresztą zupełnie zjawisk, powoli coprawda, rozumieć nie zaczynają...

Ale strumień życia płynie bardziej wartko, niż dokonać się może przeistoczenie sposobu myślenia politycznego, od lat stosowanego, za oficjalne uznanego. Jest już właściwością umysłowości i wogóle psychyki niemieckiej, że takie procesy przewartościowań wartości politycznych odbywają się tam wolniej, niż gdzieindziej, że cechą polityki niemieckiej lotność fantazyi i szybkość orientacji bynajmniej nie jest.

Stąd pochodzi, że stopniowe zmienianie się poglądów na politykę wobec Polaków, odbywa się na jednej płaszczyźnie, a szablón życia państwowego utrzymuje się nienaruszony na drugiej. Tem się tłumaczy, że aczkolwiek niewątpliwie świta już jakiś re-

nesans niemieckiej myśli politycznej w dziedzinie kwestyi polskiej, to jednak blask tego świtu nie jest jeszcze tak silny, aby rozprószył mroki tych do niedawna za jedynie słuszne uznawanych zapatrywań w tej kwestyi, które najplastyczniejszy swój wyraz znajdują, jak wiadomo, w szeregu t. zw. „antypolskich“ pozycyji budżetu pruskiego.

Sejm pruski ma teraz budżet na rok bieżący uchwalić. Kwestya tych pozycyji stała się znowu aktualną. I to nie tylko ze względu na przeczuwaną już konieczność zmiany kursu w polityce polskiej w niedalekiej przyszłości, ale także ze względów innych. W Niemczech od wybuchu wojny panuje t. zw. „Burgfrieden“, to jest zawieszenie broni między partjami. Naród niemiecki, pochłonięty rzeczywistą walką o byt, zaniechał wszystkich sporów wewnętrznych, zawiesił różnice partyjne na kołku i występuje na zewnątrz istotnie jak jeden, siłą i zwartością imponujący monolit. Parlament przeprowadza swoje uchwały bez dyskusyi. — Wybory odbywają się bez walki na zasadzie istniejącego przed wojną stanu posiadania partyjnego. Polscy członkowie parlamentu niemieckiego przystosowali się w zupełności do tego stanu rzeczy i uznając jego podłoże moralne, nie zamącili go ani jednym słowem.

Teraz nadchodzi Sejm pruski ze swoim budżetem i z pozycjami antypolskimi w tym budżecie. Rząd i opinia publiczna niemiecka pragną bardzo, aby także i tu „Burgfrieden“ utrzymał się w nie naruszonej pełni, t. j. aby budżet sejmowy został przyjęty bez dyskusyi. W tej sprawie jednak przedstawicielom ludności polskiej jest już bez porównania trudniej utrzymać się na tem stanowisku lojalnego uszanowania uczuć całego narodu niemieckiego. Na gruncie bowiem antypolskich pozycyji budżetu pruskiego powstać musi w sercach postów polskich zbyt silna kolizya między uczuciem własnej godności narodowej a uczuciem lojalności wobec godności narodowej drugich... A potrzeba powiedzieć otwarcie, że przyjęcie bez protestu i bez zastrzeżeń budżetu, zawierającego pozycye z elementarną godnością narodową tak zasadniczo sprzeczne, przekracza poprostu siły normalnych ludzi...

Nie wiemy, co i jak zrobią postowie polscy w Sejmie pruskim.

Stoimy na tem stanowisku, że decyzja ich musi zapaść z całą swobodą, wolna od nacisku jakiegokolwiek postronnej doktryny czy kalkulacji politycznej. I jeżeli ktokolwiek i gdziekolwiek myślał inaczej, przekona się niebawem, że był w grubym błędzie. Wierzmy niezłomnie, że przedstawiciele narodu polskiego w Sejmie pruskim, którzy złożyli już tyle dowodów rozumu i zdolności przewidywania w ciągu dziesiątek lat niezmordowanej pracy i nieustraszonej walki o utrzymanie polskość wśród najtrudniejszych warunków, także i dla tej kwestyi znajdą właściwe rozwiązanie.

Nie o to też chodzi w tej chwili. Chcieliśmy tylko wskazać na to, że zbyt daleko posunięta w polityce systematyczność i metodyczność przynosi często większe szkody niż pożytek, wytwarzając sytuacje, których szkodliwości sami ich twórcy nie zdołają zaprzeczyć. Myśl polityczna musi być giętką i elastyczną. Inaczej bowiem nie zdoła nigdy opanować wypadków, co przecie jest celem polityki. Zamiast kierować wypadkami i decydować o ich tworzeniu się, będzie się taka nadmiernie systematyczna, metodyczna i pedantyczna myśl wlokła za wypadkami, jak każda nudna teoria, żmudnie i najczęściej niepotrzebnie dorabiana do życia.

Błądzić w życiu jest źle. Ale poznawszy błąd, nie naprawić go natychmiast bez względu na wrażenie, jakieby ta naprawa wywołać mogła, jest — po trzykroć źle...

Ś W I T Y W A R S Z A W S K I E

21 lutego 1915.

Wiadomości, które różnemi drogami dochodzą nas od czasu do czasu z Warszawy, potwierdzają w zupełności to, czego każdy z nas był pewny, mianowicie, że czad t. zw. „słowiańskiej“ orientacji będzie tam bardzo krótkotrwały. Sympatya głębsza dla ideałów rosyjskich jest bowiem czemś tak niemożliwym dla polskiej duszy, że przez czas dłuższy nie jest ona w stanie znosić nawet pozorów tej sympatyi.

Jedno jedyne stronnictwo, pochłonięte ciasną doktryną poli-

tyczną, zaawanturowało się w głąb — orientacji słowiańskiej. Ono jedno ma niekrępowaną swobodę wypowiedzania swych myśli i wierzeń. Ono też daje się w danych warunkach cenzury najlepiej słyszeć. — Słuchając jednak tego hałasu, potrzeba zawsze pamiętać o tem, że olbrzymia większość społeczeństwa milczy i że milczenie w warunkach politycznego życia Warszawy jest czemś wręcz przeciwnem, niż — potwierdzanie... Słyszając w lesie w cichą noc okrzyki puszczyków, byłoby dużym błędem wnioskować, że w lesie gnieźdzą się wyłącznie tylko puszczyki.

Zresztą nawet mimo ucisku wojennej cenzury, dochodzą z Warszawy głosy, które odcinają się bardzo wyraźnie od rozlegających się tam chórów — „słowiańskich“. Prężność niezorientowanej ku wschodowi myśli politycznej, odporność gwałconego uczucia, okazują się tam tak wielkimi, że przerywają one nawet te potężne okowy ducha i myśli, które na nie nakłada policyjny system rosyjski, umocniony przez — „potrzebę“ wojenną.

Generalissimus rosyjski nasłuchiwał się tyle o polskich Legionach po stronie armii austriackiej, o tych zuchwałych „malczuganach“, którzy w sześciu, czy ośmiu, ośmielają się zabierać do niewoli całe sztaby pułków rosyjskich, że w siódmym miesiącu wojny zapragnął także mieć — polski Legion. Komendant jednej z armij, gen. Iwanow, otrzymał więc polecenie utworzenia takiego Legionu w bardzo prostej drodze — odkomenderowania z armii odpowiedniej liczby żołnierzy polskich i oficerów, przybrania ich w specjalne mundury i nazwania tej nowej formacji „Legionem polskim“. Warszawski komitet narodowy, reprezentujący — jak wiadomo — tylko dwa stronnictwa, dał temu przedsięwzięciu swą firmę i wyznaczył swoich trzech delegatów do komitetu, organizującego owe t. zw. „Legiony“, w którym to komitecie większość mają generałowie i oficerowie rosyjscy...

Ogromnie charakterystycznym jest przyjęcie, jakie ta naiwna improwizacja legionowa znalazła w społeczeństwie. Z głosów nawet najbardziej umiarkowanej i ostrożnej prasy wynika niezawodnie, że przyjęcie to jest więcej, niż zimne, że społeczeństwo

darzy bezwzględną obojętnością nowy ten eksperyment endecki, dokonywany na jego ciele przez generałów rosyjskich przy pomocy kilku zaślepionych doktrynerów. Jeden z dzienników warszawskich odważył się nawet napisać wprost, że organizowane „Legiony” **„nie mają żadnego znaczenia politycznego“**. Dalej chyba w znanych stosunkach prasowych w Warszawie nie można pójść w jawnym potępieniu i lekceważeniu całego przedsięwzięcia.

Ważniejszym jednak, niż stosunek do tej komedii przebierania żołnierzy w „Legionistów”, jest ustalający się coraz powszechniej w społeczeństwie warszawskim pogląd na polityczne skutki wojny dla Polski. Głównym źródłem panującego pierwotnie w Warszawie czadu słowiańskiego było założenie, że wojna spowoduje zjednoczenie wszystkich ziem polskich od Gdańska po Wrocław. Dzisiaj nawet najbardziej zac zadzone głowy zaczynają rozumieć, że to połączenie jest mitem, że pod rosyjskim władztwem może ono zredukować się do połączenia Galicji z Królestwem. W tak jednak zmniejszonej skali połączenie to musi każda polska głowa uważać za nieszczęście i katastrofę, a nie za zdobycz narodową. Przekonanie to znajduje coraz dobitniejszy wyraz w prasie warszawskiej.

Dla przykładu przytoczymy tu tylko dwa głosy legalnej prasy warszawskiej z ostatniej doby z pośród tych, które nas doszły. I tak w jednym z najinteligentniejszych tygodników znany publicysta warszawski w ten sposób charakteryzuje obniżenie się poziomu umysłowego, spowodowane zbyt intensywnym wgadywaniem w społeczeństwo wskazań orientacji wschodnio-słowiańskiej:

„Patryotyzm szerokich warstw — czytamy w tym charakterystycznym artykule — i kierowniczych organów opinii warszawskiej wylał się na zewnątrz przedewszystkiem nieprzebranym morzem gadaniny. Istnieje jakiś odrębny prąd, winawiający w siebie i drugich, że przyszłość można wygadać. Gada każdy w imieniu wszystkich, gada nieznużenie: w redakcyi, w kawiarni, w komitecie, w wagonie, w Petrogradzie, w Moskwie, w Saratowie, we śnie... gada z mandatem i bez

mandatu, buduje przyszłość Polski, nie tylko gada, ale i rysuje mapy, rysuje — kto? Każdy — każdy Polak.

„A Wyspiański z najwyższą pasją i bardzo ordynarnie na takie gadaniny się zżyma, zakazuje, gębę zamyka, radby ustanowić cenzurę narodową, któraby działała, jak wszystkie inne cenzury, zmuszając tego Polaka, aby był — „był z zamkniętą gębą“ — bo tak się „gubi naród“.

„Jedzie sobie taki pan literat — dajmy na to — do Moskwy i prowadzi różne inteligentne rozmówki z przedstawicielami opinii rosyjskiej, a potem je drukuje n. p. w „Kuryerze Warszawskim“, albo w innym, ku wielkiemu zadowoleniu re-sursowych optymistów i tak się robi polityka. — Wolno w Polsce, jak kto chce — z mandatem, czy bez mandatu. Ale Zagłoba takie rzeczy robił dowcipniej.

„A gdy się spojrzy na postępowanie większości naszej prasy okiem krytycznym, nieuprzedzonym, to doprawdy uderza jakaś dziwna skwapliwość do wyszukiwania w czytelnikach najslabszych, najmarniejszych stron natury ludzkiej i dostosowywania się do tonu dla najlepszego zespolenia pisma z ogółem dla zyskania wpływu i popularności.

„Wydaje się wprost czasami, jakby między najbardziej rozpowszechnionymi dziennikami odbywały się jakieś wyścigi, jak gdyby rozpisano jakiś konkurs na obniżenie poziomu intelektualnego i duchowego do takich granic, któreby się stały dostępne dla wszelkiej przeciętności, dla wszelkiej płytkości zbiorowej. Łatwość i powierzchowność stały się teraz cechami charakterystycznymi, na które poluje wydawca, dyrektor teatru, redaktor i jego dziennikarze. Było tak co dzień, w czasach normalnych, spotęgowało się tylko w czasie wojny.“

Inny, równie znany literat, w innym piśmie z nieporównaną ironią tak znowu pisze o „przyłączeniu“ Galicyi do Królestwa:

„Do dziejów naszej niekonsekwencji przybyła w ostatnich czasach imponująca karta. Obudziła się nagle, pod wpływem wypadków, chęć natychmiastowego połączenia się na wieki

z Galicyą. Chęć to rozumna, szlachetna, w sercach wszystkich patriotów od dawna żywiona. Byłoby jedynie do życzenia, **aby intercyza ślubna, mająca być przez trzecią osobę ułożona, nie przyniosła obu stronom strat, zamiast spodziewanych korzyści.** Idzie mianowicie o to, aby oblubienicy (Galicyi) nie pozbawiono tego wszystkiego, co z ciężkim trudem zdobyła, aby, **przyzwyczajonej do ciepła i światła swobody,** nie kazono zamieszkać w gmachu może lepiej materyalnie wyposażonym, ale **zimnym, krępującym ruchy, bezsłonecznym** — aby oblubieniec (Królestwo Polskie. Przyp. Red. „Nowej Reformy“), który w jej domu lżej oddychał, znajdował nieraz ucieczkę przed burzą, **pił ze źródła wiedzy i uczucia,** mógł zdobyć i dla siebie i dla niej **te same warunki,** w jakich dotychczas przebywała, a które są tak nieodzowne do prawidłowego rozwoju pracy dla dobra przyszłości. Wspomniana niekonsekwencya tkwi w tem, iż publicyści niektórych obozów odgrywający rolę swatów, w dziwny zaiste sposób dążą do skojarzenia na nowo pary, nie z własnej woli rozseparowanej. — Oblubienicę Galicyę przedstawiają oblubińcowi Królestwu, jako **istotę niespełną rozumu, posiadającą „bezmiar wad i słabości“.** Budzi ona w nich „niesmak“, przekonali się o jej „nędzy ekonomicznej i moralnej“. Uważają za bagno, które nieprędko będzie można osuszyć...

„Wobec tego należałoby się dobrze zastanowić, czy warto witać radośnie możliwość połączenia się Królestwa z istotą tak upadłą, jak Galicya, czy nie wypada raczej obawiać się, by tocząc ją — gangrena nie udzieliła się połączonemu z nią „zdrowemu“ ciału...? A co za interes wchodzić w ścisły związek z „nędzą ekonomiczną“, chyba po to, aby z uszczerbkiem własnym ratować ją od głodowej śmierci. Poco wogóle leżć w „bagno“, kiedy nie tylko powalać się, ale i utopić w niem można?...“

Śmielej i jaśniej nie można już chyba pisać w piśmie, ozdobionem magicznem zaklęciem „dozwoleno wojennoj cenzuraj“ ...

A takich głosów, jak powyższe, rozlega się w Warszawie, coraz więcej, składając świadectwo prawdzie, że ciemna noc zaślepienia doktryną słowiańską zaczyna już w umysłach tamtejszych coraz bardziej pierzchać, że świt trzeźwej myśli i rozumnej oceny oczywistych faktów staje się tam coraz jaśniejszym.

N O W Y R E G I M E N T A R Z

23 lutego 1915.

Niemal jednogłośnie wybrany prezesem Koła polskiego dr Leon Biliński zainaugurował swe rządy wielką mową programową. Nie tylko zebrani na posiedzeniu Koła polskiego jego członkowie, ale całe społeczeństwo polskie wysłuchało tego programu z najwyższym zainteresowaniem. Do osoby bowiem dra Bilińskiego na stanowisku prezesa Koła przywiązuje nasza opinia publiczna bardzo wielkie nadzieje, widząc w nim nie bez słuszności najwyżej politycznie ukwalifikowanego Polaka w tej chwili.

Sobotnia mowa programowa nowego prezesa wywarła na ogół wrażenie, które te nadzieje i oczekiwania utrwali. Z właściwą sobie szerokością horyzontu objął w niej dr Biliński całokształt spraw narodowych, ujmując je w trafnie pomyślanej skali wedle ich ważności i trudności.

Dr Biliński jednak jest zbyt wybitną indywidualnością, enuncyacje jego mają zawsze zbyt oryginalne piętno, aby wrażenie ich mogło być całkowicie jednolite... W sobotniej też jego mowie obok ustępów zupełnie pierwszorzędných, które tonem gorącego patriotyzmu muszą z jednakową siłą przemówić do każdego serca i głowy, nie brakło także innych, które, aczkolwiek mądre i politycznie bardzo wytrawne — a może właśnie dlatego — wymagają pewnych komentarzy, budzą pewne zastrzeżenia...

Zawiły splot szczególnie drażliwych kwestyj, którymi w ciągu półrocznego swego istnienia obrósł N. K. N., sprawia, że ustępy mowy dra Bilińskiego tej drugiej kategorii dotyczą przedewszystkiem tej właśnie historycznej instytucji naszej narodowej, którą

w dniu 16 sierpnia zrodziła jednolitość myśli, aczkolwiek niejednolitość uczuć, jak to trafnie w mowie swej dr Biliński rozróżnił. Wprawdzie już co do tego rozróżnienia możnaby podnieść, że gdzie niema jednolitości uczuć, tam też być nie może jednolitości myśli, bo myśl z uczucia się rodzi, ale ostatecznie można drowi Bilińskiemu to twierdzenie — skredytować.

Wypowiedział on jednak inne, któremi nie mielibyśmy odwagi obciążać jego wspaniałej hipoteki politycznej.

I tak twierdzi dr Biliński, że podział N. K. N. na dwie sekcye, wschodnią i zachodnią, był błędem, którego skutkiem był „cały szereg sporów, czy nawet nieszczęść narodowych“. Nieco dalej przyznaje dr Biliński, że za taki nieszczęsny błąd polityczny uważa zniszczenie Legionu wschodniego. Z powyższego twierdzenia wynikałoby, że dr Biliński sądzi, iż Legion wschodni byłby powstał i ugruntował swoje istnienie, gdyby N. K. N. sam nie był podzielił się na dwie sekcye. Otóż na podstawie niezbitych faktów można udowodnić, że podział N. K. N. na dwie sekcye nie był błędem, ale przeciwnie, był nie tylko koniecznością terytoryjalno-fizyczną, lecz także aktem rozumnego przewidywania, którego słuszności dowiodły właśnie dzieje sekcji wschodniej N. K. N. Dzieje te zaś uprawniają do twierdzenia, że bez owego podziału na dwie autonomiczne sekcye nie tylko Legion wschodni, ale także Legion zachodni nie byłby doszedł do skutku, a przynajmniej nie byłby tem, czem jest dzisiaj. Jeżeli nowy prezes Koła polskiego sądzi inaczej, to jest niedostatecznie poinformowanym. A to nie byłoby dobrze.

W sprawie hr. Skarbka twierdzi dr Biliński, że „należało ze stanowiska polskiego wyjaśnić tę sprawę przez zetknięcie się tego kolegi z innemi stronnictwami“. Zdania tego zupełnie nie rozumiemy. Co właściwie miało być wyjaśnione wobec uchwał zasadniczych z dnia 16 sierpnia i wobec dwóch wyraźnych uchwał sekcji wschodniej i pełnego N. K. K., że Legion wschodni w Mszanie ma być natychmiast zaprzysiężony?

We Lwowie w „Słowie Polskiem“ z dnia 13 listopada pojawia się enuncyacya, podpisana przez ludzi bardzo poważnych,

która wyjaśnia, dlaczego Legion wschodni został rozwiązany. Dr Biliński musi przecież znać tenor tej enuncjacji. A jeżeli tak, to co chce jeszcze mieć wyjaśnionem ze „stanowiska polskiego“.

Rozumiemy dobrze cel tych wywodów dra Bilińskiego i uznajemy go. Środki jednak, które dr Biliński do tego celu wybiera, nie przekonują nas.

Dalej wywodzi dr Biliński, że mimo iż N. K. N. przewodniczy znakomity członek stronnictwa konserwatywnego, zarzuca się tej instytucji, że kierunek N. K. N. jest nadto — radykalny... I dr Biliński zarzutu tego bynajmniej nie odpiera, lecz tylko łagodzi go łaskawem przyznaniem patriotyzmu także i „radykalnym“ członkom N. K. N., tudzież z właściwą mężowi stanu mądrością wskazuje sposób na zaradzenie złemu. A sposobem tym jest „zaprezentowanie pięciu lub sześciu miejsc N. K. N. dla stronnictwa konserwatywnego“. (Dlaczego nie piętnastu?)

Pozwolimy sobie zakwestyonować zarówno słuszność dyagnozy, jak terapii. Jeżeli terminu „radykalny“ zgodzimy się używać w jego najbardziej konwencyonalnem znaczeniu, to musi się stwierdzić, że radykalizmu tego niema w N. K. N. ani śladu. Oczywiście pojęcie radykalizmu jest bardzo względne. Jeżeli jednak u dra Bilińskiego zaczyna się ono tam, gdzie u wszystkich światłych i rozumnych konserwatystów, to nie powinien był przyznawać racji tym oskarżycielom N. K. N., u których pojęcie „radykalizmu“ jest widocznie znacznie szersze, niż to dopuszcza współczesny rozumny konserwatyzm, i nie powinien był dotyczyć t. zw. „radykalnych“ członków N. K. N. łaskawem przyznaniem im patriotyzmu.

A już środki zaradcze, których zastosowanie dr Biliński nie tylko doradza, ale nawet stawia jako warunek swojego w pracach N. K. N. udziału, muszą u wszystkich nieuprzedzonych i bynajmniej nieradykalnych wywołać co najmniej — zdumienie.

N. K. N. powstał wprawdzie jako wynik porozumienia stronnictw i jako ciało, w którym zasadniczo wszystkie stronnictwa powinny być reprezentowane, ale bynajmniej reprezentacją stronnictw nie jest. N. K. N. nie jest ciałem prawodawczem, nie jest

parlamentem, lecz instytucją, mającą wykonać szereg bardzo trudnych, ale też i bardzo jasno określonych zadań. Jeżeli kwestya klucza partyjnego mogła istnieć jeszcze w sierpniu, to dzisiaj, po tylu doświadczeniach z reprezentacjami partyjnemi z jednej strony i z ich zdolnością podejmowania realnej roboty w N. K. N. z drugiej, powinnyby się kwestye ilości miejsc partyjnych odłożyć do innych, lepszych i łatwiejszych czasów. Dzisiaj bowiem każdy, kto zetknął się z pracą N. K. N., wie, że prawo uczestniczenia w niej dać może nie etykieta partyjna, lecz osobiste zdolności i chęć do pracy.

Jeżeli dr Biliński dostarczy N. K. N. nie pięciu, ale pięćdziesięciu ludzi, chcących i umiejących pracować, to z pewnością nie znajdzie się nikt, ktoby im tego zaszczytu, tej pracy odmówił, chociażby wszyscy co do jednego byli konserwatystami. Prezes N. K. N., dr Wł. L. Jaworski, także jest konserwatystą i ani na sekundę być nim nie przestał. A jednak niema w N. K. N. nikogo, ktoby go nie szanował i wprost nie kochał za jego pracę i poświęcenie. Prezes wprowadził do biur N. K. N. szereg ludzi nowych, którym powierzył rozmaite ważne i bardzo ważne funkcje. Wszyscy oni są konserwatystami. Ale ponieważ są także ludźmi tęgimi i szczerymi i wyznawcami idei Legionu, przeto niekonserwatywne żywioły w N. K. N. nie żal, ale wdzięczność mają dla prezesa za pozyskanie tych ludzi dla prac N. K. N.

Dr Biliński nie ocenił należycie tego momentu, w którym ostatnią placówkę polityczną zajmują konserwatyści i nie trafił stanowczo w ton odpowiedni, stawiając jako kryterium uzupełnienia Naczelnego Komitetu Narodowego konserwatyzm, a nie stosunek do Legionów i ich idei. N. K. N. potrzebuje ofiarnych, wytrwałych, a przede wszystkim bezwzględnie szczerych wyznawców tej idei, a nie konserwatystów lub radykałów. Jeżeli dr Biliński przeoczył ten fakt oczywisty, solidaryzując się z zarzutami, że N. K. N. jest za radykalny, to osiągnąć może przez to tylko jedno, mianowicie zarzut, że N. K. N. jest za — konserwatywny...

Dyskusya zaś nad tem, czego w N. K. N. jest za dużo —

radykałizmu czy konserwatyzmu, wydaje się nam tak bardzo nie na czasie, że wolimy jej wcale nie podejmować. Jedno bowiem jest tylko pewnem. To mianowicie, że poświęcenia i oddania się całą duszą idei Legionów nie może być w N. K. N. nigdy za — dużo.

Jeżeli jednak dr Biliński z jakichkolwiek powodów odczuwa potrzebę zrekonstruowania N. K. N., to mu w tej sprawie bynajmniej nie należy przeszkadzać. Owszem, N. K. N., który wskutek niezależnych od niego przyczyn odbył pewną ewolucję poza ramy swego aktu konstytucyjnego, przydałoby się może takie odświeżenie, jakie mogłoby mu dać jednak tylko to ciało, z którego — wyszedł — polskie Koło sejmowe.

Dr Biliński w obecnej swojej godności ma możność zwołania tego Koła. Niechaj je zwoła więc, a wtedy zobaczymy, jak się rzeczy ułożą.

M I E C Z „G R U N W A L D Z K I” A G A L I C Y A W S C H O D N I A

25 lutego 1915.

Najbardziej nawet zaślepiiony zwolennik złudzeń rosyjskich musi sobie zadać pytanie, co właściwie znaczy ten szalony rozmach, jaki wzięli Rosyanie w Galicyi wschodniej, przeprowadzając na wszystkich polach brutalną, a niezmiernie pospieszną rusyfikację tego kraju? Wszak wskutek tej rusyfikacji, wyprzedzającej tak bardzo ostateczne ustalenie stanu prawnopaństwowego w tym kraju, który wszakże dotąd wedle prawa ani na chwilę nie przestał należeć do związku państwowego monarchii, narażają się Rosyanie na utratę tych wszystkich — zresztą bardzo wątpliwych — korzyści, jakie im przyniosła i przynieść mogła nagła t. zw. „zmiana“ kursu w polityce polskiej. Rodacy nasi w Królestwie Polskiem wiedzą przecie, co się w Galicyi dzieje, i widzą jasno, jak pod ciosami rusyfikatorów tamtejszych pada jeden za drugim posterunek kul-

tury polskiej, historycznej pracy polskiej w tym kraju. Ogromna część naszego dorobku kulturalno-politycznego ery autonomicznej spoczywa właśnie w tej części naszego kraju. Stosowany dzisiaj w Galicyi system bezwzględnej rusyfikacji grozi całkowitą zaturą tego dorobku. Pocięcha, że furja rusyfikacji zwraca się tam przedewszystkiem przeciw Rusinom, a nie przeciw nam, że tam ruskie a nie polskie książki pali się całymi stosami, że tam ruskich a nie polskich włościan nawracają kozacy na prawosławie — taka pocięcha byłaby bardzo problematyczną. Każdy, kto zna dzieje unifikacyjnej polityki rosyjskiej, od znieważania klasztorów bazylikańskich na Litwie aż po oderwanie Chełmszczyzny — wie, że w przekonaniu Rosyi walka z unią jest tylko wstępem do walki z polskością, że wszelka „obrona“ ludności „rdzennie“ rosyjskiej przed niebezpieczeństwami polonizacji zaczyna się tam zawsze od walki z — unią. Upórwszy się z tym najbardziej dla siebie nienawistnym produktem „rządów polskich“ na Rusi, Rosyane z reguły przystępują do tępienia samej polskości, jak tego najświeższy mieliśmy dowód w Chełmszczyźnie.

Nadzieja więc, że rusyfikacja Galicyi wschodniej ograniczy się wyłącznie do Rusinów i do wykorzenia z nich latynizmu i „mazepiństwa“, czyli ukraińskiego separatyzmu, byłaby wielkiem złudzeniem. Rosyane od pierwszej chwili wzięli taki rozmach w przeistaczaniu Galicyi w kraj „rdzennie rosyjski“, że utrzymawszy się przy niej, z pewnością nie staną w połowie drogi i naszych dóbr narodowych w tym kraju nie uszanują.

Całe szczęście, że drzewa nie rosną do nieba i że dzięki wytrwałości wojsk austriacko-węgierskich „rdzennie rosyjska“ Galicya wschodnia zaczyna znowu wracać powoli tam, gdzie prawem boskiem i ludzkim należy — do Zachodu...

Nasuwa się jednak pytanie, skąd ten pośpiech u rusyfikatorów galicyjskich, skąd ta zaciekłość i brutalność, z jaką dzieło swoje prowadzą, osłabiając przez to swoje atuty polityczne w innym miejscu, budząc podejrzenia nawet u najbardziej olśnionych perspektywami t. zw. „słowiańskimi“?

Rosyane, aczkolwiek w samym prowadzeniu wojny nie oka-

zali imponującej umiejętności, to jednak w urządzaniu politycznych akcesoryów tej wojny dowiedli dużego znawstwa rzeczy i psychiki ludzkiej. Pod tym względem inne państwa jeszcze i dzisiaj mogłyby się od nich bardzo wiele nauczyć... Wymalowanie tego politycznego sztafażu wojny było dziełem żmudnym i trudnym. Nie jest bowiem drobnostką nauczyć kilka milionów żołdatów, nie mających wyobrażenia o stosunkach europejskich, szeregu wyzwolenicznych frazesów, wbić w ich mało pojemne głowy pewne formy postępowania, które przynajmniej w najogólniejszych zarysach istotnie zachowywali. Jeżeli więc wszystkie korzyści tego umiejętnego politycznie postępowania Rosyanie uważają za stosowne rzucić na szalę, o ile chodzi o niesłychanie szybkie tempo rusyfikacji Galicyi wschodniej, to muszą mieć jakieś specjalne i ze swojego punktu widzenia bardzo ważne powody.

Powodów tych może być tylko dwa, równocześnie działających. Pierwszy, to powód wewnętrzny, drugi — zewnętrzny. Sankcyi moralnej dla strasznej wojny dostarcza w Rosyi nacjonalizm i to złudzenie, które potrafił on masom rosyjskim narzucić, że jest obowiązkiem narodu rosyjskiego wyzwolić ostatnie „niewolne“ jeszcze cztery miliony Rusinów, czyli „Rosyan“ galicyjskich z „jezuicko-żydowskiej“ niewoli. Cała działalność nacjonalistycznej prasy rosyjskiej przed wojną szła w tym kierunku, aby w opinii publicznej rosyjskiej utrwalić przekonanie, że Rosyanie galicyjscy padają ofiarą straszliwych prześladowań, że jest hańbą dla plemienia rosyjskiego, skoro spokojnie pozwala na to, aby najbliżsi jego pobratymcy cierpieli tak straszne — męki. Nie było bajki dość niedorzecznej, kłamstwa dość zuchwałego, któregooby nie użyto, jeżeli tylko mogło prowadzić do utrwalenia tego przekonania. Wszakżeż już teraz, podczas wojny, osławiony Mieński-kow w jednym ze swoich artykułów napisał wyraźnie, że władze rosyjskie w Galicyi stwierdziły protokolarnie, iż w kraju tym za rządów austriackich Rosyanie wśród urągowań byli — przybijani do krzyżów...

Proszę teraz przemyśleć konieczne konsekwencye takiej ro-

boty. Jeżeli się przez trzy lata wnawiało we własne społeczeństwo, że jego rodacy cierpią tak straszliwe męczarnie, to wyzwoliwszy ich wreszcie, potrzeba z natury rzeczy rozwinąć jak najenergiczniejszą działalność w sprawie zapobieżenia tym mękom i ulżenia ich skutków. Humanitarna ta czynność w przekonaniu rosyjskiem może być tylko — jak najszybszą rusyfikacją. Skoro cały lud ruski w Galicyi przez tyle lat aż się trząsł z żądy przyjęcia prawosławia, w czem mu tylko Jezuici przeszkadzali — tak brzniały przedwojenne rewelacje rosyjskie — to oczywiście wyzwoliwszy ten lud, potrzeba jak najrychlej zaspokoić to jego straszliwe pragnienie prawosławia... Działa tu więc w pierwszym rzędzie logika kłamstwa, w którym zaawanturowano się tak daleko, że teraz musi się je już traktować jak — szczerą prawdę.

Mimo wysiłków nacyonalistycznych i mimo powodzenia niewątpliwego, które je wieńczy, pozostała w społeczeństwie rosyjskiem jego zasadnicza cecha nietkniętą. A tą cechą zasadniczą jest instynktowna nieufność do rządu, wytworzona jako dziedzictwo całych wieków straszliwego ucisku i nieuczciwości rządzących despotyj. Nawet największy patriota i nacyonalista rosyjski nie jest w stanie zlać się z rządem swojego państwa do tego przynajmniej stopnia, aby mu wierzył po prostu, aby nie odczuwał obawy, że rząd go w jakimś momencie — „poddujeł“ („nabierze“). Rząd rosyjski zna tę nieufność społeczeństwa do siebie i w czasach normalnych odpłaca mu równą monetą.

W czasie wojny jednak nie wystarczy kwitowanie się „bykiem za indyka“. W czasie wojny rząd potrzebuje zaufania społeczeństwa więcej, niż społeczeństwo ufności rządu. Ażeby więc przekonać swoje społeczeństwo, że zwycięstwa, w Galicyi odniesione, są trwałe i że nic nie zdoła zmienić ich skutków, że wyzwolenie braci podkarpackich dokonało się już ostatecznie i nieodwołalnie, że więc olbrzymi wysiłek wojenny narodu rosyjskiego na marne nie poszedł, rząd rosyjski z tak wielką intensywnością i większą jeszcze fanfaronadą przeprowadza rusyfikację Galicyi. Intensywność bowiem tej rusyfikacji, stopień bezczelności, z jaką poczyna sobie czynownictwo moskiewskie w tym obcym dla niego

kraju, ma być w oczach społeczeństwa rosyjskiego miarą pewności odniesionego sukcesu...

Tak wygląda ten wewnętrzny powód tak szybkiej rusyfikacji Galicyi. Powód jej zewnętrzny leży niewątpliwie w chęci stworzenia pewnego faktu dokonanego na czas rokowań pokojowych. W momencie likwidacji wojny rząd rosyjski chce już mieć w Galicyi wschodniej takie stosunki, któreby pozwalały mu powołać się na rdzennie rosyjski charakter tego kraju. Moment ten jest bardzo ważny ze względu na to, że wedle znacznego prawdopodobieństwa zasada narodowościowa przy oczekiwaniem przerysowaniu karty Europy będzie miała większe, niż kiedykolwiek dotychczas znaczenie. Rząd rosyjski ma więc powody do tego, aby tę zasadę narodowościową, mogącą zaważyć na ostatecznym ukształtowaniu losów Galicyi wschodniej, urobić zawczasu wedle swojego fasonu.

Oba te powody sprawiają, że wyzwalenie Galicyi wschodniej z pod „austriackiej tyranii“ odbywa się w tempie błyskawicznym. Ta austriacka „tyrania“, o której tyle pawiła i ciągle pawi prasa rosyjska, ma jednak wielkie polityczne znaczenie specjalnie dla nas. Ten dziwaczny termin, jak gdyby techniczny, „tyranii“ i do tego „austriackiej“, który ustalił się w prasie rosyjskiej, jest czystym eufemizmem. Każdy Moskal wie, że tyranii austriackiej nie było, bo w Galicyi rządy krajem spoczywały w ręku polskim. Jeżeli więc dopuszczały się tyranii wobec tamtejszych „Rosyan“, to była to tyrania nie austriacka, ale — polska. I tak się też dawniej, kiedy jeszcze nie wiedziano, że do miecza grunwaldzkiego przyjdzie tak wcześnie zaapelować, wyraźnie pisało. Ciemniczynią Rosyan galicyjskich była nie austriacka abstrakcja prawno-państwowa, ale polska rzeczywistość. Dzisiaj zmieniono tylko nazwy, ale pogląd pozostał ten sam, mianowicie pogląd, że Galicya wschodnia musi być uwolniona z pod jarzma nie tyle austriackiego ile — polskiego. I to jest, obok wielu innych największy kamień obrazu w polsko-rosyjskiej pseudoidylli. To też gdyby miała spaść na świat cywilizowany ta katastrofa, którą byłoby dla niego zwycięstwo Rosyi, to pierwsze, na czym pry-

snęłaby błyszcząca kolorami słowiańskimi bańka mydlana polskorosyjskiego porozumienia, byłby spór o Galicyę, spór oczywiście przez nas z góry przegrany. Jest to już dzisiaj tak jasne, że nie widzieć tego mogą tylko ślepi od własnego chcenia, a nie od urodzenia, bo wiadomo, że ślepotą zamierzona jest najgorszą ślepotą...

Miecz „grunwaldzki“ Mikołaja Mikołajewicza, zawadziwszy o Galicyę, rozleci się w drzazgi, jak dziecinna szabelka drewniana naiwnej złudy u jednych, a świadomego kłamstwa u drugich. Ale wtedy zapóźno już będzie posypywać głowy popiołem...

P o i n t d e r e v e r i e s !

6 marca 1915.

Są pewne banalne powiedzenia, które jednak mają — nieśmiertelność. Jak gdyby wypowiedziały je kiedyś nie usta ludzkie, lecz samo życie, które też potem poczytuje sobie niejako za obowiązek honoru, aby nigdy nie traciły swej prawdziwości.

W r. 1856 w Belwederze młody wówczas car rosyjski Aleksander II., otoczony aureolą nadziei górnych, które doń przywiązywano, powiedział do deputacyi obywatelskiej: „Point de reveries, messieurs!“ Wszystko, co mój ojciec zrobił, dobrze zrobił. Rządy moje będą dalszym ciągiem jego panowania!

Minęło od dnia wyrzeczenia tych banalnych, naiwnych, ale brutalnie uczciwych słów lat sześćdziesiąt i jeden. Historia polskorosyjskich stosunków zapisała kilkadziesiąt nowych kart. Olbrzymią ich większość zapisała co prawda krwią i łzami. Ale nie da się zaprzeczyć, że były między nimi także i takie, które opromieniały nadzieje. Były reformy Wielopolskiego, było powstanie styczniowe, były krwawe represye i Wieszatiel. Przepłynęły potem długie lat dziesiątki tępego odwetu i idyotycznych prób uczenia matek polskich, rosyjskich — kołysanek. Potem była fala ugody z rządem i carem młodym i — liberalnym. Potem były znowu represye i rozczarowania naiwnych. Potem trzęsła państwem

i głowami febra rewolucyjna, strząsając z podciętego drzewa absolutyzmu rozmaite smakowite owoce — tolerancję, szkolnictwo, równouprawnienie i t. p. — Wszystkie te owoce jednak okazały się rychło zepsutymi i niejadalnymi. Kto ich skosztował, czuł dziwną gorycz w ustach. Wreszcie reakcja uprzątnęła je starannie. W zapale zaś czyścicielskim posunęła się tak daleko, że przez usta ministra w Dumie oświadczyła uroczyście, że nie pozwoli sądownictwa rosyjskiego zaśmieczać Polakami... Okrojono przedstawicielstwo polskie w młodym pseudoparlamencie rosyjskim, wydarto Chełmszczyznę i kolej wiedeńską. A wzamian za to obiecano samorząd miejski i ziemski z językiem państwowym, jako — urzędowym...

Historyczne „Precz z marzeniami!“ panowało niepodzielnie. Czasem tylko brzemień tego panowania stawało się, jak gdyby lżejszem. Ale chwile takie trwały krótko i przemijały bez śladu. Lecz oto wybuchła wojna — największa, jaką prowadziła Rosya w swoich dziejach. Naczelnny wódz rosyjski i właściwy car Wszechrosyi wydał do Polaków manifest z apelem do miecza — grunwaldzkiego, obiecując zjednoczenie ziem polskich pod berłem swojej rodziny i swobodny rozwój w wierze, języku i kulturze...

I znalazło się wielu w narodzie naszym, którzy uwierzyli, że tym razem pięknej melodyi zbratania słowiańskiego i wyzwolenia polskiego nie zmąci już stary akord — „Point de reveries“... A tymczasem ponure dźwięki tego akordu nie zamilkły. Za ledwie skończyli swego „kamarinskiego“ o mieczu grunwaldzkim, gdy ponury dźwięk tego strasznego akordu rozległ się znowu. Słychać go zewsząd. Powtarza się, jak echo w głuchym borze nienawiści starożytnej i niemożności zrozumienia się wzajemnego. A rzekome zwycięstwa oręża rosyjskiego stają się najsilniejszym rezonansem tego akordu. Im bardziej pęcznieje dusza moskiewska dumą tych zwycięstw, tem głośniej dudni tym dźwiękiem: „Precz z marzeniami, panowie!“

Już nie nacyonalistyczna kanalia moskiewska, której nie obcym jest najemny skrytobójca, fałsz niktzemny i potwarz zuchwała,

ale postępowiec rosyjski, ów kwiat kultury rosyjskiej, liberał europejski i europeizujący, coraz częściej szczyrzy zęby tryumfującego azyaty. — Precz z marzeniami! powtarza już nie car samodzierżawny, nie wyznawca troistej zasady nacjonalizmu rosyjskiego, ale postępowiec rosyjski, który do niedawna szczycił się tem jeszcze, że nie ma żadnej ojczyzny, który nie wahał się jeździć po Ameryce z odczytami o okropnościach stosunków rosyjskich, który wolności dla swego narodu oczekiwał tylko po klęsce cara.

Niedawno warszawski „Goniec Wieczorny“ przyniósł za petersburskiem „Utre Rossii“ następujący artykuł:

„Onegdaj grupa postępową rosyjską w Petrogradzie naradzała się nad stosunkami polsko-żydowskimi. Na tem posiedzeniu stwierdzono, że zamierzona wspólna praca postępowców z przedstawicielami Kół polskich w obu naszych ciałach prawodawczych nie da się urzeczywistnić. Zebranych zawiadomiono, że członkowie Koła polskiego uchwalili poniższą samodzielną rezolucję: „Rosyjskim ciałom prawodawczym nie może być przyznane prawo decydowania o przyszłym ustroju Polski. Urządzenie Polski powinno być zatwierdzone na kongresie sprzymierzeńców jeszcze przed zawarciem pokoju“.

Wobec rezolucyi, uchwalonej przez Koło polskie, ustępstw wzajemnych być nie może. Wspólna praca przedstawicieli rosyjskiej myśli postępowej z Polakami z Dumy i Rady państwa może się zacząć dopiero po wyrzeczeniu się przez Polaków swej nieprzyzwoitej rezolucyi.

Panowie Świeżyńscy i Harusewicze, Wielopolscy i Leszczyńscy, którzy w swoim czasie nie wyrzekli się byli zaszczytnych mandatów do ogólnorosyjskiej Dumy i Rady i którzy przez szereg lat pracowali jako wybrani posłowie z Królestwa Polskiego, nagle powstają przeciwko ustanowionym przez nienaruszalne prawa zasadnicze cesarstwa ciałom prawodawczym i żądają wyjęcia sprawy urządzenia przyszłej Polski z pod kompetencji ogólnorosyjskiego przedstawicielstwa narodowego.

Polscy hrabiowie i panowie stawiają „żądanie“, żeby jakiś zupełnie niekompetentny trybunał międzynarodowy („kongres sprzymierzeńców“) stosował „artykuł 87“ w sprawie urządzenia przyszłego ustroju złączonej przez potoki krwi rosyjskiej Polski.

Zostawiamy na razie na stronie nietakt polityczny cytowanej przez nas rezolucyi. Pod względem prawnym podobna rezolucya jest niezgodną z prawem i występłą. Podstawą wszelkiego ustroju konstytucyjnego jest zasada panowania prawa, a ta zasada żąda, żeby żaden akt państwowy, który ma mieć wagę i moc prawa, nie był wydawany bez uchwały Dumy i Rady państwa.

Organizacya państwowa prowincyj, które przyłączone są do cesarstwa, jest naczelnem prawem i naczelnym obowiązkiem państwa. Organizacya przyszłej, połączonej Polski należy wyłącznie do Rosyi.

Formy ustroju przyszłej Polski określone są ściśle w odezwie zwierzchniego wodza naczelnego. Przynęła ona „zatrzeć granice, które dzieliły na części naród polski“ i złączyć „pod berłem cesarza Rosyi“, wolny „pod względem wiary, języka i samorządu“.

Z odezwą zwrócił się do Polaków wódz armii rosyjskiej, nie generałowie Joffre lub French. Ani Francya, ani Anglia nie ma głosu decydującego w tej ogólno-słowiańskiej, rodzinnej (?) sprawie. Przyszłe narady zwycięskich sprzymierzeńców ustalą fakt złączenia Polski. Organizacyą złączonej „pod berłem cesarza rosyjskiego“ Polski żadne „kongresy“ nie mają prawa się zajmować.

W tym tonie o sprawie polskiej pisze organ już nie tylko postępowy, ale wręcz radykalny. Czego wobec tego spodziewać się po rozmaitych partiach konserwatywnych, reakcyjnych i nacjonalistycznych?

Wielki mistrz postępu rosyjskiego, liberalizmu i demokracji europejskiego, przywódca partyi kadeckiej, prof. Milukow, który nieraz już dawał wyraz swojej niechęci do Polski i jej

sprawy, miał niedawno rozmowę w tej sprawie z pewnym dziennikarzem polskim. Rozmowę tę zamieściła „Gazeta Warszawska“, więc źródło pod pewnym względem niepodważane. Milukow w ten sposób określił stanowisko swojej partii w sprawie polskiej:

„W gruncie rzeczy nie przychyłamy się do krańcowych rozstrzygnięć sprawy polskiej. Według naszego zdania, sprawa polska i jej zrealizowanie powinno przejść przez rosyjskie instytucje prawodawcze i rozstrzygnąć się — pośrodku.“

Jakiego zaś poparcia mogą się Polacy spodziewać ze strony kadetów wówczas, gdy rząd i Duma będą według własnego uznania „urządzali“ autonomię Polski i wedle recepty Milukowa „pośrodku“ rozstrzygali sprawę polską, o tem wnioskować można z następującego przypuszczenia Milukowa:

„Mamy nadzieję, że po wojnie w Rosyi ożywi się myśl postępową i według naszego zdania, nasza wtedy pomoc będzie miała znaczenie, a Rosya zajmie wobec Polski stanowisko dobre i trwałe.“

Nieprawdaz, jak wyraźnie poza temi wszystkimi przypuszczeniami, nadziejami i wrażeniami postępowców rosyjskich brzmi stare, tak dobrze nam znane „Precz z marzeniami!“ Różnica polega tylko na tem, że kiedy dawniej mówił to jeno młody car, a zanim powtarzali jego słudzy, podczas gdy naród rosyjski nic nie mówił, dzisiaj przedstawiciele rozmaitych warstw tego narodu powtarzają to samo, mniej lub więcej szczerze, ale zawsze dość wyraźnie, aby naprawdę wyrzec się marzeń.

Nie było chyba przykładu w dziejach, aby część narodu, której tak uporczywie przez tyle lat powtarzają ze wszystkich stron — „precz z marzeniami“, mimo to marzyła dalej i gniewała się srodze jeszcze, jeżeli inni nie marzą i nie chcą marzyć...

K Ł O P O T Y Z O R Y E N T A C Y A

10 marca 1915.

Tem, co w manifeście generalissimusa rosyjskiego najbardziej zafrapowało opinię publiczną zaboru rosyjskiego, część jej pewną rzeczywiście pozyskując dla Rosyi, była szumna obietnica „złączenia wszystkich ziem polskich“. Rozumiało się przez to powszechnie przyłączenie do przyszłej autonomicznej Polski Poznańskiego, Prus wschodnich i Gdańska.

Argument tych „przyłączeń“ był najsilniejszym w całym systemie myślowym orientacji t. zw. „rosyjskiej“.

(Skreślone przez cenzurę).

Ale od ogłoszenia słynnego manifestu „zwierzchniego wodza naczelnego“ armii rosyjskiej, jak tautologicznie brzmi oficjalny tytuł Mikołaja Mikołajewicza, upłynęło już z górą pół roku. W ciągu tego czasu armia rosyjska nie tylko nie zbliżyła się do Gdańska i Poznania, lecz owszem oddaliła się od nich bardzo znacznie. Próba owładnięcia Prus wschodnich skończyła się dla oręża rosyjskiego po dwakroć druzgocącą klęską. Podejść do Gdańska i Torunia nawet nie próbowano. W drodze zaś do Poznania, zawrócono pod Łodzią i Łowiczem.

Spółeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim, mimo niesłabnącej orgii kłamstw i przekreżeń, która pod egidą rządu rosyjskiego bez przerwy odbywa się w Rosyi, widzi jednak coraz wyraźniej, że gdańsko-poznańskie obietnice generalissimusa rosyjskiego były — gruszkami na wierzbie. Równocześnie przed oczyma tego społeczeństwa rysuje się coraz wyraźniej właściwa misja oswobodzicieli rosyjskich w Galicyi, która w ciągu niedługiego czasu od zajęcia Lwowa przeistoczyła się z „oswobodzania“ w — eksterminację żywiołu polskiego i katolickiego we wschodniej Galicyi...

Podczas gdy „ideologia“ polska wszystkich politycznych obozów rosyjskich staje się coraz mętniejszą i niejaśniejszą, równocześnie

ideologia „odzyskania Galicyi wschodniej dla rosyjskości“ i ostatecznego „ustalenia granicy zachodniej plemienia rosyjskiego“ zyskuje na złowroziej wyrazistości.

Niedawno „Nowoje Wremia“, w tej sprawie niewątpliwie najbardziej kompetentny tłumacz intencji rządu rosyjskiego, w taki jasny sposób określiło „etnograficzne“ zasady rusyfikowania Galicyi i ustalenia owej zachodniej granicy plemienia rosyjskiego:

„Za podstawy ustalenia narodowości rosyjskiej w „Przykarpackiej Rosyi“ przyjęte zostały następujące dane:

1. Wiara prawosławna (naogół na Bukowinie i poszczególne gminy w Galicyi).

2. Wschodni obrządek kościoła unickiego.

3. Miejscowy ruski język potoczny tej części ludności wschodnio-galicyjskiej, która oficjalnie należy do Kościoła rzymskokatolickiego.

4. Świadomość (!) przynależności do „starej wiary“ (o—lic) wśród zmadyaryzowanej ludności północnych Węgrów i określenie „orosz“.

Przy zastosowaniu tych kryteriów rosyjskości, należy uznać za rosyjskie wszystkie te wsie na zachód od Sanu, w których ludność już wprawdzie mówi po polsku, ale jeszcze modli się po „rosyjsku“, a także i te wsie w komitatach Preszów, Szaros, Obanj-Torna, Zemplin, których ludność oficjalnie zaliczono do słowackiej, dalej tam wszędzie, gdzie dzięki wschodniemu obrządkowi, świadomość narodowej wspólności z plemieniem rosyjskiem jeszcze nie zanikła, wreszcie także tych wszystkich Węgrów w komitatach Marmarosz i Bereg, u których poczucie przynależności do „starej wiary“ i do rosyjskiego (orosz) plemienia jeszcze istnieje. Na tych zasadach zachodnia granica rosyjskiego plemienia, wychodząc z gubernii chełmskiej, biegnęłaby wzdłuż Sanu i Wisłoki aż do źródeł Dunajca (!!), poczem przekroczywszy Karpaty, wzdłuż działu wód między dopływem Dunaju, Wagiem, a zachodnimi dopływami Cisy. Południową granicę rosyjskiego plemienia stanowić powinna górna Cisa

aż do miasta Tokaj, a wschodnią źródła rzeki Wyszewy, wpadającej do Cisy.“

Dla nas, którzy, nie ulegając ani na chwilę urokowi śmiesznych obietnic Mikołaja Mikołajewicza, rozumieliśmy zawsze dobrze, czego „plemię polskie“ może oczekiwać dla siebie po zwycięstwie „plemienia rosyjskiego“, to półoficyalne zakreślenie zachodnich i południowych granic „rdzennej Rosyi“ niespodzianki żadnej nie stanowi. Już z kierunku, w którym przed wojną szła płatna agitacja rosyjska i propaganda prawosławna, było łatwym do wywnioskowania, że rząd rosyjski jeszcze źródła Dunajca uważa za „rdzennie rosyjskie“. Piękna ta nasza rzeka, zdaniem etnografów carskich, dopiero w średnim swym biegu sprzeniewierza się „rosyjskości“ i prawosławiu i staje się „polsko-łacińską“. Co prawda o tem, aby Tokaj i jego przednie wino należały do plemienia rosyjskiego, nie wiedzieliśmy i my także. Ale ostatecznie trudno wszystko wiedzieć. A już zupełnie jest niemożliwym wiedzieć, jak daleko sięgać będą apetyty „plemienia rosyjskiego“, gdyby okazało się ono ostatecznie zwyciężskim... Widocznie Rosyanie nie chcą już zadowolniać się rdzennie rosyjskimi „winami“ z Kaukazu i Krymu, ale zwycięstwo swego oręża pragną skropić rdzennie rosyjskim nektarem z — Tokaju.

Etnograficzne wiadomości nacyonalistów petersburskich nie są jednak kompletne. Zdają się nie wiedzieć, że w Banacie, w południowych Węgrzech, istnieją dość liczne ruskie, czyli, jak chcą nasi przyjaciele — „ukraińskie“ kolonie. Gdyby bowiem o tem wiedzieli, granica południowa plemienia rosyjskiego przeleciałaby w mgnieniu oka aż do — Orsowy i nad Sawę, ku przyjemnemu zdumieniu pupilów serbskich... Ale może jeszcze i do tego przyjdzie...

Opinia publiczna w Królestwie przysłuchuje się tym wywodom i przypatruje tym rządóm, które w myśl owych wywodów sprawują Rosyanie w „oswobodzonej“ Galicyi. I powoli spadają tam z polskich oczu łuski obietnic Mikołajewskich i agitacji szalonej a niewybrednej w środkach. Widzą tam, że zamiast, by zwycięskie wojska jego mości cara-„gwaranta“ biwakowały

w Gdańsku i Poznaniu, wojska niemieckie biją się pod Grodnem, gdy równocześnie narodowe apetyty rosyjskie dosięgły już źródeł Dunajca, zagarnęły dla siebie Wisłokę i całe Karpaty...

Nawet najgłupszy zwolennik orientacji wschodniej musi, widząc i słysząc to wszystko, zacząć rozumieć, że coś tam w tej orientacji szwankuje i (Skreślone przez cenzurę.)

chyba zupełnie pozbawioną jest sensu... A przekonanie to musi się utrwać tym bardziej, że podczas gdy nacyonalisci rosyjscy dochodzą już do kresów chciwości i zaborczości narodowej, równocześnie liberali rosyjscy, ci rzecznicy sprawiedliwości narodowościowej, oświadczają przez usta swego wodza Milukowa, że sprawa polska może być załatwiona tylko — „po środku...”

Tak więc ta sama Rosya, która część społeczeństwa naszego w Królestwie nabawiła choroby — wschodniej, leczy je coraz skuteczniej z tego choróbska tak, że niebawem nawet najciężej chorzy wyzdrowieją zupełnie.

P R Ó Ż N E U S I Ł O W A N I A

12 marca 1915.

Twórcy i zwolennicy orientacji rosyjskiej odważyli się na wiele. Na jedno tylko nie mogli się odważyć: na poparcie czy-nem swojej teorii, na przypieczętowanie krwią polską słuszności swoich przekonań. Ponieważ zaś na wojnie, jak na wojnie, tylko krew jest argumentem przekonującym ostatecznie, dlatego w nie tyle dumnej, ile zuchwałej budowli w stylu rosyjskim, brakowało najważniejszej rzeczy — rzeczywistego materiału faktów. Były słowa, filozofie, więcej jeszcze było piany i żółci, zupełnie niepotrzebnie wylewanej w stronę tych, którzy nie chcieli wierzyć w petersburskie obietnice. Ale nie było faktów. Po „A” ani rusz nie chciało nastąpić „B”. Powstała więc luka, której zapełnienie stało się powoli przedmiotem inicjatywy jednostek i to nie zawsze najprzedniejszych. Snarski, Matuszewski, Górczyński stawali ko-

lejno w tym wyłomie, aby go wypełnić własną inicjatywą, energią i — ideologią... Co czas jakiś, od sierpnia poczynając, słyszało się, że „Legiony“ polskie po stronie rosyjskiej już powstają, już się robią. Dochodziły nas nawet rozmaite odezwy, których ton wprawdzie i treść mogły smutnego rozweselić, wesołego zaś zasmucić, które jednak drukowano, rozpowszechniano, plakowano, powtarzano i komentowano.

Na szczęście za każdym razem gryzący ten dym rozwiewał się, swąd ulatniał, a ognia nie było. Prywatni przedsiębiorcy czynnego rusofilstwa bankrutowali jeden po drugim, wyśmiewani i odtrącani pogardliwie przez społeczeństwo, które znosiło wiele, ale Legionu rosyjskiego znieść już nie mogło.

Aż po sześciu miesiącach wojny huknęła nagle największa kolubryna. Oto t. zw. „komitet narodowy“, który z fragmentów dwóch stronnictw zawiązał się w grudniu w Warszawie i sam wystąpił z inicjatywą formowania „Legionów“. Komitet narodowy, uformowawszy się, zamilkł. Czas jakiś jeszcze trwały w prasie warszawskiej spory o jednostronny skład tego komitetu, ale i one umilkły, ponieważ sam komitet tak dalece nie dawał znaku życia o sobie, że przestano się nim interesować. Aby ożywić swą reputację, uciekł się komitet do wypróbowanego na zgromadzeniach przedwyborczych środka zamówionej i starannie przygotowanej — interpelacji. Jeden z organów komitetu rzucił pewnego dnia skromne pytanie, co się właściwie z komitetem dzieje, drugi zaś pospieszył z równie skromną odpowiedzią, że komitet zajęty jest wysokimi kwestyami dyplomatyczno-politycznymi i dlatego tak zawzięcie milczy. Niebawem wreszcie przemówił także i sam komitet, obwieszczając w lakonicznej odezwie, że w porozumieniu z komendą armii generała Iwanowa, a z upoważnienia naczelnego wodza przystępuje do organizowania Legionów polskich, jako odrębnych formacji ochotniczych, które mają być wcielone do armii rosyjskiej w charakterze pospolitego ruszenia. Komendę nad temi formacjami obejmują oficerowie Polacy, językiem urzędowym jest język polski. Legion otrzymuje osobne umundurowanie, wzorowane na mundurach z r. 1831 i własną sztandar.

Mimo całej sensacyjności tej informacji, potrzeba podnieść, że ogromna większość prasy przyjęła ją z niedowierzaniem i nietajonym sceptycyzmem. Tylko jedna „Gazeta Warszawska“ uznała ten fakt za bardzo ważny i wiele obiecujący. Za nią zaś, w właściwym sobie tonie powtórzyła to samo „Dwugroszówka“. Inne dzienniki powitały formowanie Legionów znacznie chłodniej i krytyczniej, albo przeczuwając niemożliwość zrobienia czegokolwiek porządnego za pozwoleniem rządu rosyjskiego, albo też znając pewne zakulisowe historie...

Jakoż już w tydzień po rozpoczęciu werbunku do tych „Legionów“ zainteresowanie do nich zaczęło słabnąć tak bardzo, że dziennik tak wrażliwy na aktualność, jak „Kuryer Warszawski“, zaczął ograniczać się tylko do krótkich reporterskich notatek o postępach werbunku i nielicznych darach, które na cel „Legionów“ płynęły.

Legiony jednak tworzyły się istotnie, ponieważ z jednej strony przeniesiono do nich pewną część już służących w wojsku żołnierzy, z drugiej zaś rozpoczęto właśnie nowy pobór pospolitego ruszenia, wskutek czego pewna liczba popisowych wołała zgłosić się do Legionu. Wtem nagle runęła druga wieść, niemniej sensacyjna, niż pierwsza: oto rząd „wyjaśnił“, że Legiony nie są Legionami, ale drużynami, że więc inicjały na epoletach mają składać się z liter nie L. P., ale z D. P., które to litery w alfabecie rosyjskim czytają się jak D. R. — „drużyna rosyjska“, co więcej, że komenda ma być — rosyjska. Szczytem zaś protekcji rosyjskiej, pod której dobroczynną osłoną miała wybijać piękna roślina tych „Legionów“, było postanowienie przeznaczenia Legionowi najbardziej zaszczytnego miejsca dla chrztu bojowego w walce z odwiecznym wrogiem chrześcijaństwa, z którym tak długo i tak chwalebnie bijali się Polacy — z Turkami na Kaukazie. Pod wpływem tych wszystkich łask i przywilejów moskiewskich, Legion zaczął gwałtownie topnieć, w coraz szybszym tempie przemieniając się w farsę. I tu rozegrały się wypadki, które wczoraj opisał nam komunikat Biura prasowego N. K. N. „Legiony polskie“ po stronie rosyjskiej zostały zlikwidowane. Wer-

bunek do nich wstrzymano, a szerokie sfery społeczeństwa naszego w zaborze rosyjskim przekonały się raz jeszcze, że nawet najdalej poza granice godności narodowej i zdrowego rozumu posunięta usłużność wobec rządu rosyjskiego niektórych żywiołów polskich, nie obudzi w tym rządzie tyle przynajmniej do Polaków ufności, ile jej potrzeba, aby na tle wielomilionowej armii rosyjskiej pozwolić na istnienie kilku, czy kilkunastotysięcznego wojska z polską komendą...

Głęboka nieufność do Polaków, żywiołowa niechęć do nich rządu rosyjskiego, okazuje się w ostatniej instancji zawsze silniejszą, niż nawet rozumiany już prawie własny interes polityczny, niż mocno już odczuwana potrzeba zrobienia „bluffu“ polskiego przed sojusznikami. Jeżeli zaś tak bardzo boi się Rosya — „Legionów polskich“, to jakimże strachem napełniłaby ją — ta autonomia zjednoczonych ziem polskich, na której zwolennicy wschodniej orientacji tak chętnie jeżdżą?

O S Z C Z E R S T W U W O D P O W I E D Z I

16 marca 1915.

Obok olbrzymich ofiar, które na ołtarzu tej wojny naród nasz złożył z ciężących na nim obowiązków państwowych i dobrowolnie, obok straszliwego spustoszenia, któremu ziemie polskie, od jezior Mazurskich po Karpaty uległy, nie oszczędziła nam ludzka głupota, a jeszcze więcej zła wiara i zła wola także i — upokorzeń nieznośnych.

Wskutek rozmaitych okoliczności, na których dokładniejsze omówienie czas jeszcze nie przyszedł, stało się, że im dalej w głąb Galicyi zapuszczali Rosyanie swe zagony, tem silniej w nieprzychylnych nam sferach ugruntowała się opinia o Polakach, jako — o zdrajcach...

Nieznamość całkowita elementarnych faktów o naszych stonkach krajowych, najopaczniejsze o nim wyobrażenia, które stale pielęgnuje syta, zadowolona i bezpiecznie czująca się —

ignorancya, splotły się tu z tą typową niechęcią do nieznanego i dalekiego, które nagle przybliży się i zmusza do poznawania siebie.

Powstał stąd grunt bardzo rodzajny dla wszelkiej plotki i wszelkiego oszczerstwa. Przyjaciele nasi wszelkiego rodzaju i wszelkiej kondycyi nie zaniedbali oczywiście hojnie tego gruntu — obsiać.

Doszło do tego, że publicysta berliński, Harden, ośmielił się bryznąć w oczy całemu ogółowi urzędników polskich w naszym kraju haniebnem oszczerstwem, jakoby w jednym tylko sądzie w Gracu toczyły się dochodzenia o zdradę przeciw — siedmiuset polskim urzędnikom!

A kiedy prezes Naczelnego Komitetu Narodowego w należytym zrozumieniu ciężkiego obowiązku obrony imienia polskiego nawet wtedy, gdyby ta obrona zmuszała go zniżyć się do wszelkiej — „hardenalii“, zwrócił się do Hardena z publicznem wezwaniem o dostarczenie dowodów na jego oszczercze twierdzenia, ten poufnik Bismarcka odpowiedział z jeszcze większą czelnością, odślaniając całe wnętrze swego moralnego aparatu. Z miną człowieka, który zawsze mówi tylko tysiączną część tego, co zna, powołał się na broszurę Łożyńskiego... Świadczył się cygan swojemi dziećmi...

I aczkolwiek przez tę odpowiedź swoją Harden sam stanął poza obrębem dyskusyi, to jednak rzucone przezeń niesłychane oszczerstwo, merytorycznie nie odparte, byłoby pozostało i działało w myśl znanego przysłowia: „calumniare audacter“...

Na szczęście najwyższy organ rządu krajowego, cesarsko-królewski namiestnik galicyjski, znalazł znakomity sposób także i merytorycznego odparcia nikczemnych kalumnij. — Urzędowa „Gazeta Lwowska“ ogłosiła onegdaj szereg oficjalnych oświadczeń wszystkich władz i urzędów galicyjskich, w których zgodnie stwierdzono, że wyjąwszy kilku wypadków, wskutek złośliwych denuncyacyj wdrożonych, ale dla braku jakiegokolwiek istoty czynu natychmiast umorzonych dochodzeń, przeciw żadnemu urzędnikowi narodowości polskiej w Galicyi nie

toczyły się i nie toczą żadne śledztwa w kierunku zdrady jakiegokolwiek rodzaju lub szpiegostwa.

Nie tylko bezpośrednio oszczerstwami bezecnemi dotknięci urzędnicy polscy, ale cały ogół polski, zarówno w tym kraju, jak poza jego granicami musiał odczuć żywą wdzięczność dla ekscelencyi namiestnika Korytowskiego za to tak stanowcze i tak skuteczne wystąpienie w obronie godności i honoru polskiego urzędnika i polskiego społeczeństwa.

Można Polakom zarzucać co się chce, ale narodowi, który krwią swą zrosił całą Europę od gorących skał Saragossy po śnieżne pola Moskwy, który przez setki lat osłaniał tę Europę przed nawałnicą turecką, a dzisiaj niczego innego nie pragnie, jak aby mu zwrócono prawo osłaniania tej Europy przed nawałnicą rosyjską — takiemu narodowi wiarołomstwa i zdrady zarzucać nie można i nie wolno. Naród, który jak bohatera swego jednego z największych czci wodza, który prócz honoru stracił wszystko; — naród, który w dzisiejszem swem strasznem położeniu zdobył się na lwie zastępy Legionistów polskich i który na ich czele postawił Piłsudskiego; — taki naród jest organicznie niezdolnym do zdrady, już choćby dlatego, że do zdrady należy pewna — „ścisłość w rachunkach“, a my, jako żywo, nigdyśmy tej ścisłości nie mieli...

Każdy Polak zna na tyle swoją polską naturę, aby o niemożliwości t. zw. „polskiej zdrady“ mógł być głębiej przekonany, niż o tem, że noc następuje po dniu. Ale niestety są społeczeństwa, są w nich słuchani ludzie, którzy tysiącletnią historię dwudziestomilionowego narodu w środkowej Europie uważają za stosowne ignorować, którzy nie uważają za despekt dla siebie być w rzeczach polskich ciemnymi, jak wewnątrz koziego rogu, a równocześnie złymi, jak tygrysy...

Mój Boże — urzędnik polski w Galicyi zdrajcą! Ten urzędnik, któremu jeżeli co, to zbyt czyny nadmiar naiwnej często usilności można było zarzucić, ten urzędnik, który latami całemi gnieździł się po rozmaitych norach niegodnych ludzkiej w nich obecności,

aby tylko rządowi przysporzyć oszczędności, za które w innych „praktyczniejszych“ krajach stawiały sobie inne, takie same urzędy, wspaniałe pałace... Każdy kto zna „gmachy“ sądowe w naszym kraju od krakowskiego poczynając, kto odbywał wędrówki po ciemnych, wilgotnych korytarzach słynnej lwowskiej Dyrekcyi skarbu, kto pół godziny spędził w głównym urzędzie cłowym stolicy kraju, ten chyba potrafi ocenić, do jakiego samozaparcia się dojść nmiął polski urzędnik w Galicyi...

Piszący te słowa miał we Lwowie kuzyna, który jako młody urzędnik, wracając wieczorem z teatru, odsadzał się od rozbawionego towarzystwa, zbaczał z drogi, bo „musiał — jak twierdził — zobaczyć, czy okna w jego biurze dobrze pozamykane...“ A skarby, które tam przechowywał, to były fascykuły jakichś rekursów, bluzka urzędowa i kilka starych cygarniczek...

Takim był i jest urzędnik polski. I takim zastała go wojna. My — nieumundurowana część społeczeństwa z zazdrością po prostu patrzyliśmy nieraz na tych urzędników, myśląc, coby to można dla własnego narodu zrobić, gdyby połowę przynajmniej tej usilności naszego polskiego urzędnika na jego własne cele obrócić!...

Aż tu nagle zarzut zdrady! I to ze strony tych, którzy, gnębiąc nas i krzywdząc, powinni chyba znać naturę swoich ofiar. Na początku wojny „Times“ londyńskie, zapisując fakt utworzenia w Galicyi Legionów polskich, ze zdumieniem podniosły, że na tych Legionach widać najlepiej, czem mogą Polacy być dla tego, kto w skromnym chociażby zakresie szanuje ich prawa narodowe!... Oto z nad Tamizy widziało się rozmaite, jasne jak słońce, rzeczy o wiele wyraźniej, niż widziano je z nad Szprewy i innych jeszcze bliżej Polski płynących rzek...

Dobrze więc, że najwyższy przedstawiciel polskiego urzędnictwa w tem państwie powiedział swoje słowo dobitnie i wyraźnie. Uczciwi usłyszają je. Nieuczciwych my słuchać nie mamy najmniejszego powodu.

WĘGRY A POLSKA

30 marca 1915.

Przysłuchując się rozmaitym głosom, które ze wszystkich niemal stron zarówno wojującej, jak neutralnej Europy podnoszą się w sprawie polskiej, nie możemy się skarżyć zbyt na ogólny brak zrozumienia i ocenienia tego znaczenia, które dla Europy posiada sprawa polska. Od Petersburga po Londyn i od Sztokholmu po Rzym, wszyscy przyznają dzisiaj, że straszna wojna, tocząca się na ziemiach polskich w najważniejszej swej i najbardziej decydującej części, wskrzesiła również i sprawę polską w całej rozciągłości jej olbrzymiego międzynarodowego znaczenia. Będzie zadaniem przyszłych historyków zbadać, ile w tem bezsprzecznym zainteresowaniu ogólnem sprawą polską własnego interesu poszczególnych mocarstw i państw, ile prostej konsekwencji tego faktu, że polskie nasze ziemie okazały się w obecnej wojnie terenem strategicznie i politycznie tak niesłychanie ważnym, ile wreszcie tego szczególnego wpływu, który na umysły i uczucia narodów europejskich i ich rządów wyrzucić musiał fakt tych dobrowolnych heroicznym ofiar, jakie naród nasz, półtorawiekową niewolą znękany, z dorobku swej tysiącletniej historii w znacznej części odarty, w trzy walczące armie wtłoczony, jeszcze zdążył rzucić na szalę losów dziejowych w postaci okrywających się coraz większą sławą bezprzykładnego bohaterstwa — Legionów polskich. Niewątpliwie działają tu wszystkie te trzy czynniki w stosunku, który zbyt jeszcze jest zmiennym, aby się można było kusić o jego bliższe oznaczenie.

Z pośród narodów, które w taki lub inny sposób objawiły żywe zainteresowanie się sprawą polską, zachowaniem się swoim wobec nas i enuncyacyami, wychodzącymi z ust ich przewodców oficjalnych, moralnych i umysłowych, na pierwsze miejsce wybiły się — Węgry. Co prawda, naród węgierski miał też w tej wojnie najbardziej bezpośredni powód do zainteresowania się ideą odrodzenia Polski, bo wszakże najbardziej ofiarne przedstawiciel-

stwo tej idei — drugi i trzeci pułk Legionów naszych, rozpoczęły swą czynność od oswabadzania nie Polski, ale — Węgier od rosyjskiego najazdu... Wielka liczba Węgrów miała sposobność własnymi oczyma przyrzeć się tym lwim polskim drużynom, które wprost z wagonów kolejowych uderzyły na wspólnego nam wroga, pędząc go z niepowstrzymaną furją przed sobą ku północy. Bezpośredniość wrażenia działalności tych naszych lwiat polskich jest też u Węgrzech największą, większą nawet, niż w samym Królestwie Polskiem, w którem Legiony nasze niestety nie miały dotąd takiej sposobności działać, jakaby się im z natury rzeczy należeć powinna.

Drugi i trzeci pułk naszych Legionów wskrzesiły tedy tradycyjne braterstwo broni polskiej z węgierską. Fakt ten został na Węgrzech chętnie i bez zastrzeżeń uznany wraz ze wszelkimi konsekwencyami, które zeń wynikają. Wiemy o tem zupełnie pozytywnie ze słów odpowiedzialnych kierowników polityki węgierskiej, jak również z zachowania się szerokich sfer społeczeństwa węgierskiego.

Tradycja wolności, a jeżeli nie wspólności w znaczeniu zupełnie dosłownem, to w każdym razie — równoległości interesów politycznych polsko-węgierskich, jest na Węgrzech równie starą, jak tradycja naszego braterstwa broni. Ażeby nie cofać się zbyt daleko w głąb dziejów, wystarczy wskazać na hr. Andrassy'ego, który jako minister spraw zagranicznych monarchii, budował cały system swej polityki antyrosyjskiej na Polsce i na jej naturalnem znaczeniu w godzinie porachunku między Rosją i Austro-Węgrami.

Jasne zrozumienie własnej sytuacji politycznej, wytworzonej w pierwszym rządzie przez niezmiennie warunki geograficzne, kazało zawsze i każe Węgom upatrywać w Polsce najskuteczniejszą zasłonę ich samych przed kolosem rosyjskim. Nigdy też politycy węgierscy nie taili się z poglądem, że ich własny, najżywotniejszy interes bezpieczeństwa od północy, wymaga załatwienia sprawy polskiej w duchu naszych dążeń narodowych.

Pod wpływem toczącej się wojny, to, co wczoraj było jeszcze

tylko teorią, dedukcją, przewidywaniem, stało się faktem. Dzisiaj empirycznie już przekonali się Węgrzy, co znaczyłaby dla ich bezpieczeństwa dość wielka i dość silna Polska, jeżeli już sama Galicya okazała się tak skuteczną zasłoną dla nich, że oto już ośm blisko miesięcy ochrania je od bezpośredniego zetknięcia się z — nawałą rosyjską...

Nic też dziwnego, że dzisiaj na Węgrzech mnożą się objawy gorącej sympatii dla Polski i Polaków, że Rada miasta Budapesztu urządza demonstracyjne posiedzenia na cześć Legionów polskich, że młodzież budapeszteńska demonstruje w tym samym celu, że wreszcie odpowiedzialni politycy węgierscy prześcigają się po prostu w uprzejmościach i w coraz bardziej precyzyjnym określaniu swojego życzliwego stanowiska wobec sprawy polskiej.

W ciągu bieżącego miesiąca znany przywódca opozycji węgierskiej, były minister spraw wewnętrznych hr. Juliusz Andrassy, wygłosił w miastach węgierskich cykl odczytów wojennych na temat zadań narodowych węgierskich w obecnej wojnie. Jeden z tych odczytów, wygłoszony w dniu 10 b. m. w Budapeszcie, poświęcił szanowny prelegent w znacznej części stosunkowi Węgier do Polski. Wyjmujemy najważniejsze ustępy z tego znamienego odczytu:

„Gdyby społeczeństwo polskie w Rosji — mówił hr. Andrassy — wzięło czynny udział w naszej walce z Rosją, byłoby oczywiście naszym obowiązkiem moralnym uczynić wszystko, aby Polskę od najazdu rosyjskiego uwolnić. Ale jeżeli nawet Polacy w Rosji tego nie uczynią, to i wówczas jeszcze zarówno nasz własny interes, jak i poczucie prostej sprawiedliwości, nakażą nam uwzględnić te ciosy i te cierpienia, które naród polski musiał znieść w przeszłości ze strony Austrii i Prus. Potrzeba zrozumieć, że naród ten w dzisiejszym swoim stanie okaleczenia nie może zdobyć się na większe wysiłki heroiczne, i nie powinniśmy zapominać, że zarówno sprawiedliwość, jak nasz własny interes nakazują nam starać się o poprawienie losu tego narodu.

„Za wyzwoleniem Polski z pod panowania rosyjskiego

przemawiają przede wszystkim względy strategiczne. Linia graniczna, któraby biegła przez wielkie poleskie bagna, dałaby się o wiele łatwiej bronić, niż obecna nasza granica z Rosyą, równocześnie zaś byłaby o wiele krótszą. Gdyby Rosya straciła Polskę, to równocześnie stępiłby się ten klin, którym wbija się Rosya ku Zachodowi, zagrażając równocześnie Berlinowi, Wiedniowi i Budapesztowi. Odepchnięcie Rosyi wstecz ku Wschodowi poprawiłoby nie tylko nasze strategiczne położenie, lecz także wstrząsnęłoby podstawami sojuszu francusko-rosyjskiego. Skoro bowiem okazuje się, że Rosya nawet oparta o Warszawę, nie może jednak mimo to pospieszyć Francyi z dość skuteczną pomocą, to od Rosyi odepchniętej jeszcze dalej ku Wschodowi nie mogłaby Francya już wogóle niczego oczekiwać.

„Naród polski stałby się zarazem żywą siłą w służbie Europy środkowej przeciw Wschodowi. Nie obawiam się także, aby Rosya przez stratę Polski została zepchniętą na drogę polityki rewanżu. Francya nie mogła zapomnieć Alzacyi i Lotaryngii, ponieważ ludność tych krajów była francuską lub przynajmniej w części swoje sympatye dla Francyi zachowała. Austria natomiast pogodziła się bez trudności ze stratą swoich prowincyj włoskich, ponieważ widziała, że ludność ich nie ma ochoty wracać pod jej panowanie i okazuje zadowolenie z nowej swej sytuacji. Także i Rosya mogłaby zyskać w Polsce podstawy do polityki rewanżu tylko w takim razie, gdybyśmy nie zdołali stworzyć dla Polski sytuacji korzystniejszej, niż obecna, gdyby więc w takim razie Polacy zaczęli tęsknić do powrotu pod panowanie rosyjskie. Tego jednak obawiać się niema powodu.“

W taki sposób zapatruje się na sprawę polską jeden z najwybitniejszych polityków węgierskich, który aczkolwiek dzisiaj znajduje się w opozycji, to jednak na politykę swego kraju wpływ wywiera bardzo znaczny, zresztą przy pierwszej sposobności sam może ster spraw w swe ręce ująć.

Głósów też takich, jak powyższy, nasza opinia publiczna nie może i nie powinna przyjmować obojętnie i w milczeniu, bo zna-

czyłoby to, że nie umiemy należycie ocenić tego, co może nam dać sympatyja innych, szczęśliwszych od nas narodów i wytworzona przez wypadki konjunktura. Specyjalnie głos tak wybitnego Węgry, o którym wiemy, że z opiniami swojemi w sprawie polskiej nie jest w społeczeństwie swoim bynajmniej odosobniony, należy nam przyjąć do wiadomości jako jeden z dodatnich dla naszej sprawy czynników. Naród węgierski może też być pewnym, że w rachubach swoich i rozważaniach co do wyzwolonej z jarzma rosyjskiego Polski nie zawiedzie się nigdy, i że w Polsce jego życzliwe dla nas uczucia znajdują zawsze szczerą i serdeczną wzajemność. Nie mamy sobie wzajemnie nic do odebrania. Jesteśmy tą szczęśliwą parą sąsiadów, która w ciągu całych wieków nie miała sposobności napoić się wzajemnymi ku sobie urazami i niechęcią. Nic więc nie stoi na przeszkodzie rozwojowi serdecznej przyjaźni obu narodów tem bardziej, kiedy nakazuje ją nie tylko stara wypróbowana tradycja, ale także i najbardziej żywotny interes, dzisiaj silniejszy, niż kiedykolwiek dotychczas.

W I S Ł A I D U N A J

31 marca 1915.

Wojna nie tylko przemienia wartości. Ona je także odnawia, wydobywa z pyłu zapomnienia i rumieńcem świeżego życia okrasza. Co w obu kierunkach tego oddziaływania swojego uczyni obecna wojna, trudno przewidzieć, tak olbrzymimi są i będą jej skutki. Nie mniej jednak już dzisiaj można niektóre z nich stwierdzić. W naszych oczach powstały one i rosną.

Do tych należy wskrzeszenie kwestyi polskiej. Od czasu słynnej interwencji trzech mocarstw w sprawie polskiej podczas powstania styczniowego, sprawa ta spoczywała. Dyplomacya europejska rychło przyzwyczała się do myśli, która jej była najwygodniejszą, do myśli, że kwestyi polskiej już niema, że na przestrzeni między Wartą a Bugiem nie istnieje już nic,

coby mózgi dyplomatów europejskich przez sam fakt swego bytu zmusić mogło jeszcze kiedykolwiek do ponownych — natężeń...

Wojna obecna rozbiła tę konwencję niepisaną, która siłą nie tyle faktów, ile przyzwyczajęń wytworzyła się na giełdzie europejskiej polityki międzynarodowej, na której przestano już znać zupełnie — polskie papiery. Wojna nie tylko zburzyła tę konwencję przemilczania sprawy polskiej jako „załatwionej“, ale przeciwnie wysunęła ją na czoło wszystkich kwestyj europejskich. Długo szukany klucz do równowagi europejskiej, który upatrywano na Bałkanach, na Adryatyku, na morzu Niemieckiem, na wszystkich kontynentach i oceanach poza Europą, nieledwie na księżycu, znalazł się nagle tam, skąd rozwój historyczny Europy nigdy go naprawdę nie usuwał, gdzie jasnowidzącym swem okiem upatrywał go Napoleon, gdzie on leży rzeczywiście, a mianowicie w tej bramie do wielkiego niżu europejsko-azyatyckiego, czyli, jak się wyraża historyozofia rosyjska — „eurazyjskiego“ na ziemiach między Bałtykiem a Karpatami, w Polsce historycznej i etnograficznej zarazem.

Wojna ta wskrzesiła w umysłach europejskich świadomość prawdy, że dane geografii są trwalsze, niż wszelkie kombinacje polityczne i że skutki tych danych wracają zawsze do głosu, jakkolwiek przerabiane, przemianowywane i przekształcane. I właśnie te dane geograficzne sprawiają, że w czasie największego przewrotu, jaki znają dzieje ludzkie, Polska w kajdanach, Polska biedna, uciśniona i przez wojnę materyalnie zmiażdżona, jest jednak w znaczeniu swem dla Europy tem, czem była Polska Piastów i Jagiellonów, Polska wybawcy Wiednia — przedmurzem Europy przed potencjami Wschodu.

Zmieniły się tylko te potence. Zadanie naturalne Polski w jej położeniu geograficznym leżące, pozostało niezmienionem. W naporze od Wschodu ku Zachodowi, w godzeniu na istotę kultury europejskiej, starą potencję turecką zastąpiła młoda potencja rosyjska. Jedna i druga natrafiały i natrafiają w swoim dążeniu ku Zachodowi i przeciw Zachodowi na Polskę.

To olbrzymie znaczenie Polski dla Europy, które w ciągu

półwiekowego pokoju zatarło się było zupełnie w świadomości kierowników narodów europejskich, wojna obecna wskrzesiła w całej pełni. Ziemie polskie, które dzisiaj stały się boiskiem futbolowem, na którym rozgrywa się największy i najdonioślejszy w dziejach — match międzynarodowy, ujawniły cały ogrom swego strategicznego znaczenia. Jeszcze na początku wojny było ono jak gdyby utajone. Wygląda na żart, a jednak jest znaną powszechnie prawdą, że na początku wojny jedni opuszczali linię Wisły dobrowolnie, drudzy zaś nie spieszyli się bynajmniej z jej zajęciem. — Dzisiaj zaś jedni i drudzy rozumieją jasno, że zdobycie lub utrata tej linii oznacza nie co innego, jak tylko — rozstrzygnięcie wojny i losów cywilizowanego świata.

Kto posiada ziemie polskie, ten panuje nad naszym starym kontynentem. Albo utrwali się w ich posiadaniu Rosya, a wtedy Europa zkozaczaje, albo jeszcze raz utwierdzi się na nich duch zachodniej cywilizacji, której naród nasz od lat tysiąca tak wiernie służy, a wtedy kultura Europy znajdzie się znowu pod osłoną silnego muru ochronnego od Wschodu i bezpieczna o los swój będzie mogła kroczyć dalej po liniach swego wspaniałego rozwoju.

Głosy, dochodzące nas ze wszystkich ośrodków polityki europejskiej, dowodzą, że zrozumienie tego faktu jest dzisiaj powszechne i dostateczne. Zarówno w Londynie jak w Bukareszcie, w Paryżu jak w Rzymie zdają sobie sprawę z tego, że wojna ta stałaby się najstraszniejszym nieszczęściem Europy, gdyby w skutkach jej naruszono „status quo“ nad Dunajem, a pozostawiono nietkniętym „status quo“ nad — Wisłą.

Istnieją pewne obiektywne konieczności, które okazują się zawsze trwalszemi, niż wola i dążenie największych nawet potentatów ludzkości. Jedną z takich konieczności jest wskrzeszenie Polski w takiej postaci, aby nie stała się piłką w ręku swoich sąsiadów, lecz silną strażnicą kultury europejskiej na Wschodzie. Uwolniona z kajdan rosyjskich Polska, w połączeniu z Austryą, spełni swoje dziejowe znaczenie. Dunaj i Wisła — to dwie linie graniczne, które połączone z sobą jedną myślą i jedną ideą sze-

zenia i bronienia kultury Zachodu przed rozkładowymi wpływami Wschodu, stać się mogą i muszą tym kręgiem, kredą poświęconą zatoczonem, którego żadna zła siła nie zdoła przekroczyć.

To też wśród ciężkich doświadczeń straszliwej wojny, która tak wielkie wymagania stawia głowom, sercom, przedewszystkiem zaś nerwom, powinniśmy ciągle mieć na myśli istnienie tych konieczności obiektywnych, wśród których znajduje się także i polska — konieczność. Ktokolwiek będzie Europę urządził, nie będzie mógł pozwolić na to, aby w jej środku, nad Dunajem, wytworzyło się ognisko wiekuistej anarchii. Anarchii tej zapobiedz może tylko silne państwo, dlatego nie myli się sir Edward Grey, gdy oświadcza, że Europa potrzebuje silnej Austrii. Ktokolwiek będzie urządził Europę, nie będzie mógł także dopuścić do tego, aby nad Wisłą wytworzyła się jakaś — pustynia Gobi, po którejby wichry wschodnie swobodnie hulały. On musi zrozumieć, że spokój nad Dunajem wymaga spokoju nad Wisłą, a spokój i ustalenie stosunków nad oboma tymi strumieniami to zabezpieczenie Europy przed tem, co grozi zagładą jej duchowi — przed nahajką kozacką...

Dlatego nie traćmy ducha!

W O J N A Z N E R W A M I

2 kwietnia 1915.

Najsrozsze wymagania stawia wojna nerwom ludzkim. I to nie tym nerwom, które już stępiały w ogniu armat i karabinów, które w niewypowiedzianych trudach i cierpieniach ciała ludzkiego ograniczyły już sferę swej wrażliwości do najpierwotniejszych potrzeb — głodu i snu, ale właśnie tym nerwom, które, oddzielone od rzeczywistości wojny przestrzenią, odżywiają się tylko fantazją.

Przychodzi taki żołnierz z pola i skoro tylko wyspał się, umył i najadł, rozpromienia się optymizmem, wiarą w zwycięstwo,

pewnością siebie i tą zawadyacką butą, która u żołnierza i w czasie wojny, ale tylko u żołnierza i tylko w czasie wojny jest możliwą do zniesienia.

I ze zdumieniem spogląda na tego świeżego i czerstwego człowieka, który wylał oto z rowu strzeleckiego, człowiek drugi, złamany, zniechęcony, zbiedzony, od nadmiaru czarnych myśli do flaszki atramentu podobny, który wylał oto — z kawiarni, z koła takich samych, jak on znajomych.

Ogromnie zajmującym jest widok zetknięcia się tych dwóch światów — rowu strzelniczego i kawiarni lub handelku. Tam i życie i ta radość z życia, które umiało dotąd wymknąć się kulom i szrapnelom. Tu gorzka jakaś jak piołun beznadziejność, niewiara i strach, strach przed czymś, czego się nie widziało i nie słyszało na prawdę.

Jak gdyby wszystkie siły życia skupiały się na polu śmierci, stawiając jej hardy i zacięty opór. I jak gdyby trujące, rozkładające żywą tkankę tchnienie śmierci przerzucało się ponad tym wałem życia i atakowało je od tyłu, w zacisznych domach, w których nawet nitka ukrytej gdzieś pajęczyny nie zdrząła jeszcze od żadnego wstrząśnienia, w kawiarniach i handelkach, gdzie jedyną rozlegającą się komendą są wyrazy „płacić“ lub „jeszcze jedno piwo“ i, gdzie zamiast trajkotu karabinów maszynowych trajkocą języki...

Na froncie ludzie warzą się w strasliwym znoju, z którym mają się ciągle nowych nadludzkich zadań. Tam ludzie ze zdumieniem odkrywają nowe olbrzymie zapasy swojej własnej energii, nieprzeczuwane zakresy własnej wytrzymałości. Na tyłach ludzie gotują się we własnym soku, niby zrazy à la Nelson, przytłoczeni ciężką pokrywą ciemnej nieświadomości, duszący się w atmosferze własnych wymysłów.

Kiedy to „dęstowanie“ odbywa się na — słodko, na zaprawie naiwnego optymizmu i nie mniej naiwnej wiary, że morze jest — po kolana, to proceder ten kulinarny, aczkolwiek z boku widziany, zawsze jednakowo przykry, jest przecież możliwym do zniesienia. Atmosfera napętnia się jak gdyby gazem rozwesela-

jącym. — Ludzie są zadowoleni, skłonni do radości i entuzjazmu i nie odrzucają żadnego najoczywistszego głupstwa, skoro tylko odpowiada ono ich nastrojowi. W pewien sierpniowy wieczór rozeszła się po Krakowie wiadomość, że Rennenkampf wraz z całą armią dostał się do niewoli w — Galicyi wschodniej. I ci sami ludzie skądinąd inteligentni, którzy jeszcze rano dnia tego czytali w gazetach, że Rennenkampf dowodzi armią, idącą na Prusy wschodnie, że więc nie może równocześnie dać się wziąć do niewoli w Galicyi — ściskali się z radości, że tego wąsatego generała rosyjskiego jednak pochwycono pod — Zbarażem...

Zupełnie inaczej jednak wygląda sprawa, kiedy pewnego dnia zacznie się — „dęstowanie — na kwaśno“... Ten proces kulinaryny jest już bez porównania trudniejszy do zniesienia, aczkolwiek w zasadzie odbywa się on jota w jota tak samo, jak poprzedni, tylko w — przeciwnym kierunku. Atmosferę przepętnia znowu jakaś melancholia gryząca. Głowy pochylają się nisko. Tajemnicze szepty i pełne rezygnacyi opuszczanie rąk, zamiast dawnych rozgłośnych okrzyków i żywej gestykulacyi. I znowu niema wprost tak dzikiego głupstwa, w któreby ludzie nie wierzyli, jeżeli tylko zawiera jakąś wieść — hiobową. Prawdopodobieństwo plotki wzrasta razem z zawartą w niej okropnością... Ludzie, jak gdyby uwzięli się, aby wszystkimi siłami wessać i wchłonąć w siebie wszystkie najgorsze możliwości, a przede wszystkim — niemożliwości. I chodzą tak pełni kwasu, jak rydze kiszzone, chętnie się nim wzajem częstując.

Przed kilku dniami postanowiłem spisywać wszystkie wiadomości „od oficerów“ wszelkich rang i broni, „od szoferów“, „od kogoś“, kto dopiero co wrócił, „od kogoś“, kto dopiero co dostał list, „od lotników“ i wogóle z tych wszystkich źródeł, które wytryskają z większą łatwością, niż ongiś — źródło Mojżesza... I po dwóch dniach powstała litania takich niedorzeczności i zmyśleń wierutnych, że straciłem odwagę do jej przedłużenia.

Inteligentny człowiek, zapytany, co słyhać, bierze cię zaraz za guzik i opowiada, iż właśnie co tylko przyleciał lotnik, który widział — trzy miliony Moskali idących na Gorlice. A jajaj, co

tego psiarstwa jest! — konkluduje z dużą przenikliwością świeżo „poinformowany“; ani mu na myśl nie przyjdzie, że wszakże usłyszał — łagodnie rzecz oceniając — wierutną nedorzeczność. Za kilka godzin już krąży w głowach kilku lotników, a miliony Moskali tylko migają...

Gdyby brygadyer Piłsudski tyle lat żył, ile razy ginął lub dostawał się do niewoli, to prześcignąłby z pewnością poczciwego Matuzala. Gdyby nasze Legiony miały tyle batalionów, ile ich wyginęło z inrozu, zostało w pień wyciętych lub żywcem zabranych, to mielibyśmy dzisiaj armię, jakiej Polska, jak jest starą i była potężną, nigdy jeszcze nie wystawiła...

A wszystko to są nerwy. One to gadają, one zdziwiają, one szaleją w tej sarabandzie pesymizmu równie tępego i bezmyślnego, jak naiwne były zapawy i wyobrażenia miodowego miesiąca wojny.

A przecież na uspokojenie jest jeden niezawodny środek: pomyśleć, co by się w Europie działo, gdyby kierownicy jej państw, gdyby dowódcy ich armij, tak samo folgowali swoim nerwom, jak my naszym! A wszakże my sami zawsze dobijaliśmy się, aby nas nie oddzielano od rządzących i dowodzących, my sami zawsze odczuwaliśmy szlachetną dumę, że rozszerzają nam nasze prawa obywatelskie, które nie są niczem innym, jak tylko prawem współzrządzenia. Czyż te orgie nastrojonych pesymistycznie nerwów mają stanowić nasze kwalifikacje do współzrządzenia? Czyż naprawdę jesteśmy pokoleniem, które „robi“ historię, do czego potrzeba umysłów niczem nie dających się zmacić i woli niczem nie dającej się złamać!

W naszych oczach dzieje ludzkie przebywają jakiś decydujący skręt. W naszych oczach rodzi się nowa epoka tych dziejów. My wszyscy dobrowolnie i bezwolnie przykuci jesteśmy do tego straszliwego młota, którym ludzkość wykuwa nowy los, a z nim i nową postać dla siebie. Pomyślmy, że kiedyś wnuki nasze z zazdrością patrzeć będą na nas, jako na żywych świadków tego straszliwego widowiska, że kiedyś za setki lat niejedna myśl, oderwawszy się od księgi, opisującej dzieje chwili dzisiej-

szej, wzbudzi w czytającym żal, że jego tam wtedy nie było... Cóżby pomyśleli o nas ci, którzy przyjdą później, że my, współtwórcy tego ogromu, byliśmy tacy — mali, śmieszni i pożałowania godni.

Dlatego niechaj poczucie godności chwili, którą dano nam przeżywać, ujarzmi rozkiełznane nerwy. Niechaj świadomość, że los uczynił nas budowniczymi przyszłości w bez porównania większej mierze, niż to w udziale przypadło poprzednim pokoleniom, napelni nas spokojem dumy słusznej i ciszą siły równej i niezachwianej. W czasie potopu potrzeba być samą potęgą wezbranych wód, a nie tylko kupką żółtej piany, która się na jej powierzchni gromadzi i rozpryskuje.

Dlatego prowadźmy także przedewszystkiem wojnę z własnymi — nerwami!

B Ł Ą D W O T W A R C I U

3 kwietnia 1915.

Zwolennicy królewskiej gry wiedzą dobrze, co znaczy „błąd w — otwarciu“. — Pierwsze pociągnięcia na szachownicy decydują o charakterze partyi. Biada graczowi, który rozpoczął partycję, nie powziąwszy stanowczego wyboru lub nie przeprowadziwszy go dość ściśle logicznie, a przedewszystkiem z największą oszczędnością czasu szachowego, który nazywa się — „tempem“. Gracz taki co najmniej utraci czas drogocenny, bo zamiast czegoś nieodzownie potrzebnego, zrobił coś zbytecznego. A strata prędzej czy później objawi się jeszcze wyraźniej. Często widać ją dopiero przy samym końcu, kiedy przy równie zniszczonych siłach n. p. przy jednym pionku tylko po obu stronach, wygrywa się tylko „tempem“, to jest tą właśnie oszczędnością czasu, którą uzyskało się dawno, na początku, przez logicznie i konsekwentnie przeprowadzone otwarcie.

Mimo wszystkie różnice, jakie z łatwością wskaże każdy między

wojną a partią szachów, czy też całą ich seryę, istnieje między niemi zasadnicza wspólność — czysta idea walki. Tu i tam celem jedynym jest — zwycięstwo. Tu i tam środkiem jedynym jest — walka. W szachach walczą tylko myśli i nerwy. W wojnie, która jest wielką konsultacyjno-korespondencyjną partią, walczą także jeszcze inne czynniki.

Wojna jest dalszym ciągiem polityki, prowadzonej tylko odmiennymi środkami — powiedział stary Clausewitz. Nie należy nadużywać tego niewątpliwie trafnego zdania. Polityka doprowadza do użycia wojny jako środka do swoich celów. Ale żadna polityka nie chce posługiwać się wojną — przegraną. Polityka musi mieć wojnę tylko — zwycięską. Ta konieczność posługiwania się nie wojną, ale — wynikiem wojny, sprawia, że skoro wojna już wybuchnie, macierz jej, pani polityka, musi uzbroić się w cierpliwość i aż do wyniku wojny siedzieć poważnie cicho, jeżeli zaś decyduje się działać, to tylko w celu ułatwienia korzystnego wyniku wojny.

Tak więc aczkolwiek wojna wynika z polityki i dla polityki jest przeznaczona, to jednak posiada ona taki zakres autonomii wobec polityki, jaki logicznie wynikać musi z podstawowego założenia, że wojna musi być zwycięską. Do zwycięstwa zaś wojna musi dążyć samodzielnie, autonomicznie, posługując się wszystkimi sobie tylko właściwymi środkami.

Z tego punktu widzenia wojna nie jest już polityką, lecz procesem zupełnie swoistym, zmierzającym do jednego celu: pobicia i o ile możności zniszczenia sił przeciwnika.

W ciągu toczącej się wojny można było słyszeć mnóstwo razy zarzuty, że my prowadzimy wojnę za mało — politycznie, Rosyane zaś ani na chwilę nie spuszczaają z oka swoich celów politycznych, które za pomocą wojny pragną osiągnąć.

Ale autorowie tych zarzutów dla jednych, i pochwał dla drugich, zapominają, że z punktu widzenia istoty toczącej się, więc bynajmniej jeszcze nie skończonej wojny, zarzuty ich są — pochwałami, a pochwały — naganami. Jeżeli bowiem ktoś jeszcze przed ukończeniem wojny, pragnie osiągnąć cele, zależne od

zwycięstwa, to czyni tak, jakby zrobił ten, kto by chciał jeść chleb przed jego upieczeniem...

Rosyanie rzeczywiście oparli swoją strategię na założeniach nie strategicznych, lecz — politycznych. Wskazywałem na to już z początkiem września, kiedy kierunek pochodu wojsk rosyjskich przez Karpaty dowodził, że kieruje nimi wola nie strategiczna, ale polityczna.

To fałszywe założenie planu rosyjskiego spowodowało także fałszywe otwarcie samej wojny. Rosyanie, dążąc do zniszczenia Austrii jako przeszkody na ich drodze ku Bałkanom i Złotemu Rogowi, zapomnieli, że wobec ścisłego sojuszu Austrii z Niemcami, samej Austrii zniszczyć nie można, że potrzeba jeszcze zmiążyć także i Niemcy... Zapomniawszy o jednym, zapomnieli także o drugim, mianowicie, że armie austriackie stanowią jedną całość z armiami niemieckimi, że więc strategiczne zadanie Rosji na początku wojny leżało bynajmniej nie w zniszczeniu armii austriackiej w Galicyi, ale w zniszczeniu całej armii sprzymierzonej — niemiecko-austriackiej, której front w bardzo nierównej grubości sięgał od Bałtyku po granicę rumuńsko-bukowińsko-węgierską.

Gdyby strategia rosyjska była rzeczywiście — strategiczną, to dowództwo rosyjskie nie byłoby ani na chwilę przestawało uważać tego olbrzymiego frontu za żywą i organiczną całość i byłoby jego obu odcinków — austriackiego i niemieckiego — nie traktowało jako dwóch odrębnych, żadnego z sobą związku nie mających obiektów operacyjnych. Przeciwnie, byłoby ono oceniło całość stojących naprzeciw niego armij austriacko-niemieckich, a oceniwszy ich położenie, warunki komunikacyjne i rozmałą siłę frontu niemiecko-austriackiego na rozmaitych jego odcinkach, byłoby szukało miejsca najsłabszego, jako naturalnego miejsca do ataku nie na części, ale na całym froncie niemiecko-austriackim.

Przypomnijmy sobie, jak ten front wyglądał na początku wojny. Najsilniejszym był on w Galicyi, gdzie koncentrowała się armia austriacka. Słabszym znacznie był w środku na dyagonali

Królestwa Polskiego, najslabszym zaś na północy w Prusiech Wschodnich, gdzie siły niemieckie nie wynosiły więcej, niż 100 tysięcy wojsk drugorzędnych. Hindenburg dopiero dnia 18 sierpnia na telegraficzne wezwanie cesarza Wilhelma udał się do Prus Wschodnich dla objęcia dowództwa nad tamtejszemi wojskami, które pospiesznie zwiększono najwyżej do jakich dwóch kroc sto tysięcy.

Gdyby dowództwo rosyjskie było rozważyło i oceniło tę sytuację, jaką na wschodnim froncie mocarstw środkowych wytworzył fakt skoncentrowania wszystkich sił przeciw Francji, wyłączenie z punktu widzenia strategii a nie polityki, byłoby niewątpliwie przyszło do przekonania, że „locus minoris resistentiae“ wschodniego frontu austriacko - niemieckiego znajduje się nie w Galicyi, ale w Prusiech Wschodnich, że więc nie na Lwów i Przemysł, ale na Królewiec całą siłą uderzyć przedewszystkiem wypada.

W momencie rozpoczęcia wojny stosunek sił obu stron przedstawiał się następująco. Dzięki swojej od dwóch lat systematycznie w tajemnicy przeprowadzanej mobilizacji, Rosya miała gotowych do boju 109 dywizyj piechoty, 39 dywizyj kawaleryi i przepotężną artyleryę, nie licząc mnóstwa formacyj rezerwowych. Austria wskutek konieczności zabezpieczenia swych granic południowych, skoncentrowała w Galicyi tylko 40 dywizyj, z 11 dywizyami kawaleryi i z bez porównania słabszą artyleryą. W centrum frontu ziała szeroka luka. Na północy zaś, w Prusiech Wschodnich — Hindenburg rozporządzał najwyżej 10 do 12 dywizyami.

Wobec takiego rozkładu sił i ich stosunku, strategia rosyjska, gdyby nie była zarazem polityką i to — demagogiczną, byłaby od razu zrozumiała, że dla związania 40 dywizyj austriackich wystarczy 59 dywizyj rosyjskich, opartych o — trójkąt twierdz Łuck—Dubno—Równo i ufortyfikowaną linię Bugu, podczas gdy pozostałe 50 dywizyj, rzucone na Prusy Wschodnie, stałyby się naprawdę tym „walcem parowym“, któremuby Hindenburg nie był mógł sprostać.

Po ujawnieniu się faktu ukończonej mobilizacji rosyjskiej, w trzy tygodnie po rozpoczęciu wojny, a nie w trzy miesiące, jak zakładała teoria, i do czego przystosował się plan niemiecki rzucenia się przedewszystkiem całą siłą na Francję, z punktu widzenia czystej strategii możliwość zwycięstwa była po stronie trójporozumienia w ogólności, a Rosji w szczególności. Jedyna bowiem Rosja rozporządzała w tym okresie olbrzymią siłą około dwóch milionów kombatantów, swobodną od konieczności podejmowania jakiegokolwiek defenzywy i stanowiącą niejako potężny kapitał zakładowy dla straszliwej ofenzywy w dowolnie wybranym kierunku.

Tymczasem dowództwo rosyjskie nie wzięło pod uwagę tych wszystkich okoliczności i zupełnie się z nimi nie licząc, pchnęło przeciw 40 dywizjom austriackim 189 dywizyj swoich, przeciw 12 zaś niemieckim tylko 20 swoich. W ten sposób dowództwo rosyjskie popełniło zasadniczy błąd w otwarciu całej partyi. Wiedzione polityczną intencją zmiążdżenia Austrii i jak najszybszego owładnięcia „rdzennie rosyjską“ Galicyą, jako legitymacją „narodowego“ charakteru wojny, wyzwalającej „braci z pod jarzma“, rzuciło przeciw Austrii sił za wiele, przeciw Niemcom za mało.

Skutki fałszywego otwarcia ujawniły się bardzo rychło. Obie armie, operujące na Prusy Wschodnie, Samsonowa i Rennenkampfa, poniosły straszliwą klęskę pod Tannenbergiem, przyczem armia Samsonowa po prostu przestała istnieć.

Równocześnie w Galicyi armia rosyjska zbyt silna, jeżeliby chodziło dowództwu rosyjskiemu tylko o udaremnienie ofenzywy austriackiej, okazała się jednak o wiele za słabą, aby mogła strategicznie wyzyskać początkowe sukcesy, które dała Rosyanom ich przeszło trzykrotna przewaga nad Austryakami.

Na północnem skrzydle więc dowództwo rosyjskie wskutek błędnego otwarcia zaraz straciło — laufra, podczas gdy na południowem, mimo potężnego ataku, matowej pozycji bynajmniej nie osiągnęło.

Wobec Austrii i jej zdolności obronnej Rosja przeliczyła się jeszcze bardziej, niż Niemcy wobec Francji. Bo podczas gdy

Niemcy zdobyły całą Belgię z trzema potężnymi twierdzami i 20 tysięcy kilometrów kwadratowych Francji i od sześciu miesięcy stoją w odległości 80 kilometrów od Paryża, Rosyanie zajęli wprawdzie nieco większe terytorium w Galicyi, ale strategicznie bez porównania mniej ważne i od obu stolic monarchii bardzo znacznie oddalone.

Błędy, popełnione w otwarciu, aczkolwiek w środku partyi, zdaje się czasem, że zostały wyrównane, objawiają swe skutki najczęściej dopiero w końcówce. Wtedy dopiero brak jakiegoś marnego pionka, na początku lekkomyślnie straconego, nawet brak ciągu, na początku partyi zmarnowanego, okazuje się decydującym o wyniku całej partyi.

Z naszkicowanego tu punktu widzenia analizując całą kampanię dotychczasową, przyjść musimy do przekonania, że dowództwo rosyjskie zmarnowało już i niepowrotnie straciło całe mnóstwo wielkich szans, jakie szybka mobilizacya dała mu w ręce. Nadto straciło ono cały szereg ciągów, nie licząc mnóstwa „figur“, które jednak na wojnie nie mają tak ustalonego znaczenia, aby skutki ich straty można już z góry ocenić. Rozbita armia może mieć znaczenie utraconej wieży, konia lub zgoła pionka. Zależy to od całokształtu danej siły zbrojnej. Jedno jest tylko pewnem, że rozbita armia jest stratą, a strata nie pokryta przewyższającym ją zyskiem nie da się ukryć. Ona niezawodnie zgłosi się przy ostatecznym porachunku, zmniejszając odpowiednio jej wynik.

Z tego punktu widzenia skutki przedstawionego tu błędu w otwarciu partyi po stronie rosyjskiej już dzisiaj widoczne zaczęły oddziaływać przy końcu partyi jeszcze silniej.

Są to wszystko rzeczy jasne i proste. Aby je jednak wyraźnie widzieć, potrzeba objąć całość szachownicy, nie skupiając uwagi tylko na niektórych jej polach, aczkolwiek serca ciągnęłyby nas ku nim najsilniej.

S Y N I O J C I E C

10 kwietnia 1915.

Jan Dudziński, układając cegły i zalewając je zaprawą, byłby się zapewne sam zdziwił, gdyby mu ktoś lat temu parę był przepowiedział: jako oficer polskich Legionów, okryty sławą nieustraszonego rycerza zginiesz chłopcze, polegniesz od kul rosyjskiej w Karpatach.

Przepowiednia ta, nawet dzisiaj powtórzona, dzisiaj, kiedy przeżyliśmy już tyle rzeczy strasznych, dziwacznych i nieprawdopodobnych, jeszcze wydałaby się niejednemu dziwną. Młody murarz z Łagiewnik oficerem Legionów i to oficerem znakomitym — wszakże to i dzisiaj jeszcze nie powtarza się często. Coś jak gdyby snop jasnego światła rozpromienia się z zestawienia tych dwóch pojęć, odślaniając obraz nowy i nigdzie dotąd nie oglądany.

Ubogi czeladnik murarski, który w pacholejących latach wszedłszy na drogę ciężkiej pracy, nie marzył z pewnością o górnych wzłotach podchmurnych, który nie był romantykiem i nie wiedział, co to romantyzm, zostaje pewnego dnia muśnięty powiewem idei nowej dla niego a jednak znanej, prostej a jednak niebotycznej — idei walki o niepodległość. Dzieciństwo i młodość czeladnika murarskiego z pewnością nie stanowiły podłoża, na którymby ta idea mogła zakiełkować i rozrósć się sama z siebie. Ale przyniesiona skądciś, trafem spotkania jakiegoś, jakiegoś zasłyszanego słowa i obejrzanego przypadkiem obrazu, weszła w tę prostą duszę niby w naczynie, od dawna już na kształt tej idei urobione.

Dudziński obudził się pewnego dnia romantykiem, stojąc na rusztowaniu i pion do świeżo ułożonych cegieł przymierzając, uczuł się żołnierzem polskim, nie rycerzem, bo ten żąda zaraz dla siebie praw, ale właśnie żołnierzem, który żąda dla siebie jednego tylko prawa — prawa walki i śmierci za ojczyznę.

Kiedy zabrzmiała pobudka, młody żołnierz był już gotowy. Dusza jego całą potęgą swej młodości rwała się przeciw wrogowi. W głowie były już ujęte w pewne systemy umiejętności te po-

jęcia, które żołnierza czynią wyćwiczonym i wykształconym żołnierzem. Poszedł i bił się. Jak się bił — opowiada szeroko oficjalny komunikat Komendy Legionów, która na punkcie pochwał nie wpada w przesadę. Nieustraszony a spokojny, pełen zapału a zimny, wzniósł się Dudziński z poziomu prostego żołnierza, który oznacza tylko jeden — karabin, na wyżyny oficera, który oznacza ogromną sumę odpowiedzialności za cały oddział żołnierzy. Znakomity żołnierz okazał się jeszcze lepszym oficerem. I takim zginął ten młody murarz z Łagiewnik. Z duszy tego syna ludu podkrakowskiego, którego życie z pewnością nie pieściło, kielnię murarską wtykając mu w młodą rękę, który nie cieszył się nigdy żadnym przywilejem, ani odziedziczonym, ani zdobytym, wyrósł nagle przebujujący kwiat czystej ofiary dla ojczyzny, która go do najumiłowańszych swych synów z pewnością nie zaliczała. Młode ciało zdążyło już spocząć w dalekiej i zimnej obcości ziemi, ale kwiat jego wrócił do nas jako wspomnienie, jako fakt, jako dowód wreszcie, że idea, której służył, to nie owoc agitacji tylko i przekonywania umiejętnego, ale wyraz instynktu wolności, który zamarliży jak gdyby w dziedzicach, budzi się w — wydziedziczonych...

Ale to jeszcze nie wszystko. Oto ojciec Jana Dudzińskiego, Andrzej, człowiek pięćdziesięciosześcioletni, na wieść o śmierci syna pisze list do Komendy Legionów z żądaniem, aby jego przyjęto do tej samej kompanii, ponieważ chce pomścić śmierć syna na Rosyi.

I znowu dziw. Rzadko zdarza się, aby ktoś z czeladnika murarskiego wyszedł na oficera, opromienionego legendą bezprzykładowego męstwa i bohaterskiej śmierci. Rzadziej chyba jednak zdarza się, aby ojciec w ten sposób uczcił pamięć swego syna, iżby zapragnął pójść jego drogą i dokończyć tego, co tamten zaczął...

Mówi się zwykle: „z ojca — na syna“. Tu mamy przykład odwrotnego porządku: z syna na ojca. Ciężkie życie robotnika murarskiego nie zdołało jeszcze otoczyć duszy młodego Jana tak grubą skorupą, aby idea walki o niepodległość nie mogła jej

przebić z łatwością. Stary Andrzej zbyt wielkie jednak dźwigał na sobie brzemień życia, aby tak szybko, jak jego syn, mógł poddać się wszechwładzy tej idei. Do strudzonej duszy jego drażyła sobie ona dostęp powoli i stopniowo. I oto czego nie dokonał w niej przykład syna żywego, to stworzył od razu przykład zmarłego...

Rzadko się zdarza, aby ojcowie starzy chcieli naśladować młodych synów. Lecz zaprawdę jeszcze rzadziej, aby przykładem dla tego naśladownictwa służyła śmierć, nie życie.

Jakie siły drzemią w duszy tego naszego ludu, jakie zapasy bohaterstwa i zdolności do poświęceń spoczywają tam, nie napoczęte jeszcze przez nasze życie narodowe, skoro możliwemi okazują się tak niezwykle kombinacye, skoro pragnienie umierania za ojczyznę może tak cofać się od synów ku ojcom, spajając jednych z drugimi w jedną całość poświęcenia i bohaterskiej ofiary!

Chłómy też w siebie te niebywałe objawy, jak rosę ożywczą. One bowiem dowodzą nam naocznie, czem jesteśmy i czem moglibyśmy być, gdybyśmy tych Janów i Andrzejów Dudzińskich mieli wśród siebie więcej. A oni zapewne są. Potrzeba ich tylko umieć wywołać z tej masy, która nazywa się — ludem...

M A Ł E, S Z A R E I R O G A T E

15 kwietnia 1915.

Zwrócić należy uwagę na wczorajszą korespondencyę „Nowej Reformy“ z Kołomyi, której autor opowiada o żywotności Legionów. Sześć miesięcy stoją w boju. Zaledwie wysiedli na Węgrzech z wagonów kolejowych, jeszcze dokładnie z mechanizmami karabinów świeżo otrzymanych nieobeznani, ruszyli w bój i w bojach tych trwają do dziś. Półtrzecia miesiąca nieprzerwanej frontowej walki, sześćdziesiąt bitew i potyczek, dwa tysiące kilometrów marszów po śniegach, po szczytach i urwiskach górskich wśród zimy, nieraz przy 25 stopniach mrozu i wichrze, wiejącym

nawskroś przez młode kości, zawsze na przodzie, w przednich strażach, zawsze drogami idący, którymi najczęściej tylko niedźwiedź karpacki chadza, nierzadko własne sobie budując drogi, oddaleni o dziesiątki kilometrów od podstawy, nawet od kuchni polowej, kwaterujący po wsiach ruskich, ubogich, często w dodatku jawnie niechętnych — oto główne składniki tej odyssey, którą drugi i trzeci pułk Legionów odbyły w ciągu tej zimy. Nie zapominajmy zaś o innych udrękach i ciężkich próbach, które nie były tym wojskom naszym oszczędzone. Wszak szli jak burza do walki o Polskę i na — polskiej ziemi. Tymczasem mijał miesiąc za miesiącem, a rozmaitym „mezom“ i „hazym“, wśród których prowadziła ich surowa myśl wojny, nie było końca... Wszak szli jako ochotnicy, dopraszając się przyjęcia w szeregi, wnosząc w nie zapał płomienny, wiarę niezachwianą i ofiarność bezgraniczną — wszystko, co nigdy niemal nie rozkwita pod brzemieniem twardego przymusu. A mimo to nie zawsze spotykali się ze sprawiedliwą oceną tego ich charakteru, nie zawsze natrafiali na objawy zrozumienia, że są nie tylko masą żołnierską, sprasowaną w jedną całość pod strasznym ciśnieniem żelaznej dyscypliny, lecz także ideą żywą, która przymusu nijakiego nie potrzebuje i nie znosi. Nie należy o tem wszystkiem zapominać, mówiąc o półrocznych wysiłkach tych dwóch bohaterskich i męczeńskich pułków. Wytrzymały one nie tylko niesłychane trudy, przed którymi wzdragały się nieraz najsilniejsze natury, lecz także oparły się mnóstwu tych pokus, które są najbardziej niebezpieczne, ponieważ rodzi je — rozpacz i zniechęcenie...

Przetrwali, wytrwali i dotrwali. Przez najcięższy przesmyk karpacki w zakątku górskim, o którym z pewnością żaden z nich nie wiedział przedtem, że wogóle istnieje, przez Kirlibabę jakowąś, która niedawno jeszcze była nam jako dziura jakowaś w — Kordylkach, a dzisiaj drogą stała się tą polską krwią, co ją obficie skropiła, przedarli się na Bukowinę, a stamtąd na tłustą ziemię pokucką. W Śniatynie owiało ich znowu polskie powietrze. Na wąskich uliczkach nędznego miasteczka powitała ich Polska, drobniuchna część tej Polski, którą wyswabadzać pragnęli

i pragną. Znużeni, wyczerpani tak, że mniej zmęczeni już się w zwykłych warunkach do grobu położyć spieszą, stanęli w Kolumyi. I to pierwsze zetknięcie się z ziemią rodzinną stworzyło nowy cud. Przerzedzone szeregi Legionów zaczęły wypełniać się na nowo. Z poza Karpat ciągnęli uzdrowieńcy i „zagubieni“, których już niejednokrotnie opłakano. Z okolicy, z całego Pokucia schodzić zaczęli się nowi. Powydobywali gdzieś z ukrycia przechowane przed najeźdźcą moskiewskim mundury uczestnicy wschodniego Legionu, którzy bez bitwy stali się — niedobitkami i nuże meldować się posłusznie do służby. Nikt ich nie ciągnął, nikt nie wzywał. Nikt nie wiedział nawet, czy są i gdzie są. Sami przyszli. Bo idea walki z Rosyą, z naszym z nieprzejednanych najbardziej nieprzejednanym wrogiem nie stawała im w duszach w czasie moskiewskiego najazdu, lecz przeciwnie, okrzepła jeszcze bardziej i zaciążyła nad nimi jak konieczność, jak groźna i krwawa „ananke“.

I po półrocznej ciężkiej służbie, o której wiemy my i wiedzą inni, aczkolwiek niejaki Roda, opisując niedawno boje wschodnio-karpackie, sławi wszystkich, widzi wszystko, lecz tylko Legionów nie dostrzega — stoją te dwa nasze pułki takie prawie, jak były, tylko krzepsze w sobie, zwartsze i bardziej jak gdyby stalowe. To już nie młódz wiarą płonąca i niewiedzą rzeczywistości silna, ale — weterani, prawdziwi weterani, o których dlatego tylko nie można powiedzieć, że — „osiwiali w bojach“, ponieważ w dwudziestym roku życia nie siwieje się nawet w walce pod Nadworną, nawet przy przejściu przez zaśnieżone szczyty Karpat bukowiańskich... Ale weterani to nie z siwizny, lecz z ducha, z nieporównanego hartu żołnierskiego i z tego doświadczenia, które okupuje się tylko krwią własną i niewysłowioną mitręgą tułaczki żołnierskiej. Stoją jak stali, gotowi bić się dalej, jak się bili — oni, żywy pomnik idei wolnej Polski, sami, jak ona, nieśmiertelni.

Kiedy Moskale, wyrzuceni z Bukowiny, cofali się w popłochu przez miasteczka pokuckie ku północy przez Dniestr, pytali ich mieszkańcy, przed kim tak zmykają gwałtownie. Odpowiadali zgodnie, że nie wiedzą dobrze, co „to“ jest, co na nich tak za-

jadle nastaje, bo to „jakieś małe, szare i rogate“. A nie-jeden dodał z westchnieniem głębokiego przestachu — i „kula się go nie ima...“

W ten sposób żołdat rosyjski określił Legiony, nie mogąc zrozumieć co to jest, co temu małemu, szaremu i rogatemu daje tę siłę, której on sprostać nie może, przed którą cofać się musi. I nic dziwnego, że pędzony batami niewolnik carski nie mógł zrozumieć, że to ukochanie wolności pędziło przeciw niemu to — „szare i rogate“, biedne a jednak czupurne, zawadyackie i do szaleństwa zuchwałe. Ale instynkt mu mówił, że to coś dziwnego i niezwykłego, co się nie często na polach bitew spotyka, coś, przed czym respekt mieć należy i uszanowanie głębokie.

A jeżeli tak prawili żołdat moskiewski ciemny i nieokrzesany, to jakież uczucie żywić powinniśmy my dla tego „małego, szarego i rogatego“, co tam siedzi teraz daleko na Pokuciu i żwawo szykuje się do nowej walki za Polskę, za którą umrzeć w każdej chwili gotowe, do której tęskni krwawo...

PIERWSZY ZAMACH NA POLSKOŚĆ LWOWA

18 kwietnia 1915.

Szybko postępuje oswobodzicielska praca najeźdźców rosyjskich w Galicyi wschodniej i w jej stolicy. Z początku udając przyjaciół Polaków i wiernych wykonawców postanowień manifestu swego wodza, Rosyanie „wyswabadzali“ tylko Rusinów galicyjskich z pod jarzma ich własnych szkół, własnego języka i własnej wiary. Nas Polaków jeszcze jak gdyby oszczędzali. Po upadku Przemyśla jednak przyszli widocznie do przekonania, że czas już dać spokój ceremoniom.

Generał-gubernator wojenny wschodniej Galicyi, graf Bobrinskij, zarządził, aby w magistracie lwowskim obok języka polskiego używano także i rosyjskiego jako — urzędowego.

„Russkoje Słowo“, które o tem zarządzeniu przynosi krótką wiadomość, dodaje, że nowy ten akt wyzwalania magistratu lwowskiego z pod jarzma polskiego wywołał wśród ludności złe wrażenie, a dra Rutowskiego poróżnił z grafem Bobrinskim.

Ale i bez tego komentarza wiemy dobrze, co dzieć się musiało w sercach polskich, kiedy z generał-gubernatorstwa rosyjskiego ukaz ten przyszedł. Więc stary Lwów, ten pomnożyciel polskości i wierny jej stróż a reprezentant świetny na wschodzie, ma odtąd posługiwać się językiem, którego oprócz płatnych agentów rosyjskich i osiadłych w nim wygnańców polskich z Królestwa, żaden z jego mieszkańców nie zna i nie rozumie, a do dnia, smutnego dnia 3-go września zeszłego roku rzadko który z nich słyszał.

Niestrudzona praca i patryotyczny zapał Rutowskich, Łozińskich, Czołowskich i dziesiątki innych zgromadziły we Lwowie wspańnięte skarbcze pamiątek jego historii. W archiwach i muzeach znajduje się bezmiar dokumentów i zabytków, które dowodzą, że Lwów, ten stary, zasłużony, wiernie polskości strażujący Lwów, miał stosunki z całym światem, z daleką Anglią i Francją, z jeszcze dalszą Persją i tureckimi krajami. Ale z Moskwą stosunków nie miał. W tuzinie języków ma historia Lwowa swe dokumenty i źródła. Rosyjskiego niemasz wśród tych języków. A brak ten jest tak zupełny i całkowity, że aż dziwny. Jak mogło się zdarzyć, że Lwów — przez tyle stuleci główne emporyum Wschodu do Polski umiał tak dobrze ustrzedz się wszelkiego zetknięcia z Moskwą. Jak olbrzymiem i jak niezmiernie stałem musiało być poczucie obcości obywateli tego miasta wobec Rosyi, skoro za całych siedm wieków, tak obfitych i tak burzliwych jego dziejów, nie zachował się ślad żaden jakichkolwiek jego stosunków handlowych, kulturalnych, czy politycznych z Moskwą!

Oprócz łaciny i polskiego, a przez krótki stosunkowo czas niemieckiego, magistrat lwowski nie znał nigdy żadnego innego języka. Dopiero dzisiaj ma się on zacząć uczyć — rosyjskiego...

Wiele ciosów godziło już w to drogie każdemu sercu polskiemu miasto. I wojska szwedzkie i Turcy i hordy tatarsko-kozackie Chmielnickiego przewinęły się popod jego mury, zgliszczami i ruiną znacząc drogę. Żaden jednak wróg, który na Lwów nastawał, jakkolwiek dziki, nieubłagany i barbarzyński, nie kusił się o wydarcie Lwowu — duszy, jego polskiej duszy. Uczynił to dopiero najeźdźca dzisiejszy, który wtargnął do kraju i jego stolicy z obłudnym hasłem — „wyswobodzenia“ i „zjednoczenia“ ...

Wiele prób przeniósł i przetrzymał ojciec dzisiejszego Lwowa, dr. Tadeusz Rutowski, broniąc swe ukochane miasto i jego nieszczęsną ludność przed okropnymi skutkami wojny i moskiewskiego najazdu. Ale zarządzenie, aby władza miejska, władza wyłączenie i jedynie polska, posługiwała się odtąd „także“ rosyjskim językiem urzędowym, musiało być dla tego patrioty, dla tego Polaka znakomitego, próbą najcięższą, ciosem najdotkliwszym.

I każdy, komu metody rosyjskie rządzenia nie są obce, wie doskonale, że zarządzenie to jest tylko wstępem do całkowitej rusyfikacji Lwowa, do zepchnięcia go do rządu jakiejś Połtawy, czy Charkowa, do wytępienia żeń polskości, do wydarcia mu jego duszy historycznej, jego polskiej duszy.

Dla nas ten pierwszy zamach rosyjski na polskość Lwowa niespodzianką nie jest. Nie mieliśmy nigdy żadnych złudzeń co do tego, czego nam oczekiwać należy po zagospodarowaniu się Rosyan w Galicyi. Ich odezwy, ich obietnice fantastyczne pod adresem naszym rzucane, czyniły tę perspektywę jeszcze bardziej ponurą. Ciskanie bowiem nęcących obietnic, rzucanie wielkich haseł zjednoczenia i odrodzenia, których nigdy nie mieli ani sił, ani dobrej woli urzeczywistnić, dodawało im tylko tupetu i odwagi do podjęcia dzieła bezlitosnego niszczenia naszego dziejowego dorobku tam, dokąd dojść mogli i dokąd rzeczywiście dążyli — w Galicyi wschodniej.

Prędzej, niż nawet największy pesymizm mógł przewidywać, odwija się ten kłębek prawdziwych intencji prawdziwych Rosyan. Na polskość Lwowa rozpoczyna się szturm, który wiadomo,

czem się niebawem zakończy, jeżeli nie odwróci się karta straszliwej wojny, jeżeli Rosyanie i nadal pozostaną w tej części naszego nieszczęśliwego kraju.

Biedny Lwów i myśmy z nim razem biedni!

WĘDRÓWKA LUDÓW I POMNIKÓW

21 kwietnia 1914.

Oswobodzenie Galicyi wschodniej z pod jarzma austriacko-polskiego i zjednoczenie jej z Rosyą, jako reszty tej „russkiej ziemi“, której zbieranie byłoby przez owładnięcie Galicyą zakończone — stanowiło główne hasło nacyonalistów rosyjskich od chwili, kiedy Rosya, pobita na Dalekim Wschodzie, zaczęła szukać kompensacyj na — Bliskim. Metropolita Antoniusz już przed dwoma laty oświadczył publicznie, że zatknięcie rosyjskiego sztandaru na szczytach karpackich jest najbliższym celem dążeń rosyjskich. Rosyjskość Galicyi stała się dogmatem, który z postępowaniem agitacyi nacyonalistycznej zaczęły przyswajać sobie sfery coraz szersze, tak, że wreszcie przed wojną nie było chyba w Rosyi nikogo, ktoby nie wierzył zapewnieniom Bobrinskih i im podobnych, że Galicya właściwie niczem się nie różni od jakiejś gubernii charkowskiej, czy zgoła wołogodzkiej.

Wielkiem też było rozczarowanie, kiedy Rosyanie, wkroczywszy do Galicyi, przekonali się naocznie, że oprócz Dudykiewiczów, Kołdrów i zbałamuconych przez nich chłopów ruskich 'niema w Galicyi tak dalece kogo ani oswobadzać, ani — jednoczyć.

Już zupełnie pobieżne rozejrzenie się w stosunkach galicyjskich przekonało najeźdźców rosyjskich, że kraj ten potrzeba dopiero uczynić rdzennie rosyjskim i to uczynić w dosłownem znaczeniu zarówno przez wyrwanie zeń korzeni sześciowiekowej kultury polskiej i młodych pędów ukraińskiej, jak przez wytworzenie w nim żywiołu prawdziwie rosyjskiego.

Nacyonaliści rosyjscy są neurastenikami. Cierpią na nadmierny pośpiech i tak zwany „Ideenflucht“. Spieszą się i zapomniawszy

o jednej myśli, chwytają nową. Chcieli za wszelką cenę zebrać resztę ruskiej ziemi i zagarnąć Galicyę. Potem zapomnieli, że wszakże szli do Galicyi jako do kraju rosyjskiego, jęczącego pod jarzmem polskim i zapragnęli co rychlej uczynić go dopiero — rosyjskim. W tym celu zrodził się w Petersburgu projekt — kolonizowania Galicyi rosyjskimi chłopami z Syberyi. Z kraju bezludnego ma iść kolonizacya do kraju przeludnionego¹⁾. Chłop syberyjski, przyzwyczajony orać sochą i bronować gałęzią sosny lub jodły, ma przybyć do Galicyi wschodniej, której kultura rolna ma się do syberyjskiej tak, jak holenderska uprawa ogrodowa do rolnictwa galicyjskiego. Nacyonalizm rosyjski jest w stanie połknąć wszelkie głupstwo, jeżeli tylko jest ono „patryotycznym“. Trzysta tysięcy chłopów syberyjskich ma być wpuszczonych do Galicyi wschodniej, niby karpie do stawu, aby z niej uczynić ziemię „odwiecznie rosyjską“. Małorolny chłop wschodnio-galicyjski, który dostaje dreszczów na widok wystawionego na sprzedaż morga ziemi, będzie musiał spokojnie patrzeć, jak na tej ziemi rozsiadać się będą brodaci kacapi z dalekiej Syberyi ze swoim barbarzyństwem i brakiem wszelkiego wyobrażenia o nowoczesnej gospodarce. Tak wygląda „oswobodzenie“ i „zjednoczenie“ rosyjskie w praktycznym zastosowaniu.

Ale sprowadzenie chłopów syberyjskich do Galicyi nie wystarczy jeszcze do przeistoczenia jej w — Syberyę. Galicya wschodnia ma kulturę i to — kulturę polską, mimo wszystkie zapewnienia dzisiejsze nienawistną sercu rosyjskiemu i obcą umysłowi. Ogniska tej kultury po wsiach zostały już usunięte w znacznej części w sposób tyle prosty, ile skuteczny — oswobodziciele puścili je z dymem...

Pozostały jednak miasta, które są polskimi miastami. Nie można ich po prostu popalić, tak, jak to zrobiono z ogromną ilością dworów polskich. Potrzeba polskość z tych miast wschodnio-galicyjskich zdzierać stopniowo, warstwa po warstwie, aż się

¹⁾ Kozacy w Galicyi zrobili przecież spostrzeżenie: „E! Tutaj u was nie ma ziemi“... Przep. red.

z czasem dojdzie do korzeni. Na pierwszy ogień mają pójść najbardziej widoczne symbole tej polskości — pomniki mężów dla niej najbardziej zasłużonych, najświetniejszych jej reprezentantów.

„Dziennik Kijowski“ przyniósł wiadomość, że w Petersburgu powzięto postanowienie usunięcia ze Lwowa i z miast wschodnio-galicyjskich wszystkich polskich pomników. Jeżeli Kraków dostanie się w ręce rosyjskie, a Warszawa w nich pozostanie, to pomniki te — o ile istnieniem swem wręcz nie obrażają uczuć narodowych rosyjskich (Kościuszko, Kiliński, Bartosz Głowacki), będą przewiezione do tych miast. O ileby zaś okazało się to niemożliwym, umieszczone zostaną na Kremlu moskiewskim, jako trofea wojenne.

Więc wyobraźmy sobie, że niebawem zacnie się w Galicyi ciekawa i jedyna w dziejach wędrówka ludów i pomników. Chłopi syberyjscy zaczną ciągnąć od Wschodu ku dolinom Dniestru i Sanu. Natomiast spiżowe postacie Sobieskich, Kościuszków, Mickiewiczów, Fredrów ruszą ku Wschodowi.

Jeszcze wojna bynajmniej nie ma się ku końcowi, jeszcze ostateczne postanowienie co do losu Galicyi wschodniej waży się na szalach wojny, a patryoci rosyjscy już zabierają się do roboty, dla której próżnoby szukać w naszym słowniku odpowiedniego nazwiska.

Cóżby się działo dopiero, gdyby Galicya wschodnia rzeczywiście pozostała trwale pod panowaniem rosyjskiem!

E C H O Z B E R N A

22 kwietnia 1915.

Podczas świątecznych swoich obrad plenarnych, otrzymał Naczelny Komitet Narodowy piękny adres od kolonii uchodźców polskich w Bernie Morawskim (Nr 196 „Nowej Reformy“). Zarówno pomysł wystąpienia z adresem do instytucji, powołanej do kierowania w tej ciężkiej chwili najważniejszymi sprawami, jak ton tego adresu i wypowiedziane w nim myśli, czynią go doku-

mentem chwili tem ważniejszym i godniejszym powszechnej uwagi i uznania, że dotąd jedynym.

Kiedyś dowie się naród, w jakich warunkach i wśród jakich trudności pracować musi to ciało, które w niebывалym momencie chwilowej zgody i jedności wszystkich w tej dzielnicy polskiej powołano do życia dla podjęcia i dokonania wielkiego dzieła czynnego i celów swych świadomego udziału Polaków właśnie w tej najstraszniejszej z wojen. Kiedyś wierzyć potomni nie zechcą, że ten nowy organ życia narodowego, że ten „Naczelny Komitet Narodowy“ miał do zwalczania i przewycięzania największe i najprzykrzejsze przeciwieństwa nie od zewnątrz, nie ze strony obcych i obojętnych, a nawet z natury wrogich czynników, ale ze strony tych, co popieranie Komitetu i solidaryzowanie się z nim za obowiązek narodowy poczytywać sobie byli powinni.

Ale nie czas dzisiaj na żale i wyrzuty. Jeżeli kiedy wogóle przyjdzie na nie pora, to z pewnością nie rychło. Historyczną teraz robi się robotę i historia spokojna i sprawiedliwa będzie ją kiedyś sądziła i oceniała. Dzisiaj Naczelny Komitet Narodowy, wypadkami wojennymi zmuszony do wykonywania najważniejszych swych zadań na obczyźnie, musi dążyć do wytkniętego mu celu, skupiając całą swą uwagę i całą niesłabnącą wolę w tem jednym tylko: wykonać, co mu naród zlecił i powierzoną sobie ideę wielką wcielić w terażniejszość tak, aby do przyszłości przeszła nie tylko nie spaczona i nie skarłała, lecz przeciwnie — świetniejsza jeszcze, żywotniejsza i bezwzględniej, niż dotąd umysły i serca polskie zniewalająca. Do spełnienia tego zadania Naczelny Komitet Narodowy obok środków materyalnych, potrzebuje przede wszystkim siły moralnej, siły wiary i głębokiego przekonania, że działa nie w głuchej lub złowrogo tylko dudniącej próżni, ale w otoczeniu żywym, zdolnym do współczucia, współmyślenia i współdziałania, w otoczeniu, którego każda część składowa przepojona jest tą samą, co on, ideą i tą samą wolą do jej urzeczywistnienia.

Ta konieczność ciągłego i sympatycznego współdziałania organizmu z jego organami, zawsze oczywista i dla zdrowia nie-

zbędna, staje się w czasach takich, jak obecne, po dwakroć i po trzykroć nieodzowną. Potrzeba ta wzrasta w miarę trudności jej zaspokojenia. Dzisiaj zaś ta trudność większa jest, niż kiedykolwiek. — Krwawy młyn wojny zmełł nasze mienie, dorobek naszej i naszych ojców pracy i wysiłków. Tem bardziej strzedz potrzeba naszych dusz, aby także nie wyszły z tego młyna, ugniecione na jakąś bezkształtną i bezwartościową masę. Dopóki bowiem dusze zachowamy zdrowe i silne, dopóty nie straszni nam będą, mimo całej swej okropności, ani ta kurzawa krwi, która przysłoniła ziemię naszą od Karpat po jeziora mazurskie, ani owe zgliszcza i ruiny, które pokryły pola naszej codziennej pracy.

Działający na obczyźnie N. K. N. musi mieć świadomość, że tam, poza nim w kraju, istnieje silna społeczność tych zdrowych i silnych dusz, że biją tam z równą siłą źródła woli, wiary i energii, które mogą być zużytkowane przynajmniej moralnie do wspólnego nam wszystkim celu odzyskania wolności.

Dlatego też, jeżeli do tego Naczelnego Komitetu dochodzą głosy takie, jak ten adres berneńskich Polaków, to jego własna siła i energia wzrasta, bo utwierdza się w nim pewność, że nie działa w próżni, ale w tej atmosferze życzliwości i lojalności, w której jedynie ludzie dla ludzi wydatnie i owocnie pracować mogą.

„Nie upadajmy w chorobliwym pesymizmie, nie dajmy się suggestyonować ludziom małego ducha i wietrznej woli“ — woła tych 348 rozumnych i szczerych patryotów polskich, którym nie-szczęście tułaczki osobistej i wygnania bezterminowego nie zamęciło umysłów i nie wystudziło serc.

I to ich wołanie powtarzamy z radością i wdzięcznością. Bo dobrze jest słyszeć gromkie echo swego własnego głosu, dobrze jest czuć i przekonywać się, że pod nerwowo nieraz szarpanemi strunami, znajduje się odpowiedni rezonans...

Nie tylko też sam Komitet Naczelny musi braciom naszym w Bernie być wdzięcznym za ten wyraz sympatii i uznania, z jakim doń pospieszyli, ale cała nasza narodowa społeczność. Pierw-

szy bowiem warunek siły i powodzenia tej społeczności to — jej wewnętrzna solidarność moralna i uczuciowa. Wspólne wszystkim uczucie miłości jednej wspólnej idei, wspólne upragnienie jednego wspólnego celu: oto mianownik wspólny, do którego z łatwością sprowadzić można ułamki wszelkich różnic zapatrywań, temperamentów, interesów i tego wszystkiego, co zwykle ludzi dzieli.

Niechaj wśród nas nie zanika tylko solidarność moralna, solidarność najgłębszego polskiego uczucia, a zawsze znajdzie się płaszczyzna zgodnego działania. Niechaj tylko solidarność ta będzie dość silną i dość siebie samej świadomą, a w ramy jej ujęte nawet największe różnice i przeciwieństwa między nami staną się czynnikiem bujnego życia, a nie gnicia i rozkładu.

Adres Polaków w Bernie Morawskim przebywających, jest budzeniem i umacnianiem takiej solidarności krzepiącej i wyrównującej. I za ten wyraz niechaj będzie im ta sama — Cześć! z jaką się do obradującego w Wiedniu Komitetu Naczelnego zwrócili.

N A P Z E Ł O M I E

24 kwietnia 1915.

Zimowa kampania karpacko-galicyjska zakończyła się całkowitem złamaniem straszliwej ofensywy rosyjskiej, która miała na celu utworzenie Rosyi przez Karpaty drogi na Węgry.

Wszystkie okropności i trudy dawnych wojen wydają się miłą sielanką i zabawką w porównaniu z tem, co w ciągu ostatnich trzech miesięcy zimowych wykonały i zniosły obie sprzymierzone armie w Karpatach. Dwukrotnie w ciągu tego czasu podejmowaną przez wojska austriackie i niemieckie ofensywę w kierunku północnym, głównie dla odsieczy bohaterskiego Przemyśla, udaremniły siły natury, która w kampanii zimowej współdziałała stanowczo — z armią rosyjską.

Wśród bardzo pięknej, niemal wiosennej pogody, rozwinęły

się wojska sprzymierzone w styczniu do pierwszej swojej ofenzywy zimowej w Karpatach, którą podjęły jako konsekwencję wielkiego zwycięstwa grudniowego pod Limanową.

Lecz zaledwie osiągnęły zalesione szczyty Karpat, wionęła na te bohaterskie zastępy bezlitosnem swém tchnieniem sroga, karpacka zima. W ciągu kilku dni olbrzymie zwały śniegu pokryły drogi i stoki górskie. Z nieopisanym mazołem wojska nasze mogły sobie torować drogę w głębokim na metr i więcej śniegu. — Dowóz żywności, amunicyi, ewakuacja rannych i chorych — wszystko stało się niemal niemożliwem. Wojska, osiągnąwszy szereg wspaniałych sukcesów, wydarłszy Rosyanom wszystkie najważniejsze przełęcze, musiały nie tylko zatrzymać się w swym dalszym pochodzie, ale także cofnąć się na południowe stoki Karpat, ponieważ aprowizacja na szczytach okazała się niemożliwą.

Z końcem lutego i z początkiem marca podjęły wojska sprzymierzone ponowną ofenzywę. Lecz i tym razem nowy, niebywale silny, paroksyzm zimy udaremnił straszliwe wysiłki, które wojskom naszym dały już były bardzo ważne pozycye nad górnym Sanem, z których otwierała się już krótka i stosunkowo łatwa droga do oblężonego Przemyśla. Znowu ataki wojsk naszych musiały stanąć. Tymczasem zaś Przemyśl padł.

Upojeni tą zdobyczą Rosyanie, którzy dotąd pozostali do obu ofenzyw austriacko-niemieckich tylko w stosunku aktywnej obrony, podjęli teraz ze swej strony gwałtowny atak na Karpaty, który miał dać im korzystne rozstrzygnięcie i otworzyć drogę na Węgry.

Olbrzymie siły rosyjskie, wsparte, jako silną rezerwą, armią oblężniczą z pod Przemyśla, zaczęły młotowemi uderzeniami godzić w nasze pozycye karpackie. Ogromnie głębokie kolumny rosyjskie dawały ich uderzeniom siłę straszliwą. Szturmy rosyjskie pod względem zaciekłości i uporu przeszły wszystko, co dotąd w tej strasznej wojnie widziano. Wszystkie one jednak odbiły się o niezdobyte pozycye austriackie i niemieckie. Straszliwie spiętrzona fala powodzi rosyjskiej odbiła się bezsilnie od tam ochronnych austriacko-niemieckich. Potęga uderzenia, jaką rozwinęła milionowa przeszło armia rosyjska, złamała się. Na zachodnim

odcinku między Duklą a Uzokiem, Rosyanie nie zdołali nigdzie prawie zejść z grzbietu Karpat. Natomiast na wschód od Uzoka wojska austriacko-niemieckie zdołały opanować doliny górnego Stryja, Oporu i Orawy, które im otwierają drogę ku Skolemu, Stryjowi i Lwowu, stanowiąc równocześnie bardzo ważny punkt zawieszenia dla długiej ofenzywnej linii austriacko-niemieckiej, która biegnie, jak styczna, do łuku Karpat aż nad Dniestr na bessarabską granicę.

Tak więc zima przyniosła nam następujące, niezmiernie doniosłe rezultaty: oczyszczenie Bukowiny i Pokucia z Rosyan i przesunięcie frontu skrajnej prawej flanki aż nad sam Dniestr, przedewszystkiem zaś złamanie najstraszniejszej i najgwałtowniejszej ofenzywy rosyjskiej na Karpaty, która stanowi niewątpliwie szczytowy punkt zaczepnych wysiłków olbrzymiej armii rosyjskiej.

Kampania zimowa dała Rosyanom same straty i to mimo tego ich tak bardzo dla naszych operacyj w Karpatach niekorzystnego przymierza z siłami przyrody. Rosyanie stracili blisko połowę już zajętego terytorium, całą Bukowinę i całe Podkarpacie od doliny Oporu na wschód, co zaś gorsza dla nich, stracili nadto w ofenzywie karpackiej tę miazdzącą siłę uderzenia swej potężnej armii, która bezpośrednio po smutnym dniu 22 marca przedstawiała się jako niebezpieczeństwo w wysokim stopniu groźne. Jedyнным pozytywnym rezultatem kampanii zimowej dla Rosyan jest wzięcie głodem Przemyśla. Ale dzisiaj już wiadomo, że owładnięcie ruinami tej twierdzy nie stoi w żadnym stosunku do utraty terytorium na Bukowinie i południowo-wschodniej Galicyi, a tem mniej do udaremnienia ofenzywy karpackiej.

Obecnie rozpoczyna się kampania wiosenna. Armie nasze wchodzi w nią pod dobrmi wróżbami szczęśliwie i korzystnie przetrwanej kampanii zimowej. Wiosna nie będzie już, jak zima sojuszniczką Rosyi, lecz naszą. To samo słońce, które rychło wysuszy drogi nasze w Karpatach, to samo słońce, topiąc olbrzymie śniegi na terytorium galicyjskiem, przeistoczy je na przeciąg wielu tygodni w morze błota i wody wezbranych rzek. Rosyanie z kilku stron przez armie sprzymierzone pod Karpatami naciskani, utracą

bardzo wiele swobody ruchów. Podobnie jak nasze wojska to-
nęły niedawno w śniegu, tak teraz Rosyanie tonąć będą w błocie
z tą tylko różnicą, że pozycje ich są o wiele trudniejsze, a całe
położenie bardzo niebezpieczne. Niedarmo też prasa rosyjska już
od tygodnia przeszło stara się najwidoczniej przygotować swoją
publiczność na przyjęcie wiadomości o koniecznym... strategi-
cznym odwrocie. Po wzięciu Przemyśla, które dla pokrzepienia
serc obchodzono w Rosji z tak przesadną pompą, jakby to było
przynajmniej wzięcie Wiednia, teraz te mnożące się zapowiedzi
rychłego odwrotu są ogromnie charakterystyczne i stanowiąc będą
ciężką próbę cierpliwości i zaufania społeczeństwa rosyjskiego do
jego armii i jej dowództwa.

Ożywcze tchnienie wiosny budzi też w sercach naszych nową
nadzieję i wiarę w szczęśliwy ostateczny wynik tytanicznych
zmagających. A nadzieje te są ugruntowane na faktach niewątpliwych
i na trzeźwej i chłodnej ocenie dotychczasowych wyników wojny
i na ich stosunku do zużytych w nich po obu stronach sił.

Wiele przemawia za tem, że wiosna przyniesie bohaterom
armiom, austro-węgierskiej i niemieckiej, dobrze zasłużoną na-
grodę za ich wysiłki zimowe, że wchodzimy w okres przełomu
nie tylko zimowej i wiosennej kampanii, ale także przełomu
w całej tej straszliwej walce, w której szanse nasze wzrastają.

C A R W E L W O W I E

28 kwietnia 1915.

Car Wszechrosyi przybył do Lwowa i z balkonu pałacu na-
miestnikowskiego przemawiał do zgromadzonego ludu, wnosząc
okrzyk na cześć „jednej, niepodzielnej, potężnej Rosji“.

Lat temu dziesięć, dnia 22 stycznia 1905 roku lud peters-
burski niosąc chorągwie cerkiewne i święte ikony, wybrał się do
pałacu carskiego, aby — o swojej ciężkiej doli porozmawiać
z carem. Zamiast cara jednak zastał on pod pałacem zimowym
hufce gwardyjskie, które zagadały doń salwami karabinów i gwi-

zdem nahajów. Naiwną wiarę w możliwość rozmawiania ze swoim carem przypłacił lud petersburski stosami trupów, które nocami wywożono potem za miasto, i potokami krwi, które wsiąkły w brudny śnieg petersburski.

„Lud“ lwowski okazał się obecnie bez porównania szczęśliwszym, niż lud petersburski. „Lud“ lwowski dopuszczono przed stary empirowy pałac „pod kawkami“, który już wiele widział, ale cara jednak nie oglądał, a car sam wyszedł na balkon, aby ludowi powiedzieć, że jego zdaniem Rosya powinna być „jedna, niepodzielna i potężna“. Znamy dobrze „lud“ lwowski i jesteśmy przekonani, że niejeden w tym lwowskim tłumie, słysząc to twierdzenie carskie, pomyślał sobie: „Ta niech sy będzie, ale co mni do tego?...”

Istnieją pewne prawa przyzwoitości, których we własnym interesie nie gwałci się nawet w czasie wojny. Dotyczy to przede wszystkim monarchów, którzy w interesie powagi własnej i dostojęstwa, wystrzegają się wystąpień i sytuacji niejasnych i dwuznacznych. Jedno z takich praw przyzwoitości zakazuje — uprzedzać wypadki. To właśnie prawo Rosya od początku wojny gwałci najkonsekwentniej, urządzając się w Galicyi wschodniej tak, jakby istotnie była już niepodzielną i przez wszystkich uznaną panią tego kraju.

Jeżeli car przybył do Galicyi i Lwowa jako naczelny wódz swej armii, to niema w tem nic dziwnego. Jeżeli jednak car z balkonu pałacu cesarskiego, który nie przestał jeszcze być własnością cesarza Franciszka Józefa I, przemawia do tłumu ludzi, którzy nie przestali jeszcze być obywatelami państwa austriackiego i poddanymi cesarza Franciszka Józefa, to jest to postępowaniem, w sferach panujących dotąd nie spotykanem.

Nie siłą miecza i nie w czasie wojny, która się bynajmniej jeszcze nie skończyła, ale z mandatu całej Europy i za wyraźną zgodą sułtana, Austrya objęła przed 37 laty rządy Bośni i Hercegowiny. Trzydzieści lat trwały już te rządy, a cesarz austriacki ani razu nie stanął na ziemi bośniackiej właśnie dlatego, ponieważ okupacja, aczkolwiek z woli całej Europy i za zgodą samej

Turcyi dokonana i w rzeczywistości pełnemu władaniu równa, nie dawała mu jeszcze formalnego prawa wystąpienia na tej ziemi, jako jej monarsze. Okupacya bowiem zatrzymała fikcyę zwierzchnictwa sułtana nad temi ziemiami i monarcha austro-węgierski uważał za nieodpowiadające jego godności, naruszyć w czemkolwiek tę fikcyę.

Dopiero kiedy okupacya przemieniła się w aneksyę i kiedy sułtan turecki osobnym układem zrzekł się na rzecz korony habsburskiej swoich praw zwierzchniczych wobec Bośni i Hercegowiny — dopiero wówczas sędziwy monarcha uznał za możliwe dla siebie stanąć na ziemi bośniackiej i przyjąć należny mu hołd swoich nowych poddanych...

Car rosyjski, który w stolicy cudzego kraju z balkonu nieswojego pałacu i wbrew woli jego prawowitego gospodarza przemawia do „ludu“ na tematy, które nieobecnego gospodarza nic a nic nie obchodzą, widocznie mniej się krępuje. Doradcy jego widocznie nie zadają sobie pytania, co będzie, jeżeli prawowity gospodarz swego domu wróci i stwierdzi, że jacyś nieproszeni, niedelikatni goście rządzą tu wszechwładnie pod jego nieobecność.

Car Mikołaj nie będzie wdzięczny swoim doradcom za to, że mu we Lwowie taką wskazali rolę.

SAMORZĄD MIEJSKI W KRÓLESTWIE

29 kwietnia 1915.

Kiedy Stołypin zamierzał przystąpić do przeprowadzenia w Dumie ustawy o wydzieleniu Chełmszczyzny z obszaru Królestwa Polskiego i o zmianie ordynacji wyborczej do Rady państwa dla gubernii Litwy i Białorusi, mającej na celu zmniejszenie pochodzącej stamtąd reprezentacji polskiej w Izbie wyższej pseudoparlamentu rosyjskiego, obiecał jako ekwiwalent dla Polaków, wprowadzenie w Królestwie Polskiem w najkrótszym czasie samorządu miejskiego i ziemskiego, będącego niczem innym, jak tylko

rozszerzeniem obu instytucyj takiego samorządu, istniejącego już w pięćdziesięciu guberniach Rosyi europejskiej od lat blisko czterdziestu.

Ugodowe stronnictwa polskie przyjęły tę obietnicę jako wynagrodzenie za Chełmszczyznę, upaństwowienie i zrusyfikowanie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i przez długi czas motywowały swoją oportunistyczną politykę nadzieją na ten samorząd i względami na jego przyspieszenie.

Tymczasem Stołypin, a po jego zamordowaniu Kokowcew, zdążyli już dawno przeprowadzić swoje antypolskie i rusyfikacyjne ustawy, a obietnica obu samorządów dla Królestwa pozostawała dalej w sferze marzeń. Wreszcie przed dwoma laty rząd wniósł do Dumy projekt samorządu miejskiego¹, zachowując o ziemskim całkowite milczenie. Duma po długich debatach projekt ten z małemi poprawkami uchwaliła, poczem odesłała go do Rady państwa, której reakcyjna większość odrzuciła w nim postanowienia, dopuszczające używanie języka polskiego w obradach i wewnętrznem urzędowaniu. W ten sposób „poprawiony“ projekt wrócił znowu do Dumy, która po jakimś czasie przywróciwszy go do pierwotnej postaci, odesłała go znowu do Rady państwa. Tym razem już i rząd sam wyszedł z zachowywanej rezerwy i bronił energicznie projektu wobec nieubłaganej większości ego ciała, nawet kolportowano opinię samego cara, że projekt ustawy musi przejść w redakcyi Dumy. Wszystko to jednak nic nie pomogło i większość Rady państwa, głucha na wszelkie argumenty, na miesiąc przed wybuchem wojny po raz drugi odrzuciła całą ustawę znowu z tych samych powodów — nadmiernego uprzywilejowania w niej języka polskiego.

Na tem sprawa stanęła. Tymczasem wybuchła wojna. Naczelny wódz rosyjski wydał z Grodna słynny swój grunwaldzki manifest do narodu polskiego, w którym wzamian za połączenie się z Rosyą przeciw mocarstwu centralnym, obiecuje nam zjednoczenie ziem polskich w jedną całość autonomiczną, która „swobodna w wierze i języku“ pozostawiona będzie pod berłem Romanowów. Prasa rosyjska zaczęła prześcigać się w obietnicach

pod adresem Polaków. Obiecywano nam już nie tylko Poznańskie i Prusy, ale ujście Wisły wraz z Gdańskiem. Lecz samorządu miejskiego, przed laty już przyrzeczonego i po dwakroć przez Dumę uchwalonego, jak nie było, tak nie było. Wreszcie na początku dziewiątego miesiąca wojny, car rozporządzeniem z dnia 4 kwietnia b. r. wprowadził ustawę o tym samorządzie na podstawie § 87 konstytucji rosyjskiej, odpowiadającego — jak wiadomo — § 14 konstytucji austriackiej. — Tak więc pierwszy akt „wyrównania polsko-rosyjskiego“ — ustawa o samorządzie miejskim, bardzo ciasnym i lichym, nie zdołała przejść normalnej drogi ustawodawczej, lecz po ośmiu miesiącach wojny, po tysiącach obustronnych zapewnieniach, została wprowadzona w życie — rozporządzeniem carskim. Jeżeli to ma być wróżba dla dalszego toku owego „wyrównania“, które miałyby przeprowadzić oba ciała prawodawcze rosyjskie, to wróżba ta byłaby złą.

Ale może samorząd miejski dla Królestwa jest istotnie czemś tak epokowym w rozwoju polsko-rosyjskich stosunków, że nie można było z nadaniem go zbyt spieszyć? Otóż nie. Nadanie tego samorządu to tylko usunięcie jednej z najbardziej krzyczących krzywd, jakich Królestwo Polskie ze strony rządu rosyjskiego doznawało i doznaje. Samorząd ten, to nic więcej, jak ogromna łaska zrównania Warszawy i miast Królestwa z miastami Rosyi i umożliwienie im, w ciasnym zresztą zakresie, wyrównania tych straszliwych braków i naprawienia nieopisanych spustoszeń, które w życiu tych miast i ich rozwoju wyrządziły długoletnie rządy policyjne.

Nawet w porównaniu z miastami rosyjskimi, miasta Królestwa Polskiego przedstawiały już tak straszny obraz zaniedbania i zastoju gospodarczo-kulturalnego i sanitarnego, że stanowią pod tym względem rzecz nieznaną nigdzie indziej w Europie i dalszego trwania ich w tym stanie nawet administracja rosyjska tolerować dłużej nie mogła we własnym swoim interesie.

Nadany wśród tylu trudności nieszczęsny ten samorząd jest pod każdym względem karykaturą samorządów miejskich w Eu-

ropie. Kompetencya jego ogranicza się do najkonieczniejszych funkcyj gospodarczych i sanitarnych miejskich, podczas gdy zakres działania w dziedzinie życia kulturalnego przez wyjęcie zeń zupełnie spraw szkolnictwa przedstawia się niezmiernie mizernie. Tak więc to, co w naszym samorządzie miejskim jest najważniejszym i przedstawia największą wartość, więc szkolnictwo miejskie, to w samorządzie miejskim Królestwa Polskiego nie istnieje wcale.

Samorząd ten ma jednak jeszcze jedną bardzo słabą stronę. Oto nie stanowi on organicznej części jakiejś skończonej budowy życia samorządowego, ale wyrwany niejako z całości, wisi w powietrzu, zdany wyłącznie na łaskę i niełaskę administracyi państwowej, która posiada nad nim „ius gladii“ w najdosłowniej- szym znaczeniu. Podczas gdy samorząd miejski u nas w Galicyi stanowi jedno ogniwo w całym systemie życia samorządowego od najniższej jego komórki, gminy wiejskiej, aż do najwyższej organizacyi, Sejmu krajowego, i jego wykonawczego organu — Wydziału krajowego, to w Królestwie nadany tam świeżo samorząd istnieje niejako sam dla siebie, nie oparty o żaden system życia samorządowego, o żadną wyższą władzę samorządną, nie wynikający bynajmniej z przeprowadzonej konsekwentnie zasady samorządnej.

Oczywiście w stosunku do tego, co miasta polskie w Królestwie do tej pory posiadają, i ten lichej i na łaskę administracyi rosyjskiej zdany samorząd miejski przedstawia niewątpliwą wartość praktyczną. Jeżeli jednak rozpatrywać go mamy, jako t. zw. „pierwszy krok“ ku autonomii i ku urzeczywistnieniu tych wszystkich hojnych obietnic, któremi sypnął manifest w. ks. Mikołaja Mikołajewicza, to niepodobna nie widzieć, że w danych warunkach miejsca i czasu, jest on raczej tych obietnic jaskrawem zaprzeczeniem, niż potwierdzeniem i wykonaniem chociażby tylko częściowem.

T R Z E C I M A J A

2 maja 1915.

Na ziemi, która ciągle jeszcze spływa krwią, wśród zgliszcz, które wciąż jeszcze dymią, wypada nam obchodzić tegoroczne święto narodowej naszej wiosny. Najpotężniejsze narody świata z wytężeniem wszystkich swych tytanicznych sił walczą o swoją przyszłość. — Każdy ugina się dzisiaj pod brzemieniem olbrzymiego zadania, które postawił mu los. — Nikt jednak nie dźwiga brzemienia tak ciężkiego, jak Polak. Rozdarcia przekleństwem skazany na służenie trzem panom, drobniuchną tylko resztkę swych wielkich sił poświęcić może sobie i swojej własnej przyszłości. — Z heroizmem ofiary, którą polskie tylko serce ponosić i polska tylko głowa rozumieć może, dobywa dzisiaj Polak ostatka sił, toczy ostatnią kroplę krwi i oddaje ostatni grosz, aby przy tym krwawym warsztacie wojennym, na którym narody swoje losy kształtują, także i dla siebie i dla swoich losów miejsce jakieś znaleźć.

W szeregu pokoleń rozdartej Polski, z których każde krwią swoją wieczne i niezłomne dążenie do wolności pieczętowało, nam przypadło zadanie największe i najcięższe. Kiedyś dopiero, kiedy rozprószy się ten krwawy opar, który ziemię naszą od jezior Mazurskich po szczyty Karpat przysłania, potrafimy ocenić jasno, oraz dokładnie, co nam w tym roku strasznym wzięto i cośmy sami dali. — Dzisiaj czujemy tylko, że za nieszczęście i grzech niewoli przyszło nam zapłacić najwięcej i że wysiłek nasz własny, na który zdobyła się w nas wola do wolności i swobodnego rozwoju, godzien jest stanąć wobec największych ofiar, jakie na ołtarzu tej wolności poprzednie pokolenia składały.

Robi się dzisiaj historia... A ogrom jej jest taki, że do wymierzenia go i objęcia potrzeba będzie pracy szeregu następnych pokoleń. Miejmy dumną śmiałość stwierdzenia, że historia ta nie robi się bez nas, że i my także, pod względem liczby piąty z kolei naród europejski, mimo półtorawiekowego rozdarcia i nie-

woli, znaleźliśmy dość sił, aby w ten rozpętany nad Europą huragan rzucić swoje własne słowo: Jesteśmy i ani na chwilę nie przestaliśmy być!

Z tem uczuciem szlachetnej dumy uczcijmy dzisiaj cienie twórców Konstytucyi Trzeciego Maja i ich wielkie dzieło. — Aczkolwiek zaślepienie swoich i przemoc wrogów udaremniły urzeczywistnienie tego dzieła, to jednak wiekuiwą jego wartość stanowi fakt przez wyciężenia, którego aktem w pierwszym rządzie jest Konstytucya Trzeciego Maja. — Twórcy jej przezwyzięli w niej dwa zasadnicze przesady, które w ciągu dwuwiekowego chorzenia państwa polskiego urosły do wysokości jakichś — „cnót“ zaiste złowieszczych. — Wyłączność kastowa szlachty i jej kult dla złotej wolności, czyli anarchii: oto te dwa najcięższe wrogi Polski, które Konstytucya Trzeciego Maja przezwyzięła. Polska, osaczona przez wrogów wewnętrznych, znalazła największą siłę i najwyższe męstwo, jakich potrzeba do przezwyzięcia swych własnych błędów i własnej słabości.

To też w Konstytucyi Trzeciego Maja naród nauczył się widzieć przedewszystkiem moralny testament zapadającej w letarg niewoli Polski państwowej. A treść tego testamentu — przezwyzięcie przedewszystkiem tych czynników upadku i niewoli, które tkwiły i niestety ciągle jeszcze tkwią w nas samych.

Najwyższe i najofiarniejsze wysiłki wszystkich pokoleń, które testament ten wzięły po twórcach Konstytucyi Trzeciego Maja, były także przedewszystkiem przezwyzięciem zwątpienia i niewiary w możność skutecznego oparcia się straszliwej przemocy wrogów. Objąwszy okiem całą przestrzeń dziejów naszej niewoli, z dumą możemy stwierdzić, że linia tego najcięższego pokonywanego przez nas oporu, biegnie przez nią znaczone mocno i prosto.

Dzisiaj nasze pokolenie znajduje się na tej linii. Dzisiaj na nas kolej dowieść, że szyje nasze nie zrosły się jeszcze z obrozą, że kajdanami nie zapomnieliśmy targać, że mamy w sobie dość tej siły moralnej, która tak wspaniale zajaśniała w Konstytucyi Trzeciego Maja, a której przedewszystkiem potrzeba, aby kajdany

te ostatecznie zerwać. Dziewięć miesięcy strasznej wojny i tyleż miesięcy bohaterskich wysiłków Legionów polskich dowiodły już, że najcenniejszą spuścizną ojców i dziadów naszych — wiarę w lepszą przyszłość i wolę do niej zachowaliśmy w całości nie-naruszoną i — o ile to możliwe — jeszcze spotęgowaną. Przechowujmy i powiększajmy ten skarb wiary głębokiej i woli niezłomnej — nadal, bo w ten sposób najgodniej uczymy pamięć wiekopomnego aktu Trzeciego Maja.

P O G R O M

10 maja 1915.

To słowo, które cisnęło się na usta od początku straszliwej bitwy majowej i od pierwszych ujawnionych jej rezultatów nad Dunajcem, to słowo, którego jednak zwykła ostrożność i pamięć na zmienną kolej wojny, wymówić nie pozwalały, to słowo można już dzisiaj wypowiedzieć spokojnie i bez obawy o zbytnią pochopność w sądzie. A słowo to brzmi — pogrom. Dwie potężne armie, które przed dziesięciu dniami jeszcze stały, jak nieprzebite ściany żywe, najdalej na zachód i południe w Karpatach i na Węgry wysunięte, dziś nie istnieją. Zrzucone potężną siłą nagłych uderzeń z zachodu i południa, zwały się na siebie, jedna zwiększając pogrom, chaos i rozprężenie drugiej. Pozostały z nich tylko bezkształtne masy. Dusza żywej i celowej organizacyi z nich uleciała. Doświadczenie zaś wszystkich wojen uczy, że żołnierz, który przeszedł raz piekło panicznej ucieczki i gehennę tłoku na wąskich drogach pod ogniem ścigającego nieprzyjaciela, jeżeli uniósł nawet szczęśliwie życie, stracił jednak na zawsze psychikę żołnierską, gdyż uciekła zeń zdolność opierania się czemukolwiek, nerwy jego już nie wytrzymują żadnych napięć wojennych. Jest to już biedny, przerażeniem ślepeń pędzony człowiek, a nie żołnierz. Armie, które doznały takiego pogromu, jak obie rosyjskie nad Dunajcem i w zagłębiu Dukielskiem, te armie przestały już istnieć. Jeżeli zaś resztki ich uciekają, to tem gorzej dla innych

armij, którym niosą zarazę strachu i całkowitej demoralizacji żołnierskiej. Z punktu widzenia psychologii wojskowej byłoby właściwie lepiej dla dowództwa pobitej strony utracić rozgromione armie w zupełności, niż ocalić ich resztki, które w resztę wojsk wniosą tylko zarazek rozkładu i niewiary w możliwość wygrania.

Taki pogrom przypadł w udziale Rosyanom pod Mugdenem w marcu. Cofnęli się wtedy o sto kilometrów ku północy i aczkolwiek uzupełnili straty i byli długi czas silniejsi nawet, niż Japończycy, nie ważyli się atakować, bo katastrofa pod Mugdenem złamała w tej armii jej kościec moralny, ponieważ odebrała jej wiarę w możność zwycięstwa.

Niedawno pisałem na tem miejscu o „błędzie w otwarciu“ rosyjskiej partyi, dochodząc do wniosku, że błąd w otwarciu mści się najdotkliwiej — w końcówce. Klasyczny przykład tej zemsty popełnionego na wstępie błędu mamy teraz przed oczyma. Cała strategiczna budowla rosyjska rozsypuje się w gruzy, a z nią w nicość zapadają rezultaty dziesięciomiesięcznych wysiłków, ofiar i strat nieprawdopodobnie ogromnych. To, co jeszcze przed piętnastu dniami wydawało się korzyścią pozycyj rosyjskich i zdobyczą rosyjskiego kierownictwa, staje się dzisiaj fatalnością armii rosyjskiej i straszliwym błędem jej kierownictwa. Weźmy taką Dukłę. Zdawało się, że Rosyane jednakowoż posiadli pewne zdolne do rozwoju korzyści, wgrzyźszy się w masyw karpacki i usadowiwszy się w przesmykach dukielskich. Stąd wszakże mogą zawsze przy sprzyjającym całokształcie warunków wlać się szerokim strumieniem na Węgry. Tymczasem w rzeczywistości posiadanie tych przesmyków stało się ich klątwą. Zwróceni frontem ku południowi, wstrzymani w swym pędzie na Węgry przez nieprzerwane kordony armij sprzymierzonych, równocześnie sami sobie zatarasowali drogi górskie olbrzymimi trenami swoimi, zakorkowali się niejako w tych przesmykach, tak, że kiedy przyszło nagle uciekać, aby uniknąć najdosłowniejszego zgniecenia, okazało się, że niema którejdy, bo ciężkie i mało ruchliwe masy trenu zatarasowały drogi odwrotu. Ambicya Mikołaja Mikołajewicza, aby jak najrychlej dostać się na Węgry, zniszczyć i opa-

nować ten spichlerz środkowej Europy, zagrozić bezpośrednio Wiedniowi i błysnąć przed Bałkanem swoją potęgą, parła Rosyan ku Karpatom, zanim zabezpieczyli sobie olbrzymią flankę od Libawy po Gorlice. I flankę tę pękła nagle. A skutki tego pęknięcia są takie, że Rosyanie są dzisiaj na najlepszej drodze do utraty wszystkich rezultatów dotychczasowej kampanii, a razem z nimi jej samej...

O ile mądrzejszem, wytrawniejszem i jak gdyby rasowo wyższem było kierownictwo armij sprzymierzonych. Aczkolwiek miały one ku temu także dość sposobności, aby olśnić świat jakąś okupacją ogromną — lewy brzeg Królestwa wraz z Warszawą był przez cały sierpień wolny i dojrzały do „wzięcia“ — nie poszły na to, ale w trafnej ocenie stosunku sił i swoich na jego tle zadań, budowały swe dzieło strategiczne powoli, konsekwentnie, ani na krok nie odstępując od głównej swej myśli przewodniej: zniszczyć najpierw armię nieprzyjacielską. Wyższość tego pozytywizmu nad pełną orientalnej pychy romantyką rosyjską, dzisiaj ujawnia się w całej pełni. Rosyanom brakuje tchu, a potężna organizacja nie tylko ludzi, lecz myśli i woli, jaką przedstawiają armie sprzymierzone, pracuje jak precyzyjna maszyna.

Libawa wzięta. Ryga będzie wzięta. Całe olbrzymie dziedzictwo Piotra Wielkiego, ów brzeg morza Bałtyckiego, o który car ten wytoczył tyle krwi rosyjskiej, grozi odpadnięciem od Rosyi. A tymczasem car jej wypoczywa dopiero po trudzącej podróży po Galicyi wschodniej, którą proklamował ziemią rdzennie rosyjską. Złą usługę powadze władzy carskiej oddali doradcy cara, wysyłając pana swego do Lwowa i do miast galicyjskich i dyktując mu pełne pychy słowa o wielkiej, zjednoczonej i niepodzielnej Rosyi. Dzisiaj już te słowa brzmią złowieszczą dla Rosyi ironią. Jutro mogą stać się dla niej przekleństwem.

Potędze rosyjskiej zadany został straszliwy, decydujący cios. I to w momencie, w którym, jak wzdęta nad miarę fala, zaczynała ona już łamać się niejako sama w sobie. Jest zupełnie wykluczonem, aby Rosya mogła uzupełnić i wyrównać poniesione straty. W rowach strzeleckich ogromna większość poległych tam

Rosyan — to młodzież nieletnia, dla której nie miano już nawet mundurów żołnierskich. Leżą tam ci synowie dalekich stepów w swoich świtkach rodzimych i w łapciach na nogach. — Oślepią zbrodniczą fikcją panowania nad światem, władza carska wyrwała ich ze wsi, rzuciła na daleki i obcy im Zachód i wydała śmierci okrutnej, a niepotrzebnej. Zmarnowali ci biedni barbarzyńcy młody plon pracowicie wytworzonej, obcej im kultury naszego kraju, stratowali go i zgnietli i teraz mordują się wzajemnie, nie mogąc w ucieczce panicznej zmieścić się na wązkich drogach...

Nad Dunajcem zaczął się zmierzch rosyjskiego bóstwa ludozerczego imperyalizmu, fantastycznie udrapowanego płaszczem utopijnego panslawizmu. Na brzegach tej polskiej rzeki złamała się potęga carów białych. — Dunajec nie chciał skrócić w stronę matuszki Wołgi... Historia — wielka mistrzyni zbuduje jeszcze coś wielkiego na fundamencie tego faktu.

ODZYSKANIE PRZEMYSŁA

4 czerwca 1915.

Nie cieszymy się zdrowiem. Cieszymy się — odzyskiwaniem zdrowia. Gdyby ta straszna wojna potoczyła się była torem, jaki sobie niejedni wyobrażał, gdyby nam w udziale przypadły same zwycięstwa łatwo i bez ofiar, częstokroć najokrutniejszych, byłoby to niewątpliwie bez porównania praktyczniej, ale tylko — praktyczniej. Bo cała tragiczna istota wojny, która ze swoją gehenną zwątpień i wzlotami nadziei jest właściwie jedynie w tem strasznym zjawisku piękną — byłaby pozostała zasłoniętą przed nami. Wojna byłaby nas cieszyła, napełniała dumą i pewnością siebie, ale nie — wychowywała. A tymczasem kto wie, czy jedyną trwałą wartością, którą stwarza wojna, nie jest — charakter, charakter jednostek zarówno jak całych zbiorowości. Kto wie, czy wychowawcze znaczenie wojny nie jest największem dziejowem

znaczeniem tego zjawiska wspaniałego, lecz jakże absolutnie nieracjonalnego?

Twarda szkoła dziesięciomiesięcznej wojny nie oszczędziła nam niczego. Każdy z nas może o sobie powiedzieć, że przeżył wszystko, że wykosztował czarę do dna. Wiemy, co znaczy smutek w tej wojnie. Teraz dowiadujemy się, jak się w niej można radować. Od miesiąca żyjemy już tą radością, cichą, spokojną radością, którą napędza osiągnięty rezultat ciężkiego ostatecznego wysiłku. To nie oszałamiający hałas wesołości szczęśliwych graczy, to poważna, głęboka radość strudzonych pracowników, którzy w krwi, znoju i wszystkim możliwym bólu wykuwają sobie nowe, lepsze jutro.

Gdyby wojska Austrii wzięły Kijów i posunęły się pod Moskwę, rozbijając jak huragan stawiane im przeszkody, to byłoby bardzo efektowne, ale w gruncie rzeczy mało — pouczające. Lecz wojska te odzyskały — Przemysł. Stary nasz gród czerwieny wrócił znowu do prawego swego właściciela, znowu przywrócony został temu życiu, które w nim niedawno jeszcze tak bujnie kwitło — polskiemu życiu. I to nas więcej, głębiej i mocniej cieszy, niż wszelkie niesłychane tryumfy, bo w tem odzyskaniu widzimy ogrom, niebywały ogrom heroicznego wysiłku i tryumf woli i charakteru nad potęgą nieprzejrzanej czerni wojsk carskich.

Nagle, jak gdyby na scenie z nienacka odsłoniętej, rozwinął carat cały ogrom sił swoich. Pokazało się coś, czego oczy ludzkie dotąd nie oglądały. Miliony wojsk, które widziane z góry, wyglądały jak szaro-zielona szarańcza, zaścielająca setki kilometrów kwadratowych, — dwie trzecie Europy i pół Azji stanęło na zawołanie carskie przeciw nam. Stanęło zbrojne, doskonale ubrane i po królewsku zaopatrzone. Już sama próba oparcia się tej niebywałej lawinie ludzkiej była heroizmem. Jakże nazwać odparcie jej i zniszczenie?

I te straszne wojska carskie zalały nasz kraj. Jeden jedyny warowny Przemysł sterczał długo nad falami tego potopu, urągając ich uderzeniom, aż wreszcie i on padł, ale nie od naporu wrogów, lecz z głodu. Wojska carskie zajęły dumną twierdzę,

a wieść o tem obleciała cały świat jako wieść zwycięstwa ogromnego, jako dowód, że Rosya spełnia nadzieje swoich sojuszników i — wierzycielek.

Dzisiaj leci w świat druga wieść — Przemysł Rosyanom został odebrany. Olbrzymie masy wojsk carskich nie wystarczyły, aby utrzymać w ręku to, co im głód nieubłagany dał przed dwoma miesiącami w ręce. Wojska carskie rozbite. Dwie trzecie Europy i pół Azji nie wystarczyły, aby odeprzeć nowy atak woli i charakterów, które stwarza kultura. Byłoby to stało się już dawniej. Ale siły przyrody, które zmogły Przemysł, nie dopuszczały także i odsieczy do niego. Z początkiem marca strażę przednie wychodzącej na wycieczki załogi przemyskiej stykały się już ze strażami przednimi wojsk austriackich, idących ku Przemysłowi z gór od Cisny i Baligrodu. Ale ślepe siły przyrody udaremniły wówczas te heroiczne wysiłki. Odsiecz po dwakroć tonęła w dwumetrowym śniegu. Lecz kiedy zaświeciło wreszcie wiosenne słońce, stopiło śniegi i osuszyło ziemię, szanse nie tylko wyrównały się, natychmiast ujawniła się wyższość olbrzymia świadomej i konsekwentnej woli nad romantyką nienasyconej zabobroczności carskiej i nad biernością pędzonych przez nią mas nieprzejrzanych. Stała się rzecz w dziejach niebywała — twierdza głodem wzięta, mieczem została odebrana.

Jest w tej wojnie głęboka logika, zawilsza, niż najmądrzejszy system, jasna jak dzień biały. Jest to logika życia. Odebranie Przemysła, to wielkie święto tej tajemniczej siły niezgłębionego rozumu, który tkwi w rzeczywistości życia. Potrzeba będzie lat długich i pokoleń całych, zanim wyczerpią one wszystką mądrość, która się w tych wypadkach kryje. My, radośni ich świadkowie, możemy tylko czuć, że stało się coś epokowego w tej wojnie, która sama z kolei stanowi — epokę w dziejach świata. Za wielkie bowiem to wszystko przybrało rozmiary, zbyt rozszerzyły się ramy tego nigdzie jeszcze i nigdy niewidywanego obrazu, aby myśl analizująca i oceniająca mogła ten obszar niezmierny ogarnąć. Olbrzymia armia rosyjska kruszy się, jak bałwan straszliwy z wyschniętej gliny. Ona jeszcze jest i jeszcze

ciągle ma dość czapek, aby niemi połowę Europy zarzucić, ale złamał się w niej ten obcy jej naturze duch, który w nią tchnęła wola jednostek nadludzko chciwych i nadludzko hardych, wola nie życia i nie prawdy, ale wola pychy bezprzykładnej, wola kłamstwa i zbrodni. To jest fakt już dzisiaj niewątpliwy. Świadomość tego faktu może nam też na dzisiaj najzupełniej wystarczyć.

W D R O D Z E K U L W O W U

8 czerwca 1915.

Stalowy półkrąg, którym zwycięskie wojska sprzymierzone zamykają centrum armii rosyjskiej, zacieśnia się coraz bardziej. Od dolnego Sanu aż po Dniestr pod Żurawnem sięga ten straszliwy łuk ze stali, który coraz bardziej zbliża się ku — Lwowu.

Z końcem sierpnia zeszłego roku Lwowianin, wyszedłszy na górę Zamkową, lub lepiej jeszcze na wzgórza wuleckie, mógł słuchać huku armat, nawet obserwować ich błyski. Wówczas przybliżający się ten huk zwiastował mu jednak coś straszego, coś, co przekraczało niemal zdolność wyobrażenia. Każdy strzał armatni godził wówczas w polską patryotyczną duszę Lwowianina, każdy pogłębiał tę przepaść, która się nagle przed nogami jego rozwarła.

Pierwszą reakcją na wieść o zbliżającej się powodzi rosyjskiej była panika, która owładnęła mieszkańcami Lwowa jeszcze na tydzień przed katastrofą jego zajęcia. Z opowiadań świadków naczynych wiadomo, że był to nagły jakiś wybuch nieopisanego przerażenia. Ludzie, całe ogromne gromady ludzi, jak gdyby przez potworne widma jakiegoś ścigane, wybiegły na ulice i pędziły przed siebie na oślep w złudnym mniemaniu, że ujdą moskiewskiego najazdu. — Potem przyszło piekło trzydniowej ewakuacji. Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim dowiemy się dokładnie, co się tam wówczas działo na wielkim dworcu lwowskim i w jego sąsiedztwie. A może się już wogóle nigdy nie dowiemy, ile „sztuk“ mieściły w sobie stopy poduszonych w natłoku dzieci,

które służba kolejowa układała na uboczu, ilu ludzi wyszło z tego piekła z potarganymi na całe życie nerwami, z ranami duszy, które się nigdy już nie zagoją.

A kiedy się już tak nasz polski Lwów przygotował na przyjęcie — strasznych „oswobodzicieli“, przyszła owa pamiętna środa, w której Mickiewicz, stojący u stóp swojej kolumny, ujrzał dokoła siebie harczących — kozaków... I nagle, jak gdyby rozstąpiła się ziemia, Lwów nasz drogi, nasz umiłowany, nasz tyle razy i z takimi ofiarami w przeszłości dalszej, bliższej i najbliższej broniony Lwów, odszedł od nas, gdzieś strasznie, strasznie daleko. Stał się, jak gdyby wspomnieniem tylko. Był, lecz już go niema. Pasma ognia i strumień krwi oddzieliły go od nas. A w miarę, jak upływały straszne miesiące jesieni i zimy, oddalał się od nas coraz bardziej, jak gdyby roztopiał się w bezmiarze tego pustkowiecia moskiewskiego, które go w siebie chciwie wssało.

Lecz jeszcze stał Przemyśl. Niejeden Polak lwowski wyszedłszy w cichą noc zimową za grodecką rogatkę, mógł, dobrze się w tę ciszę wsłuchawszy, usłyszeć głuchy huk, jak gdyby odległy grzmot. To ciężkie działa przemyskie słały mu swe pozdrowienie i jak gdyby mówiły: dopóki my gadamy, nadziei nie trać!

Ale z końcem marca i te ostatnie odgłosy zamilkły. Przygłuszyła je dzika wrzawa tryumfu bezsilnych nad wygłodzonymi. A potem zapanowała już cisza. I niejeden już myślał, że to już cisza grobu, że wyrok dziejów zapadł już nieodwołalny, że ten bezmiar wysiłków polskiej kultury, polskiego mózgu i polskiego serca, który żyje w tym Lwowie, przepadł już dla na zawsze.

Lecz oto minęła straszna zima. Zazieleniły się wzgórza lwowskie, a Lwowianin, wyszedłszy na nie, może znowu, tak samo jak w sierpniu roku zeszłego, dosłuchać się tych grzmotów strasznych, które wówczas tak dobrze poznał. Lecz tym razem słucha ich on z pewnością nie jak podzwonnego na jakimś pogrzebie potwornym, ale jak dzwonów wielkanocnych, gdy zmartwychwstanie zwiastują. Tym razem dusza lwowska z pewnością nie ucieka już od tych dźwięków na oślep, gdziekolwiek, byle naj-

dalej od nich, lecz przeciwnie, chłonie je w siebie chciwie, ponieważ czuje, że na tych falach wstrząsanego potężnymi strzałami powietrza płynie ku niej nadzieja szybkiego wyzwolenia od — wyzwolicieli. Od Mikołajowa, od Żydaczowa z nad Dniestru płyną dzisiaj te dźwięki straszne, lecz jakże tym razem miłe polskiemu uchu.

We wrześniu płynęły przez Lwów zastępy wojsk carskich. Nieprzejrzana czerń Chmielnickiego, która ongiś rozlała się była pod murami tego miasta, była drobną sadzawką w porównaniu z tem morzem ludzkim, które wysoko wzbityą falą zalało Lwów w jesieni. Patrzyli na ten bezmiar rodacy nasi i czuli, że przytłacza ich jakiś ogrom, coś olbrzymiego i nieodpartego, coś jak fatum okrutne nieuchronnego. A dzisiaj widzą znowu tę samą falę jak wraca, już niższa znacznie i postrzępiona straszliwie, jak wraca i jak pospiesznie umyka. Ciszej brzmieć tam muszą „udałe“ śpiewki żołdackie, skromniej okrzyki oficerów, rozsiadających się po lwowskich — „kofiejniach“ ...

Przez Lwów, którego serce polskie bije dzisiaj z pewnością jeszcze silniej, niż przedtem, który oczyścił się ze złudzeń i wmówień zaślepionego sekciarstwa jednostek natrętnych i hałaśliwych, płynie dzisiaj ożywczy prąd nadziei. Już tam z pewnością usuwa się w dal wspomnienie wizyty carskiej, z której powoli wykułtuwa się anegdota ucieczna. A miejsce jej w świadomości ogólnej zajmują cisnące się drzwiami i oknami wieści o tem, że Przemyśl odzyskany, że od zachodu i południa zbliża się potęga wojsk sprzymierzonych, która wyzwolenie niesie — wyzwolonym.

A na ratuszu lwowskim, niby sternik u steru, stoi mąż znakomity, serce wielkie i głowa wielka — Tadeusz Rutowski. On czuje z pewnością te drgnienia swojej nawy, którą nowy prąd chwyta już na swe barki i znowu przodem ku Zachodowi zwraca. On też, ten wielbiony przez całe miasto jego opiekun wprowadzi je tak samo zęczenie i szczęśliwie z powrotem na dawny, a jednak nowy dzisiaj prąd życia, jak przeprowadził je przez wiry najazdu moskiewskiego.

A R C Y K S I Ą Ż Ę O L E G I O N A C H

9 czerwca 1915.

Nad Koprzywianką bił się szósty batalion pierwszej brygady Legionu pod dowództwem Fleszara tak, że w podziw wprawił najzaprawniejszych w boju świadków tej bitwy, a dowódcę dotyczącej armii, marszałka polnego-porucznika arcyksięcia Piotra Ferdynanda, skłonił do wydania pochwalnego rozkazu dziennego. „Przepełniony jestem — mówi arcyksiążę — szczególną radością, że mogę wybitnemu komendantowi, walecznym oficerom i bohaterskim żołnierzom tego batalionu wyrazić za walki, przeprowadzone z wielkim rozmachem nad Koprzywianką, w imieniu najwyższej służby moje najpełniejsze i największe uznanie. Nie omieszkać przy sposobności donieść J. C. Mości, najwyższemu wodzowi o dzielności bojowej i ochocie do walki polskiego Legionu i liczę także i nadal na wypróbowaną waleczność Legionistów.“

Piękne i jasne są słowa, jak pięknem jest męstwo Legionistów naszych i jasnymi pobudki, z których ono płynie. W ciągu dziewięciomiesięcznej bojowej działalności swojej obie brygady Legionów okryły się sławą wielką i zdobyły sobie wśród wojsk współwalczących takie uznanie, że w wielu punktach i odcinkach stały się niezbędnymi niejako. Zimowa kampania karpacka drugiej brygady stanowi wysiłek, nawet w dziejach tej wojny pierwszorzędnym i dominującym. Pięć miesięcy bojów w awangardzie w najdzikszej części Wysokiego Beskidu, pięć miesięcy marszów po lasach nieprzebranych, szczytami dzikich gór, bezdrożach, w zaspach śnieżnych, najczęściej o kilka mil od trenów, szpitali i wszelkich innych punktów oparcia, a wśród tego wszystkiego kilkadziesiąt bitew i tyleż potyczek zawsze krwawych, zawsze z przeważającym liczebnie wrogiem — to wszystko wystarczyłoby na wieniec niewiędzącego lauru dla najwypróbowanego i najstaranniej dobranej korpusu. Cóż mówić o dwóch pułkach młodzieży, często chłopców od ziemi dopiero dorosłych, którzy wy-

szedłszy z ciepłych gniazd rodzinnych wprost na pole bitwy, tego wszystkiego dokonały?

Pierwsza brygada Piłsudskiego, operująca w Polsce, ma za sobą pochód na Iwangród we fłance armii pierwszej, wspaniałą odwrót dosłownie środkiem pomiędzy dwoma korpusami rosyjskimi do Krakowa, potem wybitny udział w zwycięskich bojach armii czwartej na przestrzeni Limanowa—Łapanów—Bochnia—Dunajec, wreszcie po krótkim wypoczynku nowa akcja rozpoczęta po dłuższem czuwaniu nad Nidą i odbywająca się obecnie w kierunku ku Wiśle.

Czysto przedmiotowa historia walk, stoczonych dotąd przez Legiony, objęłaby gruby tom. Wyczytałby tam każdy opisy szturmów nieustraszonych, manewrów zmyślnych, przykłady zimnej krwi zupełnie zdumiewające. Ale niema w tej historii i być nie może jednego faktu małoduszności jakiegś, trwogi czy paniki, jak gdyby ci chłopcy polscy w domach swych rodzinnych pozostawiali nerwy i te wszystkie arcyłudzkie uczucia, które sprawiają, że nawet najdzielniejsi miewają swoje słabe chwile.

Naród nasz, powołując do życia te pułki, nie tylko nie zawiódł się w pokładanem w nich swoim zaufaniu. — Przewyższyły one bowiem wielokrotnie nadzieje i oczekiwania, wyrastając na wspaniałą reprezentację siły życiowej, męstwa i honoru polskiego narodu. Na krwawej tablicy dziejów światowej wojny Legiony nasze głęboko wyryły imię polskie i sławę oręża polskiego, a sława ta idzie daleko poza granice naszego kraju i państwa. Wiemy, że obce wojska, nadciągające na Wschód z dalekich stron zachodnich, z ciekawością dopytują się o Legiony, witają z entuzjazmem napotkanego Legionistę.

Rzucony więc ten bohaterski siew polski nie zmarniał, lecz zeszedł bujnie i rośnie. O owoce oczywiście nie czas jeszcze skwapliwie dopytywać. Nigdzie ich dotąd nikt nie zebrał. Trudno przeto wymagać, aby także i Legiony nasze mogły już dać narodowi to, czego z drzeniem serca oczekuje, co je same pędzi od boju do boju zawsze jednakowo nieustraszone, świeże i przedsiębiorcze.

Teraz jedna tylko może być troska, aby z tego, co już Legiony dla Polski wywalczyły, nic nie uronić. Potrzeba, aby naród własny nie dał się uprzedzić obcym świadkom w miłości, uznaniu i pieczołowitości dla Legionów. — Potrzeba, aby przedewszystkiem w nas samych nie słabło przekonanie, że wszystko, cośmy w tej strasznej chwili przełomowej zrobić mogli, stanowią właśnie Legiony i tylko Legiony, jako jedyny fakt realny, przez obcych uznawany.

Arcyksiążę Piotr Ferdynand, sam wojownik wypróbowany, oddał sprawiedliwość wojownikom polskim. A od tego faktu niedaleko już do oceniania i uznania tych wielkich i wspaniałych możliwości, które tkwią w Legionach i które przy drobnej zmianie warunków atmosfery politycznej mogłyby się stać rzeczywistością. Byłoby bardzo szczęśliwym, gdyby ocena i uznanie tych możliwości przyszły jak najrychlej.

N O Ż Y C E S T R A T E G I C Z N E

13 czerwca 1915.

Ze wszystkich toczących się obecnie wojen przebieg najbardziej typowy i jasny ma niewątpliwie olbrzymia kampania rosyjska. — Okres wojny w tej kampanii był stosunkowo krótki, koncydując z okresem zimowego zastoju operacyjnego. A nawet i w okresie tym pozycyjnym, ogólny schemat strategiczny rozłożenia wojsk obustronnych nie tracił nic na swojej przejrzystości. W przeciwstawieniu do terenu francuskiego, na którym już we wrześniu ustalił się typ kampanii nie tyle nawet pozycyjnej, ile wręcz — kordonowej, na terenie rosyjskim konfiguracja frontów zachowała nawet w czasie największego zastoju w operacjach typ wyraźnie strategiczny.

Po dziesięciu miesiącach kampanii, nawet laik, uważnie jej perypetye śledzący, może już uchwycić i zrozumieć istotę tej strategicznej natury frontów w kampanii rosyjskiej. Ich istota polega na wytwarzaniu i utrzymywaniu kąta, którego ramiona

obejmują nieprzyjaciela, o ile możności daleko i ciasno. Strona, tworząca ów kąt, jest w istocie swej ofenzywną pod względem strategicznym, nawet gdyby taktyczna ofenzywa znajdowała się po stronie przeciwnej. Strona, tworząca ów kąt strategiczny, dąży do jego zacieśnienia przy równoczesnem wydłużeniu ramion. Strona, objęta tym kątem, dąży naodwrot do jego rozszerzenia, skrócenia ramion, przełamania ich i zdjęcia.

Rozpoczynając swoją ofenzywę w sierpniu r. u., Rosyane nastawili takie dwa kąty niby dwie pary potężnych nożyc, groźnie rozwartych w kierunku obu swoich nieprzyjaciół. Nożyce rosyjskie, skierowane przeciw Austrii, były bardzo wielkie i silne. Oś ich znajdowała się w trójkącie twierdz Dubno—Równo—Łuck. Ramię południowe sięgało aż po granicę Bukowiny. Ramię północne wyciągnęło się po górny San. W obrębie tych straszliwych nożyc znalazła się cała siła austro-węgierska. Panujące w tym okresie popularne poglądy o rychłym otoczeniu Rosyan i wzięciu ich armij do „saka“ były najzupełniej naiwne. Zadaniem armii austriackiej było wówczas złamanie północnego ramienia nożyc rosyjskich przez ofenzywę generała Dankla, niedopuszczenie do zacieśnienia się kąta ich rozwarcia przez atak armii Auffenberga w kierunku osi nożyc, wreszcie wstrzymanie ruchu południowego ramienia tych nożyc ku Galicyi wschodniej i środkowej przez armie Brudermanna i później Böhm-Ermollego.

O otaczaniu Rosyan w tym okresie nie mogło być mowy, ponieważ zarówno stosunek sił zbrojnych, jak bez porównania korzystniejsze położenie geograficzne dawało Rosyanom, a nie armii austriackiej przywilej ofenzywy — strategicznej. Ofenzywne uderzenia armij austriackich miały charakter tylko taktyczny i były dyktowane najwyższymi względami — defenzywy.

Zdaje się, że najwyższą sztuką wodzów jest z jednej strony utrzymać się w tej pozycji kątowej, z drugiej zaś takie manewrowanie, aby strona przeciwna, o ile sama taką pozycję kątową posiada, straciła ją, i stopniowo weszła do wnętrza kąta strony przeciwnej. Zadanie to dowództwo austriackie rozwiązało genialnie. Z końcem sierpnia schemat obu frontów — rosyjskiego

i austriackiego przedstawiał się, jak dwa kąty jeden w drugi wsunięty, przyczem austriacki znajdował się wewnątrz. Ofenzywne uderzenia armij austriackich z jednej strony, z drugiej zaś zarządzane zawsze na czas i doskonale przeprowadzane odwroty sprawiły, że wprawdzie potężna armia rosyjska zajęła Galicyę wschodnią, ale za to wierzchołek kąta jej nożyc został wprawiony w ruch i stopniowo uległ, jak gdyby wessaniu. Już pod koniec września sytuacja ukształtowała się wręcz odmiennie — kąt austriacki był na zewnątrz, rosyjski wewnątrz. Role zmieniły się zasadniczo. Armia rosyjska znalazła się wewnątrz nożyc austriackich, z obejmującej stała się objętą. Wierzchołek kąta nożyc austriackich leżał w Krakowie, jedno ramię biegnące ku wschodowi od południa, sięgało końca Karpat, drugie zaś przedłużone bardzo znacznie przez armię Hindenburga, sięgało ku północy do Warszawy. Kąt rozwarcia tych nożyc był jeszcze zbyt wielki, ciśnienie ich ramion zbyt słabe, ale mimo to Rosyanie, oceniając należycie niebezpieczeństwo, postanowili złamać jedno z ramion tych nożyc. Względy na sprzymierzoną Francję sprawiły, że wybrali do takiego złamania ramię północne od Krakowa po Toruń. W połowie października tedy rozpoczęła się ta olbrzymia ofenzywa rosyjska z dyrekcją na Poznań, Toruń i Wrocław. Ofenzywa ta jednak pod ciosami Hindenburga wkrótce stanęła, przestając się w znaną wielomiesięczną walkę pozycyjną na linii Bzury, Wisły, Rawki i jej przedłużeniach. — Kiedy zaś wielka bitwa na linii Limanowa—Łapanów—Gdów uchroniła wierzchołek tych nożyc austriacko-niemieckich od konieczności dalszego przesunięcia się wstecz ku zachodowi i doprowadziła w ten sposób do jego pewnej stabilizacji, Rosyanie z kolei zaczęli cisnąć na południowe ramię tych nożyc, biegnące wzdłuż Karpat. Straszliwa ofenzywa rosyjska, rozpoczęta tam po upadku Przemyśla i przeprowadzona ze skutkiem zupełnie ujemnym w ciągu pierwszej połowy kwietnia, była punktem kulminacyjnym tego ciśnienia. Armie rosyjskie nie zdołały ani północnego, ani południowego ramienia nożyc austriacko-niemieckich przełamać i zniszczyć. Fakt ten stanowił już pod względem strategicznym decyzję o wygranej.

Wyższość strategicznego położenia armij sprzymierzonych nad rosyjską była oczywistą. — Wkrótce zaś ujawniła się w faktach. Dzięki tej wyższości kierownictwo armij sprzymierzonych mogło swobodnie poczynić przygotowania do ataku w dowolnie wybranym odcinku. Wybór padł na linię Dunajca nie tylko ze względów na łatwość komunikacyjną, ale także ze względu na to, że odcinek ten leżał najbliżej klucza całej pozycji strategicznej rosyjskiej (Dukla), który w razie sforsowania tego odcinka byłby zniszczony od razu. Rosyanom pozostawała tylko obrona na tak zwanych liniach wewnętrznych, w tych warunkach mniej skuteczna, niż operacje na liniach zewnętrznych.

Przerwanie frontu nad Dunajcem przy użyciu straszliwej siły, skoncentrowanej na stosunkowo niewielkim odcinku, otworzyło dla armij sprzymierzonych okres realizacji tych olbrzymich korzyści, które leżały niejako „in potentia“ w ich strategicznym położeniu. Od tego momentu widzimy, jak armie sprzymierzone, nie zmieniając nigdzie zasadniczego schematu swojej dyslokacji w formie rozwartych nożyc, prą zwycięsko ku wschodowi i pobijają wszystkie rekordy w szybkości, z jaką zajmują olbrzymie tereny. Rosyanie bronią się prawidłowo, cisnąc na skrzydła, czyli na końce tych nożyc nad dolnym Sanem z jednej strony, nad Dniestrem i Prutem z drugiej. Wiemy, że ciśnienie to szczególnie skutecznem okazało się na końcu ramienia południowego na froncie armii Pflanzer-Baltina, który z zajętej już linii Dniestru pod Zaleszczykami cofnąć się musiał aż poza Prut. Nad dolnym Sanem ciśnienie to okazało się także bardzo wielkiem. Zajętą już Sieniawę potrzeba było opróżnić. Pozycje Rosyan w widłach Wisły i Sanu musiały dawać wiele do myślenia. W tych warunkach dla ofensywy armii Linsingena, idącej w kierunku południowo-północnym i zwycięsko posuwającej się aż pod Mikołajów na 40 kilometrów od Lwowa, nastąpił punkt krytyczny. Dalszy jej pochód w raz obranym kierunku byłby z konieczności spowodował przesunięcie wierzchołka kąta nożyc austriacko-niemieckich nadto ku północnemu wschodowi, czyli, że po zajęciu Lwowa w tych ogólnych strategicznych warunkach byłaby wróciła sy-

tuacya, jaka była przed dziewięciu miesiącami, mianowicie wojska sprzymierzone zamiast na zewnątrz formacyi armij rosyjskich byłyby się znalazły wewnątrz nich.

Lecz tu też zajaśniał w całej pełni geniusz niemieckiej strategii. Generał Linsingen wyrzekł się dalszego zwycięskiego pochodu ku północy, który mógł go nęcić perspektywą łatwego odzyskania Lwowa, i nagle zawrócił ku wschodowi. Przekroczył Dniestr pod Żurawnem tylko dla zagrożenia flanki i tyłów rosyjskiej armii operującej przeciw Pflanzler-Baltinowi i całą siłą swą zaczął posuwać się wzdłuż prawego brzegu Dniestru, zajmując Stanisławów i wchodząc w kontakt ścisły z Baltinem, który ze swej strony podjął ofensywę tym razem, jak wiemy, bardzo skuteczną.

Ten nagły zwrot Linsingena ma znaczenie niewątpliwie egzemplaryczne. Moskale, nie oparłszy się pokusie efektu, jaki im dawało rychłe opanowanie Lwowa, poszli nań i posiadanie go okupili zniszczeniem swego początkowo znakomitego położenia strategicznego. Linsingen nie pogonił za efektem, lecz jak sumienny budowniczy, dbający przedewszystkiem o silne fundamenty wznoszonej przez się budowli, poszedł przedewszystkiem na obronę strategicznego położenia całej armii sprzymierzonej, które przez przedwczesne wzięcie Lwowa byłoby tak samo ucierpiało, jak ucierpiało strategiczne położenie Rosyan. Wziąć bowiem Lwów, podczas gdy równocześnie Rosyanie grożą złamaniem południowego ramienia tych ogromnych, i jak widzimy, strasznie ostrych nożyc austriacko-niemieckich, byłoby wyrzeczeniem się tego nieocenionego instrumentu i kto wie, czy nie utratą owoców olbrzymiego zwycięstwa nad Dunajcem.

Odzyskanie więc Lwowa poszło, jak gdyby w odwłokę, niewątpliwie nie wielką. Ale wzamian za to południowe ramię tych potężnych nożyc, które już obcięły Rosyan w środkowej Galicyi, zostało nie tylko uratowane, lecz także jeszcze bardziej wzmocnione. Tem skuteczniej może ono teraz wykonywać swój ruch zgarniający od Dniestru ku północy.

Teraz należy oczekiwać analogicznej operacyi na przestrzeni

północnego ramienia tych nożyc, które oczywiście także uda się w zupełności, ponieważ działa tu jasna logika i konsekwencja myśli strategicznej. A wtedy nie tylko Lwów, lecz cała wogóle Galicya wschodnia, za nią zaś także inne tereny wpadną w ręce zwycięskich armij z taką samą szybkością, z jaką owładnęły one Galicyę środkową i oczyściły Karpaty.

Z J A Z D N I E D Z I E L N Y

22 czerwca 1915.

Zjazd onegdajszy delegatów powiatowych Komitetów Narodowych stanowi punkt zwrotny w naszym życiu tego wojennego okresu. Czuli to wszyscy uczestnicy zjazdu, którzy w niedzielę wypełnili po brzegi obszerną salę Sokoła. Wielka idea, wyrażona w słowach i czynie w dniu 16 sierpnia ubiegłego roku, przetrwała ciężką i krwawą zimę rosyjskiego najazdu i dobrze przechowana w sercach polskich, ostała się zeszej nawałnicy najboleśniejszych doświadczeń, aby na zjeździe onegdajszym wystrzelić znowu bujnym, wysokim pędem i znowu wziąć w niepodzielne władanie wszystkie dziedziny naszego życia narodowego.

Bo istotę tego zjazdu stanowił właśnie ów uroczysty powrót idei legionowej na to stanowisko idei naczelnej i kierowniczej w życiu narodowym, na którym postawiły ją uchwały z 16 sierpnia 1914 roku. Znowu odsłonił się przed nami obraz tej jedno-myślności, z której błogosławieństwem idea ta weszła w życie.

Zjazd był kompletny. Nie brakło w nim przedstawicielstwa żadnego stanu, żadnej klasy, żadnego niemal zawodu. Wszyscy złączeni z sobą jednym ukochaniem jednej idei — idei legionowej.

Jak okręt dobrze zbalastowany, tak idea ta przetrwawszy burzę wojny na ziemi polskiej i w sercach polskich, wypływa oto znowu na sfalowany jeszcze przestwór życia polskiego. Jeszcze do brzegów daleko. Jeszcze zdradliwe wiry i rafy podwodne nie omi-

nięte. Ale wiatru w żaglach coraz więcej, wiatru silnego i pomyślnego...

Odczuwał to zjazd każdym nerwem każdego swojego uczestnika. Każdy mówca, aczkolwiek spokojny i doświadczeniem przeżytych jedenastu miesięcy strasznej wojny mądry, wyrażał, często mimo woli nawet, tę ufność w silny grunt pod nogami, tę radość z końca wielomiesięcznych męczarni.

Wspaniałe było przemówienie prezesa N. K. N. dra W. L. Jaworskiego. Głębokim rozumem tchnące słowa prezydenta dra Lea, wreszcie spokojny, suchy pozornie, lecz ileż głębokiego uczucia i przekonania kryjący w sobie referat szefa Sikorskiego, nadały zasadniczy ton obradom niedzielnego zjazdu — ton spokojnej siły przekonania, że droga w dniu 16 sierpnia obrana, była drogą jedynie dobrą, jedynie słuszną i z interesami narodu naszego jedynie zgodną.

Z uczuciem tej pewności rozjechali się licznie zebrani delegaci do swoich powiatów, aby obok materyjalnej strony naszego życia, odbudowywać także jego ideową stronę. Ta druga odbudowa pójdzie z pewnością łatwiej i składniej. Maluczko, a z duchowego obrazu naszego narodu znikną bez śladu te rysy i załamania, które wytworzyła w nim wojna, podobnie jak z niw i łąk polskich poznikają żółte, rdzawymi plamami krwi upstrzone rowy strzeleckie, które znowu przysłoni bujna zieleń życia.

L W Ó W N A S Z

23 czerwca 1915.

Wczoraj wieczorem zagrały krakowskie dzwony. A na falach ich potężnych dźwięków popłynęła po ziemi małopolskiej radosna wieść: Lwów nasz, Lwów wierny, Lwów pomnożyciel polskości, Lwów, sędziwa stolica województwa ruskiego, Lwów — potężny bastyon kultury polskiej na wschodzie, został wydarty bardzo potężnemu, a jeszcze bardziej zuchwałemu najeźdźcy ze Wschodu.

I dobrze się stało, że dzwonom krakowskim powierzono ogłoszenie tej wieści, bo tylko one mają dość głosu ku temu, tylko sercami dzwonów uderzać potrzeba — w takiej chwili w serca polskie... Słowa mówione i pisane za słabe są dla jej objęcia.

Wczoraj rankiem o godzinie 6 minut 45 spadło moskiewskie jarzmo, dławiące stolicę naszego kraju od tego ponurego poranka, który w dniu 3 września zapisał się ogniem straszliwego bólu w polskich sercach. Od wczoraj Lwów jest wolny od swego — oswobodziciela. Od wczoraj drogie to miasto, jak gdyby ręką tytana rzucone, znalazło się znowu tuż obok nas, gdy niedawno jeszcze było tak daleko, tak strasznie daleko, że jak gdyby rozpływało się w łzawej mgłę smutku i rozpaczy. Od wczoraj czujemy ten Lwów znowu przy sobie, czujemy, że w podwiązanej ręką barbarzyńskiego najeźdźnika potężnej arteryi naszego życia narodowego, znowu zaczyna krążyć płyn życia.

Przybliżył się ku nam nasz Lwów polski ze swoim cierpieniem dziesięciomiesięcznego najazdu. Odrazu zaś niby sen ohydny, niby zmora trapiąca, odleciał ten Lwów mityczny, ten Lwów kłamany i okłamywany — Lwów rdzennie rosyjski z popami, Eulogiuszami, gubernatorami, ochranami i carami. Już go nie ma. — Już spadł w przepaść niebytu, już stał się tylko wspomnieniem i smutnem i ohydny i śmiesznym zarazem.

Bo niczego nie brakuje w tem wspomnieniu. Najwięcej w niem smutku, dość ohydy, ale kryje się tam także odrobina komizmu. Wszakże to nie kto inny, jak sam car biały, pan na stu siedm-dziesięciu milionach niewolników obejmował go w posiadanie prawosławia, rosyjskości i bizantyńsko-mongolskiego barbarzyństwa. Wszakże nie kto inny, jak Mikołaj II we własnej małej osobce z balkonu namietnictwa lwowskiego proklamował to miasto polskie perłą jedynej, niepodzielnej ziemi — rosyjskiej. A dziś! Jakże krwawo, jak straszliwie bezlitośnie odpowiedziała temu mocarzowi nieubłagana logika rzeczy ludzkich! Już nie ma perły lwowskiej na czapce monomachowej. Perła wróciła do swoich właścicieli prawowitych, a w tej czapce strasznej, pod którą tyle

się już udusiło i tyle dusi się ciągle, powstała — dziura. I jeszcze niewiadomo, co przez tę dziurę do wnętrza Rosyi wpadnie...

Generalissimus rosyjski dawno już otrzymał od swego bratanka szablę z napisem: „Oswobodzicielowi Galicyi!“ Jaki użytek uczyni z tego morderczego narzędzia teraz, kiedy w ręku jego stało się ono symbolem nie tryumfu, lecz kary, ciężkiej kary za świętokradzki zamach barbarzyństwa na kulturę, kary za niesłychaną obłudę wyzwalańca wolnych przez — niewolników?

Pisano, że kiedy Radce Dimitrjewowi doniesiono o zwycięstwie wojsk sprzymierzonych nad Dunajcem, spokojny ten człowiek, załamując z rozpaczą ręce, wykrzyknął: „Przeegraliśmy wojnę!“ I nie omylił się. Carat przegrał wojnę. Postawił w niej najwyższą stawkę swoich dziejów, rzucił na kartę galicyjską miliony biednych muzyków i — przegrał. Albowiem nie może być, aby ślepa siła, kierowana niemoralną dłońią, żłobić mogła drogi cywilizowanego świata.

Lwów znowu nasz! W tych trzech słowach zamyka się nowa epoka dziejów Polski, dziejów Austrii, dziejów Europy i całego świata. Bo Lwów rosyjski stał się był symbolem — kozaczej Europy. Powoli, poprzez wiele pokoleń rozwijać się będzie ten wątek skutków, których przyczyna nazywa się krótko — „odzyskanie Lwowa“. Już dawno zablizną się rany, przez najeźdcę temu miastu i krajowi zadane, już dawno dziś jeszcze piekący ból najazdu pozostanie tylko opowieścią, ciągle na nowo opowiadaną i zawsze chciwie słuchaną, a niestrudzony kołowrot dziejów będzie ciągle odwijał tę nić złocistą, którą wczoraj los szczęśliwy zadzierzgnął.

Promienie dzisiejszego świtu muszą pięściwie strzeliste wieże Lwowa i poraz pierwszy doleć do nas niezbrukane dotknięciem moskiewskich sztandarów na tych wieżach. Spójrzmy na to słońce, które już patrzy na wolny Lwów i niechaj się dusze nasze rozświecą. Niechaj jasność radosnego dnia opromieni czoła i niechaj zajaśnieje całą potęgą swego blasku nad sędziwą głową

wielkiego monarchy, któremu oto los zsyła pocieszenie ogromne i nagrodę aż nadto zasłużoną.

Witamy Lwów i drogich rodaków lwowskich, jak wędrowców, wracających z długiej i niebezpiecznej drogi. Niechaj odpoczną najpierw. Potem zaczną się opowieści... Bo wiele, bardzo wiele mamy sobie do powiedzenia.

SPIS RZECZY.

	Str
Alea jacta	9
Powszechna mobilizacya	11
Tajemnice	13
Lawina	16
Wielki dzień	19
Europa w ognlu	24
Polska wobec wojny	27
Słowa i fakta	31
Najważniejsze zadanie	35
Nasza stawka	38
O kierunek myśli polskiej	41
Szesnasty sierpnia	43
Krakowski milion	47
Co myśli Warszawa	50
O duszę Królestwa	53
Dobrze	55
Pan Dmowski	57
Niemcy wobec sprawy polskiej	60
Lwów	63
Cel wojny	65
Zaprzysiężenie Legionistów	68
Tylko spokojnie!	70
Żelazny wał	73
O ład w przewrocie	75
Prawo wojny	77
Polityczna wojna	80
Anglia i Francją wobec Polski	82
„Gruba Berta“	89
Rosya i autonomia Polski	92
Odpyw	100
Przedwczesny program	102
Legiony w ogniu	105
„Oswobodzenie“ Galicyi	107
Wojownicy carscy	111
Rosyjskie cele	114

	Str.
Przyczyny votum nieufności dla sprawców rozbicia Legionu wschodniego .	117
(Stan faktyczny str. 119. — Rota przysięgi str. 121. — Broń repe- tyerowa str. 126. — Trafne przepowiednie str. 128.)	
N. K. N. w Wiedniu	134
Dlaczego zwyciężymy?	138
Wojna a opinia publiczna	159
O nasz udział w rządzie	166
O prezesurę Koła	169
Tajemnica polskiej sily	172
„Eplgon“ Bismarcka	175
Zakazane braterstwo	178
Polskie pozycje w pruskim budżecie	180
Świty Warszawskie	183
Nowy regimentarz	188
Miecz „Grunwaldzki“ a Galicya wschodnia	192
Point de reveries!	197
Kłopoty z orientacją	202
Próżne usiłowania	205
Oszczerstwu w odpowiedzi	208
Węgry a Polska	212
Wisła i Dunaj	216
Wojna z nerwami	219
Błąd w otwarciu	223
Syn i ojciec	229
Małe, szare i rogate	231
Pierwszy zamach na polskość Lwowa	234
Wędrówka ludów i pomników	237
Echo z Berna	239
Na przełomie	242
Car we Lwowie	245
Samorząd miejski w Królestwie	247
Trzeci Maja	251
Pogrom	253
Odzyskanie Przemyśla	256
W drodze ku Lwowu	259
Arcyksiążę o Legionach	262
Nożyce strategiczne	264
Zjazd niedzielny	269
Lwów nasz	270





27320/

12.